

DAN ABNETT

A GAUNT'S GHOSTS NOVEL

STRAIGHT SILVER

WARHAMMER
40,000



CZYSTE SREBRO

W ciągu pierwszych sześciu miesięcy 772. M41, siedemnastego roku kampanii w światach Sabbath, siły Imperialnej Krucjaty pod dowództwem Mistrza Wojny Macarotha napotkały trudności w przekuciu zwycięstw odniesionych poprzedniej zimy w trwałą przewagę. Wydawało się to możliwe w systemie Cabal dzięki liniom zaopatrzenia - tak zwanemu „krwiobiegowi zwycięstwa” - otwartym przez zakończone sukcesem operacje na Gigar, Aondrif Nova, Tanzina IV, Phantine i potężnym przemysłowym świecie Urdesh.

Okryty złą sławą umocniony system Morlond wciąż się jednak trzymał, a raporty sugerowały, że Urlock Gaur, który - jak się zdawało, został przywódcą sił arcywroga po śmierci Archona Nadzybara na Balhaut - przygotowywał na nowo przeciwuderzenie z Gromady Carcaradon.

Co więcej, Imperialna Krucjata prowadziła na wewnętrznej flance ciężkie walki z zastępami Chaosu dowodzonymi przez Anakwanara Seka, Shebola Czerwonorękiego i Enoka Innokentiego, trzech najzdolniejszych mistrzów wojny Gaura.

Pod wpływem typowego dla niego instynktownego impulsu i wbrew wszystkim radom swoich sztabowców, Macaroth podzielił siły Krucjaty pomiędzy najbardziej zaufanych generałów.

Dziwiąca Armia Krucjaty pod dowództwem Lorda Humela została wysłana na Enothis, żeby złamać panowanie obmierzłych zastępów Seka.

Armie Ósma i Szósta dowodzone przez Generała Kelso i Mistrza Veeguma z Zakonu Srebrnej Gwardii zostały skierowane do Grupy Khan z zadaniem pokonania Innokentiego, podczas gdy Siódma Armia, pod dowództwem Marszałka Blackwooda, uderzyła głęboko centralnie, w stronę Podwójnej Belshii i Alfy Madrigo.

Lord General Bulledin, dowodzący Drugą Armią otrzymał rozkaz utrzymania i osłony linii zaopatrzenia na Urdesh.

Macaroth osobiście, na czele Pierwszej, Trzeciej i Czwartej ruszył po raz kolejny w kierunku Morlonda, aby jak sam powiedział: „zmierzyć się z Gaurem na jego własnym terenie”.

Podniosło się wiele głosów sprzeciwu. W szczególności dowódcy Floty sądzili, że Macaroth przetrwał swój gambit w systemie Cabal dzięki olbrzymiemu szczęściu, a teraz znów widzieli, że powtarza ryzyko na jeszcze większą skalę. Inni generałowie wyrażali niezadowolenie z powodu nieotrzymania dowództwa Armii.

Van Voytz miał nadzieję dostać Piątą Armię, ale została ona oddana Luscheinowi z zadaniem zabezpieczenia tyłów natarcia Macarotha. Van Voytz otrzymał zamiast tego związek w sile brygady, nominalnie należący do Piątej Armii i został wysłany na Główną Aexe, Imperialny świat trzymający się mimo dominacji Chaosu w Światach Sabbath. Czekало tam na niego trudne do pozazdroszczenia zadanie przełamania trwającej od czterdziestu lat wojny...

Historia Późnych Krucjat Imperialnych

PROLOG

„Wiele jest rzeczy, które można zawierzyć mieszkańcowi Aexe: miłość, wojnę i wiarę w Imperatora. Z tej listy najlepsi jesteśmy w wojowaniu. Robimy to od lat. Zgodzisz się chyba, że opanowaliśmy tę umiejętność.”

Leonid Fep Krefuel, Najwyższy Sezar Aexe

Brunsgatte górowało nad nim jak nieuporządkowany sen. Odczuwał zmęczenie po długiej podróży pociągiem. Pogoda, w miarę jak posuwał się na zachód, robiła się coraz gorsza i deszczowa, a gwóźdź w kości udowej dokuczał reumatycznym bólem. Próbował raz jeszcze zająć się przeglądaniem korespondencji, ale na tylnym siedzeniu limuzyny było zbyt ciemno. Siedział zamiast tego z rękoma złożonymi na brzuchu i przypatrywał się miastu za oknem.

Zapadał zmierzch i lampy wzdłuż ulic zaczynały świecić spod matowego szkła kloszy bursztynowym blaskiem. Za dwadzieścia minut staną się perłowo białymi gwiazdkami.

Mocno padało. Na południu wyglądało to jak ciemna, rozmazana zasłona pod chmurami kłębiącymi się nad dzielnicą handlową i dokami Brunsgatte.

Limuzyna, błyszcząca i czarna jak mundurowe lakierki, była starym modelem *Ampara Furioso Vitesse*, zbudowana tak solidnie jak *Leman Russ*. Po obu stronach srebrnej figurki skaczącego *behj* umieszczonej nad wyszczerzoną chromowaną chłodnicą powiewały chorągiewki. Po lewej niebiesko-złota flaga narodowa, kolory złota, bieli i czerwieni Przymierza Aexe, po prawej.

Ledwie słyszał ośmiocylindrowy silnik, tak gruba była karoseria i tapicerka, ale co każde dziesięć sekund wycieraczki skrzypiały niczym paznokcie na szkolnej tablicy. Samochód przeciął Congressplatz, przejechał przez cienie pod Bramą Sezara, gdzie piętrzyły się stosy czerwonych wieńców i jechał wzdłuż Kolumnady Fisher'ów w kierunku Trimercy.

„Skrzyp, skrzyp, skrzyp”, obracały się wycieraczki.

Zatrzymali się na światłach w Trimercy i przepuścili ruch w kierunku południowym. Eskorta motocyklistów oparła się butami o jezdnię. Klimatyzacja limuzyny zdawała się tłoczyć tylko ciepłe spaliny. Pochylił się do przodu i próbował ustawić pokrętło, ale nie przyniosło to żadnego efektu.

- Co się dzieje z ogrzewaniem? - warknął.

Kierowca opuścił lakierowaną przesłonę.

- Co pan mówił, sire?

- Ogrzewanie.

- Jest włączone, sire.

- A może być wyłączone?

- Oczywiście, sire. - Kierowca ustawił pokrętła na desce rozdzielczej.

- Teraz lepiej?

Nie było lepiej. Wcisnął przycisk otwierania tylnego okna i wpuścił do wnętrza chłodny zapach deszczowego miasta.

Czuł woń wilgotnego asfaltu i mokrego betonu. Słyszał silniki i odległe klaksony. Przy drodze, na skrzyżowaniu, dostrzegł zamykane już na noc stoisko z kwiatami. Sprzedawca, owinięty w przeźroczystą pelerynę, składał fraktalne kwiaty do metalowych pojemników. Błyszczące płatki trzeszczały pod naciskiem doświadczonych dłoni. Niektóre miały szczególnie czerwony kolor.

Poczuł przyspieszający puls. *Nie teraz... nie teraz...*

Zamknął oczy i przełknął ślinę, starając się zwolnić rytm oddechu, tak jak nauczył go lekarz. Jednak Kocioł Seiberq był tylko o uderzenie serca stąd. Błyskawica.

Tryskające na wszystkie strony błoto. Pancerniki. Kałuże w kraterach po pociskach.

Czerwień, czerwień...

Światła zmieniły się i ruszyli na północ, motocykliści zatoczyli szeroki łuk, błyskając światłami.

- Nic panu nie jest, sire? - zapytał kierowca.

-Nie, nic mi nie jest. Nic. - Przymknął okno, pozostawiając tylko wąską szparę.

Mons Sezari urosło przed nimi, dominując linię horyzontu, przytłaczając nawet najwyższe wieże i iglice Brunsgatte.

Wspięli się po łuku drogi i zajechali pod szklaną markizę przy tylnej bramie.

- Jest pan gotowy, sire? - zapytał kierowca.

-Tak - odpowiedział i wyszedł. Młodszy adiutant przytrzymał mu drzwi limuzyny. W czasach wielkich Sezarów generałowie wkraczali do Brunsgatte przez Bramę Forteczną, wieżeni z pompą w zdobionych klejnotami wozach bojowych ciągniętych przez *struthidy*.

Tamte czasy dawno już odeszły, ale protokół wymagał, żeby przesiadł się z samochodu na wóz, na ostatni, formalny odcinek drogi.

Szwadron huzarów czekał w gotowości przy wozie. *Struthidy*, resztki wymierającego gatunku, były wielkimi, dumnymi zwierzętami z olbrzymimi wypolerowanymi dziobami i grubym upierzeniem, wysokie na dwadzieścia dłoni. Pomyślał o parchatych, chudych wierzchowcach, z jakich zmuszona była korzystać kawaleria frontowa.

Wszedł na tylną płytę wozu, z aktówką przyciśniętą ramieniem do ciała i dowódca huzarów smagnął zwierzęta. Ruszając do przodu, skrzesały na mokrym bruku iskry przyciętymi czarnymi pazurami.

Przeróżające ptaszyska wciągnęły wóz pod łukowatą bramą *Mons Sezari*. Podjechały pod zachodnie wejście pałacu, oświetlonego długim szeregiem lamp elektrycznych. Strażnicy czekali w pełnym galowym umundurowaniu, na głowach mieli czaka z piórami struthidów. Nosili obfite pantalone z zielonego jedwabiu, ze złotymi łańcuchami łączącymi biodra z nadgarstkami, tak że gdy salutowali wyglądali, jakby na jego cześć rozkładali szerokie, zielone skrzydła.

Zszedł z wozu, zapłacił woźnicy rytualne *scuto* i szedł po długim niebieskim dywanie. Aktówkę trzymał luźno w dłoni.

Sire Kido Fep Soten, szambelan Najwyższego Sezara, czekał na niego pod szklanym portykiem. Soten rozchylił aksamitne, czarne szaty zdobione gronostajem i zrobił na piersi znak *Aquili*.

- Witam, panie hrabio. Sezar oczekuje.

Ruszył za Sotenem wzdłuż długiego holu udekorowanego tapetą z motywami heraldycznymi, przez pokój z bajecznymi świecznikami zwisającymi z sufitu wprost do sali audiencyjnej. Halabardnicy *Bande Sezari* otworzyli przed nim drzwi. Soten uklonił się.

- Najwyższy Sezarze oznajmił - hrabia Iaco Bousar Fep Golke, głównodowodzący sił Przymierza Aexe oczekuje na posłuchanie.

Najwyższy Sezar, Leonid Fep Krefuel wstał z kanapy. Siedział przed kominkiem, osłonięty parawanem od bezpośredniego gorąca. W otwartych drzwiach po przeciwnej stronie pomieszczenia hrabia widział grupę osób i słyszał dochodzący stamtąd brzęk szkła.

Sezar miał na sobie ceremonialny mundur zdobiony srebrną nicią i diamentami oraz płaszcz ze skóry *behja*. Był niskim, dobrze zbudowanym mężczyzną z czerstwą twarzą, wilgotnymi, szerokimi ustami i cienkim szarym wąsikiem.

- Hrabia Golke, jak zawsze miło pana widzieć - powiedział.

- Sezarze, to honor dla mnie.

- Witam, witam... Niech się pan poczęstuje.

Czarny serwitork z tacą napojów pojawił się z lekkim jękiem mechanizmów. Golke wziął mały amazek i umoczył usta.

Posiadał kilka posiadłości, w tym zamek we wschodniej prowincji, ale wciąż porażała go skala architektury *Mont Sezari*. Sufity były tak wysoko, okna tak olbrzymie.

Niebiesko-złote jedwabne chorągwie, o długości trzydziestu metrów, zwisały ze ścian. Na każdej pysznił się skaczący *behj*, herb Aexegary. Przez ostatnie cztery lata przybywał do pałacu co miesiąc, żeby dostarczyć swój raport z działań wojennych, ale wciąż był pod wrażeniem.

-Mogę poczekać, wasza wysokość, jeśli ma pan gości – powiedział Golke, wskazując postaci w sąsiednim pomieszczeniu.

-Nie, nie. Zaraz do nich dołączymy. Są tam ludzie, których chciałbym, żeby pan poznał.

Golke chciał zapytać, kim byli ci ludzie, ale potrafił poznać, że Najwyższy Sezar Aexegary był w jednym ze swoich rzeczowych nastrojów. Tak samo było, kiedy spotkali się na tydzień przed natarciem na Jepel i Seibera. *Przygotowuje się do wydania mi instrukcji, o których wie, że mi się nie spodobają* - pomyślał Golke. - *O Boże, byle nie kolejne Seibera.*

Golke odstawił kieliszek.

- Raport, wasza wysokość?

Sezar skinął głową.

- Zaczynamy - powiedział sadowiąc się znów na kanapie.

Golkemu trzęsły się palce, kiedy otwierał aktówkę i wyciągał podwójne kopie raportu. Obie oprawione były w niebieskie okładki i przewiązane złotą wstążką. Wręczył jedną swojemu panu, który wziął ją i przeciął wstążkę pazurem *behja* na sygnecie.

Golke otworzył własną kopię, stanął przed Sezarem i zaczął czytać.

- Bilans działań wojennych pomiędzy siłami jego świetlanej wysokości Najwyższego Sezara Aexegary i jego aliantów a zbrodniczymi opresorami Shadik w okresie od

181. 722 do 212. 772. W pierwszej kolejności należy zauważyć, że koncentracja ataków artyleryjskich wzdłuż Linii Peinforq'a oraz doliny Naeme, w znacznym stopniu opóźniła postępy w rozlokowaniu wrogiej piechoty w tym rejonie. Oceny obserwatorów szacują liczbę ofiar śmiertelnych na dziewięć tysięcy, ze szczególnie wysokimi stratami w okolicach Bassinon-Naeme, w nocach 187-189. Zużycie amunicji w tym okresie wyniosło czterdzieści osiem tysięcy dziewięćset jedenaście średnich pocisków 0.12, dziewięć tysięcy czterdzieści sześć pocisków zapalających 0. 90, dwa tysiące trzysta siedemdziesiąt dziewięć ciężkich pocisków 0: 50 oraz...

-Czy znany jest koszt tej amunicji? - spytał Sezar.

-Tak, wasza wysokość - odparł Golke przerzucając kartki raportu. - Ta informacja znajduje się w dodatku finansowym.

Hmm... w zaokrągleniu dwa przecinek dwa miliona scuto.

- Powiedział pan hrabio „opóźniła” postępy. Czy to oznacza zatrzymała?

Powstrzymała?

Golke odchrząknął.

-Tak jak powiedziałem, doznali strat i ich natarcie utknęło w miejscu, odbili jednak dwa miasta: Vilaq i Contae-Sanlur.

-Niech pan kontynuuje.

-Wasza wysokość. Mam przyjemność donieść, że na skraju sektora Meiseq nasza obrona utrzymała się pomimo kolejnych ataków. Po południu dnia 197 nastąpił przełom dzięki wysiłkom czterdziestej pierwszej brygady, która zdołała posunąć się do przodu i zająć młyny w Selph.

-Jak to była odległość?

-Trzysta... hmm... trzysta dziesięć metrów, wasza wysokość.

-Niech pan kontynuuje.

-Sektor północno-zachodni. Pod Gibsgatte trzeci Regiment Lekkich Sezari powstrzymał kontratak w dniu 199. Dowódca regimentu przesyła wyrazy wdzięczności dla Najwyższego Sezara za jego przenikliwość, dzięki której zostali rozlokowani w Gibsgatte i mogli okryć się taką chwałą.

-Straty?

-Tysiąc dwustu osiemdziesięciu dwóch, wasza wysokość.

Najwyższy Sezar zamknął swoją kopię raportu i odłożył koło siebie na siedzenie.

-Czy mam kontynuować, sire? - zapytał Golke.

-Czy usłyszę cokolwiek nowego? - odpowiedział Sezar pytaniem. - Czy usłyszę cokolwiek innego niż sytuacja bez wyjścia, bez znaczenia jak pan to ubierze w słowa? Czy usłyszę cokolwiek innego niż ogólny pat, kosztujący życie tysięcy ludzi i miliony scuto?

Golke opuścił swój raport. Luźna kartka wypadła z okładek i opadła na dywan.

- Nie, wasza wysokość.

Sezar znów wstał.

- Czterdzieści lat, hrabio. Czterdzieści lat tego samego. Czterdzieści lat strat, kosztów i stagnacji. Mamy dziś młodych chłopców na froncie, których dziadkowie zginęli w pierwszej fazie wojny, kiedy sami stawialiśmy czoła Shadikom. Mamy teraz sprzymierzeńców, chwała niech będzie Złotemu Tronowi, ale...

Popatrzył przez chwilę w ogień. Golke pomyślał jak ciężki wydaje się płaszcz ze skóry *behja* na jego ramionach.

- Czy wie pan, co Soten powiedział mi wczoraj rano? - spytał Sezar cicho.

- Nie, sire.

- Powiedział mi, że odkąd księstwo Fichua przystąpiło do naszego Przymierza w... Kiedy to było? 764?

- 763, sire, na mocy paktu Stromberg.

- Właśnie. Od 763 roku armie Przymierza straciły równowartość całej ludności księstwa Fichua, dziewięciokrotnie.

Przerazająca statystyka. Golke zamrugał oczami. Dobrze znał Fichua, z wakacji spędzanych tam w dawnych czasach.

Najmniejsze państwko kontynentalnej Aexe, ale jednak...

Znów poczuł szybszy puls. Gniew rósł w nim jak rtęć w termometrze włożonym w palenisko. Chciało mu się krzyżeć na Sezara.

- *To przez ciebie. Ciebie! Ciebie! Ciebie i dowódców sztabu, którzy odeszli przede mną z twoimi regułami i zasadami sztuki wojennej. Niech cię cholera, ciebie i twoje archaiczne strategie...*

Zamiast tego ugryzł się w język i zrobił głęboki wddech, tak jak go nauczył lekarz.

- Impas w jakim się znajdujemy doprowadza do szaleństwa, wasza wysokość

- powiedział. Głos miał słaby i zmęczony. - Ale być może do końca roku, zdołamy...

Sezar odwrócił się do niego.

- Hrabio Golke, proszę. Nie obwiniam pana za te czterdzieści lat. Pochwalam pańskie wysiłki, świetną pracę, jaką pan wykonał, od kiedy objął pan stanowisko szefa sztabu. Nie jestem głupcem, bez względu na to, co twierdzi prasa bulwarowa.

- Oczywiście, że nie, wasza wysokość!

Sezar uniósł dłoń. Światło płomieni zamigotało na pierścieniu z pazura *behja*.

- Niech mówią, co chcą. Niech piszą swoje wstępniaki i szydzą ze mnie w żartach rysunkowych. Naród Aexe wciąż mnie kocha.

- Jesteś Najwyższym Sezarem, wasza wysokość.

- I osiągnę sukces, nie mam co do tego wątpliwości. Złamię Shadik i przegonię ich zastępy na pustkowia.

- Nie mam wątpliwości, wasza wysokość.

- Ja też nie. Nigdy w to nie wątpiłem, hrabio. Jednakże od dzisiejszego wieczora jestem tego pewien.

Golke spojrzął do pokoju obok, gdzie goście rozmawiali i popijali pod kandelabrami.

- Dlaczego od dzisiaj, wasza wysokość?

- Ten dzień, panie hrabio, będzie pamiętny w naszej historii, nasze praprawnuki będą go świętować.

Sezar przysunął się do Golkego i wziął go delikatnie pod ramię.

- Nie ogłosiliśmy tego jeszcze publicznie i nie zrobimy tego jeszcze przez jakiś czas.

Panu jednak muszę powiedzieć. Pięć dni temu, na naszą orbitę przybyły statki

Imperium. Pierwsze z wyzwolenczej floty.

Golke przełknął ślinę i słowo po słowie rozważał to, co usłyszał. Poczuł lekki zawrót głowy. Gwóźdź w biodrze zaczął nagłe boleć jak cholera.

- Imperialne...?

- Krucjata w końcu do nas dotarła, mój drogi przyjacielu, po tych wszystkich latach samotnej walki z Chaosem. Mistrz Wojny Macaroth, niech pochwalone będzie jego imię, dał się we znaki arcywrogowi i zmusił go do odwrotu. Światy Sabbat należą teraz do niego, ma je na wyciągnięcie ręki. Stwierdził więc, mając oczywiście rację, że głównym priorytetem jest wysłanie elitarnych jednostek w celu wspomoczenia Głównej Axe. Pierwsze kontyngenty właśnie przybywają. Od przyszłego tygodnia wojna przeciwko Shadik zostanie wsparta przez Imperialną Gwardię. Nasze długotrwałe zmagania nie poszły na marne.

- Jestem pod wrażeniem, wasza wysokość.

Sezar uśmiechnął się.

- Golke niech pan razem ze mną wzniesie toast za odkupienie.

Sezar stuknął się z nim, kiedy Golke odnalazł swój kieliszek.

- Za zwycięstwo, o które walczyliśmy od dawna i które słusznie nam się należy.

Rzucili puste kieliszki w palenisko kominka.

- Mam coś dla pana, hrabio - powiedział Sezar. - Właściwie dwie rzeczy.

Sięgnął do kieszeni i zaprezentował podłużne pudełko pokryte niebieskim atłasem z drobinkami złota. Sezar uniósł wieko.

Złota Aquila, przypięta do białej, jedwabnej wstęgi, leżała na miękkiej wyściółce.

- Wasza wysokość!

- W uznaniu pańskiej oddanej służby mnie, Przymierzu i całemu Aexegary. Order Orła. Najwyższe odznaczenie, jakie mogę przyznać.

Najwyższy Sezar wyjął medal z pudełka i ostrożnie przypiął do piersi Golkego.

- Oddał pan swojej ojczyźnie wielkie zasługi, Iaco Bousar Fep Golke i odznaczył się pan, w moim imieniu, oddaniem, umiejętnościami, posłuszeństwem, i pokorą.

Osobiście poznał pan cenę wojny. Salutuję panu.

- Wasza wysokość, to był mój obowiązek.

Sezar delikatnie poklepał go po ramieniu.

- Zasłużył pan na to Golke. Na to i na mój drugi dar.

- Sire?

O północy zostaje pan honorowo zwolniony ze stanowiska głównodowodzącego.

Dość się pan napracował.

- Zwolniony ze stanowiska? Wasza wysokość, dlaczego? Czy w czymś nie zadowolilem waszej wysokości?

Sezar roześmiał się głośno. Golke poczuł, że był to wymuszony śmiech.

-W żadnym wypadku. Jednakże z nadejściem sił imperialnych jestem zmuszony do wprowadzenia zmian w strukturze dowodzenia. Radykalnych zmian. Rozumie pan hrabio, prawda? To wszystko, to polityka.

- Wasza wysokość?

- Imperialny generał nazywa się zdaje się Vonvoyze, będzie chciał władzy i przestrzeni dla swoich sił. On i jego wyżsi oficerowie potrzebują łącznika, kogoś kto pomoże się im zaaklimatyzować i sprawnie włączyć w nasz wysiłek wojenny.

Ufam panu, Golke. Chciałbym pana widzieć w tej roli.

- Łącznika?

-Właśnie tak. Łączącego nasze siły z naszymi wyzwolicielami. Sądzę, że ma pan potrzebny takt. Cechuje pana obiektywność, jest pan wykształconym człowiekiem i

należy się panu dająca satysfakcję praca po tym, co pan przeszedł na stanowisku głównodowodzącego.

- Ja... doceniam spotykający mnie zaszczyt, wasza wysokość.

Kto w takim razie zajmie moje miejsce?

- Jako głównodowodzący? Awansuję Lyntor-Sewqą. Jest pełen entuzjazmu i dobrze się zapowiada. Wykrzesa ten sam entuzjazm z naszych armii.

Golke skinął głową, choć był to tylko mechaniczny gest.

- Ten imperialny generał, czy on będzie podlegał Lyntor-Sewqowi?

- Oczywiście, że tak! - prychnął Sezar. - Gwardia Imperialna mogła w końcu przybyć, żeby nas wyzwolić, ale to wciąż jest nasza wojna. Aexegary zachowuje naczelne dowództwo. Niech pan pozwoli ze mną.

Najwyższy Sezar położył dłoń na ramieniu Golkego i skierował go w stronę przyjęcia.

- Niech się pan przywita z tymi imperialnymi zbawicielami, jakich nam przysłano.

Niech się na panu poznają. Może pan też przy okazji pogratulować Lyntor-Sewqowi.

- Nie mogę się doczekać, wasza wysokość.

1

W DRODZE DO NAEME

„*Wszystko jest kwestią liczb*”.

Savil Fep Lyntor-Sewq, Dowódca Naczelny Sił Przymierza Aexe, przeglądając spisy poległych

Potężne statki transportowe wysadziły ich na soczyste, zielone pola w pobliżu miejsca, które, jak im powiedziano, nazywało się Brunsgatte. W oddali, za liściastymi lasami i niskimi dachami podmiejskich osiedli, widzieli zarysy miasta. Wcześniej tego ranka padał deszcz, ale teraz dzień zrobił się ciepły i jasny. Zdawało się, że jest wiosna.

Wszystko zostało rozładowane na polach: piechota, ciężkie wsparcie, amunicja, zaopatrzenie i nawet bezładny tłum nieoficjalnie towarzyszący oddziałom. Konwój wielkich, brudnych ciężarówek wlał się na trawniki, żeby dowieźć ich do kolei. Dwa kilometry dalej, ponad lasami, widać było w powietrzu promy transportowe Szóstego Krassiańskiego, zlatujące do ich własnego punktu zbornego.

Szeregowy Caffran z Pierwszego i Jedynego z Tanith odszedł powoli od strefy lądowania, gdzie trawa uginała się od podmuchu gazów odrzutowych, i stanął pod żywopłotem, obserwując pas zalesionego terenu. Właściwie prawie już polubił to miejsce. Były tu drzewa i zieleń.

Dermon Caffran miał dwadzieścia cztery standardowe lata. Niski, ale dobrze zbudowany, na skroni miał wytatuowanego błękitnego smoka. Urodził się i wychował na Tanith, zalesionym świecie, który już nie istniał. Caffran był imperialnym gwardzistą - bardzo skutecznym, według danych w jego aktach. Miał na sobie standardowy zestaw żołnierza z Tanith: czarne, sznurowane buty, także spodnie i bluzę na wojskowych szortach i podkoszulce, uprząż, do której przyczepił polowe opatrunki, wypchany chlebak oraz lekki, matowo-szary pancerz. Czarny, ceramitowy hełm zwisał na pasku obok bojowego noża. Na wyłogach kołnierza nosił znaczek z czaszką i sztyletem, odznakę regimentu Pierwszego z Tanith, a na ramiona zarzucił maskującą pelerynę, znak rozpoznawczy regimentu, zwanego również „Duchami”. Na plecach niósł ciężki plecak. Standardowy karabin laserowy Mark III, z kolbą i rękojeścią wykonaną z drzewa *nal*, tak jak wszystkie karabiny pochodzące z Tanith, zawiesił na ramieniu.

Caffran czuł w powietrzu deszcz i zapach buków, mokrą woń leśnego poszycia. Przez krótką chwilę zapach przywoływał bolesne wspomnienia. Z trudem opanował uczucia.

Spojrzał za siebie, czy nie zauważono już jego nieobecności, ale wyglądało na to, że były jakieś opóźnienia w załadunku na ciężarówki. Silniki mruczały na wolnych obrotach, czasami jakieś koło zabuksowało na mokrej trawie, w szybkim tempie niszczonej przez konwój. Lokalne wojsko wyznaczyło punkty zborne na placach przy pomocy metalowych masztów od namiotów i linek, ale widząc, ile czasu trzeba czekać, niewielu z Tanithiańczyków pozostało w swoich sektorach. Niektórzy usiedli na trawie. Kilku zrzuciło plecaki i zaczęło kopać piłkę. Porządkowi

w długich, beżowych płaszczach biegali naokoło, wykrzykując instrukcje, kierując ciężarówkami i próbując zebrać gwardzistów, jakby byli rozproszonym stadem kur. Na końcu żywoplotu Caffran znalazł wyłożoną ceglami ścieżkę, biegnącą pod koronami drzew o szarych pniach. Zdał sobie sprawę, że najwyraźniej znalazł się w parku miejskim, zamienionym na tymczasowe lądowisko. Wzdłuż ścieżki stały ławki. Usiadł na jednej z nich, w wilgotnym cieniu wysokich drzew. Przyjemnie - rozmarzył się. Oczywiście drzewa nie miały w sobie nic ze wspaniałości tych z Tanith, ale i tak było niezłe.

Pomyślał o Tonie. Była jego dziewczyną, ale również żołnierką regimentu. Przyleciała innym lądowikiem, ponieważ byli teraz w różnych oddziałach. Sierżant Criid. Wciąż z tego chichotał. Kolejny pierwszy przypadek w Pierwszym i Jedynym. W alei, pomiędzy szpalerami drzew, leżały duże, gładko obrobione kamienne sześciany. Każdy z nich miał na ścianie od strony ścieżki podłużną plamę. Caffran zastanawiał się, czemu służyły. Pewnie były to jakiegoś rodzaju oznaczenia. Usłyszał, że ktoś nadchodzi od tyłu i odwrócił się. Był to komisarz Hark, oficer polityczny regimentu. Caffran pośpiesznie złapał plecak i poderwał się na nogi, ale Hark machnął ręką, żeby usiadł. Czasami Hark bywał cholernym sztywniakiem, ale tylko wtedy, kiedy było to konieczne, a teraz najwyraźniej nie było takiej potrzeby. Szybkim ruchem dłoni w rękawiczce odkurzył ławkę i usiadł koło Caffrana, zarzucając tylne połę płaszcza na uda, żeby móc skrzyżować nogi.

- Ogólny burdel - stwierdził, ruchem głowy wskazując leżące za ich plecami lądowisko.

- No nie wiem. Około dwudziestu ciężarówek zapakowanych naszymi ludźmi próbuje wyjechać z parku. Nic dziwnego, że tutejsza wojna ciągnie się już od czterdziestu lat. Nie potrafią nawet zorganizować transportu.

Caffran uśmiechnął się.

- Przynajmniej - powiedział Hark jest szansa na zaczerpnięcie świeżego powietrza. Miałaś dobry pomysł.

- Myślałem, że dostanę naganę - odparł Caffran.

Hark spojrzał na niego i unióśł brwi w wyrazie twarzy typu „nigdy nie wiadomo”. Viktor Hark był silnym, krzepkim mężczyzną, choć widać było, że lata wygodnego życia odłożyły się warstwą miękkiego ciała. Oczy miał lekko cofnięte, a gładko wygolone policzki nieco obwisłe. Zdjął czapkę komisarza i bawił się podszewką. Grube, czarne i krótko przycięte włosy rosły na czaszce wyglądającej jak zaokrąglony czubek pocisku wyrastającego z szerokiego karku.

- Biją się od czterdziestu lat, sir? - spytał Caffran.

- O tak - odparł Hark, przypatrując się widocznym pomiędzy drzewami transportowcom siadającym i wznoszącym się z lądowiska. - Czterdzieści fethowych lat. Jak ci się to podoba?

- Obawiam się, że za dużo o tym wszystkim nie wiem, sir. Wiem, że ta planeta nazywa się Główna Aexe i że to miasto to Brunsgatte. Oprócz tego...

- Dostaniecie informacje, Caffran, nic się nie bój. Jesteś gościem narodu, który nazywa się Aexegary, najważniejszym pomiędzy siedmioma krajami walczącymi z republiką Shadik. Nasza brygada ma wspomóc ich siły i pokazać Shadikom, jak naprawę wygląda wojna.

Caffran skinął głową. Niewiele go to obchodziło, ale niezbyt często miał okazję na rozmowę z Harkiem.

- Czyli walczymy z innym krajem, czy tak sir?

- Nie, walczymy z tym samym arcywrogiem co zawsze. Chaos zapuścił swoje obrzydliwe korzenie w Shadik jakiś czas temu, chcąc wykorzystać ich jako przyczółek do zdobycia całej planety.

- Rozumiem, że to bardzo imponujące, że nie dali się im od tak dawna - zauważył Caffran.

Hark wzruszył ramionami. Milczeli przez chwilę, aż w końcu Hark powiedział:

- Jak sądzisz, jak twoja dziewczyna sobie poradzi?

- Criid? Myślę, że będzie w porządku.

- Nieco pokerowe zagranie, dać kobiecie dowództwo oddziału, ale Gaunt zgadza się, że warto spróbować. Poza tym, potrzebujemy kogoś z Verghast, żeby przejął oddział Kolei. Myślisz, że poradzi sobie z takim zadaniem?

- Z łatwością. Ja bym się raczej martwił o wszystkich innych. Żeby nadażali za nią. Hark prychnął i założył czapkę na głowę.

- Mam dokładnie takie samo zdanie. Mimo wszystko będzie to bardzo interesujące. Trzech nowych sierżantów do przetestowania w warunkach polowych.

Criid nie była jedynym żołnierzem awansowanym na miejsce zmarłego poprzednika po akcji na Phantine.

Szeregowiec z Verghast o imieniu Arcuda dostał dowództwo nad plutonem Indrimmo, a Raglon został postawiony na czele oddziału Adarego. Powodzenia dla całej trójki - pomyślał Caffran.

Indrimmo zmarł na Cirenholmie, a Adare został zabity w czasie rajdu na Ouranberg. Kolea, jeden z najbardziej lubianych żołnierzy z Verghast nie był martwy, ale rana głowy odniesiona w ostatniej fazie walk o Ouranberg odebrała mu pamięć i osobowość. Wciąż mógł funkcjonować, fizycznie, ale Gol Kolea nie mieszkał już w ciele Gola Kolei. Był teraz szeregowcem, pod dowództwem Criid, w swoim starym oddziale. Tragiczna sprawa.

- Widzę, że dawni bohaterowie i zasłużeni dla Aexegary znów wyruszyli na wojnę - powiedział Hark.

- Sir?

Komisarz wskazał białe, kamienne bloki pomiędzy drzewami.

- Te postumenty. Pomniki zostały zdjęte. Nawet tabliczki. Wykorzystane. Przetopione na potrzeby wojny. Ci, którzy tu stali prawdopodobnie lecą teraz w stronę linii Shadik jako pociski. Aexcgary jest na wykończeniu, Caffran. Zużyli już wszystkie zasoby. Przybyliśmy w samą porę.

- Sir.

- Mam nadzieję dodał Hark. Może jest już za późno, może już nie żyją, podrygują tylko. Pewnie niedługo się dowiemy.

Mówił nonszalancko, ale te słowa rozstroiły Caffrana. Nikt nie chce brać udziału w walce, która z góry jest przegrana.

Na lądowisku rozległy się gwizdki. Spojrzeli za siebie i zobaczyli, że coś się ruszyło. Porządkowi poganiali Duchy w stronę ciężarówek.

- No to w drogę - powiedział Hark, wstając. Opuścił poły płaszcza, a Caffran zarzucił

plecak.

- Zrób coś dla mnie - powiedział Hark. - Przejdź się tą ścieżką i sprawdź, czy ktoś tam nie został. Zatrzymam twoją ciężarówkę, aż wrócisz.

- Tak jest, sir!

Hark poszedł trawą z powrotem na lądowisko, a Caffran ruszył w przeciwną stronę, ścieżką pod drzewami, wzdłuż żywopłotu. Znalazł Derina i Costina leżących pod pustym postumentem i palących *lho*.

- Zbierać się - rzucił Caffran. - Odjeżdżamy w końcu.

Obaj żołnierze zakleli.

- A Hark jest w swoim żywiole.

Derin i Costin dopalili i zebrali ekwipunek.

- A ty idziesz, Caff?

- Za sekundę - odparł i poszedł dalej ścieżką, zostawiając ich samych, żeby wrócili na miejsce zbiórki.

Wyglądało na to, że nikogo więcej nie było. Caffran właśnie miał zawrócić, kiedy zauważył samotną postać na skraju sąsiedniego pagórka, kryjącą się pod niskimi drzewami.

Podbiegł bliżej i rozpoznał Larkina.

Regimentowy mistrz snajperów pogrążony był we własnych myślach, nie usłyszał nadchodzącego Caffrana.

Wyglądało, jakby wsłuchiwał się w szum wiatru w gałęziach drzew. Ekwipunek i długi karabin snajperski leżały na trawie w pobliżu.

Caffran zwolnił. Larkin nigdy nie był najbardziej stabilnym z Tanithiańczyków, ale po śmierci Bragga zrobił się wyjątkowo odległy i zamknięty w sobie.

„Szansa” Bragg był lubiany przez wszystkich. Przewisko to nadano mu ze względu na wyjątkowy brak celności. Trudno było go nie lubić. Dobroduszny i życzliwy, prawie delikatny, korzystał ze swojej słynnej siły i wielkości, sprawując funkcję specjalisty od broni ciężkiej. Bragg padł od ognia nieprzyjaciela na Ouranbergu i wszystkim go brakowało. Był czymś w rodzaju stałego elementu w regimencie, nie do ruszenia jak skalne podłoże. Jego śmierć odczuli jako stratę czegoś szczególnego. Być może wiary w siebie. Nawet największe zabijaki wśród Duchów przestały wierzyć, że będą żyć wiecznie.

Bragg był najbliższym przyjacielem Larkina. Stanowili nierozłączną parę, żyłasty snajper i wielki działonowy, jak Clarco i Clop, kłowni w Imperialnych sztukach.

Larkin przeżył śmierć wielkoluda najmocniej ze wszystkich - pomyślał Caffran - Prawdopodobnie dlatego, że Larkina wtedy z nim nie było.

Snajper wchodził w skład grupy specjalnej, wysłanej przed głównymi siłami i kiedy wrócił do Duchów, Bragg już nie żył.

- Larks? - zaczął Caffran.

Nóż pojawił się w mgnieniu oka. Tanithiański nóż bojowy Larkina, ze srebrnym ostrzem długości trzydziestu centymetrów.

Pojawił się tak szybko, jak w którymś z trików Varla, jakie pokazywał w koszarach. Caffran zobaczył nóż i strach w oczach Larkina.

Feth! powiedział cofając się z uniesionymi dłońmi.

- Spokojnie.

Wydawało się, że Larkin potrzebował chwili żeby rozpoznać Caffrana. Zamrugał oczami, przełknął ślinę, potrząsnął głową i schował nóż. Jego ręka, jak zauważył Caffran, trzęsła się.

- Przepraszam, Caff powiedział Larkin. - Przestraszyłeś mnie.

- Tak było - zgodził się Caffran, unosząc brwi. - W porządku?

Larkin odwrócił się w bok i znów patrzył w dal.

- Larks?

- O czym?

- O niczym. Jesteś sam?

Caffran rozejrzał się dookoła.

- Tak, Hark wysłał mnie, żeby wszystkich zebrać. Zabieramy się stąd.

Larkin pokiwał głową. Wyglądał już na bardziej opanowanego.

Cieżko czasem było to odróżnić u pana „Szalonego” Hlaine Larkina. Podniósł plecak i oparł snajperski karabin na ramionach.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Poddenerwowany. Zawsze przed akcją robię się poddenerwowany. Miałem jakieś złe przeczucie dotyczące...

- Niech cię Imperator chroni - powiedział Caffran.

Larkin zamruczał coś, czego Caffran nie usłyszał i wyciągnął srebrnego orzelka noszonego na łańcuszku na szyi, żeby móc go pocałować.

- Czasami - powiedział myśląc sobie, że Imperator nawet nie patrzy.

Przy bramach parku wyjaśnił się w końcu powód opóźnienia konwoju. Aexegarczycy wylegli tłumnie, żeby przywitać wyzwolicieli. Tłoczyli się naokoło bram, zapelnili pobliskie ulice i pomimo wysiłków lokalnych sił porządkowych, zablokowali przejazd wiwatującą masą. Z ciężarówki tłum wyglądał jak falujące morze niebieskich i złotych flag, przemieszanych gdzieś tam proporcami z Imperialnym herbem. Przynajmniej trzy orkiestry dęte konkurowały ze sobą. Kobiety unosiły dzieci do burt przejeżdżających pojazdów, wołając, żeby gwardziści dotknęli ich na szczęście. Przybyli lokalni hierarchowie w reprezentacyjnych szatach, żeby pobłogosławić przybyszów. Burmistrz okręgu zjawił się z delegacją radnych. Niebiesko-złote flagi owijały się wokół betonowych słupów i trzepotały na wietrze. Świta burmistrza osaczyła pierwszego żołnierza Pierwszego z Tanith, jaki wyłonił się z bramy i pociągnęła go, żeby przedstawić dostojnikowi, który wręczył mu klucze do miasta, zawiesił girlandy kwiatów na szyi i potrząsał jego dłonią, zakładając, że to on jest tu dowódcą. Nie był. Sierżant Varl z dziewiątego plutonu akurat pierwszy załadował swoich ludzi na ciężarówkę. Varlowi bardzo się podobało zainteresowanie aż do momentu, kiedy został poproszony o przemówienie do tłumu.

Prawie trzy godziny zajęło przetransportowanie Tanithiańczyków z lądowiska na kolej. Olbrzymi konwój w końcu przedarł się przez tłumy i ruszył przez przemysłowe przedmieścia Brunsgatte, gdzie długie proste ulice identycznych ceglano-czerwonych bloków mieszkalnych mieszały się z budynkami gildii, klubami robotniczymi i obskurnymi fabrykami.

Podczas przejazdu zaczęło padać. Z początku mżyło, potem coraz mocniej i mocniej,

aż w końcu ulewa skryła oddalające się wieże miasta i górujący nad nim wielki pałac. W ulewnym deszczu widok rampy kolejowych rozmywał się w chmurach pary. Pociągi wojskowe, przerobione z wagonów bydłęcych stały jeden obok drugiego. Bordowe lokomotywy buchały mokrym gorącym i wypuszczały z sykiem brudne opary. Ciągniki z grubymi cysternami napełniały wodą zbiorniki, a taśmociągi dostarczały błyszczący koks wprost do tendrów.

Powietrze pachniało węglową sadzą. Rozbrzmiewały gwizdki. Tanithiańczycy wysiedli z ciężarówek i kulili się przed deszczem pod tymczasowymi osłonami. Miejscowa milicja rozdawała numerki do poszczególnych wagonów.

Ciężki ekwipunek i pojazdy zostały załadowane na pociągi ciężarowe z szerokimi platformami. Spod tymczasowych daszków Tanithiańczycy machali i wymieniali zaczepki z Krassianami zbierającymi się po drugiej stronie torów. Oba regimenty walczyły na Ouranbergu. Dawne przyjaźnie i rywalizacja zostały odnowione.

Porzucając samochód sztabowy, którym przyjechał z lądowiska, komisarz-pułkownik Ibram Gaunt wkroczył w buchającą parę i zamieszanie. Przydzielony mu oficer łącznikowy, major Nyls Fep Buzzel, z trudem za nim nadązał. Buzzel był niskim, pulchnym mężczyzną, który trzymał prawą rękę sztywno w kieszeni zielonego płaszcza i Gaunt założył, że był wojennym inwalidą. Na ile Gaunt rozumiał sytuację Głównej Aexe wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni, jeśli nie mieli chronionego zawodu, przebywali na froncie. Właściwie na frontach - poprawił się. To była globalna wojna, z teatrami na północy i zachodzie Aexegary, wzdłuż niezależnych państw na południowych oceanach oraz na wschodzie.

Buzzel był całkiem sympatyczny. Nosił czapkę oficerską ozdobioną piórami, które mokły teraz na deszczu. Wspomnił coś na temat służenia w oddziale *Bande Sezari*, wypowiedział tę nazwę z dumą sugerującą, że było to coś wyjątkowego. Ale Gaunt nigdy o nich nie słyszał.

- Kiedy zobaczę płytki danych? Informacje taktyczne? Mapy z rozlokowaniem jednostek? - spytał Gaunt, idąc dalej.

- Będzie na to czas, sir! - odparł Buzzel, mijając wózek z amunicją.

Gaunt zatrzymał się i spojrzał na Aexegarczyka. - Przesuwam swoje jednostki na linię frontu, majorze. Chciałbym mieć jakieś pojęcie o tamtejszym rejonie, zanim tam dotrą.

- Robimy przerwę w Rhonforq, siedzibie głównego sztabu Przymierza, sir. Akta z informacjami zostały tam właśnie wysłane.

- Czy to są wagony bydłce? - spytał Gaunt, waląc pięścią w ścianę najbliższego z nich.

- Tak, ale... - zaczął Buzzel zanim zorientował się, że Gaunt już idzie dalej.

- Sierzancie Bray! Umocujcie te namioty! - zawołał komisarz.

- Tak jest, sir!

- Obel? Ewler? W którym pociągu mieliście być? Na Fetha, spójrzcie na swoje numerki!

- Tak jest, sir!

- Varl? Niezła przemowa. Brakuje paru z twojej bandy. Widziałem ich za chatami gangerów, palili i grali w kości.

- Już lecę, sir!

Buzzel obserwował komisarza-pułkownika z ciekawością. Podobno to jakiś bohater wojenny, tak o nim mówili. Wysoki, okazały w swoim czarnym, skórzanym płaszczu i czapce komisarza, z wymizerowaną twarzą. Wąską, z klasycznymi rysami, szlachetną. Buzzel pomyślał ze smutkiem, że nie wie, jak powinien wyglądać bohater wojenny. Szesnaście lat służby na froncie i żadnego nie widział.

Podobało mu się zachowanie Gaunta. Władcze, dziarskie, zdyscyplinowane, w dodatku zdawał się znać każdego żołnierza po imieniu.

- Daur!

Przystojny, młody kapitan Tanithiańczyk pośpiesznie przechodzący w pobliżu, zatrzymał się i zasalutował Gauntowi.

- Nadażacie za tym wszystkim?

Kapitan Daur skinął głową i wyciągnął płytkę danych. - Pożyczyłem to od jednego z porządkowych - powiedział. - Dużo to lepsze niż te wszystkie gwizdki i pokrzykiwania.

- Pokaż - powiedział Gaunt i przejrzał zawartość płytki.

- Dajecie sobie radę? - spytał, czytając.

- Tak jest, sir. Próbuję znaleźć pluton Grella. Powinni już być w pociągu C, ale gdzie się zagubili w tym zamieszaniu.

Gaunt odwrócił się i wskazał za siebie. Widziałem ich tam, za semaforami, pomagali rozładować amunicję z popsutego ciągnika.

- Dziękuję, sir - odparł Daur, wziął płytkę i pospieszył we wskazanym kierunku.

- W pociągu A czeka na pana wagon - powiedział Buzzel, ale Gaunt go nie słuchał.

- Chirurgu Cruth, w czym problem?

Przed Gauntem pojawiła się kobieta. Była młoda i miała na sobie pożyczoną pelerynę przeciwdeszczową narzuconą na czerwony strój medyka. Marsowa mina nadała jej twarzy o kształcie serca twarde rysy.

- Wszystkie zapasy medyczne regimentu gdzieś sobie poszły, Gaunt - powiedziała.

Buzzel zdziwił się na użycie nazwiska komisarza-pułkownika bez specjalnego poważania dla rangi.

- Rozejrzałaś się tutaj?

- Wszyscy szukaliśmy. Dorden odchodzi od zmysłów.

Buzzel zrobił krok do przodu. - Jeśli mogę, sir. Zapasy medyczne zostały załadowane do pociągu E, razem z prowiantem. Są już w drodze.

- Oto twoja odpowiedź, Ano - powiedział Gaunt. Aexegariańska operatywność wyprzedziła cię o krok.

Kobieta uśmiechnęła się i zniknęła w tłumie spieszących postaci.

Gaunt ruszył przed siebie, zeskoczył z betonowej rampy, żeby móc iść wzdłuż pociągu, po zwirowym torowisku.

Tanithiańczycy cisnęli się do wąskich okienek w wagonach i zwisali z otwartych drzwi, klaszcząc, i skandując jego imię.

- Gaunt! Gaunt! Gaunt!

Gaunt ukłonił się z przekorą, uchylił czapki w kierunku żołnierzy i wyprostował się, klaszcząc w ich stronę. Podniosły się wiwaty.

- Soric! Mkoll! Haller! Domor! Dziękuję waszym ludziom za gorące przyjęcie.

Jesteście gotowi do drogi?

Chóralne „tak”.

- Jesteśmy gotowi, sir! - zawołał krępy, starszy sierżant z jednym okiem.

- Świetnie, Soric. Powiedz swoim chłopakom, żeby się wygodnie rozlokowali. Mamy przed sobą sześć godzin jazdy.

- Tak jest, sir!

- Do Rhonforq jest tylko cztery godziny, sir - wyszeptał Buzzel.

- Wiem, ale jeśli przygotują się na sześć, to cztery szybko im upłyną. To się nazywa psychologia. - Gaunt wyszeptał w odpowiedzi.

Odwrócił się znowu w stronę pociągu. Sierżant Domor!

- Sir! - zgłosił się żołnierz z dużymi implantami ocznymi.

Gdzie jest Milo?

- Tutaj, sir!

W zatłoczonych drzwiach wagonu pojawił się chłopak, najmłodszy z Tanithiańczyków, jakiego spotkał Buzzel.

- Milo, zagraj nam coś na odjezdnym - powiedział Gaunt.

Chłopak skinął głową i po kilku chwilach jęklive dźwięki poniosły się ponad tym całym zamieszaniem. Buzzel rozpoznał melodię - dawny hymn Imperialny „O zobacz tryumf Terry”.

Trzy linie torów dalej, Colm Corbec, pułkownik i drugi w hierarchii oficer regimentu z Tanith usłyszał dźwięk piszczałek, gdy zasuwał drzwi kolejnego wagonu.

Corbec był chłopem jak dąb, z gęstą brodą i mocno owłosionymi ramionami, miał temperament wojownika połączony z wesołością i poczuciem humoru, co zapewniało mu miłość żołnierzy.

- Ach, piszczałki - westchnął. - Ich dźwięk wychwala Terrę pod niebiosa w gorzko słodkim lamencie.

- Czasami gadasz fethowo dużo bzdur, szefie - powiedziała Muril, snajperka w oddziale Corbeca i pozostali żołnierze zarechotali. Muril była Verghastanką, jedną z zastępów mężczyzn i kobiet zrekrutowanych z kopca Vervun do zasilenia regulaminowej liczebności regimentu.

Podzielona lojalność i różnice kulturowe obu stron - Tanithiańczyków i Vergahstańczyków - zabrały dużo czasu, zanim się zatarły, ale teraz razem tworzyli jedną spójną jednostkę i Corbec odczuwał z tego powodu ulgę. Walczyli skutecznie ramię w ramię, integrowali się, uzupełniali wzajemnie, ale w rozumieniu Corbeca prawdziwy przełom nastąpił, kiedy zaczęli używać przekleństw drugiej strony. Kiedy usłyszał „Feth! ” z ust żołnierza z Verghast i Tanithiańczyka mówiącego „gothlera! ” wiedział, że wszystko jest już dobrze.

Muril była jednym z jego ulubionych żołnierzy. Podobnie jak wiele ochotniczek z Verghast wykazywała wyjątkowe umiejętności strzeleckie i taką wybrała specjalizację. Jej zapakowany długi karabin laserowy leżał tuż przy niej, na pokrytej słomą podłodze wagonu, a sznur snajpera z szarego jedwabiu z dumą prezentował się pomiędzy trzecim guzikiem bluzy mundurowej i kieszenią na lewej piersi. Muril była wysoka i smukła z długimi, ciemnymi włosami, spiętymi w kok

i pociągłą twarzą ze spiczastym nosem, ciemnymi, inteligentnymi oczami i radosnym uśmiechem. Corbec pamiętał, jak została ranna w walkach o Cirenholm. Po prawdzie sam prawie zginął, odciągając ją w bezpieczne miejsce. Mimo, że chirurg musiał odbudować jej miednicę, to wyzdrowiała fethowo szybciej niż on.

Wciąż jeszcze nie doszedł do siebie, czuł się słaby, ale nie dawał niczego po sobie poznać. Wielu ludzi komentowało, jak dużo stracił na wadze.

Jestem stary - powiedział sobie Corbec.

Wyzdrowienie zabiera więcej czasu ludziom w moim wieku. Stary na tak wiele sposobów - rozmyślał.

Sehra Muril była tak samo miłą dziewczyną jak te, do których zalecał się w czasach, gdy uprawiał owies w okręgu Pryze, ale zdawał sobie sprawę, że teraz była daleko poza jego zasięgiem. Wiedział, że paru młodszych żołnierzy konkurowało o jej względy. Muril owszem, zwracała uwagę na Corbeca, ale obawiał się, że zna ten wzrok. Spojrzenie jakim dziewczyna obdarza ojca.

Mkoll, dowódca zwiadowców w regimencie, powiedział Corbecowi, że Muril zgłosiła się na kurs zwiadowców. Jeśli jej się uda, awansuje i odejdzie, ale Corbec nie miał o to pretensji.

Zwiadowcy byli znakiem rozpoznawczym Pierwszego z Tanith i jak dotąd nikt z Verghast nie dostał tego zaszczytu. Mkoll robił co się dało, żeby kogoś z nich wyszkolić i jeśli zdarzy się, że będzie to Sehra Muril, to Corbec uznał, że będzie z niej dumny.

Pociąg szarpnął i zaczął się toczyć. Corbec podparł się dłonią o ścianę wagonu.

Wyciągnął z kieszeni bluzy talię kart do tarota z pozaginanymi rogami i wykrzywił się w uśmiechu.

- No dobra chłopaki i dziewczyny, kto chce zagrać w Rozbieranę Solona?

Pociąg E ruszył, turkocząc na licznych zwrotnicach, i zaczął nabierać prędkości. Major Elim Rawne, trzeci oficer regimentu po Gauncie i Corbecu, usiadł w pierwszym wagonie z żołnierzami i przyjął pałeczkę *lho* od swojego adiutanta, Feygora.

- Co pan o tym sądzi, majorze? - spytał Feygor.

Feygor był okrutnym poganiaczem, wysokim i chudym, który od samego początku trzymał się majora Rawne. Niektórzy twierdzili, że łączyła ich jakaś podejrzana przeszłość z czasów Tanith. Byli bardzo podobni. Rawne był przystojny, tak jak przystojni mogą być broń i węże. Smukły, ale dobrze zbudowany, miał profil i oczy, na widok których, jak to ujął Corbec, majtki same spadały zakonnicom Sororitas. Kiedy ta uwaga dotarła do majora Rawne, jego jedyną odpowiedzią było: „Och, to one noszą majtki?”

Rawne nienawidził Gaunta. Po prostu. Nienawidził go za wiele rzeczy, ale przede wszystkim nienawidził go za to, że pozwolił jego ojczystej Tanith umrzeć. Była to jednak stara nienawiść, która osłabła przez zaniedbanie. Obecnie tolerował Gaunta. Mimo to większość żołnierzy sądziła, że Rawne to najgorsze co Pierwszy z Tanith miał do zaoferowania.

Mylili się.

Murtan Feygor otrzymał postrzał w gardło, w czasie walk o kopiec Vervun i teraz

każde wypowiedziane przez niego słowo brzmiało płasko i monotonicznie, wychodząc z syntezy mowy wszytego w gardło. Od tej pory brzmiał wyjątkowo sarkastycznie, choć parę Duchów, szczególnie Varl i Corbec, byli zdania, że to żaden uszczerbek, bo zawsze tak brzmiał. Zajadły jak schwytyany szczur, był obłudny i podstępny, i nie ufał nikomu oprócz Rawnego. Ten wydmuchnął długą smugę niebieskiego dymu myśląc o pytaniu Feygora.

- Wojna pozycyjna, jasne, Murt? Ciągająca się od dawna. Czeka nas okopy, zobaczysz. Fethowe, polowe fortyfikacje. Będziemy pracować dziewięć siedemdziesiątkami jak proste koty albo szukać schronu w czyjejś latrynie.

- Wszystko jasne - stwierdził Feygor z obrzydzeniem.

- Fethowe okopy. Fethowe dziewięć siedemdziesiątki.

Dziewięć siedemdziesiąt oznaczało standardowe narzędzie saperskie Gwardii Imperialnej: ciężką uniwersalną łopatkę, którą można było złożyć, odłączając trzonek od ostrza. Jej oficjalna nazwa to „Imperialne Narzędzie, (do ogólnego zastosowania przy fortyfikacjach polowych) Wzór 970. Każdy z Duchów miał taką w zapiętym skórzanym futerale, przyczepioną z tyłu plecaka.

- Okopy - wymamrotał ponuro Rawne. - Będzie znowu tak jak na Podwójnej Fortis.

- Podwójna fethowa Fortis - powtórzył Feygor.

- Gdzie to było? - Banda wyszeptała do Caffrana. Siedzieli trochę dalej, plecami do drzwi, wystarczająco jednak blisko, żeby usłyszeć uwagi dowódcy plutonu.

- Zanim do nas przyszłaś - powiedział Caffran. Jessi Banda była z Verghast, również snajper pierwszej klasy, podobnie jak Muril. Podwójna Fortis było piekłem, jakie Duchy przeszły kilka lat wcześniej, zanim walki o kopiec Vervun przyniosły nowych rekrutów.

- To był przemysłowy świat - wyjaśnił Caffran. - Tkwiliśmy w okopach przez długi czas. Było nieprzyjemnie.

- Jak to było? - spytała Banda.

- Przeżyliśmy - warknął przysłuchujący się Rawne.

Była to bezpośrednia przygana, ale Banda uniosła tylko brwi i wykrzywiła się w uśmiechu, puszczając ją mimo uszu.

Major Rawne nigdy nie był w stanie ukryć swojej pogardy dla kobiet w szeregach żołnierzy. Uważał, że nie ma dla nich miejsca w Pierwszym z Tanith. Banda często zastanawiała się, dlaczego tak było. Będzie musiała go kiedyś o to zapytać.

- Jakies rady? - zapytała.

Bezpośredniość jej pytania zamurowała na chwilę majora, ale tak właśnie było z fethowymi kobietami. Starał się wymyślić jakąś ciętą ripostę, ale udało mu się tylko zdobyć na:

-Nie wychylaj się.

W porządku skinęła głową i oparła się wygodnie.

- Słyszysz pan to? - zapytał nagle Feygor.

- Co? - zdziwił się Rawne.

- Podniesione głosy. W sąsiednim wagonie.

Rawne rozpromienił się.

- Załatw to, dobra?

- Więcej nie powtórzę - powiedziała Tona Criid.

- To nie powtarzaj - odparł Lijah Cuu, nawet na nią nie patrząc. Wszyscy członkowie plutonu Criid, stłoczeni w wagonie, umilkli i z uwagą obserwowali konfrontację.

- Zrobisz przegląd ekwipunku i wyczyścisz broń, żołnierzu.

Głos Tony był stanowczy.

- Szkoda na to czasu - odparł Cuu.

- Masz coś lepszego do roboty? - spytała.

Cuu po raz pierwszy uniósł wzrok i spojrzał na nią zimnymi, zielonymi oczami.

- Mnóstwo powiedział.

Nikt nie ośmielał się zadzierać z Toną Criid przed jej promocją. Chuda i silna, z krótkimi, tlenionymi włosami, była członkinią gangu w slumsach kopca Vervun. W środowisku, które wyostrzyło jej zmysły i nauczyło walki. Mimo że była jeszcze młoda, to potrafiła się o siebie zatroszczyć i była uważana za jedną z twardszych żołnerek. Inaczej niż Banda czy Muril nie miała żadnej specjalizacji. Była zwykłym żołnierzem z doświadczeniem frontowym. Promocja do stopnia sierżanta i co się z tym wiązało, dowodzenie oddziałem, nigdy nie było łatwą sprawą. Gaunt zrobił to za radą Harka. Oficer polityczny wierzył, że ta decyzja wyśle właściwy sygnał do wszystkich żołnierzy w regimencie. Verghastanin potraktowany poważnie. Kobieta potraktowana poważnie.

Dziesiąty pluton zdecydowanie potrzebował teraz oficera z Verghast, odkąd Kolea był kontuzjowany. Budził niemal odruchowo szacunek dzięki swojemu doświadczeniu jako dowódca kompanii partyzantów w czasie wojny o kopiec.

Jednak jego oddział był bardzo zgrany i wszyscy wiedzieli, że nie przyjmą łatwo zastępstwa, bez względu na to, kto by przyszedł na jego miejsce.

W dziesiątym plutonie było kilku twardych zawodników, ale najgorszy był Lijah Cuu. Cuu był bez dwóch zdań sukinsynem. Kompetentny żołnierz ze zdolnościami, które mogłyby mu prawdopodobnie zapewnić pozycję snajpera albo zwiadowcy. Miał jednak w sobie podłość tak głęboką i widoczną jak blizna przecinająca mu twarz od góry do dołu. Na Cirenholmie był oskarżony o gwałt i morderstwo miejscowej kobiety, i prawie już stanął przed plutonem egzekucyjnym, zanim Gaunt zdołał go wybronić. Możliwe, że był niewinny w tej sprawie. Zdecydowanie winny w bardzo wielu innych. Faktycznie lubił zabijać.

Czasami zdarzają się tacy żołnierze w Gwardii.

Gaunt rozważał przeniesienie Cuu z dziesiątego plutonu, ale wiedział, że to podważyłoby autorytet Criid. Duchy odczytałyby to jako ułatwienie dla Criid. Powiedział jej, że musi sobie z nim radzić.

Criid wytrzymała spojrzenie Cuu bez mrugnięcia.

- Zobaczmy - powiedziała powoli i wyraźnie. - Jesteś żołnierzem dziesiątego plutonu. Ja jestem dowódcą oddziału. Dałam plutonowi rozkaz, żeby wykorzystali czas przejazdu na przegląd ekwipunku i czyszczenie broni i wszyscy z ochotą się za to zabrali. Czyż nie tak, Lubba?

- Tak, proszę pani - wymruczał pokryty gangsterskimi tatuażami specjalista od miotacza płomieni.

- Nessa?

Snajper plutonu, na stałe głucha od ostrzału artyleryjskiego w kopcu, odmięła

potwierdzenie.

- Jajjo? Hwlan? Macie jakiś problem z moim rozkazem?

Jajjo, mieszanej krwi Verghastanin z ciemnobrązową skórą i jeszcze ciemniejszymi oczami wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Zwiadowca dziesiątego plutonu, Tanithiańczyk Hwlan pokręcił głową.

- Nie, pani sierżant.

- Wygląda na to, że tylko ty masz problem, Cuu.

- Tak to wygląda. Pewne, pewniutkie. - Uśmiechnął się.

Był to najbardziej niepokojący uśmiech w Imperium. Najgorsi słudzy Chaosu zabiliby, żeby mieć tak okrutny uśmiech.

Tona Criid się nie uśmiechała. Czuła jak cała się trzęsie w środku. Jej największą obawą nie były śmierć, tortury czy ciężka rana. Bała się, że nie wykorzysta szansy danej jej przez Gaunta. Zrobi z nich swój pluton, albo umrze próbując. I właśnie śmierć wydawała się teraz najbardziej prawdopodobna.

- Zabieraj się do tego - powiedziała.

Cuu z pełną nonszalancją odłożył plecak i broń na podłogę, i wyjął pałeczkę *lho*, którą zapalił zapalniczką.

- Wiesz, czego nienawidzę? - powiedział wydmuchując w jej kierunku dym. - To czego nienawidzę, to fakt, że zwracasz się do mnie, jakbym był jednym z twoich gothlemych dzieciaków.

- A niech to Feth! - Vril wyszeptał do Hwłana. - Teraz to będzie rozróżba.

- Pewne, pewniutkie - odszeptał Hwlan sarkastycznie.

O ile nie zamierzało się powiedzieć czegoś miłego, nie należało wspominać dzieci Criid. Yoncy i Dalin. Nie były to jej biologiczne dzieci tylko wojenne sieroty, które uratowała z linii frontu w kopcu Vervun i którymi się od tej pory zajmowała.

Razem ze swoim partnerem Caffranem byli dla nich rodzicami, a kiedy szli na akcje, dzieci zostawały z regimentowymi cywilami. Była to dla Pierwszego z Tanith szczęśliwa historia. Criid i Cafifran, prawdziwa miłość, dzieci uratowane od śmierci... Nie dałoby się tego, na Fetha, lepiej wymyślić.

- Co powiedziałaś, żołnierzu? - spytała Criid.

- No to się zaczyna - wymamrotał Vril.

- A niech to Feth - wyszeptał Hwlan. Wyciągnął rękojeść swojej dziewięć siedemdziesiątki, żeby użyć jej jak pałki. Jeśli przyjdzie do walki, stanie po stronie Criid. Cuu był złośliwym robakiem. Zwiadowca zobaczył, że DaFelbe i Skeen też się szykują do poderwania w każdej chwili, a Nessa już wstała.

- Ale jeśli już do tego dojdzie - pomyślał Hwlan - To czy dobrze będzie się wtrącać? Czy Criid im podziękuje?

Prawdopodobnie nie. Będzie chciała samodzielnie okiełznać Cuu, dać mu nauczkę. Hwlan poczuł na ramieniu dłoń Vрила, ciągnącego go do dołu. Najwyraźniej Vril pomyślał tak samo.

Cuu zdjął z wargi kawałek ziela z *lho*.

- Mówiłem, że nie lubię jak zwracasz się do mnie jakbym był jednym z twoich dzieciaków. A bo co? Nie podoba się?

- Nie, zupełnie nie - odpowiedziała Criid swobodnie. - Zauważyłam jednak, że odkąd zaczęliśmy tę rozmowę, nie okazałeś szacunku mojemu stopniowi. Czy naprawdę nie

mógłbyś się zdobyć na „sierzancie” albo „proszę pani”?

- Chyba się, gothlera, nie dowiemy - rzucił Cuu puszczać oko do otaczających ich żołnierzy.

- Nie mów w ten sposób - odezwał się głos z tyłu wagonu.

- Co takiego? - prychnął Cuu.

- Nie mów w ten sposób. Nie rób tak. - To był Kolea. Wstał powoli i wpatrywał się w Cuu. W jego oczach była lekka wrogość, ale twarz pozostawała bez wyrazu. Rana głowy, jaką odniósł w Ouranbergu spowodowała, że był bardzo powolny i bezpośredni. Przeważnie bełkotał.

- Siadaj, głupku powiedział Cuu z uśmiechem. - Poszukaj lepiej swojego rozumu. Słyszałem, że loxatl miał go w gablotce na trofea.

Lubba, bezwzględnie lojalny w stosunku do Kolei, rzucił się na Cuu, ale Criid zablokowała go i odkopnęła na miejsce.

- Pochwalam uczucia - powiedziała - ale w moim plutonie nie ma miejsca na bójki.

- Tak jest, proszę pani - powiedział Lubba.

- Dlaczego jesteś niedobry? - Kolea spytał Cuu. Zaszurał nogami, podchodząc bliżej i skrzywił się z mentalnego wysiłku.

- W porządku Gol, usiądź - powiedziała Criid.

- Mam usiąść, sierzancie?

- No, siadaj, a ja się tym zajmę.

Kolea zawahał się.

- Na pewno, sierzancie? Ten... ten człowiek był niedobry.

Criid wiedziała, że Kolea starał się przypomnieć sobie imię Cuu, ale nie dał rady.

Wiedziała też, że mówi do niej „sierzancie”, ponieważ widzi jej pagony.

- Usiądź, żołnierzu Kolea.

- Dobra.

Criid spojrzała znów na Cuu.

- Wykonaj mój rozkaz i weź się do roboty.

- A jak nie?

Criid wyciągnęła dłoń w stronę twarzy Cuu, który zrobił unik, ale to był tylko zwód. Prawdziwy cios zadała lewą nogą, na wysokości kolana.

Cuu twardo upadł na pokrytą słomą podłogę. W mgnieniu oka Criid znalazła się na nim, jedną ręką trzymając go za włosy i odciągając głowę do tyłu z kolanem na jego plecach.

- To zrobię użytek z mojego stanowiska.

Cuu odpowiedział sprośnym przekleństwem. W odpowiedzi pchnęła mocno jego głowę, aż walnął nosem w podłogę. Słychać było trzaśnięcie, na które wszyscy się skrzywili, nie był to jednak trzask drewna.

- Ty gothlerna suko! - Cuu zakrzuszył się, kiedy szarpnęła go znowu do tyłu za włosy. Ze złamanego nosa ciekła krew.

- Chcesz jeszcze, żołnierzu?

- Gothlerna su... Auu!

Kolejne uderzenie głową w deski.

- Och, to bolało! - westchnął Vril.

- Mogę kontynuować, aż dotrzemy tam dokąd jedziemy, a potem wręczyć cię

Gauntowi - mówiła Criid, wbijając mu kolano w kręgosłup aż krzyknął z bólu - albo możesz zabrać się za przegląd ekwipunku, czyszczenie broni i zwracać się do mnie stopniem. To jak będzie Cuu. Jak, do gothlery, będzie?

- Zrobię przegląd ekwipunku, sierżancie.

- ... jest właściwą odpowiedzią. Wstawaj!

Odturlał się na bok z zakrwawioną twarzą, kiedy tylko z niego zeszła.

- Spadaj, Cuu.

Cuu podniósł się, zabrał swój plecak i karabin laserowy do najdalszego kąta wagonu. Żołnierze plutonu zaczęli powoli klaskać i Criid ukloniła się lekko.

- Czego nie należy robić? - zapytała.

- Zadzierać z tobą! - krzyknął Lubba.

- Świetnie, wracać do zajęć.

- Wszystko w porządku? - zawołał Feygor, odsuwając na bok przegrodę pomiędzy wagonami.

- Wszystko jest w największym porządku - odparła Criid.

- Co się stało Cuu? - spytał Feygor.

- Nic - odpowiedziała.

- Powinien tak krwawić?

- Tak.

Feygor wzruszył ramionami.

- Rawne mówi, żebyście się uciszyli.

- Dobra.

- No to w porządku - powiedział Feygor i wyszedł.

Criid przeszła wzdłuż kołyszącego się wagonu i usiadła przy Kolei. - To było miłe, co zrobiłeś - powiedziała.

- A co ja zrobiłem? - spytał zdziwiony.

- Nieważne - westchnęła.

Gaunt jechał pociągiem A. Miał przedział w wagonie osobowym, którego czasy świetności dawno już minęły. Mimo tego wiedział, że wytarta tapicerka przedziału była fethowo lepsza niż warunki, w jakich podróżowały jego Duchy.

Siedział w przedziale z Buzzelem, głównym oficerem medycznym Dordenem, Harkiem i regimentowym kapelanem, ayatani Zweilem. Adiutant Gaunta, kapral Beltayn, czekał w drzwiach.

Zweil klócił się o coś z Harkiem, ale Gaunt nie zwracał na nich uwagi. Patrzył przez okno, obserwował umykające w tył doliny, pola, lasy i miasteczka Mittel Aexe.

Doktor Dorden pochylił się do przodu i trącił go w kolano.

- O czym tak myślisz?

Gaunt uśmiechnął się do siwego medyka.

- Po prawdzie to o niczym. Próbuje się skupić.

- Pusty umysł jest jak nocnik, do którego naszcza Chaos - rzucił Zweil. Buzzel był wyraźnie zaszokowany.

- Żartuję tylko - powiedział stary kapłan, chichocząc pod nosem. Wyciągnął glinianą fajkę i zaczął ją nabijać zielem.

- To jest przedział dla niepalących powiedział Buzzel.

- Wiem! - warknął Zweil niecierpliwie, choć najwyraźniej nie wiedział o tym. Podniósł się z siedzenia. - Idę pobłogosławić tych biednych psubratów - ogłosił i wyszedł na korytarz.

- Pański kapelan jest niezwykłym człowiekiem - powiedział Buzzel.

- Poważnie? - odparł Hark.

Gaunt wrócił do obserwowania krajobrazów za oknem.

Lekko pofałdowana kraina z porozrzucanymi zagajnikami i jeziorami. Gdyby nie pogoda, to byłoby jak z pocztówki.

Krople deszczu rozbijały się o okna pędzącego pociągu.

- Mówił pan, że jedziemy do Rhonforq? - Dorden spytał Buzzela.

- Tak, doktorze.

- Które leży w wejściu do doliny Naeme?

Buzzel przytaknął.

- Naeme z grubsza wyznacza linię frontu w centralnym sektorze.

- Jesteście okopani? - spytał Hark.

- Bardzo solidnie - odparł Buzzel. - Od dłuższego czasu.

Hark podrapał się w ucho.

- Czyli front rzeczywiście stoi w miejscu, tak jak nam mówiono?

- Robimy postępy - stwierdził Buzzel z mocą.

- Druga strona też - wtrącił się Gaunt. - Z tego co rozumiem, teren o szerokości trzydziestu i długości tysiąca kilometrów pozostaje sporny od czterdziestu lat.

Cholerny kawał ziemi niczyjej.

Buzzel wzruszył ramionami.

- To była ciężka wojna.

- Impas - stwierdził Hark. - I my go przerwiemy. Rozumiem, że wykorzystacie specjalne umiejętności Tanithiańczyków jako zwiadowców i dywersantów?

Buzzel wyglądał na zakłopotanego. - Sądziłem, że jesteście oddziałami frontowymi.

Tam właśnie jedziecie. Na front.

Hark spojrzął na Dordena i obaj westchnęli. Gaunt skinął na Beltayna przez okno przedziału.

- Sir?

- Możesz mi otworzyć linię do lorda generała?

- Obawiam się, że nie, sir. Coś jest nie teges. Radio nie działa.

- Kiedy dojedziemy do Rhonforq, znajdź Mkolla i powiedz mu, żeby pchnął oddział zwiadowców na linię frontu. Chcę dokładnych informacji zanim ruszymy.

- Tak jest, sir!

Gaunt spojrzął na Buzzela.

- Moje Duchy będą walczyły do ostatniego, mocniej, odważniej i lepiej niż jakikolwiek żołnierz, jakiego pan w życiu widział. Nie pozwolę jednak, żeby zostali zmarnowani jako mięso armatnie w okopach. Mają duże umiejętności i dopilnuję, żeby je wykorzystali.

Buzzel uśmiechnął się przyjaźnie.

- Jestem pewny, że głównodowodzący to rozumie, sir - odparł.

Pociąg zwolnił. Gaunt zauważył, że krajobraz na zewnątrz zaczął się zmieniać.

Roślinność wyglądała szaro i chorobliwie, hektary ziemi uprawnej pokryte były

gąbczastą brązową masą zgniłych upraw. Zagajniki pełne były powalonych drzew i wyglądały jak źle zaplanowane cmentarze. Minęli co najmniej jedną brygadę drwali karczujących zbocze wzgórza.

Wielka, czarno-metalowa maszyna wyrzucała w powietrze drewnianą pulpę. Drogi były pełne brunatnych ciężarówek i ciężkich wozów ciągniętych przez woły i konie pociągowe.

Miasta i wsie wyglądały na brudne i zaniedbane, z zabitymi oknami. Niektóre miały fosy i drewniane palisady od wschodniej strony, z których wyrastały metalowe maszyny generatorów tarczy energetycznej. Oprócz masztów i samochodów, nie widać było żadnych śladów metalu w codziennym użyciu.

Przejechali przez miasteczko, w którym były dzwony i grały rogi. Zachodni wiatr przynosił nie tylko deszcz, ale również cienkie smugi żółtawego dymu. Mieszkańcy poruszali się po ulicach w płóciennych maskach gazowych.

Przemknęli przez stację miłosierdzia. Miasteczko namiotowe przygotowane do przyjmowania rannych z frontu.

Według oceny Gaunta byli wciąż ponad sto kilometrów od prawdziwego frontu.

Wojna była tak stara, tak długotrwała, że rozlała się aż tak daleko.

Wyczuwał ją. Miała swój zapach. Nie prometanu, nie wody, nie błota czy krwi, nie cuchnącej gleby, nawet nie ostry zapach rozkładu czy samej śmierci. Te wszystkie zapachy były obecne w powietrzu.

Wojna miała metaliczny posmak. Można go prawie oddzielić od innych. Mineralny zapach całkiem odrębny, nieprzypominający różnych pobocznych smrodów, jakie wytwarzała.

Zapach stali i nienawiści. Czysty, odpychający, uniwersalny.

Gaunt czuł go na Balhaut, na Voltemand, na Caliguli, Podwójnej Fortis,

Bucephalonie, Monthaxie, Verghast, Hagii, Phantine i wszystkich pozostałych. Ostry jak diament zapach wojny, czający się za słodkimi, bardziej oczywistymi perfumami dekorującymi ludzkie konflikty.

Będzie ciężko. Główna Aexe będzie ich drogo kosztować.

Czuło się to w powietrzu.

Wojna. Czekająca na nich. Stara i ciężka, przebiegła jak podstępna, nieśmiertelna bestia gotowa do skoku. Gotowa do zabijania.

ZRANIONA RZEKA

Od Bassin do Seronne, uprawne doliny same zapraszają do odwiedzin. W łagodnych porach roku można tu wiele odkryć: stare kościoły, kawiarnie i gospody, niewymagające trasy pieszych wycieczek wzdłuż spokojnych brzegów rzek.

Przewodnik turystyczny Fwebera po Mittel Aexe,
wydanie 720

Jak daleko mógł sięgnąć wzrokiem, teren był usiany dawnymi, wypełnionymi deszczówką lejami po ostrzale artyleryjskim. Ospowata powierzchnia, jak płaskowyż z kraterami na jakimś martwym księżycu. Mokra gleba miała zielono-szary kolor, a kałuże były ciemno szmaragdowe lub nawet czarne, choć niektóre pokrywała biaława, spieniona warstwa. Nic nie wznosiło się wyżej niż na wysokość ramienia dorosłego człowieka. Z błota sterczały nieliczne tyczki i słupki, czasami zdarzały się ułamane resztki drzewa, żelazne zasieki i zwoje drutu kolczastego.

Niebo było ciężkie, pełne rozlanych szarych i żółtych chmur. Na wschodzie ciemna zasłona deszczu rozmywała horyzont w brudne smugi.

Mkoll opuścił lornetkę i splunął na ziemię. Powietrze było ciężkie od pyłu, w gardle czuło się kredowy smak. Czuł jak w zębach chrzęści mu drobny piasek. Wszystko to składało się na zapach martwej krainy, ziemi, która była bombardowana tyle razy, że jej sproszkowana esencja znalazła się w powietrzu.

- No i fajnie, fethowo pięknie - wymruczał Bonin sarkastycznie.

Mkoll spojrział na niego i skinął głową. Miejsce było niepokojące. Tanithiańscy zwiadowcy mieli nieomylny zmysł kierunku, ale przez zupełny brak jakichkolwiek charakterystycznych punktów czuli się, jakby byli w nicości. Wszyscy jego żołnierze wydawali się poruszeni: zazwyczaj pogodny Bonin, Caober z plutonu Gaunta, Hwlan z dziesiątego, Baen z bandy Varla. Nawet Mkvenner, smukły i milkliwy zwiadowca z plutonu Corbeca, na co dzień modelowy przykład opanowania, wyglądał na niespokojnego.

Caober miał niewielką mapę, którą dostał od Gaunta. Trzymał ją przed sobą, z frustracją pstrykając palcem wskazującym w papier.

- Las Sitwale - stwierdził w końcu.

- Las Sitwale? - powtórzył Hwlan, podkreślając pierwsze słowo.

Caober wzruszył ramionami.

- Chwalebne skutki użycia artylerii polowej - odparł – która wszystkie rzeczy czyni równymi.

Była tutaj również ścieżka z koleinami pełnymi błota. Oddział zwiadowców ruszył za Mkollem, obierając kierunek północno-wschodni. Po jakimś kilometrze napotkali skrzyżowanie z kolejnym traktem, oznaczone tymczasowym kierunkowskazem.

Jedno ramię pokazywało „55/9 rg”. Na drugim przeczytali „916/88/ac”. To, które wskazywało kierunek z jakiego nadeszli głosiło „R’forq ASHQ i 42 rg”. Ostatnie, wskazujące na zachód miało napis: „Prawdziwe Życie”.

- Towarzystwo! - zawołał Baen. Na ścieżce za nimi pojawiły się światła i dźwięk

umęczonego silnika. Mkoll zasygnalizował, żeby zeszli ze ścieżki.

Brudna, wymazana błotem ciężarówka, przejechała z hukiem, podskakując na wybojach i skręciła na wschód. Zaraz za nią nadjechała kolumna ciągników artyleryjskich z działami 0.12 *feldkannone*. Piechota Przymierza Aexe, w brudnych zielonych płaszczach szła za działami. Na głowach mieli płócienne kaptury z krzywymi rozcięciami na oczy i usta.

Większość niosła belki lub zwinięte płachty metalowej siatki do podkładania pod ugrzeźnięte w błocie koła. Zakapturzeni żołnierze przypominali Boninowi strachy na wróble używane w sadach owocowych w ojcystym okręgu Cuhulic. Nikt nie zwrócił uwagi na oddział Tanithiańczyków.

Dwadzieścia ciągników, trzydzieści, trzydzieści pięć, następnie dwanaście wysokich wozów załadowanych pociskami, dla ochrony popakowanych w wiklinowe osłony. Wozy były ciągnięte przez konne zaprzęgi, po dziesięć zwierząt na wóz. Stworzenia były chude z dzikimi oczami i śmierdziały chorobą. Szły z parskaniem i rzeniem, każdy krok był dla nich dużym wysiłkiem.

Po powolnych wozach nadeszła piechota, brnąca z trudem pod ciężarem ekwipunku, z głowami owiniętymi brudnymi szalikami. Mkoll przypatrywał się jak oficer wyszedł z szeregu i stanąwszy pod drogowskazem, skierował swój oddział we właściwą stronę.

Po kilku minutach oficer odwrócił się i podszedł do Tanithiańczyków.

Płaszcz miał sztywny od błota, a kiedy odwinął szalik z brudnej twarzy, Mkoll zdziwił się, jak bardzo był młody.

- Zgubiliście się? - zaczął. Zauważył jednak pagony Mkolla i zsalutował bardziej formalnie.

- Nie - odpowiedział Mkoll występując do przodu. - Sierżant Mkoll, Pierwszy z Tanith.

- Jesteście z imperialnej ekspedycji?

- Zgadza się.

- Porucznik Fevrierson, 30. Batalion, piechoty z Genswick.

Miał mocny Aexegariański akcent.

- Miło was widzieć. Gdzie są wasze główne siły?

- Wchodzą na tyły - odparł Mkoll. - Dowódca wysłał nas, żebyśmy rozejrzeli się w terenie.

- Rozejrzeli?

- Ocenili rozlokowanie wysuniętych linii - wyjaśnił Mkoll.

Młody oficer skinął głową. „To pewnie przez akcent, pomyślał Mkoll. Mój jest dla niego tak samo obcy, jak jego dla mnie”.

To i fakt, że wciąż używali dawnych terminów. Przypomniawszy sobie, że ta wojna, ten świat był odizolowany przez długi czas.

- My się przesuwamy do sektora 55 - powiedział Fevrierson.

- Możecie się zabrać z nami.

Mkoll podziękował skinieniem głowy i zrobił szybki gest ręką, którego porucznik nie zauważył. Pięciu członków jego oddziału natychmiast znalazło się u jego boku.

Dołączyli do wciąż mozolącego się strumienia piechoty Przymierza.

Fevrierson prowadził w marszu lekką konwersację. Był nieco ostrożny w stosunku do

nowych przybyszów. Ich ekwipunek wyglądał na czysty i w dobrym stanie, nie licząc błota, jakim ubrudzili się tego dnia. Nie potrafił rozpoznać materiału z jakiego były zrobione ich mundury. Wyglądał na mocny i wygodny, prawdopodobnie syntetyczny. Mieli poważnie wyglądające karabiny, które zdawały się nie mieć żadnego wylotu łusek. Czyżby broń energetyczna? Fevrierson nigdy nie widział z bliska karabinu laserowego i poczuł się zawstydzony przez swój zwykły długi karabin. Przybysze mieli różne techniczne urządzenia takie jak potężne lornetki, słuchawki w uszach. Łączność dla indywidualnych żołnierzy! Naprawdę byli nie z tego świata, jak postaci z naukowych komiksów publikowanych w tanich gazetkach kupowanych przez jego brata.

- Odchodźcie na tyły?

- Aha. Kiedyś było tydzień w pierwszej linii, dwa w rezerwie, ale teraz zmiana jest co tydzień.

- Był pan ze swoimi ludźmi przez tydzień na kwaterach?

- Aha.

Mkoll ugryzł się w język zanim zdążył skomentować niechlujny wygląd miejscowych, ale Fevrierson zauważył jego wzrok.

- W Jen-Frow nie ma pryszniców. Kwatery są marne. Nie ma wody do prania.

Mkoll skinął głową.

- Nic nie miałem na myśli.

- Oczywiście - stwierdził Aexegarianin.

- Sami wkrótce będziecie tak samo brudni – wymruczał ktoś z szeregu. Żołnierze naokoło prychnęli.

Wystarczy, Herxer - warknął Fevrierson.

- W porządku - powiedział Bonin. - Potrafimy się pobrudzić. Nieraz mieliśmy brudne łachy.

- Kto jest waszym dowodzącym oficerem? - spytał Mkoll Fevriersona.

- Ja jestem oficerem dowodzącym - odparł.

Z tyłu eszelonu rozległ się gwizdek, po chwili drugi, a potem kolejne wzdłuż kolumny.

Fevrierson wyjął swój własny i zagwizdał.

- Schodzić z drogi! Z drogi!

Mkoll zastanawiał się czy to atak, chociaż nie było żadnego znaku, a zimny i mokry krajobraz pozostawał zupełnie cichy.

Usłyszeli podkowy. Kawaleria posuwała się po drodze galopem i piechota schodziła na bok, żeby ich przepuścić.

Aexegarczycy wiwatowali, machali szalikami i czapkami na widok jeźdźców.

Kawalerzyści ubrani byli w niebiesko-złote płaszcze z jasnozielonymi pasami i wysokie, białe czapki. Siedzieli wyprostowani i wyniośli, z oczami utkwionymi w dal i szabłami pobrzękującymi u pasa. Jechali na olbrzymich nietotnych ptakach o szarych piórach i wielkich zakrzywionych dziobach, poruszających się na masywnych, niebieskich, gołych kończynach.

- A niech to Feth! - rzucił Hwlan.

Jeźdźcy na przodzie mieli lance z powiewającymi proporczykami, ale reszta uzbrojona była w krótkie karabinki. Nie było widać, żeby którykolwiek z nich

trzymał jakieś lejce.

- Huzarzy. Huzarzy-karabinierzy stwierdził Fevrierson z dumą. - Piękny widok.

- Co to za ptaszyska? - spytał Caober.

- *Struhidy* - odparł Fevrierson. Zmarszczył czoło. - Nigdy nie widziałeś *struhida!*

- Jasne, że widziałem - zachnął się Cober. - Teraz to już wszystko widziałem.

- Nie mają uprząży - powiedział Mkoll. - Kontrolują je stopami?

- To jest kawaleria psioniczna - odpowiedział Fevrierson.

- Potrzebują obu rąk do obsługi karabinów, kiedy idą do szarży, dlatego każdy z nich ma marionetkę, łączącą go z wierzchowcem.

- Implant? Wspomaganie?

- Nie znam tych słów. Marionetka to małe urządzenie.

Wkładają ją im do głowy chirurgicznie. *Struhid* dostaje taką samą. Przez to tworzy się łączność umysłów i człowiek może kierować ptakiem.

Przejechało koło nich ponad sześćdziesięciu huzarów i w końcu piechota wróciła na drogę. Mkoll zauważył, że niektórzy z aexegariańskich żołnierzy podnosili z błota zgubione pióra i przyczepiali do płaszczy.

- Na szczęście - wyjaśnił Fevrierson.

Po kolejnych czterdziestu pięciu minutach Mkoll zorientował się, że ścieżka zaczyna opadać, mimo że krajobraz wokół pozostawał zupełnie płaski. Dochodzili do zaplecza okopów. Na horyzoncie już od dawna niczego nie było widać, bo wszystko, co istotne, zostało wkopane w ziemię.

System okopów wydawał się bezkresny, niektóre z okopów miały szerokość miejskiej ulicy i głębokość dziesięciu metrów.

Tam, gdzie schodziły poniżej poziomu wody ułożono pomosty, a oddziały saperów obsługiwały ręczne pompy. Sznury elektrycznych lamp ciągnęły się wzdłuż ścian dokładnie wyłożonych workami z piaskiem, a Mkoll poczuł zapach ozonu z generatorów tarcz energetycznych. Pojazdy opancerzone i ciężarówki poruszały się po okopach i kiedy jedna z nich zbliżyła się do nich, musieli stanąć w specjalnych wnękach wyciętych w ścianach, żeby ją przepuścić. Oddziały spieszyły we wszystkich kierunkach, jedne w zielonych, inne w szarych mundurach, niektóre w niebieskożółtych czy brunatnych, wszystkie miejscowe, wszystkie brudne.

Wydawało się, że wchodzi do częściowo zaszypanego miasta. Niektóre fragmenty okopów były w całości zadane zbrojonymi płytami i miały lampy zwisające z sufitów.

- A to dopiero powiedział Baen do Mkolla. - Spodziewałem się okopów, ale nie takich.

- Mieli czterdzieści lat, żeby to zbudować - odparł Mkoll.

Zbudowali to dobrze. Olbrzymie, szerokie jak ulice okopy rezerwowe, często wylane betonem, od których na zachód odchodziły mieszkalne ziemianki oraz pomocnicze i komunikacyjne okopy na wschód. Transzeje pomocnicze odchodzące od głębokich studni amunicyjnych były płytsze, ale biegły zygzakiem, żeby można było chronić wrażliwe połączenia i skuteczniej bronić poszczególne odcinki. Na wschodzie, o jakiś kilometr według oceny Mkolla, znajdowały się okopy bojowe.

Na zachodzie głębokie rowy włączone były do systemu przez okopy łącznikowe z

szynami kolei wąskotorowej.

- Wykopy na działa - wyjaśnił Fevrierson.

„Nawet główna artyleria była głęboko okopana” - pomyślał Mkoll. Szyny służyły wagonikom amunicyjnym. Kilka chwil później musieli się znów usunąć przed wielkimi, owiniętymi w wiklinę pociskami zdążającymi w stronę wykopów artyleryjskich. Fevrierson spojrział na zegarek.

- Szykują się na nocne strzelanie - powiedział.

Oddział piechoty z Genswick zatrzymał się i stanął w luźnym szyku w okopach bojowych, podczas gdy Fevrierson meldował się w baraku dowództwa sektora. Wziął ze sobą Mkolla.

Barak składał się z szeregu opancerzonych pomieszczeń, wkopanych głęboko w ziemi przy głównym ciągu okopów. W wejściu miał składane osłony na drzwi i zasłonę przeciwgazową.

W środku było ciepło, wilgotno i gwarno. Mieli tam pomieszczenie sztabowe, wnękę radiową, gdzie kilku łącznościowców mówiło jednocześnie do przestarzałych nadajników polowych. Wiązki grubych kabli biegły wzdłuż korytarza, pętliły się przy wejściach do kolejnych pomieszczeń. Przy wejściu siedzieli na ławkach spoceni gońcy z zaczerwienionymi twarzami, czekający na kolejne polecenia.

Mkoll czekał przy wzmocnionych drzwiach, kiedy Fevrierson wpisywał się do rejestru. Tanithianin widział ze swojego miejsca małe pomieszczenie sztabowe wypełnione doradcami zgromadzonymi wokół niskiego stołu z mapami.

Mieli na sobie podniszczone, ale wciąż imponujące mundury galowe, niebiesko złote, zielone, trochę żółtych, trochę szarych i parę ciemnoczerwonych.

Mkoll jeszcze się nie rozeznawał w przeróżnych insygniach i odznakach. Mężczyźni w szarych mundurach zdawali się mieć dość ciemną skórę, ale kilku w czerwonych mundurach było bardzo jasnych z rudymi lub blond włosami.

Fevrierson meldował się generałowi z ziemistą twarzą, którego szary mundur zdawał się na nim wisieć.

„Stracił na wadze, odkąd był u przymiarki” - pomyślał Mkoll.

Generał porozmawiał przez chwilę z Fevriersonem, spoglądając na mapę i podpisał formularz rozkazów. Fevrierson powiedział coś i wskazał Mkolla.

Generał skinął głową i podszedł do Tanithiańczyka. Mkoll wyprężył się w salucie, który generał odwzajemnił.

- Oczekiwaliśmy was dopiero za dwa dni – powiedział generał.

- Nie jesteśmy tu w pełnej sile, sir. Mój oficer dowodzący rozkazał mi wykonanie zwiadu i ocenę sytuacji.

Generał skinął głową i zaskoczył Mkolla, wykonując znak Auqilli na piersi i wyciągając do niego dłoń.

- Dobrze was widzieć i dziękuję Tronowi, że nadeszliście. Jestem Hargunten, dowódca 55. rejonu. Witajcie na Linii Peinforq.

- Sir. Mkoll, Pierwszy z Tanith.

- Czego potrzebujecie, sierżancie?

- Spojrzenia na linię frontu i możliwości zaraportowania do Rhonforq - odparł Mkoll.

Wyciągnął dokumenty przygotowane przez Gaunta i podpisane przez Buzzela.

Generał Hargunten przejrzał je.

- Poczekaście tutaj - powiedział. Genswiczanie idą naprzód, do stanowiska 143, więc możecie zabrać się z nimi.

Odszedł naradzić się z resztą sztabu. Mkoll zobaczył, że jeden z oficerów w czerwonym mundurze obrzuca go wzrokiem od stóp do głów. Pułkownik, sądząc z pagonów. Mkoll nie rozpoznawał insygniów ze skrzyżowanymi szablami i heraldycznym smokiem.

- Imperialny? - zagadnął po chwili, miał akcent, którego Mkoll również nie znał. Ciężki, gardłowy.

- Tak jest, sir.

- Przybyliście, żeby nas uratować.

- Przybyliśmy, żeby walczyć z arcywrogiem, sir.

Pułkownik prychnął. Miał bardzo jasną skórę, na twarzy był lekko piegowaty, a podgolone włosy miały czerwono-złoty kolor.

- Możemy wygrać tę wojnę.

- Nie wątpię.

- Bez waszej pomocy - dodał.

- Nie mnie to oceniać, sir.

Pułkownik chrząknął i odwrócił się. Fevrierson wrócił z generałem.

- Dokumenty są w porządku, sierżancie - powiedział Hargunten, zwracając je Mkollowi. - Pójdziecie z porucznikiem. Rozejrzyjcie się dookoła. Pozdrowienia dla dowódcy.

Mkoll włożył dokumenty do ładownicy i zasalutował.

- Zobaczcie front - powiedział generał. - Zobaczcie wojnę, jakiej nigdy nie znaliście.

- Poznałem wojnę, sir powiedział Mkoll i odwróciwszy się wyszedł z baraku.

- A niech mnie schleię! Nie wierzę, że to zrobiłeś! - Wykrzyknął Fevrierson, kiedy przez zasłone przeciwgazową wyszli na wilgotne wieczorne powietrze.

- Co zrobiłem?

- Tak mu odpowiedziałeś!

- Kto to był?

- Redjacq!

- Kto?

Fevrierson zamrugał oczami jakby Mkoll był niespełna rozumu.

- Redjacq... Redjacq Ankre, z Kottmarku.

- Nic mi to nie mówi.

- Wywermy z Kottstadt?

- Naprawdę, nie wiem. Kottmark to sąsiednie państwo, tak?

- Tak i jeden z głównych partnerów Przymierza. Już by było po nas, gdyby Kottmark nie przyłączył się do wojny dwadzieścia lat temu.

- Aten Redjacq jest kimś znaczącym?

- Najlepszy dowódca liniowy. Dowodzi Wywernami. Prawdziwe furie. Mamy szczęście, że są z nami w tym sektorze.

- Z pewnością masz rację.

Robiło się już ciemno. Fevrierson poderwał swoją piechotę i ruszyli przez zygzaki okopów łącznikowych w stronę pozycji frontowych. Tutaj rzeczy miały się tak jak się

Mkoll spodziewał. Żadnej elektryczności, tylko od czasu do czasu lampa lub palnik na prometan. Brudne okopy bojowe, głębokie na jakieś trzy metry, z częstymi rozporami i wypełnionymi ziemią gabionami. Podesty strzeleckie z kamienia pod frontową ścianą.

Pomimo płyt na podłożu, okopy tonęły w płynnym błocie i były pełne szczurów. Żałośnie wyglądający żołnierze w niebieskich płaszczach schodzili z posterunków i zaczęli formować powolny, zmęczony szereg, podczas gdy piechurzy z Genswick zajmowali ich miejsca przy parapetach.

Niebo się zachmurzyło. Wydawało się, że światło z niego wycieka. Gdzieś rozległ się grzmot. Okopy śmierdziały.

Mkoll zwrócił się do swoich ludzi.

- Caober, Baen, Bonin w tę stronę. Mkvenner, Hwlan w przeciwną. Dwadzieścia minut i wracacie do mnie. Zobaczcie, co się da zobaczyć.

Zwiadowcy ruszyli, ale Mkoll złapał Mkvennera za rękaw i przytrzymał na chwilę.

Nieoficjalnie Mkvenner był numerem drugim wśród zwiadowców. Absolutnie oddany i absolutnie bezlitosny na sposób, o którym Mkoll, przy całej swojej reputacji, nie mógł nawet marzyć. Niektórzy z Tanithiańczyków twierdzili, że Mkvenner został wyszkolony w dawnej sztuce walki *cwlwhl*, legendarnych wojowników Nalsheen, którzy utrzymywali porządek w trudnych czasach feudalnej przeszłości Tanith. Mkoll zawsze tłumił w zarodku takie plotki, głównie dlatego, że były prawdziwe, a wiedział, jak bardzo Mkvenner chroni swoją przeszłość.

- Uważaj na Hwlana - powiedział mu Mkoll. - Dziesiąty pluton jest teraz trochę niespokojny, odkąd Criid objęła dowództwo. Dopilnuj, żeby się nie rozlaź.

Mkvenner skinął głową i odszedł. Mkoll obserwował wysoką, szczupłą sylwetkę zwiadowcy odchodzącego ruchliwym okopem.

Mkoll dołączył do Fevriersona w ziemiance dowódczej. Był to zwykły wykop w przedniej ścianie okopu. Mieli tu lornetkę nożycową na trójnogu i Mkoll skorzystał z okazji, żeby się rozejrzeć.

Było to pierwsze jego spojrzenie na pole bitwy. W zapadającym mroku był to przykry widok, był jednak pewny, że za dnia byłoby jeszcze gorzej. Rozwalona ziemia, nierozpoznawalne wraki, wysokie zasieki i zwisający drut kolczasty.

Kilometr dalej poszarpany teren schodził nieco w dół i przechodził w zalaną trującą wodą równinę z nieruchomymi zbiornikami, porozdzielanymi błotnistymi wysepkami i ogrodzonymi ziemią wyrwaną przez pociski.

- Dużo tam wody - powiedział.

- To rzeka.

Mkoll spojrział jeszcze raz. - To nie jest rzeka...

Fevrierson uśmiechnął się do niego.

- O, tak. To piękna Naeme, dumne źródło życia dla nadgranicza.

- Ależ to są tylko bajora, jeziora i zalana równina.

Mkoll zamilkł. Uświadomił sobie, że tak wygląda rzeka ostrzeliwana od czterdziestu lat. Brzegi, okolica, nawet samo koryto zostały rozwalone i zupełnie zrujnowane.

Woda wciąż jednak płynęła. Tam gdzie kiedyś była dumna, szeroka rzeka, meandrująca poprzez łąki i senne wioski na swej długiej drodze do morza, teraz przez zniszczony krajobraz sączył się jak krew z rany niepozorny strumień. Prawdziwa

forma i struktura zaginęły na wojnie.

Usłyszeli cichy wybuch i teren przed nimi został nagle zalany zimnym białym światłem. Po kilku sekundach wybuchły kolejne flary, rozświetlając niebo. Przez lornetkę wszystko wyglądało teraz jak wybielone, ostre cienie drżały w świetle wolno opadających rac.

- Trupie światło - powiedział Fevrierson, zakładając stalowy hełm. - Przygotuj się.

- Na co?

- Czas na wojnę.

Gdzieś w oddali zagrał gwizdek. Dźwięk rogu wzniósł się i opadł, niósł się echem wzdłuż linii frontu.

Działa Linii Peinforq przebudziły się.

Dźwięk i światło rozdarły ciemność i zaćmiły drżący blask flar. Ziemia zadrżała. W głębokich wykopach za główną linią okopów, haubice dużego kalibru i moździerze wyrzuciły pociski w zapadający mrok. Dołączyły do nich *feldkannony* i wyrzutnie rakiet.

Mkoll spojrzął do tyłu na linie Przymierza. Obserwował grzmiący spektakl światła i dźwięk. Dwa kilometry na zachód od niego, po dwadzieścia kilometrów na północ i południe grały działa, tańczył ogień z luf. Potężne, jasne błyski pojawiały się wzdłuż całej linii artylerii, niektóre z nich rzucały dziwne, chwilowe cienie. Mkoll słyszał wstrząsający pisk przelatujących nad głowami ciężkich pocisków, głębsze, pneumatyczne pobrzękiwanie moździerzy, potężny huk bombard. Rakiety wlatywały w powietrze, z wizgiem zostawiały za sobą sznury ognia.

Nigdy jeszcze nie widział bombardowania na taką skalę. Nawet w kopcu Vervun.

Mkoll popatrzył przez lornetkę na wschód. Poszarpana linia detonacji i burzy ognia przesuwiała się przez zrujnowany teren po drugiej stronie zranionej rzeki. Czuł w powietrzu spaliny i żelazo, a także smród błota zamienionego w parę.

Fevrierson wyglądał na zadowolonego. Usiadł wygodnie i przyjął kubek kawy od podwładnego.

- Chcesz też?

- Nie - odparł Mkoll. Bombardowanie wstrząsało nim do szpiku kości.

- Będzie tak przez parę godzin, potem mogą dać sygnał do natarcia.

- Feth! - stwierdził Mkoll.

- Możesz więc spokojnie wypić kawę - mówił Fevrierson.

- Spędzimy tu trochę...

Nastąpił nagły ryk i gorąca fala uderzeniowa przewaliła się przez front od zachodu.

Fevrierson zerwał się na nogi. Wpatrywał się w linie Aexe. Słup gorącego do białości ognia podniósł się w kierunku pozycji artyleryjskich.

- Przecież to nie bratobójczy ogień!

Kolejny potężny wybuch i oślepiające światło tym razem powaliło ich na ziemię. Rozległy się gwizdki.

- To był ostrzał powiedział Mkoll wstając.

- Ale oni nie mają niczego o takim...

Huk po raz trzeci. Potem czwarty. Zaraz za nimi tuzin kolejnych wzdłuż linii na północnym zachodzie. Olbrzymie ognie rozświetliły noc.

- Schleiq! - Zawołał Fevrierson. - Co to jest do cholery?

- Coś nowego? - spytał Mkoll.

Goniec, który o mało co nie wpadł do ziemianki, błyszczał od potu.

- Przygotować się do odparcia! - wydyszał.

- Odparcia? - powtórzył Fevrierson.

Mkoll złapał lornetkę. Z ziemi niczyjej w dolinie Naeme, podchodziły w ich kierunku niewyraźne sylwetki.

- Przygotuj swoich ludzi - powiedział młodemu porucznikowi.

- Jesteśmy atakowani.

Mkoll rzucił się do okopu, ściągając po drodze karabin z ramienia. Żołnierze krzyczeli i biegali dookoła, wpadając na siebie. Panikowali.

- Weź ich w garść albo już po nas - Tanithiańczyk syknął do Fevriersona, który zaczął dmuchać w gwizdek. Do uszu Mkolla dochodziły odgłosy dzwonek polowych telefonów i wykrzykiwane prośby o potwierdzenie rozkazów.

Tego nie planował. Wyszli na krótki zwiad, a nie po to, żeby znaleźć się w środku natarcia. Poprawił komunikator.

- Czwórka! Tutaj czwórka! Zgłaszać się!

- Trzydziesty drugi! - odezwał się Bonin.

- Dwudziesty ósmy, czwórka! - Caober.

- Trzynasty. Idziemy z sześćdziesiątym. - Zgłosił się Mkvenner, meldując przy okazji Hwlana.

- Czterdziesty piąty, sir! - Baen.

- Czwórka, odebrałem. Zbiórka u mnie, w ziemiance. Migiem.

- Trzydziesty drugi. Widzę zbliżającego się wroga. - Zaraportował Bonin.

- Zrozumiałem. Zbiórka u mnie. Zezwalam na podjęcie akcji, jeśli zajdzie potrzeba.

Kolejne tytaniczne uderzenia zakołysały gruntem, a niebo na zachodzie zostało podświetlone ogniem na złoto. Potężne kontr bombardowanie przeciwnika złamało dyscyplinę artyleryjską Aexe. Mkoll poczuł uderzenie ultradźwięków i zapach ozonu, kiedy nad liniami dowodzenia Przymierza podniosły się tarcze energetyczne. W półmroku dostrzegał przezroczyście białe cząstki energii migające nad głównymi rezerwami. Pociski wroga wciąż spadały, rozbijając się o tarcze w olbrzymich wybuchach. W jednym miejscu tarcza zamigotała i zgasła pod uderzeniem.

Mkoll nie był specjalistą od artylerii, ale wiedział, że siła i zasięg wrogich dział musiały być co najmniej równe imperialnym super obłężniczym armatom. Linia frontu, Linia Peinforq, wyraźnie została zaaranżowana tak, aby umożliwić ciągły ostrzał artyleryjski na odległość pięciu lub sześciu kilometrów. Walące w nich pociski przeleciały raczej piętnaście do dwudziestu kilometrów. Osłupienie Fevriersona było wystarczające. Nigdy czegoś takiego nie widział. To nie był dobry znak.

Mkvenner z Hwlanem dołączyli do Mkolla, a chwilę później pojawił się Bonin.

- Już tu prawie są, poniżej trzydziestu metrów - powiedział.

- Dlaczego do Fetha, ci idioci nie są na stanowiskach? - rzucił Hwlan.

Fevrierson zdołał obsadzić kilka stanowisk strzeleckich i Mkoll usłyszał głucho stęknienie mózdzierza i grzechot karabinu maszynowego.

Prawie natychmiast, jakby w odpowiedzi, ostrzelany został szczyt tylnej ściany okopu. Płyty pękały i grudy ziemi wylatywały w powietrze. Jeden z szeregowców z Genswick na stanowisku strzeleckim padł do tyłu na dno okopu jakby dostał pałką w

twarz.

- Bagnety! - krzyknął Fevrierson. - Przygotować się do odparcia!

Zbierające się oddziały sprzymierzonej piechoty mocowały do karabinów długie, ostro zakończone ostrza.

- Muszą zrobić coś więcej niż odeprzeć - powiedział cicho Mkvenner. Parę granatów albo dobrze skoordynowany atak i wróg będzie w okopach. Muszą wyjść do nich, zanim dotrą do parapetów.

Mkoll spojrział na Fevriersona. - No więc? Póki jest jeszcze czas.

- Rozkaz był „odeprzeć”. Stać w miejscu i odeprzeć...

Fevrierson zamilkł. W blasku wybuchów było widać jego rozszerzone i dzikie oczy.

Wtedy było już za późno. Wielokrotne wybuchy rozległy się w okopie za najbliższym zakrętem. Granaty. Chwilę później przeleciały nad nimi, rzucone za mocno.

Wylądowały na szczycie tylnej ściany i zamieniły go w pył.

Piechota na stanowiskach strzeleckich zaczęła odpowiadać ogniem. Pełna, bezpłaszczowa amunicja wydawała stłumione, puste dźwięki, nakładające się na szcęk iglic. Pociski wroga gwizdały nad parapetami. Dwóch kolejnych żołnierzy padło na dno okopu, jeden okręcił się od siły uderzenia.

- Stać i odeprzeć! Stać i odeprzeć! - krzyczał Fevrierson.

Pokaźny fragment parapetu wyleciał nagle w powietrze, wrywając płyty na ściany i obalając żołnierzy na dno. Pierwsi z fali napastników wdarli się do okopu przez wyłom, który powstał po wybuchu ich granatów. Mieli na sobie płaszcze w kolorze khaki, brązowe spodnie, ubłocone owijacze i ciemnozielone hełmy na brudnych czapkach. Większość miała pokaźnych rozmiarów strzelby z bagnetami o ząbkowanych ostrzach. Pozostali trzymali w dłoniach pistolety, albo nożyce do drutu o długich rączkach. Mkoll zauważył co najmniej trzech w obszernych płaszczach grenadierów z rozlicznymi kieszeniami wypchanymi granatami.

Wlewając się przez wyłom atakujący zaczęli strzelać wzdłuż okopów, w tłoczącą się piechotę z Genswick. Inni wychylali się zza parapetu i rozpoczęli gwałtowny ostrzał samego serca obrony sekcji.

Pomiędzy Mkollem i atakującymi znajdował się gęsty tłum Sprzymierzonych, w większości próbujących uciekać albo szukać schronienia. Słyszał głuche uderzenia pocisków w tłoczące się ciała, przebijających sukno i flanelę, płótno, skórę i ciało. Trafieni żołnierze drgali w konwulsjach, ale nacisk tłumu utrzymywał ich w pozycji stojącej. Inni krzyczeli, kiedy zostali ranieni albo ze strachu przed śmiercią. Jeden z żołnierzy został wyrwany z tłumu siłą ranienia w szyję, jego ciało przekoziółkowało nad towarzyszami.

Granat, czarny i okrągły, z syczącym papierowym lontem odbił się od ramienia kolejnego żołnierza i wybuchł wyrzucając w powietrze front ziemianki dowódczej. Żołnierze z Genswick podnieśli ogólną wrzawę, próbując uciekać jak najdalej od wyłomu i krzyżowego ognia przeciwnika. Większość z nich zagubiła się kompletnie i zaklinowała jak zwierzęta w zagrodach, w rzeźni. Fevrierson i żołnierze na stanowiskach strzeleckich zdołali odpowiedzieć ogniem ponad głowami tłumu i Mkoll zobaczył co najmniej dwóch napastników padających na ziemię. Zaczął się przepychać pod prąd wśród panikującej piechoty.

- Niech to Feth! Wracać! Wracać i walczyć! No dalej! - krzyczał.

Mkvenner i Hwlan weszli na stanowiska strzeleckie i otworzyli ogień wzdłuż okopu. Nagły strumień laserowych strzałów osłupił chłopaków z Genswick.

„Jakby nigdy wcześniej nie widzieli broni laserowej” - pomyślał Hwlan.

- Padnij! Padnij! - krzyczał Mkoll na żołnierzy w okopie i razem z Boninem otworzyli ciągły ogień ponad ich głowami, dołączając do Mkvennera i Hwlana. Napastnicy cofnęli się pod nawałą pocisków energetycznych.

Pierwszych trzech czy czterech zostało od razu ściętych i padło do tyłu na kolejne szeregi, przewracając kilku następnych. Mkoll przedzierał się przez skulonych żołnierzy z Genswick i otworzył ogień na napastników wdzierających się przez przerwany parapet, zatrzymując ich nawałą ognia.

Poczuł uderzenie pocisku o pancerz na piersi i kilka innych gwizdzących koło ucha, ale strzelał dalej. Fevrierson zagwizdał.

- Dalej! Naprzód! Imperialni ich powstrzymali! - Zagrały konwencjonalne karabiny.

Bonin poderwał karabin do ramienia, wycelował płynnie i oddał pojedynczy strzał, który powalił grenadiera pośrodku grupy napastników. Granat w jego rękę wybuchł i zdetonował zawartość wszystkich kieszeni płaszcz. Połączony wybuch, ukierunkowany przez kształt okopu, posłał płomień, szrapnele i fragmenty połamanych płyt w obu kierunkach.

- Naprzód - zawołał Mkoll i runął do przodu z Boninem.

Opanowana przez najeźdźców sekcja została z nich oczyszczona przez wybuch. W powietrzu pełno było pyłu z drobnej jak mąka sproszkowanej ziemi. Osadzał się na wszystkim, znacząc ciemnymi plamami miejsca gdzie mieszał się z rozlaną krwią. Ciała napastników, spalone na czarno i poskręcane leżały na dnie okopu. Jedno zwisało głową w dół z parapetu. Mkoll, Bonin i pięciu żołnierzy z Genswick dopadło stanowisk strzeleckich rozwalonej sekcji okopu akurat na czas, żeby przechwycić kolejną falę wrogów przechodzących przez parapet. Nastąpiła wściekła wymiana ognia, która powaliła trzech napastników na ziemię i jednego żołnierza z Genswick. Potem była walka wręcz, brutalna, na ślepo.

Mkoll odbił kolbą karabinu spadający z góry cios bagnetu i zaraz trafił przeciwnika w kolano. Jeden z chłopaków z Genswick wbił atakującemu wrogowi bagnet w brzuch i uniósł go w powietrze jak chłop podnosi belę siana. Bonin, który miał czas założyć srebrny tanithiański nóż bojowy na lufę, od razu zabił jednego wroga i przeciął udo drugiemu, rozwalając mu czaszkę kolbą kiedy upadł na ziemię. Gdzieś koło Mkolla dwa razy wystrzelił pistolet i szeregowiec Przymierza padł z krzykiem, trzymając się za twarz. Mkoll wystrzelił z karabinu i trafił w gardło grenadiera z pistoletem.

Wrogi żołnierz zsunął się z parapetu i wylądował martwy, na siedząco, na stanowisku strzeleckim.

Po kolejnych kilku minutach oszalałych pchnięć i uderzeń, ostatni z atakujących zostali odparci.

Bonin i dwaj genswiczanie stanęli przy parapecie i zaczęli strzelać w ciemność, żeby odepchnąć napastników w strefę niczyją. Wzdłuż linii okopu, Fevrierson ze swoimi ludźmi zaczęli ostrą strzelaninę ze stanowisk ogniowych. Klekot wystrzałów z ich normalnej broni przerywały trzaski karabinów laserowych Mkvennera i Hwlana. Mkoll przykucnął na stanowisku ogniowym i zaczął wyciągać bomby z kieszeni płaszcz zabitego grenadiera. Okrągłe bomby miały lonty, które zapalały się po

wyciągnięciu papierowej zawlecзки. Zapalał je jedna po drugiej i wyrzucał przez parapet. Inne bomby miały długie drewniane trzonki, ze sznurkowymi pętlami od zawleczek na końcach. Mkoll zorientował się, że w pętle wkładało się ręce. Po rzuceniu bomby, zawlecзки na sznurku zostawały na dłoni. Jeden z żołnierzy Fevriersona, ranny w ramię, przyszedł mu pomóc rzucać bomby daleko w noc. Sierżant z Tanith odwrócił się, gdy tylko usłyszał wystrzały z karabinów laserowych po swojej lewej stronie. Caober i Baen, razem z trzema żołnierzami Przymierza wybiegli zza najbliższego zakrętu, strzelając za siebie.

- Atak z boku! - krzyczał jeden ze sprzymierzonych. - Wróg w okopach!

- Utrzymaj pozycję! - krzyknął Mkoll do Bonina i zeskoczył ze swojego stanowiska ogniowego i ruszył biegiem na pomoc Caoberowi i Baenowi. Mkvenner biegł za nim, razem z paroma ludźmi Fevriersona.

Zakręt chronił ich wszystkich przed napastnikami w kolejnej sekcji, ale również blokował linię strzału. Baen przysunął się do zakrętu i strzelał zza węgła tak często, jak tylko się odważył. Bomba na długim trzonku wyleciała zza zakrętu, kręcąc się w powietrzu. Nieomal za szybko, żeby to dostrzec, Mkvenner chwycił ją i odrzucił z powrotem. Dym z wybuchu wylał się zza zakrętu.

- Są ogłuszeni! Na nich! - krzyknął jeden z genswiczian i rzucił się do szarży za zakręt razem z dwoma towarzyszami.

Wszyscy trzej zostali podziurawieni strzałami z karabinów i padli do tyłu na ścianę okopu. Zawiśli tam na ułamek sekundy następnie upadli na ziemię, twarzami w błoto.

Mkoll spojrział na Mkvennera.

- Na górę, dookoła i z powrotem w dół - powiedział wysoki, ponury zwiadowca. Mkoll skinął głową. Przywołał gestem Caobera i nakazał Baenowi utrzymanie zakrętu.

Trzy Duchy wyciągnęły peleryny maskujące i zarzuciły je na ramiona, fachowo układając tak, że jeden złożony koniec tworzył kaptur. Wspięli się na tylną ścianę i przeszli przez szczyt.

Teren za linią okopów tworzyła ubita ziemia i kałuże błota. Było zupełnie ciemno, ale ciężki ostrzał rozświetlał ostrymi błyskami całą linię frontu. W zamieszaniu brutalnej walki w okopach Mkoll prawie zapomniał o bombardowaniu. Atak trwał cały czas. Supercieżkie pociski dalekiego zasięgu spadały na okopy dowódcze i zaopatrzeniowe, o ile się zorientował, na całej Linii Peinforq. Niektóre tarcze jeszcze się trzymały, ale tylko sporadyczny, ospały ostrzał odpowiadał na nawałnicę wroga. Mkoll, Caober i Mkvenner czołgali się przez błoto, przykryci pelerynami. W rękach mieli noże, a karabiny laserowe zawiesili na ramionach, pod pelerynami, tak żeby nie zgrzytnęły na kamieniu czy metalowym odłamku w ziemi. Prześlizgiwali się po omacku. Zamierali nieruchomo za każdym razem, kiedy wybuch pocisku rozświetlał niebo.

Po prawej stronie, w okopie słyszeli jak Baen i chłopaki z Genswick wymieniają nieregularny ogień z najeźdźcami, strzelając zza zakrętu. Mkoll słyszał żołnierzy przeciwnika wykrzykujących do siebie w nieznanym mu języku. Potrafił jednak rozpoznać rozkaz: „Grenadze! Grenadze!”

Byli już tuż przy krawędzi. Mkvenner odwinął z pasa odcinek sztywnego, ale

plastycznego drutu, wyprostował go i popchnął przed siebie aż koniec wystawał lekko ponad krawędzią okopu. Wokół drutu nawinięty był kabel optyczny. Czubek stanowiła mała optyczna matryca, a na końcu była wtyczka, którą można było podłączyć do lornetki. Delikatnie poruszył drutem dookoła i studiował obrazy o niskiej rozdzielczości, które matryca przesyłała kablem do wizjera lornetki. Uniósł dłoń tylko na taką wysokość, żeby zobaczyli ją Mkoll i Caober. Pięć palców i jeszcze trzy. Ośmiu żołnierzy. Przesunął dłoń w bok, pokazując czterech przy zakręcie, dwóch pod nimi i ostatnich dwóch bardziej na lewo. Mkoll skinął głową i sięgnął do kieszeni na uprząży po ładunek wybuchowy. Wszyscy trzej zdjęli karabiny i położyli je w błocie. Będzie za ciasno na użycie karabinów. Wyciągnęli pistolety i noże. Mkoll i Caober mieli standardowe pistolety laserowe, a Mkvenner dysponował automatem kalibru .38 z magazynkiem na dwanaście naboji, który zdobył na Nacedonie. Caober i Mkvenner uzbroili pistolety i leżeli twarzami w dół, trzymając pistolety w prawych dłoniach, a noże w lewych. Mkoll położył swój pistolet laserowy w błocie koło prawej ręki i chwycił nóż w zęby. Zerwał taśmę detonatora z ładunku wybuchowego i cisnął go w dół przy zakręcie. Wybuch wyrzucił poszarpane resztki jednego z napastników z okopu. Jego płonące ciało odbiło się od parapetu i odtoczyło na ziemię niczyją. W tym czasie trzy Duchy zrzuciły swoje peleryny i wskoczyły do okopu. Mkoll wylądował pewnie, choć w niewygodnej pozycji, wystarczająco jednak, żeby przyjąć pozycję strzelecką. Wycelował w prawo i umieścił pociski w plecach dwóch żołnierzy próbujących na ślepo uciekać od wybuchu. Mkvenner wpadł z kocią gracją pomiędzy dwóch napastników, stojących bezpośrednio pod nim. Strzelił jednemu w głowę z przyłożenia, a kiedy ten padał w konwulsjach odwrócił się i złamał drugiemu kark potężnym kopnięciem. Caober wylądował na kolejnych dwóch i cała trójka padła, kłębiąc się, na dno okopu. Starając się podnieść, jeden z napastników stanął na kostce Caobera i mocno ją wywichnął. Tanithiańczyk krzyknął z bólu i strzelił mu w miednicę. Napastnik znowu upadł, krzycząc i młócąc ramionami jak popsuta zabawka. Drugi żołnierz zdołał się przeturlać na bok i ciał Caobera bagnetem. Zwiadowca zablokował ostrze nożem i strzelił, ale nie trafił. Przeciwnik dalej nacierał i Caober stracił pistolet, gorączkowo robiąc uniki. Pistolet leżał niedaleko, pod płytami szalunku, ale Caober nie tracił czasu na próby odzyskania go. Wolną ręką złapał lufę karabinu przeciwnika, wbił bagnet w ścianę okopu i przyciągnął jego szyję do ząbkowanego ostrza. Krew siknęła na pierś Caobera. W słuchawce usłyszał głos Mkolla „puść” i postąpił zgodnie z rozkazem, pozwalając bezwładnemu ciału upaść. Kolejnych pięciu żołnierzy przeciwnika biegło w ich kierunku. Mkvenner, ignorując świszczące kule, szedł im naprzeciwko strzelając z pistoletu. Pierwszy i drugi napastnik padli do tyłu. Trzeci upadł na twarz. Czwarty siłował się z zaciętym zamkiem, kiedy strzał Mkvennera trafił go w głowę i rozwalił mu policzek. Piątemu udało się oddać strzał, który powalił Mkvennera na bok, z głowy leciała mu krew.

- Ven! - wrzasnął Caober i rzucił się na napastnika, obalając go na ziemię. Zwiadowca przytrzymał go prawym przedramieniem, a lewą dłonią fachowo zmienił chwyt na nożu, tak że ostrze skierowane było teraz do dołu. Wielokrotnie zatopił

nóż w piersi przeciwnika.

Mkoll dobił napastników ogłuszonych przez wybuch i przybiegł, prowadząc Baena i piechociarzy z Genswick. Za ostatnią piątką wciąż było jeszcze wielu napastników, w tym grenadier. Mkoll zastrzelił jednego, a Baen strzelał ogniem ciągłym z karabinu laserowego. Sprzymierzeni wspomagali go ze swoich karabinów.

Mkoll przeszedł nad skłębionymi ciałami.

- Wy dwaj, do przodu i zabezpieczcie okop! - rozkazał dwóm żołnierzom. - Pozostali na stanowiska ogniowe!

Żołnierze wdrapali się na wyznaczone miejsca i zaczęli strzelać w noc.

- Okop zabezpieczony! - krzyknął jeden z genswiczan. Połączył się z żołnierzami swojego plutonu, idącymi zza następnego zakrętu.

- Na stanowiska w takim razie! - ponaglił Mkoll. - Odeprzeć ich.

Caober podniósł się i podbiegł do Baena klęczącego nad Mkvennerem. Na ziemi była przerażająca kałuża krwi.

- Na świętego Fetha! - wykrzyknął Caober. Ven!

- Och, zamknij się! - warknął Mkvenner krótko. W ucho miał wetknięty kawałek materiału i kiedy go wyjął, z ucha trysnęła krew. - Odstrzelił mi ucho, to wszystko.

- Feth! - Caober odetchnął z taką ulgą w głosie, że Bean i Mkvenner wybuchnęli śmiechem.

Tej nocy nie było więcej ataków na posterunek 143. Jednak żołnierze Fevriersona pozostali na straży na stanowiskach strzelniczych. Pojawiły się wiadomości, że posterunki 129, 131, 146 i 147 poniosły ciężkie straty w nocnych atakach, ale do północy tylko na 146 toczyły się walki aż w końcu siły Przymierza z trudem odparły napastników. Niepotwierdzone raporty mówiły, że cała sekcja okopów pomiędzy posterunkami 287 i 311 została opanowana przez nieprzyjaciela, i Mkoll był skłonny w to uwierzyć na podstawie odgłosów napływających z tamtej strony.

Wrogi ostrzał skończył się nagle o północy, zostawiając po sobie jedynie ponurą mgłę pyłów i dymu płynącą nad liniami Przymierza. O godzinie 01:00 działa sprzymierzonych rozpoczęły własny ostrzał, który aż do świtu bezlitośnie walił w frontowe pozycje Shadik po drugiej stronie Naeme.

O 02:15, pod niebem rozświetlonym atakiem artylerii, Mkoll zebrał swój oddział i pożegnał się z Fevriersonem.

Młody porucznik zasalutował i uściśnął dłoń Mkolla, a wielu z jego strudzonych kompanów wiwatowało i klaskało w dłonie.

- Wracacie? - spytał Fevrierson.

- Już dawno powinniśmy być z powrotem. Musimy zdać relację ze zwiadu.

- Dzięki - powiedział Fevrierson. - Dziękuję wam. Niech was Imperator błogosławi!

- To dobrzy żołnierze odparł Mkoll, wskazując ruchem głowy ubłoconą piechotę naokoło. Pilnuj ich i trzymaj przy życiu.

- Mam nadzieję, że nigdy więcej was nie zobaczę - powiedział Fevrierson. Nie życzyłbym tego gówna nikomu, szczególnie nie po raz drugi.

Mkoll skinął głową. Bonin wyszczerzył się w uśmiechu.

- Co powiesz temu swojemu dowódcy? - spytał Fevrierson.

- Prawdę - odparł Mkoll - że jest tu wszystko, czego się obawiał.

3

SIEDZIBA DOWÓDZTWA W RHONFORQ

... co się tyczy rozlokowania sił uzupełniających, oficerowie tych oddziałów podlegają (a) podstawowemu dowództwu danego obszaru/sekcji oraz (b) najstarszemu stopniem oficerowi Przymierza w ich zgrupowaniu.

Ogólny Zbiór Przepisów Przymierza Aexe,
edycja 722-ga, sekcja 45f, paragraf I-V,
Protokół Dowodzenia

Z Rhonforq widać było olbrzymie chmury dymu wznoszące się z Linii Peinforq leżącej o dziesięć kilometrów na wschód. Stare, kamienne budynki miasta wibrowały w nocy od odległej symfonii dział.

Świt nastąpił o 04: 37 czasu imperialnego. Słońce weszło, matowe i przysłonięte, nad lasami rozciągającymi się w stronę Ongche. Ponad łąkami i polami uprawnymi na zachód od miasta unosiła się mgła. Pierwszy z Tanith spał przez około pięć godzin w kiepskich kwaterach na południowym krańcu miasta, ale większość załogi parku maszynowego i zbrojmistrzów była na nogach przez całą noc. Wysiedli z pociągów o 21:00 poprzedniego wieczora, razem z dwoma kompaniami Krassian i zmotoryzowanym batalionem Seqgewehrów, przybywającym z Seronne.

Gaunt wstał sztywny i obolały. Przez całą noc gońcy z rozkazami i pojazdy ciężarowe turkotały na ulicy pod jego oknem. Kwaterę miał w pensjonacie przy miejskim rynku.

Daur i Rawne również mieli tu pokoje, podobnie jak pięciu krassiańskich oficerów i grupa sztabowców Przymierza. Corbec postanowił nocować razem z Duchami. Pokój Gaunta był mały i skromny, z niskim, skośnym dachem i oknem, które nie chciało się zamknąć. Beltayn zastukał do drzwi i wniósł kubek kawy oraz miszkę letniej wody.

- Mkolł już wrócił? - spytał Gaunt, usiłując się golić w letniej wodzie. Beltayn rozkładał na łóżku mundur Gaunta.

- Jest w drodze, sir.

- Opóźnienie?

- Coś było nie teges.

- Na przykład?

- Słyszał pan ten ostrzał, sir. Wszyscy wokół nie mówią o niczym innym. Nowe superdziała. Linia nieźle oberwała zeszłej nocy.

- Tak właśnie myślałem - powiedział Gaunt. - Auu!

Beltayn podniósł wzrok.

- Sir?

- Zaciąłem się - syknął Gaunt, podnosząc podbródek, żeby ocenić w lustrze ranę na szyi. - Ta woda jest prawie zimna, Beltayn.

- Ta woda jest tak ciepła, jak się da, chyba żeby zdecydowała, że chce zostać kawą

- odparł Beltayn. Odkurzył czapkę Gaunta i odłożył ją na łóżko. Następnie podszedł do komisarza i przyjrzał się zacięciu.

- Widziałem gorsze - ogłosił.
Gaunt obdarzył go uśmiechem. - Dziękuję ci bardzo.
- To czego pan teraz potrzebuje to igła - stwierdził Beltayn.

- Igła?

- Stara rodzinna sztuczka. Igła. Świetnie się sprawdza przy takich zacięciach.

- I co z nią robisz?

Kiedy zatnie się pan brzytwą, bierze się igłę i kłuje w dziąsła.

- To pomaga?

Beltayn puścił oko.

- Fethowo zagłusza ból zacięcia.

Ubrany i z kawałkiem bibułki do papierosów Baltayna przylepionym do rany, Gaunt wyszedł wypić kawę na zewnątrz. Dzień był bezchmurny i zapowiadał się na ciepły, chociaż zapach spalonego prochu był wszechobecny. Komisarz wyszedł na taras pensjonatu porozmawiać z majorem Krassian i dwoma oficerami z Seqgewehru.

Zobaczył majora Rawne i Feygora pałaszujących śniadanie w małej jadalni.

Kolumna czołgów przejechała przez rynek z chrzęstem gąsienic.

Gaunt dokończył kawę, odłożył pusty kubek na jeden ze stolików na tarasie i przeszedł przez rynek do Kaplicy Świętych Avignów, gdzie mieścił się Sztab Główny Przymierza.

Rhonforq był jednym z Ośmiu Miast, głównych ośrodków administracyjnych i kościelnych Mittel Aexe. Tutejszy kościół i klasztor zostały zbudowane w roku 502, dziesięć lat po ustanowieniu pierwszej kolonii na Samonparliane. Przed wybuchem wojny głównymi zajęciami mieszkańców było gęplowanie wełny oraz produkcja guzików i serów.

Przybyszy zachęcano do wrzucania monet do fontanny Beati Hagia lub, o ile byli sprawni fizycznie, do wspinaczki na Wzgórza Sheffurd, gdzie można odwiedzić miejsce narodzin Generała Gubernatora Danera Fep Kvelsteena, którego podpis i pieczęć znajdowały się w słynnej czwórce pod Deklaracją Niepodległości Wielkiej Aexe.

Gaunt wiedział to wszystko ze starego przewodnika z pozaginanymi stronami, który znalazł pod łóżkiem poprzedniej nocy.

Siedziba sztabu Przymierza tętniła życiem. Na wewnętrznym dziedzińcu rząd gońców czekał na szumiących motorach. Pęki telegraficznych i radiowych kabli wychodziły z okien. Były skierowane do baterii talerzy na dachu. Maszt tarczy energetycznej, przytwierdzony do przenośnego generatora, dominował nad dziedzińcem. Trawa naokoło była sucha i martwa od promieniowania.

Gaunt wszedł energicznym krokiem po schodach głównej kaplicy, przyjmując saluty mijanych oficerów Przymierza.

- Gdzie jest Van Voytz? - spytał adiutanta za biurkiem.

- Masz na myśli generała Van Voytza? - odpowiedział adiutant, nie podnosząc wzroku głosem, w którym pobrzmiwał ton wyższości.

- Jeśli mamy być formalistami to będziesz mówić: „Lord-generał Van Voytz, komisarzu-pułkownik, sir” - warknął Gaunt i strzelił palcami. Adiutant podniósł wzrok i przełknął ślinę.

- Proszę o wybaczenie, sir. Lord-generał wyjechał do Meiseq, jego powrót jest spodziewany jutro wieczorem.

- Chcę z nim rozmawiać przez radio.

- Połączenie zostało przerwane przez ostrzał ostatniej nocy, sir.

„Innymi słowy, coś jest nie tak” - pomyślał Gaunt.

- A Lyntor-Sewq?

- Głównodowodzący został wezwany w ważnych sprawach, sir.

- Niech to Feth! - burknął Gaunt. - Potrzebuję informacji. Muszę zobaczyć mapy. Potrzebuję...

- Chwileczkę, sir. Wykonam telefon.

Adiutant pospiesznie podniósł słuchawkę telefonu i zakręcił korbką. - Komisarz-pułkownik Gaunt, przybył na odprawę - powiedział i wysłuchał odpowiedzi.

- Proszę poczekać moment, sir - powiedział Gauntowi, odkładając słuchawkę.

- Pułkowniku! - głos odbił się echem od ścian pomieszczenia.

Gaunt odwrócił się i ujrzał wysokiego, bladego, rudowłosego oficera w ciemnoczerwonym mundurze, zdążającego w jego kierunku.

Gaunt zasalutował.

- Gaunt, Pierwszy i Jedyne z Tanith.

- Redjacq Ankre, Wywerny z Kottstadt. Jestem pełniącym obowiązki głównodowodzącego pod nieobecność Lyntor-Sewq.

- Proszę za mną.

Gaunt ruszył za wyższym mężczyzną i poszli korytarzem w kierunku drzwi do głównego pokoju sytuacyjnego. Było coś w postawie i manierach Ankre, co powodowało, że Gaunt się najeżył. Zignorował jednak to uczucie. Był w Gwardii wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że często nie lubiło się ludzi, których należało uważać za sprzymierzeńców. Tłumienie prywatnych opinii na ogół pomagało wykonać zadanie.

- Spotkałem pańskich ludzi ostatniej nocy - odezwał się Ankre, bez żadnego związku.

- Doprawdy?

- Oddział zwiadowczy.

- Ach tak, wysłałem ich przodem.

- Nie ufał pan naszym raportom wywiadowczym?

Gaunt zatrzymał się i spojrzał prosto w oczy wysokiemu rudzielcowi.

- Jestem pewny, że są w najlepszym porządku. Po prawdzie to nie widziałem ani jednego - powiedział jadowitym tonem.

Ankre przerwał, nie wiedząc, jak odpowiedzieć na krytykę. Zanim zdążył podjąć jakąś decyzję, Gaunt zatarł nieprzyjemne wrażenie mówiąc:

- A więc był pan na froncie ostatniej nocy?

- Tak, byłem - odparł pułkownik sztywno.

- Wygląda na to, że nieźle oberwaliście. Słyszałem coś o nowych działach dalekiego zasięgu.

- Nie sądziłem, że czytał pan raporty - rzucił Ankre, rozkoszując się ciętą ripostą.

- Mam oczy i uszy. Czyli co, nowa taktyka wroga? Nowa broń?

- Tak - odparł Ankre.

Wartownik w zielonym mundurze polowym Przymierza zasalutował i przytrzymał im

drzwi.

Nawa głównej kaplicy została przystosowana do użycia przez wojsko. Okna zostały zaklejone i zaciemnione, chociaż Gaunt wciąż potrafił dostrzec ołowiane ramki dawnych witraży. Pomieszczenie było wyłożone płytami przeciw odłamkowymi, obłożonymi workami z piaskiem, powietrze było suche i ciepłe, pachniało elektrycznością. Kule świetlne dryfowały pod sufitem, oświetlając centralną część sali pełną techników, adiutantów i oficerów. Podręczne maszyny kodujące i nadajniki dużej mocy stały wypakowane na drewnianych stelażach. Słychać było ciągły szum głosów, mrużenie maszyn, przypadkowy gwizd strojonego nadajnika.

Para zakapturzonych akolitów Adeptus Mechanicus błogosławiła serwitatorów, którzy byli instalowani przy nowym, imperialnym sprzęcie komunikacyjnym.

Pokój sytuacyjny był objęty klauzulą tajności. Gaunt musiał w drzwiach podać nazwisko i swój kod. Otrzymał od urzędnika małą, zieloną plaketkę. Wysokie Dowództwo chciało mieć pełny zapis wszystkich wchodzących i wychodzących.

Ankre powiódł Gaunta w stronę stołu z mapami, które komisarz studiował z zainteresowaniem. Był to zupełny chaos zbyt dokładnych bazgrołów. Ankre dał mu zamazaną, mało dokładną mapę niewielkiej sekcji frontu. Wydrukowana była na cieniutkim papierze.

- Pański regiment przesunie się dzisiaj o zmierzchu do 55. sektora, wzdłuż linii komunikacyjnej 2319 i zajmie pozycje na froncie zabezpieczając posterunki od 287 do 295. Podlega pan majorowi Neillandsowi z posterunku 280, a następnie generałowi Harguntenowi w Sektorze. Oto dzisiejsze hasła i częstotliwości.

Ankre wręczył Gauntowi płytkę danych.

- Proszę się z nimi zaznajomić i następnie skasować płytkę.

- Podlegam majorowi? - spytał Gaunt.

- Jakiś problem?

- Ten Neillands będzie przekazywał rozkazy z Sektora?

- Oczywiście na wypadek, jeśli nie będzie mógł ich pan odebrać osobiście... Jeśli na przykład radio nie będzie działać.

- A jeśli Neilland sam nie będzie mógł odebrać rozkazów z sektora... Jeśli na przykład radio nie będzie działać? Podlegam jemu?

Ankre wzruszył ramionami jakby wciąż nie rozumiał, w czym jest problem.

- Tak jak właśnie powiedziałem.

- Słyszałem, co pan powiedział, pułkowniku. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Mówi pan, że w pewnych okolicznościach, najprawdopodobniej w okolicznościach, kiedy ma to największe znaczenie, mam podlegać oficerowi młodszemu stopniem?

Mam złożyć moje dowództwo, mój regiment w jego ręce?

Ankre zachnął się.

- Podajcie mi Ogólny Zbiór Przepisów - zwrócił się do adiutanta. Mężczyzna wrócił po paru sekundach niosąc gruby, czerwony folder z godłem Przymierza i napisem „Ścisłe tajne - zniszczyć w sytuacji zagrożenia”. Ankre zaczął przerzucać strony. Gaunt zauważył, że większość stron była pisanymi na maszynie wkładkami wklejonymi lub przymocowanymi zszywkami.

- Głównodowodzący przygotował wszystko czarno na białym - powiedział. - Jego oficerowie taktyczni przygotowali to, kiedy powiedziano nam o waszym przybyciu.

O, tutaj...

Tak jak mówiłem, łańcuch dowodzenia.

- Proszę mi to pokazać - powiedział Gaunt. Ankre zdawał się mieć opory przed wypuszczeniem księgi z rąk, ale po chwili wahania wręczył ją komisarzowi. Gaunt przeczytał niewyraźnie przepisany formularz rozkazu.

- Nic tu nie ma na temat naszej sytuacji. Nic konkretnego. Jest tu tylko napisane, że podlegamy głównemu oficerowi sekcji, do której jesteśmy wysłani.

- W tym wypadku to generał Harguten. A następnie najstarszemu stopniem oficerowi Przymierza w tym rejonie frontu. Dokładnie to powiedziałem. Najstarszym stopniem oficerem Przymierza w tym rejonie frontu jest major Neillands Feinster Highlanders. Gaunt pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się. Sądzę, że to raczej major Neilland powinien podlegać mnie. W przypadku utraty kontaktu z sektorem, to powinien być najlepszy protokół postępowania.

- No cóż, to przykre - powiedział Ankre. - Słowem, które zdaje się pan ignorować jest „Przymierza”. Podlega pan łańcuchowi dowodzenia Przymierza. Głównodowodzący wypełnia tylko wolę Najwyższego Sezara. To on jasno postawił sprawę, że siły Przymierza Aexe zachowują kontrolę w tej wojnie. Jeśli miałyby to oznaczać, że musi pan przełknąć swoją dumę i podlegać majorowi to pańskie zmartwienie. Przybyliście tu, żeby pomóc Przymierzowi w walce.

- Przybyłem tu, żeby walczyć dla Imperatora – wysyczał Gaunt. - Wspólnie stawiamy czoła Shadikom. Gwardia jest teraz częścią Przymierza.

- Technicznie rzecz biorąc, nie - powiedział Ankre, biorąc folder z rąk Gaunta i kartkując do kolejnej strony. - Tutaj. Napisane wyraźnie. Siły Imperialne występują pod nazwą „sił pomocniczych”.

Zamknął folder i uśmiechnął się, jakby chciał zasugerować, że wygrał tę krótką debatę. Gaunt zdawał sobie sprawę, że nie ma najmniejszego sensu kłócić się z nim. Spotykał już ludzi tego pokroju. Należy zwracać się bezpośrednio do ich przełożonych.

Gaunt spojrział na mapę i znalazł, z pewnym trudem, stanowiska wspomniane przez Ankre.

- To jest linia frontu?

- Tak.

- Moi ludzie to lekka piechota, wyspecjalizowana w potajemnych operacjach. Wysłanie ich tutaj to marnowanie ich talentów.

- Nie mamy luksusu wyboru. Posterunki od 287 do 311 zostały ostatniej nocy opanowane przez wroga, to największy wyłom w historii Linii Peinforq. Wróg został odparty, ale wzmocnienie sił ma szczególne znaczenie w tym rejonie. Żywotne. Brygada Krassian zajmie stanowiska od 296 do 311, na północ od was.

- Powtarzam mój sprzeciw.

- Czy obawia się pan, że pańscy ludzie nie będą w stanie utrzymać linii okopów? Gaunt zdjął czapkę i rękawiczki. Położył je na brzegu stołu z mapami. Dało mu to kilka sekund na opanowanie wściekłości za pomocą głębokich oddechów.

- Nie boję się niczego z wyjątkiem głupoty wysokiego dowództwa - odpowiedział. Ankre zrobił krok do tyłu i lekko, agresywnie, opuścił głowę.

- Głównodowodzący wybrał Pierwszy z Tanith na tą pozycję, wyłącznie na podstawie dobrego wrażenia, jakie pański oddział zwiadowców zrobił zeszłej nocy. Cały sektor 55 mówi tylko o tym dziś od rana. Garstka żołnierzy, która odmieniła przebieg wydarzeń na posterunku 143. To właśnie takich umiejętności głównodowodzący chce na linii frontu, szczególnie na odcinku, który jest osłabiony i wystawiony na niebezpieczeństwo.

- Nawet jeśli jesteśmy tylko siłami pomocniczymi?

Ankre wręczył folder czekającemu adiutantowi.

- Sądzę, że skończyliśmy na dzisiaj, komisarzu-pułkownik - powiedział.

- Chcę kopie map frontu - zażądał Gaunt.

- Dlaczego? - spytał Ankre, wyraźnie tracąc cierpliwość.

Gaunt uniósł wątlą mapę. - Ponieważ to pokazuje tylko moją pozycję.

- I co w związku z tym?

- Jak mogę optymalnie dowodzić, jeśli widzę tylko bezpośrednie sąsiedztwo? Jak mogę ocenić całość bitwy?

- Nie potrzebuje pan. Ma pan szczegółowe zadanie. To właśnie je musi pan wykonać. Tylko to powinno pana interesować.

Gaunt schował mapę i płytkę danych do kieszeni płaszcza i założył czapkę i rękawiczki.

- Wierzyć się nie chce, że w dzisiejszych czasach wciąż prowadzicie wojny w ten sposób - powiedział. - Nie czytał pan nigdy Machariusza? Solona? Slaydo?

- Żaden z tych świetnych wojowników nie jest tutaj na Aexe - odparł Ankre.

- A szkoda - rzucił Gaunt. Ruszył w stronę drzwi, ale odwrócił się jeszcze do tyłu i spojrzał na Ankre.

- Postawię moje oddziały na nogi. Nie skieruję ich jednak na linię frontu, dopóki nie spotkam się z dowódcą Przymierza, jakimkolwiek dowódcą Przymierza, który będzie w stanie zweryfikować te rozkazy w sposób bardziej satysfakcjonujący niż pan to zrobił. Niech pan tego dopilnuje pułkownik. Niech pan doprowadzi do tego spotkania jak najszybciej.

Wzrok Ankre wyrażał chęć morderstwa.

- To jest równoważne z niesubordynacją. Mogę pana...

- Drobną radą - stwierdził Gaunt, przerywając mu w pół słowa. - Nie radzę panu zadierać ze mną. Ugryź się pan w język, znajdź mi kogoś bardziej użytecznego od siebie i nigdy więcej nie rzucaj gróźb pod moim kierunkiem. Jasne?

Ankre nic nie odpowiedział. Cały pokój sytuacyjny zamilkł.

Gaunt odwrócił się i wyszedł.

- Zrób coś dla mnie westchnął Dorden. - Przestań się na Fetha kręcić, dobra? Szeregowiec Caober wzruszył ramionami.

- Boli jak jasna niespodziewana, do doktoru - zajęczał.

- Jesteś już dużym chłopcem. Zamknij się. Widzisz, żeby Ven się tak zachowywał? Nie widzisz. Krwawi jak zarzynane prosię, ale czy się skarży? Nie skarży. Więc się zamknij.

Caober westchnął i zazgrzytał zębami. Siedział na drewnianym stole w tymczasowym ambulatorium Duchów, rozwalającej się greplarni wełny na obrzeżach

Rhonforq. Budynek był duży i stary, zbudowany z czarnego krzemienia, nad wartkim strumieniem używanym kiedyś przez greplarzy do wmywania nadmiaru lanoliny z runa. Czuło się wilgotny zapach tłuszczu pokrywającego klejącą warstwę wszystkie powierzchnie. Sanitariusze zaoferowali się, że wyszorują wszystko szczotkami. Dorden nie sądził jednak, że zostaną tam tak długo, żeby było warto zadawać sobie tyle trudu.

Południowe słońce, mocne i żółte, wpadało strumieniami przez kratki wentylatorów w wysokim dachu i rozświetlało pomieszczenie niezdrowym światłem. Większość urządzeń greplarni została usunięta dawno temu. Cieniutkie pasemka wełny wciąż czepiały się belek i chropowatych cegieł.

Oddział Mkolla dotarł do Rhonforq o 11: 30 rano i Mkoll, Caober oraz Mkvenner zgłosili się natychmiast do ambulatorium.

Dorden nastawiał zwichniętą kostkę Caobera, a Lesp zakładał opatrunek na ucho Mkvennera. Mkoll stwierdził, że jego obrażenia mogą poczekać.

Sąsiedni budynek zajmowała drużyna medyczna Krassian i dobiegały ich liczne głosy żołnierzy stojących w kolejce po szczepienia ochronne.

- To jak to się stało? - pytał Dorden, badając kostkę i stopę zwiadowcy. Noga była opuchnięta i fioletowa od stłuczenia.

- Ktoś, auu! Stanął mi na niej. Biliśmy się.

- Mkoll tak mówił. Dobrze było?

- Tak sobie. Wiesz jak jest.

Dorden spojrzał na Caobera.

- Nie, nie wiem. Opowiedz mi. Pozwól mi przeżywać wojnę przez twoje bohaterskie doświadczenia, kiedy zostają na tyłach i przygotowuję bandażę.

- Biliśmy się. Auu! Walka. W okopach. Nadszedł wróg, więc z nim walczyliśmy.

Ktoś, auu! Stanął mi na nodze. Caober zająknął się i umilkł. Był świetnym zwiadowcą, ale jego umiejętności opowiadania pozostawiały wiele do życzenia.

Dorden kontynuował ciasne bandażowanie zwichniętej kostki.

- Niech ktoś mi coś opowie. Ven?

Mkvenner uniósł wzrok, w uchu miał pełno gazy.

- Słucham?

Dorden wybuchnął śmiechem, podobnie jak wszyscy pozostali

Lesp myjący ręce w niewielkiej misce, Chayker i Foskin sortujący narzędzia chirurgiczne. Nawet Mkoll siedzący na krześle w kącie.

- Co was tak śmieszy? Nic nie słyszę - warczał Mkvenner.

Śmiechy ucichły. Nikt nie chciał, żeby Mkvenner myślał, że się z niego śmieje.

Mkvenner był jednym z tych Duchów, których należało bezustannie darzyć szacunkiem.

- Kiedy zaczął się ostrzał, przetestowali naszą linię jednostkami szturmowymi

- powiedział Mkoll, wstając.

Dorden widział, że idzie sztywnym krokiem. - Zrobiło się zamieszanie.

Miejscowi byli zupełnie nieprzygotowani.

Dorden zawiązał bandaż i krzyknął do Foskina.

- Załóż Caoberowi but, luźno i znajdź mu kule. Nie przeciążaj jej przez kilka dni i będzie jak nowa.

Wytarł ręce i skierował się do Mkolla.

- No to zobaczmy - powiedział.

Mkoll zaczął zdejmować uprząż i kurtkę, ale wyraźnie podnoszenie ramion sprawiało mu ból, więc Dorden pomógł mu rozebrać się do pasa. Siniak na bladej piersi był bardzo brzydki i czarny.

- Feth! Znów się bileś na pałki? - spytał Dorden.

- Kula karabinowa. Dostałem ostatniej nocy. Wtedy nie zauważyłem. Pewnie adrenalina. Od świtu boli jednak jak Feth.

Dorden zacmokał i spryskał ranę Mkolla sprayem antyseptycznym. Z boku Foskin gwizdnął ze zdumienia.

Składał ubranie i ekwipunek Mkolla. Trzymał w ręku zgniecioną kulę dużego kalibru.

- Twój pancerz zatrzymał to - powiedział. - Utkwiła w napierśniku. Mam to wyrzucić?

Mkoll wziął kulę i schował do kieszeni spodni. Wierzył we frontowe przesady.

- Widzę, że wojna zaczęła się beze mnie - odezwał się głos za ich plecami. Gaunt wszedł do budynku.

- Nie przerywajcie - dodał zanim wszyscy zaczęli salutować.

Spojrzał na imponujący siniak Mkolla.

- Rozumiem, że zdobyli pierwsze punkty?

- Daliśmy im nieźle popalić - odparł Mkoll.

- Tak słyszałem. Spotkałem wasz fan klub. Pułkownika Ankre.

- Kogo? . mruknął Mkoll. - Ach, jego. Rudzielca. Nie sądziłem, że nas polubił.

- Jesteście bohaterami frontu, przyjacielu - stwierdził Gaunt sarkastycznie.

- Miejscowi są pod takim wrażeniem, że dali nam całą linię okopów do utrzymania.

- Feth - rzucił Mkoll.

- Powiedziałeś im, że... - zaczął Dorden.

- Och, oczywiście, że im powiedziałem. Nie sądzę, żeby ktoś posłuchał.

Gaunt westchnął. Wręczył wąty arkusz mapy Mkollowi.

- To tutaj dostaniemy, jeśli stanie się według ich życzenia.

Mkoll spojrzał na mapę.

- Kiepskie miejsce. Przyjęło największe uderzenie poprzedniej nocy. Rzeka podchodzi tutaj blisko, widzi pan, pułkowniku? Parapet jest niski i podmokły. Idealne miejsce do szturmowania. Nie jestem nawet pewny, czy oczyścili całą sekcję z wrogich oddziałów.

- Opowiedz mi, co widziałeś na froncie - polecił Gaunt, siadając. Dorden zabrał się za opatrywanie paprzącej się rany Mkolla.

- Żołnierze Przymierza, jakich widzieliśmy, byli zmęczeni i za bardzo rozrzućeni.

Większość z nich także chora. Kiepska kanalizacja, słaba higiena. Co gorsze, nie mają dyscypliny. Nieźle walczą, kiedy dostaną rozkaz i są kontrolowani, ale nie ma śladu inicjatywy.

- Spanikowali, kiedy zaczęło się natarcie - dodał Caober.

- Po prawdzie to spanikowali, kiedy zaczął się ostrzał. Nigdy wcześniej nie spotkali się z czymś takim. Sądzę, że są całkiem niezłą piechotą frontową, ale kiedy odezwały się te nowe super działa, poszli w rozsypkę, przestraszyli się. A szturmowcy wroga uderzyli wtedy prosto na nich.

Gaunt skinął głową.

- Przeciwnik?

- Dobry, sprawny, profesjonalny żołnierz. Amunicja bezpłaszczowa, trochę pancerzy indywidualnych. Ich siłą są grenadierzy. Proste materiały wybuchowe, ale efektywne i w dużych ilościach.

Gaunt wysłuchał dowódcy zwiadowców i powiedział:

- No, więc co lord-generał Mkoll o tym myśli?

Był to ich prywatny żart. Gaunt absolutnie ufał taktycznemu zmysłowi Mkolla i często zadawał takie pytanie.

- Jeśli Mkoll byłby tutaj głównodowodzącym, co by zrobił?

- Ta wojna potrwa do końca świata - powiedział Mkoll, po krótkim namyśle.

- Ciągnie się już od czterdziestu lat. Zastój. Można by sądzić, że z Gwardią do pomocy można przechylić szalę zwycięstwa na stronę Przymierza, jednak może się ona również przechylić, przy pomocy nowych super dział, na stronę wroga. Próbuję powiedzieć, że potrzeba czegoś nowego, żeby przerwać ten impas. Mając tą jedną fethową mapę, nie jestem w stanie powiedzieć, co by to mogło być.

- Pracuję nad tym - zapewnił Gaunt.

Mkoll wzruszył ramionami i skrzywił się, żałując, że to zrobił.

- No nie wiem. Coś nowego. Coś innego lub niespodziewanego. Lepiej wymyślmy, co to może być, zanim oni to zrobią.

- Ja coś wiem - odezwał się Mkenner cicho. - Te ich nowe super działa. Mogli nad nimi pracować przez lata, ale czy to nie dziwne, że użyli ich po raz pierwszy dzień czy dwa, po naszym przybyciu? Musieli widzieć przylot naszych statków.

Muszą wiedzieć, że przybyła Gwardia i Przymierze ma w końcu pozaświatową pomoc. Obawiają się, że Przymierze może zyskać przewagę. I chcą tę przewagę odzyskać.

- Ja im dam to, na co zasługują - zachichotał Caober, testując ostrość srebrnego noża bojowego.

- Dobry pomysł - odpowiedział mu Gaunt z uśmiechem.

Spojrzał na Mkolla. - Spisz mi raport. Wszystko, dokładnie.

- Tak jest, sir.

Gaunt miał właśnie coś jeszcze powiedzieć, kiedy do budynku wdarły się zdenerwowane głosy. Do wnętrza wpadła Ana Curth.

- Dorden, gdzie do Fetha są... Och! Przepraszam, sir. Gaunt wstał.

- Spocznij, chirurgu Curth. Zdaje się, że miała pani właśnie znowu zakłąć.

- Fethowa racja - powiedziała. - Nie mogę znaleźć fethowych zapasów, a zapasy powinny już tu być i Krassianie obwiniają...

- Hej, hej! - przerwał jej Dorden. - Od początku i nie zapomnij o przerwach na oddech.

Ana Cruth odetchnęła głęboko. Była kiedyś, przed wojną z Zoica, bardzo szanowanym i doskonale opłacanym cywilnym lekarzem na Verghast, i ku zdumieniu Dordena i Gaunta zaciągnęła się do regimentu z Tanith w czasie Aktu Powołania. Nikt się nigdy nie dowiedział dlaczego porzuciła wygodne i bezpieczne życie na rzecz niewdzięcznej mizerności życia medyka w Gwardii Imperialnej. Gaunt uważał, że stało się to z powodu poczucia obowiązku, którym górowała nad nimi wszystkimi.

Mieli fethowe szczęście, że była z nimi.

- Nie mogę znaleźć naszych zapasów - powiedziała. - Żadnych. Wszystko, co zostało wysłane ze statku *Munitorium*. Szukałam ich w punkcie zbornym, ale powiedziano mi, że zostały wysłane przed nami. Tutaj ich jednak nie ma.

- Nie, nie - odezwał się Chayker. - Widziałem je. Cały stos w przybudówce za greplarnią.

- Och, tam jest pełno gothlernych skrzyń, Chayks – powiedziała Curth. I wszystkie są oznaczone symbolami Tanith i Krassii. Nic w nich jednak nie ma, oprócz brudnej waty i słomy. Medycy Krassianów chcieli dać swoim ludziom zastrzyki polowe, ale nie mają czym i twierdzą, że my wszystko zwędziliśmy...

- Dobra, dobra... - powiedział Gaunt. - Co mamy?

Około trzydzieści pudełek jednorazowych dawek szczepionki na gorączkę błotną i mniej więcej tyle samo pigułek antytoksynowych - odparł Lesp. - Wszystko co przywieźliśmy ze sobą, sir.

- Dajcie je Krassianom.

- Gaunt! zaczęła Curth.

- Zróbcie tak. Nie chcę mieć nieporozumień z tak dobrym sprzymierzeńcem jak Krassianie. Znajdziemy nasze zapasy i krassiańskie też. Do tej pory przetrwamy.

- Jak zawsze dyplomata, co Ibram? - uśmiechnął się Dorden.

- Zostałem kiedyś zaproszony do wstąpienia do Imperialnego Wydziału Dyplomacji. Powiedziałem im, żeby się fethowali.

Ze starej greplarni dochodził śmiech. Kierowca powiedział mu, że to tutaj zostały ulokowane Imperialne Oddziały Medyczne. Śmiech wydawał mu się dziwnym dźwiękiem. Opuścił samochód i wszedł do dużego pomieszczenia, gdzie stało ośmiu mężczyzn i kobieta, chichoczących i śmiejących się w głos. Wyglądało na to, że oficer właśnie opowiedział naprawdę dobry dowcip. Czterech mężczyzn i kobieta było medykami. Pozostali, nie licząc oficera w sztywnej czapce, ubrani byli w czarne koszule, wszyscy ranni.

Chrząknął i śmiech ustał. Wszyscy się odwrócili.

- Wydaje mi się, że mnie pan szukał - powiedział. - Jestem hrabia Iaco Bousar Fep Golke.

Hrabia Golke był cichym, srebrnowłosym Aexegarczykiem ubranym w ciemnozielony mundur, na którym nie było żadnych insygniów, nie licząc symboli Aexegary na kołnierzu i pagonach oraz złotego medalu aquili pod szyją. Idąc lekko utykał, a Gaunt zauważył, że równo przycięta srebrna broda miała na celu ukrycie dawnych oparzeń na policzku i gardle.

Przedstawił się jako łącznik z dowództwem sztabu.

Wyszli razem na plac przez greplarnię.

- Spotkaliśmy się już - powiedział Gaunt. - W przelocie. Byłem jednym z imperialnych oficerów przedstawionych panu tamtej nocy w pałacu Najwyższego Sezara.

- Tak myślałem - odparł Golke. - Muszę przyznać, że tamtej nocy byłem nieco nieobecny. Proszę o wybaczenie, jeśli byłem nieuważny. Niespodziewana wiadomość o przybyciu Gwardii, mój nieoczekiwany order...

Dotknął złotego orła. Gaunt wiedział, że Golke nie wspomina faktu, że zostało mu wtedy odebrane dowództwo. Tamtej nocy skończyła się czteroletnia kadencja Golkego jako głównodowodzącego siłami Przymierza. Cios dla jego dumy, jak sądził Gaunt. Kolejny nadęty generał arystokrata, który osiągnął pozycję dzięki błękitnej krwi, a nie umiejętnościom dowodzenia, odsunięty, żeby zrobić miejsce następnemu. Gaunt oczekiwał rozgoryczenia i frustracji. Zdumiał się, kiedy nic takiego nie wyczuł. Golke wydawał się być wyłącznie zmęczony i pozbawiony złudzeń.

- Moja nowa rola - mówił Golke opierając się o słupek bramy, żeby ulżyć nodze - przynajmniej, na ile ja ją rozumiem, polega na zapewnieniu komunikacji pomiędzy Przymierzem i siłami Imperialnymi. Wszystko to jest raczej niesprecyzowane i nieustalone, dlatego muszę panu podziękować.

- A to dlaczego?

- Za danie mi czegoś użytecznego do roboty, pułkowniku. Czegoś innego niż bezcelowe powitalne przyjęcia i potrząsanie dłonią. Mocno pan potrząsał pułkownikiem Ankre.

- Czy mogę być szczery?

Golke zrobił zapraszający gest dłonią.

- Pułkownik Ankre wykazał się przede mną prawdziwą ignorancją współczesnej sztuki wojennej. Jest zaślepiiony, uczepiony przestarzałych, zdyskredytowanych zasad i strategii. Po prawdzie, ta cała wojna... Gaunt przerwał.

- Proszę kontynuować, pułkowniku.

- Raczej nie powinienem, sir. Ledwie pana znam i uważam, że nie do mnie należy krytykowanie prowadzenia wojny przez pański naród.

Golke uśmiechnął się. Był to całkiem ujmujący uśmiech, nawet jeśli jeden kącik jego ust, usztywniony zabliźnioną tkanką, nie chciał się unieść.

- Komisarzu-pułkowniku Gaunt, miałem dwadzieścia dziewięć lat, kiedy zaczęła się ta krwawa wojna. Przez dwanaście lat służyłem jako oficer liniowy w piechocie, później na kolejne piętnaście lat wstąpiłem do Biura Strategii. Potem parę lat na wschodzie, później pięć lat jako generał sektora 59 i w końcu cztery jako głównodowodzący. Nigdy w tym czasie nie byłem w stu procentach zadowolony ze sposobu w jaki Aexegary prowadziło tę wojnę. Krytykowałem, sprzeciwiałem się, używałem stopnia, żeby próbować wprowadzać, w mojej opinii, korzystne zmiany. Był to Syzyfowy wysiłek. Umówmy się więc: niech się pan swobodnie wypowiada i niech pan mówi co myśli. Jeśli poczuje się obrażony, to uzgodnimy protokół rozbieżności.

Gaunt skinął głową.

- W takim razie powiem, że ta wojna byłaby skończona trzydzieści lat temu, jeśli Przymierze choć na chwilę przyjrzałoby się swojej wojennej filozofii. Toczyłoby tę wojnę jak kampanię sprzed epoki broni palnej. Mówię o użyciu piechoty i kawalerii, zależności od artylerii, nieliczeniu się z zasobami ludzkimi. Oraz, proszę o wybaczenie, poleganiu tylko na arystokracji przy obsadzaniu stanowisk dowódczych. Golke zaśmiał się z zalem.

- Jest taka koncepcja, którą staramy się w Gwardii kierować. Wojna totalna.

Zwalczanie wroga, które nie bierze pod uwagę granic narodowych czy struktur politycznych. Wojna z jednym, niepodważalnym celem - pokonanie wroga. Wojna,

która nigdy nie stoi w miejscu, ale ciągle szuka nowych możliwości. Zgodnie z tą koncepcją, Gwardia Imperialna tryumfowała nad wrogami Imperium na wszystkich teatrach. Rozwijamy się tak fizycznie jak i mentalnie. Wy popadliście w intelektualną stagnację, na głębokość waszych okopów.

- Nie szczędzi pan ciosów, prawda, Gaunt?

- Nie, jeśli ktoś się sam podstawia na cios. Proszę zrozumieć, sir, wiem, że Aexegary ma długą i świetlaną przeszłość, i dużo wojskowych sukcesów, ale wy wciąż toczycie wojny tak jak robili to wasi przodkowie. Shadik to nie jest wojowniczy sąsiad, którego można pokonać w polu, a potem zaprosić na negocjacje w sprawie reparacji wojennych. To nowotwór, roznoszący czyste zło Chaosu, który nigdy nie będzie postępował według starych zasad. Przejadą po was, napadną i zniszczą.

- Wiem o tym.

- W takim razie wydaje się pan być osamotniony w tym osądzie. Ankre tego nie wie. Zupełnie.

- Ankre jest ze starej szkoły. Pochodzi z Kottmark. Starają się dowieść swojej wartości w Przymierzu. Co ja opowiadam? Wszyscy jesteśmy ze starej szkoły.

- Golke popatrzył ponad dachami Rhonforq, mrużąc oczy przed południowym słońcem.

- Niech mnie pan oświeci.

- Przede wszystkim, Tanithiańczycy są ekspertami w akcjach dywersyjnych. Będą ze wszystkich sił walczyć na froncie, ale to jest marnowanie ich umiejętności. Nie należy ich używać jako mięsa armatniego, ale jak precyzyjnego narzędzia.

- To ma sens.

- Po drugie... obieg informacji. Wiem, jak ważne jest strzeżenie danych o rozlokowaniu jednostek przed wzrokiem wroga, ale to już nie jest nawet zabawne. Gaunt wyciągnął postrzępioną mapę otrzymaną od Ankre.

- Sądzę, że mogę się wypowiadać w imieniu wszystkich oficerów imperialnych mówiąc, że potrzebujemy ogólnej perspektywy. Jak mogę wykorzystać uzyskaną przewagę, jeśli nie mam pojęcia o ogólnej sytuacji?

- Ankre mówił mi, że chciał pan ogólnych map. Był oburzony tym pomysłem. Nasz sposób prowadzenia wojny polega na wykonywaniu przydzielonych zadań przez indywidualnych dowódców i pozostawieniu ogólnej strategii szefom sztabu.

- To tak jakby walczyło się na ślepo albo przynajmniej z polem widzenia ograniczonym przez wąską szczelinę.

Golke włożył rękę do kieszeni bluzy mundurowej i wyciągnął płytkę danych.

- Niech pan skopiuje całą zawartość - powiedział. - To jest pełen zestaw map, o jakie pan prosił. Niech pan będzie jednak dyskretny. Ankre i generałowie Przymierza wysłaliby mnie przed pluton egzekucyjny, jeśli dowiedzieliby się, że to panu dałem.

- Będę ostrożny.

- Niech mi pan da trochę czasu a doprowadzę do zaakceptowania pańskich pomysłów w sztabie generalnym. Jeśli będziemy mogli wykazać wymierne korzyści, to łatwiej to przełkną. Pański dowódca, Van Voytz również nad nimi pracuje.

Nie wydaje mi się, żeby był jakoś szczególnie zadowolony z obecnej sytuacji.

- Również się tego obawiam - uśmiechnął się Gaunt.

- A teraz niech mi pan wyświadczy przysługę. Niech pan przesunie swój regiment na wyznaczone stanowiska. Niech pan okaże dobrą wolę. Ja wrócę do naczelnego dowódcy i przedstawię pańskie rady. Dzień lub dwa, może trzy.

Powiniśmy wtedy zobaczyć jakieś rezultaty.

Gaunt skinął głową i ucisnął dłoń hrabiego.

- Macie szansę wygrać tę wojnę, sir - powiedział. - Niech pan nie pozwoli, żeby Przymierze ją zaprzepaściło.

287-311

„Sierżant Tona Criid? Sierżant Tona Criid?”

Podoba mi się, jak to brzmi.

Nie spodoba się z kolei żadnemu innemu gothlernikowi. ”

Tona Criid, sierżant

Był to trzeci dzień Duchów na linii frontu. Przyzwyczajali się do rutyny: patrole i obchody, wyprawy do linii zasieków, pompowanie wody, obserwacja, wynoszenie wiader z latryny do okopu komunikacyjnego, przynoszenie wiader z jedzeniem z kuchni (słyszano jak Rawne zaklinał się „przysięgam, że im się te fethowe wiadra czasem myślą”). Przyzwyczajali się nawet do czegoś, co Corbec nazywał „chodem okopowym” - w pochyleniu, z głową opuszczoną, tak, żeby nic nie wystawało ponad parapet.

Napięcie pozostało. Od nocy, kiedy Mkoll był na zwiadzie, nie było ostrzału.

Drogiego dnia wróg zaatakował linię okopów o dwadzieścia pięć kilometrów na północ, przy posterunku 317, ale poza tym było spokojnie.

Jedna trzecia regimentu zajęła pozycje na linii frontu, a pozostałe dwie trzecie czekały w rezerwie w Rhonforą. Pod koniec pierwszego tygodnia miała nastąpić rotacja i zacząć się system zmian, dzięki któremu żaden z żołnierzy nie przebywałby na froncie dłużej niż tydzień i dostawałby dwa tygodnie odpoczynku w rezerwie. Gaunt, oczywiście, miał nadzieję, że Tanithiańczycy nie zostaną na froncie tak długo. W okopach, Duchy pokryły się błotem po pierwszych paru godzinach, a po pierwszym dniu obsiadły ich pchły. Spali, tak jak się dało, skuleni pod krawędzią parapetu albo w ręcznie wykopanych ziemiankach.

Criid była tak ubłocona, że postanowiła przestać z tym walczyć.

Posmarowała błotem twarz i włosy.

- Co pani, do Fetha, robi, sierżancie? - zapytał Skeen.

- Kamuflaż - odpowiedziała.

Po piętnastu minutach cały jej pluton, nie licząc dwóch, poszedł w jej ślady i wysmarował się błotem. Kolea nie zrobił tego, ponieważ nie rozumiał, co się dzieje.

Cuu nie zrobił tego, bo, no cóż, to był Cuu.

Mimo to Criid pogratulowała sobie, wyglądało na to, że ma za sobą większość plutonu. *Może sobie poradzę* - pomyślała.

Dziesiąty pluton zajmował posterunek 290, mając jedenasty, Obela, na północy i szesnasty pluton Maroya na południu.

Każdy posterunek obejmował mniej więcej dwa kilometry okopów bojowych, co dwadzieścia metrów przełamanych zakrętem. Mieli bunkier w ziemiance, z telefonem polowym i radiem, ale osobista łączność Duchów była przez większość czasu sprawniejsza.

Trzy razy dziennie Criid robiła obchód w towarzystwie Hwlana i DeFeble'a.

Sprawdzała, czy okopy nie zostały przerwane, czy dostarczono jedzenie, sprawdzała posterunki obserwacyjne.

Osobiście kontrolowała ekwipunek każdego żołnierza, zapasy amunicji i stopy na wypadek grzybicy.

Trzeci dzień był posepny. Od zachodu nadszedł deszcz, padał pod takim kątem, że ściany okopów nie dawały absolutnie żadnej osłony. Deszcz miał też smak lekko metaliczny i lekko chemiczny. Ktoś powiedział, że poprzedniego dnia na północy w Meiseq został użyty gaz bojowy i niektórzy żołnierze założyli kaptury przeciwgazowe lub obwiązali twarze szmatami. Ciemne, prawie czarne chmury wisiały nisko i ciężko. Wyciągały kolory z dnia. Twarze zrobiły się blade, oczy podkrążone.

Niektóre z poprzednich załóg okopów – Siedemdziesiąta Siódma Brygada Strzelców z Lunsgatte zostały na miejscu. Trzydziestoosobowy oddział pozostawiono do obsługi moździerzy, umieszczonych w wykopach rozrzuconych pomiędzy stanowiskami ogniowymi. Tamtejszy oficer, sierżant o nazwisku Hartwig dołączył do Criid w czasie obchodu wykopów z moździerzami. Był wysokim, pozbawionym humoru mężczyzną, owiniętym w ubłocony szary płaszcz. Na głowie miał zielone kepi z metalowym znaczkiem obrazującym jakieś podobne do niedźwiedzia zwierzę. Jego ludzie nie bratali się za bardzo z Tanithiańczykami. Zdawali się być pogodzeni z życiem w ciasnych ziemiankach. Criid miała wrażenie, że Hartwig i jego ludzie nie mają uznania dla jednostki, w skład której wchodziły kobiety, nie mówiąc już o dowódcy.

Moździerze były krępyimi, niebiesko-metalowymi urządzeniami o nazwie *feldwerfers* i stosowały sprężony gaz do pneumatycznego strzelania trzykilogramowymi pociskami. Załogi utrzymywały broń w nienaganej czystości, bez przerwy ją polerowali i oliwili. W zupełnym kontraście, same załogi były brudne i w podartych mundurach. Większość nosiła okrągłe czapki lub luźne kaptury oraz skórzane kamizelki, wielu poprzyczepiało płaskie arkusze pancerza na piersi. Twarze i ręce mieli czarne od brudu.

Pomiędzy moździerzami stały działa sprężynowe wzoru *Favell*, ciężkie małe katapulty, dla Criid wyglądające jak rodzaj organów. Do obsługi podwójnej korby i naciągnięcia długiego ramienia potrzeba było dwóch ludzi. Po pociągnięciu sznura spustowego bateria potężnych sprężyn podciągała ramię do góry i wyrzucała granaty lub bomby na pole bitwy.

Hartwig zapewnił Criid, że *Favell* może wyrzucić granat na odległość dwustu pięćdziesięciu metrów. Sztuka polegała na takim ustawieniu lontu, żeby bomba nie wybuchła w szczycie trajektorii. Powinna wybuchnąć na ziemi lub w jej pobliżu. Ale jeśli grenadierzy ustawili za długi czas to było niebezpieczeństwo, że wróg zdąży pozbić bomby i odrzucić z powrotem. Jeden z członków każdej drużyny obsługującej działo sprężynowe bez przerwy palił glinianą fajkę, gotowe źródło zapłonu, o wiele pewniejsze niż zapalki.

Strzelcy z Siedemdziesiątej Siódmej z Lunsgatte nie byli jedynymi mieszkańcami okopów. Skurczone, częściowo rozłożone fragmenty ludzkich zwłok wystawały z podłoża i ścian okopów, na ogół kiedy odsłonił je deszcz. Jak dowiedziała się Criid, w czasie szczególnie natężonych ataków trzy lata wcześniej, oddziały na tych posterunkach miały nakazane grzebanie poległych w samych okopach. Erozja gruntu i woda stopniowo wyciągała ich truchła na powrót na światło dzienne.

W czasie południowego obchodu trzeciego dnia Criid znalazła Lubbę i Vrila próbujących podeprzeć fragment drewnianego umocnienia ściany osuwającej się z powodu deszczu. Kawałek parapetu zmienił się w rynnę, z której leciał teraz wprost do okopu szeroki strumień deszczówki. Zadanie było tym bardziej nieprzyjemne, że tam gdzie stare deski ustąpiły, z ziemi wystawały dawne zwłoki, poskręcane i prawie zupełnie zmumifikowane.

- Gothlera! - rzuciła na widok sceny.

- Potrzebujemy więcej desek - powiedział Lubba. - Nawet jeśli te wstawimy z powrotem, to są już przegniłe.

Criid spojrzała na Hartwiga. - Deski? Płyty?

Zaśmiała się tylko.

- Chyba pani żartuje.

- Ma pan w takim razie jakieś sugestie? - zapytała.

Zaczynała być zmęczona posepną rezygnacją Hartwiga.

- Na posterunku 282 mają czasem trochę faszyny. Przynoszą ją z okopów zaopatrzeniowych, kiedy jest dostępna.

- Faszyna?

- Wszystko się przyda - powiedział Vril.

Criid zwróciła się do Hwłana.

- Idź do 282 i zobacz, czy uda ci się coś zdobyć.

- Tak jest, pani sierżant.

- A może by zatamować strumień? - zasugerował DeFelbe wskazując płynne błoto wpadające przez krawędź parapetu.

- Musielibyśmy wejść na górę. Wolę być mokry niż martwy odparł Vril.

- A może po zmroku - zastanowiła się na głos Criid.

- Jasne, pani sierżant. Jak będzie ciemno.

- Rozległ się mokry, pojedynczy odgłos i kolejna sekcja umocnienia osunęła się do okopu w miejscu, gdzie Lubba próbował je wepchnąć na miejsce. Buchnęło tłuste błoto, wyrzucając przy okazji kolejne zwłoki. Ciało zastygło w niemym krzyku, oczy i usta pełne były błota.

- Och, gothlera... Hwlan! - Criid krzyknęła do zwiadowcy, który stanął i spojrzał do tyłu.

- Zobacz czy nie znajdziesz też Zweila.

Hwlan skinął głową.

Przeszli kawałek dalej. Criid sprawdziła kolejnych dwóch czy trzech żołnierzy na stanowiskach ogniowych: Vulli, Jajjo, Kenfeld, Subeno. Buty Kenfelda przeciekały i potrzebował proszku na grzybicę.

Następnie doszli do Cuu albo przynajmniej stanowiska Cuu.

Posterunek był pusty.

- Mkhef!. - Criid zawołała do kolejnego żołnierza. Gdzie jest Cuu?

- W latrynie, pani sierżant - odkrzyknął żołnierz.

Zaczekali, aż pojawił się Cuu. Kiedy tylko zobaczył Criid, zdjął z ramienia karabin i bez słowa wyciągnął go do sprawdzenia. W jego oczach nie było żadnego wyrazu.

Na twarzy wciąż miał siniaki, jakie mu zrobiła.

- Opuściłeś posterunek, Cuu.

- Musiałem.

- Masz czekać do zmiany.

Pokręcił głową.

- Nie mogłem czekać. Wnętrznosci mi się skręcają.

Gothlerne jedzenie. Wyższa konieczność, pewne, pewniutkie.

- Od jak dawna jesteś chory?

- Jeden dzień. - Przy bliższym przyjrzeniu rzeczywiście wyglądał blado i niezdrowo.

- Cokolwiek w tobie zostaje?

- Wszystko przeze mnie przechodzi - odparł z niewypowiedzianą rozkoszą.

- Daj znać żeby przysłali zmianę - powiedziała do DaFelbego i spojrzała ponownie w stronę Cuu. - Zgłoś się do Dordena. Niech cię wykuruje solami albo zastrzykiem.

Zaraz potem wracasz tutaj, zrozumiałeś? Masz wrócić przed 13: 00, żadnych wymówek.

- Okay - powiedział Cuu, podnosząc ekwipunek. - Będę z powrotem na pierwszej, pewne, pewniutkie.

Criid patrzyła za Cuu jak odchodzi, aż zniknął za następnym zakrętem.

- Same z nim kłopoty - powiedział DaFelbe.

- Pewne, pewniutkie - odparła.

Na kolejnym stanowisku Criid znalazła Pozetine, Mosarka i Nessę Bourah skulonych pod kapiącym parapetem. Grali w kości, ale widziała, że bez żadnego entuzjazmu. Przeprowadziła szybką inspekcję, chociaż ta trójka to byli zdolni żołnierze, którzy nie potrzebowali dużo uwagi, i zapytała, czy mają jakieś problemy.

- Jedyne to czekanie - odparł Pozetine. Był niskim, krępyim mieszkańcem kopca Vervun i doskonałym strzelcem z przetrąconym nosem boksera, dawniej w oddziałach obronnych kopca. Nadawałby się idealnie na specjalizację snajpera, gdyby nie totalny brak wytrwałości. Szybko się nużył, a wówczas zaczynał kręcić się nerwowo. Dlatego nie był snajperem.

- Czekanie zawsze jest zabójcze - zgodziła się Criid.

Pozetine skinął głową.

- To dlatego nienawidzę się okopywać, sierżancie – powiedział. Przez cały czas przesuwiał kości na wierzchu dłoni. Nerwowa i aż za bardzo wypraktykowana sztuczka.

- Musisz być cierpliwy - odparła Criid.

- Cały czas mu to mówię - zamigła Nessa, ostoja spokoju.

Łatwo było powiedzieć. Żaden żołnierz nie lubił czekania. Obawy się wtedy zwielokrotniały i działały na nerwy. Pozetine znosił to gorzej niż inni.

Rób coś zasugerowała Criid. - Mogę ci znaleźć zajęcie.

Latryny... Gothlera z nimi - warknął Pozetine. Mosark wybuchnął śmiechem.

- To zmieniajcie się na punkcie obserwacyjnym.

- Proponowałem, ale on jest zadowolony i dobrze usadowiony.

„On”, którego użył Pozetine odnosiło się do Kolei, na końcu stanowiska. Zupełnie bez ruchu wpatrywał się w stereoskop dający widok ponad parapetem.

Criid podeszła do niego.

- Kolea?

Nie poruszył się. Delikatnie położyła mu rękę na ramieniu.

Uniósł wzrok. Widziała, że zabrało mu chwilę zanim zorientował się kim była.

- W porządku? Patrzysz już od dawna.

- Nie przeszkadza mi. Mogę patrzeć.

Rzeczywiście mógł. Jeśli Pozetine był najbardziej niecierpliwym żołnierzem w plutonie - gothlera, w całym regimencie - to Kolea był najbardziej skupionym i spokojnym. Wiedziała, że był na stanowisku obserwacyjnym od co najmniej dwóch godzin, niespiesznie przepatrując sto osiemdziesiąt stopni widnokregu. Nie nudził się i nie męczył. Każdego innego żołnierza zdjęłaby ze stanowiska już dawno z obawy, że ze znużenia przestanie być czujny. Ale nie jego.

Criid nie wiedziała dokładnie, co pocisk loxatla zrobił z mózgiem Kolei. Chirurg Cruth próbowała jej to wytłumaczyć, ale specjalistyczne terminy przerastały ją. Coś z pamięcią i osobowością. Obie zrujnowane. Gol Kolea, bohater ochotniczej kompanii, mądry, sprytny, silny... Stracony. Została z nimi tylko jego fizyczna powłoka. Wciąż można było na nim polegać, cecha która wydłużyła się do niezwykle długich okresów czasu.

Lub przynajmniej — mówiła sobie Criid - *zawziętość nawet przy najbardziej jednostajnych zadaniach.* Kolea mógłby, zachowując taką samą czujność, obserwować linię frontu przez całe godziny. Za to po pięciu minutach nie pamiętał, o czym z tobą rozmawiał.

Criid nikomu się do tego nie przyznała, ale Kolea był największym problemem w jej oddziale. Gaunt zakładał, że będzie to Cuu, ale wiedziała, że potrafi sobie poradzić z tym gothlernikiem. Nie, problemem był Kolea. Dziesiąty był od początku plutonem Kolei. To on stworzył jednostkę. Jeśliby zmarł, to byłaby to inna historia, ale wciąż tu był, ciągle przypominając o swojej umysłowej nieobecności, o pustce w miejscu, gdzie kiedyś było inspirujące dowodzenie.

A co gorsze, to przez nią spotkał go ten los. Została ranna w walce o Ouranberg.

Kolea wyniósł ją w bezpieczne miejsce, ale w konsekwencji został ciężko ranny w głowę. Nigdy się właściwie nie dowiedziała, dlaczego to zrobił. Varl mówił, że taki po prostu był. Nigdy nie zostawił żołnierza w niebezpieczeństwie.

Może i tak. Czowała jednak, że było coś jeszcze, coś więcej niż zwykła lojalność. Jakby Kolea miał wewnętrzne przekonanie, że akurat ją musi uratować.

Caffran podejrzewał, że to z powodu dzieci. Kolea mówił czasem o dwóch sierotach, które Criid uratowała z kopca Vervun jako „okruchy dobra”. Caffran wierzył, że Kolea miał niemal patryalistyczne uczucia w stosunku do Criid i niego, przybranych rodziców dzieci.

Cokolwiek. Nigdy się nie dowie. Nigdy nie będzie w stanie zapytać, ponieważ Kolea nawet nie pamiętał Ouranbergu, a co dopiero mówić o motywach, które nim kierowały.

- Jak się zmęczysz to gwizdź - powiedziała.

- Niech się pani nie martwi, sierzanie.

- Jak coś zobaczysz, to też zagwizdź.

Grubymi palcami sięgnął do sznurka na szyi i wyciągnął drobny gwizdek. Uśmiechnął się zadowolony.

- Mam świstawkę.

- Dobrze - powiedziała. - Wracajcie do zajęcia, żołnierzu.

Ruszyła w dalszą drogę, ale zatrzymała się w miejscu na kolejne słowa, jakie wypowiedział.

- Dzieciaki.

- Co?

- Co? - powtórzył.

- Co powiedziałeś, Gol? Przed sekundą?

- Uhm... - zastanowił się. - Dzieciaki. Nic im nie będzie?

- Wszystko z nimi w porządku?

- Wszystko u nich dobrze - odparła. Serce waliło jej w piersiach. Poczula się prawie tak, jakby dawny Kolea był na wyciągnięcie ręki.

- Są jeszcze młode - powiedział.

- Tak, są.

- Ale pewnie sobie poradzą. Skoro mówisz, że wszystko u nich w porządku.

- Poradzą sobie.

Skinał głową.

- Takie młode. Wojna to chyba wszystko co znają. Takie młode dzieciaki, większość z nich. Jeszcze się nawet nie gola. Zachowują się jak żołnierze.

Szeregowi Przmierza Aexe. To o nich mówił. Wszyscy w regimencie byli zaszokowani, jak młode było miejscowe wojsko. „Dzieciaki” powiedział o nich Lubba.

- O boski Imperatorze! Nie chodziło mu o jej dzieci. Przez chwilę widziała iskierkę, ale okazała się fałszywa.

- Wracaj do zajęcia - powiedziała.

- Wszystko w porządku, sierżancie? - zapytał DeFelbe.

- Ta. Pył mi się dostał do oczu - powiedziała Tona Criid.

Taczki z jedzeniem przejechały wzdłuż okopu na północ od posterunku 290 jakieś piętnaście minut wcześniej, wydając żołnierzom jedenastego plutonu kawałki razowca i wodnistej zupy rybnej z twardymi warzywami. Teraz szeregowy Gutes szedł w deszczu i zbierał do wiadra brudne menażki, żeby opłukać je przy kranie w okopie zaopatrzeniowym na tyłach 290.

Było to zadanie wachty, która dzisiaj przypadła Gutesowi. Nie narzekał, choć było to podłe zajęcie. Zanim zbierze wszystkie menażki wiadro będzie pełne i brudne. Piet Gutes był jednym ze starszych Tanithiańczyków, wymizerowanym i zmęczonym. To jednak nie fizyczne zmęczenie mu dolegało.

Raczej wyniszczające zużycie przez żywot w Gwardii. Beznadziejne zmaganie, żeby przeżyć kolejny dzień, wiedząc, że nie czeka na nich szczęśliwe zakończenie. Nie ma ojczyściego świata. Nie ma rodziny, w objęcia której można by powrócić.

W dniu, kiedy Tanith umarła, córka Gutesa, Finra, miała dwadzieścia jeden lat, a jej córka Foona ledwie cztery miesiące.

Zostawienie ich było bolesne, ale Imperator wzywał, a Imperator to Imperator.

Piet Gutes budził się czasem w nocy, siadając na posłaniu, a przed oczami migały mu ostatnie ogniste wybuchy na Tanith. Finalne, wstrząsające rozbłyski płomieni i światła oznaczające śmierć świata, na którym wyrósł. Był to drobiazg, mrugnięcie w ciemnościach. Widział to z pokładu obserwacyjnego transportowca. Drobnym, cichym

rozbłysk.

Jakże mogła to być umierająca Tanith, zastanawiał się często. Pękająca skorupa planety. Parujące oceany. Wpadające na siebie, rozpadające się kontynenty. Wielkie puszcze nagle zmieniające się w popiół w ścianie białego gorąca. Uwolnione jądro planety, wybuchające i gotujące się w próżni. Piet Gutes podejrzewał, że wszystko, nawet najważniejsze, najbardziej znaczące zdarzenie w jego życiu lub czymkolwiek życiu wyglądałoby jak drobny, cichy rozbłysk, jeśli oglądałoby się je z wystarczającej odległości.

Zastanawiał się czasem nad tym, myjąc zatłuszczone menażki, układając magazynki, przyszywając guziki do munduru.

„Galaktyka była duża, a wszystko w niej małe, on też był mały. Imperator nie żyje! Naprawdę? Tak... Tamten drobny rozbłysk. Widziałeś? Imperium upadło. Święty Feth, żartujesz? Nie, to tamten drobny rozbłysk. Musiałeś zauważyć.

Daleko stąd. Tam właśnie chciałby być. «Daleko w górach», jak w słowach starej piosenki”. Tylko tego teraz pragnął. Być tak daleko, żeby wszystko wydawało się małe i nieznaczące.

- Menażki, menażki wolał, brnąc przez kolejne posterunki, z dwoma rękami na nosidle. Garond wrzucił swoją, po nim Fenix i Tokar.

Bardzo dziękuję powiedział Gutes każdemu, głosem tak pełnym sarkazmu, że wybuchali śmiechem.

Wcisnął się do stanowiska ciężkiej broni, gdzie Gaili i Melyr kulili się za działkiem. Caill wrzucił swoją menażkę, opróżnioną tylko do połowy, ale Melyr jeszcze wyjadał ostatki sosu maczając w nim pozostałości chleba Cailla.

- Na Fetha, ty to możesz jeść?

- Jak się jest głodnym, to wszystko smakuje odparł Melyr.

Gutes lubił Melyra. Krępy, solidny, as działka i wyrzutni rakiet. Nie mógł tylko znieść jego widoku tutaj. Specem od ciężkiej broni w jedenastym plutonie był Bragg. Hark przeniósł Melyra z dwudziestego siódmego, kiedy Bragg zginął. Było to prawie niestosowne. Caill, najlepszy ładowniczy w regimencie, w opinii Gutesa, dopiero został połączony w zespole z Braggiem. A teraz nosił skrzynki i podawał taśmę komuś innemu.

Czasy się zmieniają. Tak trzeba. Wystarczy się jednak odsunąć odpowiednio daleko i nic już nie jest tak istotne.

Melyr skończył, cmoknął ustami z uznaniem i wrzucił menażkę Gutesowi do kubła.

- Wyrazy uznania dla szefa kuchni.

- Melyr, człowieku, oszalałeś - powiedział Gutes.

- A ja muszę siedzieć koło tego fethownika - dodał Caill.

- Usiądź dalej. Nie będziesz już wyglądał na takiego waśniaka zasugerował Gutes.

- Że co?

Gutes pokręcił głową. Cieszył się, że Caill dogaduje się z nowym partnerem. Tylko to się liczyło. Wiedział, że Caill wciąż ma do siebie pretensje. Zostawił Bragg samego i pobiegł po świeżą amunicję. Kiedy wrócił Bragg był załatwiony.

Trzy pociski *loxatla* z bliskiego zasięgu, tak Gutes słyszał. To tak jakby połknął ładunek wybuchowy. Taka jatka, że z trudem znaleźli wystarczająco dużo na pochówek, a Bragg był sporych rozmiarów.

Feth - pomyślał Gutes.

Ruszył dalej, schylając się pod wzmocnionym łukiem nad okopem i wszedł na kolejne stanowisko żałując, że nie ma wolnych rąk, żeby odpędzić muszki brzęczące wokół twarzy.

Loglas opowiadał mu o żołnierzu, kawałek dalej na linii, który nie zwracał uwagi na muchy i obudził się kiedyś z mózgiem wyżartym przez larwy.

Piet Gutes nie miał na to ochoty. Zastanawiał się jednak jak ktoś z mózgiem wyżartym przez larwy zdołał się obudzić.

Coś się nie zgadzało w tej historii. A może Loglas stroił sobie żarty.

- Wszystko w porządku Piet? -zawołał sierżant Obel, nadchodząc ze swoim posłańcem z przeciwnej strony okopu.

- W porządku, sir.

- Moją już dostałeś - powiedział Obel.

- Dostałem - potwierdził Gutes.

Menażka każdego Ducha miała wygrawerowane jego nazwisko i osobisty numer. Zabawa zaczynała się, kiedy trzeba było oddać menażki właścicielom.

Zabawa. Akurat. Nic w zbieraniu, czyszczeniu i oddawaniu menażek nie było zabawne.

- No to w drogę, Gutes - rzucił Obel.

Gutes zatrzymał się na końcu stanowiska i złożył kubel na ziemi. Thuste pomyje wylały się przez krawędź.

- Hej, Larks?

Szalony Larkin powoli odwrócił się od otworu strzelniczego, w którym spoczywał jego przedłużony karabin. Uśmiechnął się lekko na widok Gutesa. Byli dobrymi kumplami od czasu Powołania. Fajnie było zobaczyć, że się uśmiecha. Larkin zdawał się ostatnio bardziej nerwowy niż zwykle. Był bardzo blisko z Braggiem.

- Masz menażkę? - zapytał Gutes.

Larkin rozejrzał się dookoła i w końcu wyciągnął naczynie z półki w umocnieniu okopu. Było pełne zupy, kawałek chleba zupełnie rozmiękł.

- Ach, Larks, musisz jeść.

- Nie jestem głodny, Piet.

- Musisz jeść.

Larkin wzruszył ramionami. Gutes wziął menażkę.

- Na pewno nie chcesz?

- Ta. Nie mam apetytu.

- No dobra. - Gutes zostawił kubel koło Larkina i cofnął się kawałek wzdłuż okopu. Melyr przyjął dodatkową porcję z radością. - Będziesz musiał sam ją umyć i oddać Larksowi - powiedział Gutes.

Poszedł z powrotem do kubła.

- Co ty Larks? - zapytał.

Larkin pracował śrubokrętem przy ustawieniach lunety.

- Kalibruję - wyjaśnił.

Każdy snajper kalibrował swoją lunetę. To było oczywiste. Poprawka pierścienia na końcu lunety, chwila dla skanera, żeby odczytał siatkówkę i ustawił celownik, ale Larkin robił dużo więcej. Zdejmował osłonę i zmieniał ustawienia skanera,

kalibrując broń do niuansów prędkości wiatru i podniesienia, które były zbyt subtelne dla automatu. Gutes słyszał czasami jak Larks twierdził, że widzi prawdę w swojej lunecie.

Widok przez lunetę był jedyną rzeczywistością, jakiej ufał.

Uważaj, żeby cię jakiś techkapłan nie złapał przy tym - przestrzegł Gutes. Spaliliby cię na stosie.

- To im nie mów - odparł Larkin.

- Nie powiem. Larkin był najlepszym strzelcem w regimencie i Gutes nie zamierzał mu mówić, jak ma wykonywać swoją pracę nawet, jeśli grzebanie przy sprzęcie wojskowym było ściśle zabronione. To była dziedzina tech-kapłanów, którzy zazdrośnie strzegli swoich sekretów. Jeśli Larkin musiał być heretykiem, żeby tak dobrze strzelać, to Gutes nie miał nic przeciwko temu.

Podniósł chlupoczący kubeł i ruszył w drogę, odbierając ostatnie menażki, a potem kierując się do okopu zaopatrzeniowego.

- Hej, Larks.

Larkin podniósł wzrok znad lunety myśląc, że Piet Gutes wrócił z jakiegoś powodu. Nie był to jednak Piet Gutes.

- Jak ci leci? - spytał Lijah Cuu.

- Co do Fetha? - Larkin cofnął się do rogu swojego stanowiska, ręką starając się znaleźć rękojeść noża. - Co ty, do Fetha, tu robisz?

- No wiesz, to nie było miłe. - Cuu przykucnął na stanowisku Larkina z łokciami na kolanach. - Wpadłem przywitać się z kumplem. A ty zachowujesz się bardzo nie po przyjacielsku.

- Nie - wymamrotał Larkin.

A właśnie, że tak, pewne, pewniutkie.

- Czego chcesz?

Cuu wyprostował szczupłe nogi i usiadł plecami do parapetu.

- Tak jak mówiłem, przywitać się.

- Nie powinno cię tu być - powiedział Larkin.

- A kto się dowie, no powiedz, kto? Powiniennem być u lekarza. Nikt nie wie, że tu jestem. Kogo obchodzi dwóch rozmawiających kumpli?

- Nie jestem twoim kumplem - odważnie odparł Larkin.

Ręka odnalazła w końcu nóż. Trzymał go za plecami.

Cuu się zamyślił.

- Może nie. Może nie.

Pochylił się do przodu, zbliżając swoją przeciętą blizną twarz do twarzy Larkina.

- Kumple to niewłaściwe słowo, co nie, Tanithiańczyku? Mamy porachunki między sobą. Wydałeś mnie, wydałeś komisarzom, na Phantine. Ty i ten duży głupek.

- Nie nazywaj go tak!

- Duży głupek? Dlaczego do gothlery nie miałbym nazywać dużego głupka, dużym głupkiem? Był dużym głupkiem, pewne, pewniutkie.

- Zamknij się!

- Hej, jestem przecież miły i chciałem się przywitać - Cuu ściszył głos do szeptu.

Mamy porachunki, Tanithiańczyku. Ty to wiesz i ja to wiem. I załatwimy je. Dzięki tobie mam na plecach blizny od chłosty. W nocy przeważnie myślę o tobie. O

tobie i tym świętoszku, dużym głupku. Wcześniej czy później zapłacisz .

Larkin odsunął się jeszcze dalej. Wiedział, że nie ma szans na wyciągnięcie karabinu z otworu strzelniczego. Chciał krzyknąć, ale nikogo w pobliżu nie było.

- Co masz na myśli mówiąc, że mam ci zapłacić?

- Wcześniej czy później, pewne, pewniutkie. Wojna to straszna zadyma, Tanithiańczyku. Zamieszanie i takie tam gówna. W środku walki, gówno lata na wszystkie strony. Kto niby zauważy, jak odbiorę moją zapłatę? Będziesz tylko kolejnym ciałem na liście.

- Nie odważysz się!

- Och, doprawdy? Dostaniesz za swoje, tak jak dostał duży głupek.

Hlaine Larkin zamarł. Od czasu Phantine pilnował się bez przerwy, czekał na ten moment. A teraz Lijah, fethowy Cuu po prostu przyszedł sobie jak gdyby nigdy nic. Ale te ostatnie słowa ugodziły go najmocniej, mimo przerażenia.

- Jak to, jak dostał? Co to, do Fetha ma znaczyć?

- Straszna szkoda. Duży głupek już tylko wacha kwiatki od spodu.

- Nie, nie, nie to masz na myśli. Wcale nie! Feth... Cuu, ty łajdaku, zabiłeś go!

- Akurat - uśmiechnął się Cuu.

- Sukinsynu! Pójdę z tym do Gaunta.

Ręka Cuu wystrzeliła i zamknęła się ciasno na gardle Larkina.

Oczy mu pociemniały, jak chmura, która przesłania słońce.

- O nie, nie pójdziesz, gothlerniku. Kto by ci niby uwierzył, co? Masz jakiś gothlerny dowód? Ta sprawa jest tylko pomiędzy nami. Ty i ja. Nasze porachunki. I zostaną załatwione, pewne, pewniutkie. Będziesz wiedział za co. I ja będę wiedział, a wszyscy pozostali mogą sobie zgadywać. Zapłacisz za moje blizny od chłosty. Zapłacisz własnymi bliznami.

Larkin wyciągnął nóż. Czyste srebro, całe trzydzieści centymetrów. Nóż bojowy Pierwszego i Jedynego z Tanith. Zdesperowany rzucił się na Cuu.

Cuu był gotowy. Zablokował nadgarstek Larkina lewą ręką zwiniętą w pięść, odsuwając nóż na bok i zacieśnił chwyt na gardle. Larkin szarpnął się do tyłu, ale był w potrzasku, jak zwierzę, jak zdobycz.

Cuu walnął go w głowę i ogłuszonego, zataczającego się zrzucił ze stanowiska.

Larkin wylądował ramionami na deskach, na dnie okopu i poczuł jak pod nim jęknęły. Palcami szukał swojego noża. Nóż znajdował się w ręku Lijaha Cuu.

Cuu stanął nad nim, uniósł nóż Larkina do ust i powoli polizał ostrze. Drobniutkie kropelki krwi spadły na czoło Larkina.

- Jesteś fethowo nienormalny! - wysapał Larkin.

- Pewne - powiedział Cuu - pewniutkie. Zaszliśmy już tak daleko. Zróbmy to do końca.

Rzucił się na Larkina z wyciągniętym ostrzem. Larkin pamiętał elementy walki, jakie pokazał mu Corbec i przeturlał się odkopując nogi Cuu w bok. Cuu upadał i tnąc na oślep nożem rozharatał spódnię Larkina. Larkin pisnął i znowu kopnął. Cuu jednak ruszał się jak wąż i oplótł wierzgające nogi Larkina.

Nóż znalazł się przy szyi Larkina. Poczuł jak ostrze przecina skórę.

- Co tu się, do Fetha, dzieje?

Okopem zbliżał się Loglas z dłońmi zwiniętymi w pięści.

- Cuu? Co ty, do Fetha robisz?

Walcząc z naciskiem na gardło, Larkin wrzasnęła. O dziwo jego krzyk zabrzmiał jak gwizdek.

Gwizdek. Dwa kolejne. I następne.

Loglas stanął i spojrzał w górę. Pocisk uderzył w tylną ścianę stanowiska strzelniczego i wybuchł, wyrzucając błoto, glinę i kawałki drewnianych umocnień na pięćdziesiąt metrów w górę. Przynajmniej dwudziestofuntówka.

Larkin wszystko widział. Widział sam pocisk. Szarą łuskę, postrzępione lotki, jakby na filmie w zwolnionym tempie. Widział straszny błysk. Widział jedną z lotek, ułamany kawałek metalu, dziesięć na dwadzieścia centymetrów odlatujący od wybuchu, kręcący się w powietrzu jak dziecięca zabawka.

Siła podmuchu przewracała Loglasa do tyłu, kiedy lecąca lotka uderzyła go w twarz. W zwolnionym tempie Larkin zobaczył jak twarz Loglasa wykrzywia grymas. A potem jego rysy wykręcają się tak jak żadna żywa twarz nie mogłaby się wykrzywić. Twarz Loglasa zapadła się od nosa i czoło oderwało mu się od skalpu jak szarpnięta zasłona. Głowa konwulsyjnie szarpnęła się do tyłu, szyja poszła w strzępy, kiedy wracała z powrotem. Twarz zniknęła, wessana w dziurę pojawiającą się z przodu głowy aż wirująca lotka wyszła tyłem, wyrzucając przed sobą kawałki czaszki i krwawej tkanki.

- Neeeeee! - zawył Larkin. Zaraz po tym ogłuchł, uderzony rykiem wybuchu.

Colm Corbec wyszedł ze swojej ziemianki na posterunku 295 mniej więcej na sześćdziesiąt sekund przed uderzeniem pierwszego pocisku. Zatrzymał się na stanowisku strzelniczym, krzywiąc się i przykładając rękę do czoła, żeby osłonić oczy przed padającym deszczem.

- Szefie? - zapytał Rerval, jego oficer radiowy. - Coś nie tak?

Corbec poczuł zapach amoniaku na wietrze. Baterie dział ładowane do ostrzału.

Rerval patrzył z przerażeniem mieszanym z fascynacją, jak Corbec powoli unosi gwizdek do ust i gwizdże.

Rerval podniósł słuchawkę nadajnika i zaczął wrzeszczeć:

- Nadchodzi!

Powtórzył okrzyk trzy razy, zanim złowieszcze kliknięcie oznajmiło, że impuls magnetyczny wrogich dział przerwał łączność.

W tym momencie nadleciały pociski.

Nadleciały w deszczu. Leciały jak deszcz. Uderzyły w sektor

55 okopu bojowego Linii Peinforq od posterunku 251 aż do 315 i dalej, w sektor 56 nawet do 349.

Dziesięć pocisków na sekundę, duży kaliber z dalekich baterii super dział i mniejsze pociski z haubic z linii frontu Shadik.

W przeciągu dwóch minut w powietrzu pojawiła się mgła z błota i rozbitych na atomy fragmetów gruntu, okopów, odłamków, rozciągająca się nad piętnastokilometrowym odcinkiem.

Ziemia zadrżała.

Pomiędzy 293 i 294, Rawne i Domor zdołali ukryć swoich ludzi. Spośród trzech plutonów Wheln i Leclan oberwali szrapnelami, Torez stracił ramię, a Famoss został zdekapitowany. Pięć metrów okopów po prostu zniknęło w nawale rozpryskującej się ziemi.

Sierżant Agun Soric przespał pierwsze trzydzieści sekund nawałnicy. Huk i wibracje nie zdołały go obudzić. Vivvo musiał szarpać go za ramię i krzyczeć prosto w twarz. Soric zamrugał jednym okiem i spojrzał w słabym świetle ziemianki posterunku 292 na bladą twarz Vivvo.

- Co jest? - zapytał treściwie.

W tle słyszał jednak huk wybuchów i krzyki ludzi, a mały połowy stolik podskakiwał jak szalony.

- Gothlera! - prychnął Soric i zerwał się z posłania. Jak mógł to przespać?

Ponad ciągłym wyciem nadlatujących pocisków słyszał odłamki grzechoczące o ściany ziemianki. Ktoś wołał o medyka.

Niski, krępy, blady, o szczerym uśmiechu i potężnym temperamencie żrącym jak kwas solny, Soric był nadzorcą odlewni na Verghast. W czasie tamtejszej wojny został dowódcą partyzantów. Z wyczynów w tamtych czasach pozostały mu blizna w miejscu jednego oka, chroma noga i olbrzymi szacunek dla mieszkańców kopca Vervun. Ibram Gaunt nawet się nie zastanawiał przed powierzeniem mu dowództwa plutonu.

Zdolność do spania jak za dawnych lat, kiedy potrafił się zdrzemnąć pomimo huku w odlewni, teraz stawała się co najmniej kłopotliwa.

Wypchnął Vivvo na zewnątrz, przyciskając go dłonią położoną na ramieniu, żeby pozostał schylony. Powietrze było pełne falującej, ciemnej mgły, od której krztusili się gwałtownie. Nie widzieli nic poza wirującymi oparami i rozmytymi, jasnymi rozbłyskami. Parapet posterunku 292 był wyjątkowo niski i podmyty wodą, za jego krawędzią uformowało się szerokie jezioro. Wpadające do niego pociski podnosiły gęstą parę i wirujące opary.

- Gothlera, z powrotem do środka, synu - Soric zakaszlał i wepchnął Vivvo do ziemianki.

Stał przez chwilę sam, choć nie potrafił powiedzieć na ile rzeczywiście sam. *O kilka metrów dalej mogli być ludzie* - pomyślał Soric - *a ja ich nie widzę*. Próbował krzyczeć, ale usta wypełniły mu kropelki błota i znów się zakrztusił. Poza tym, ciągle wybuchy i tak go zagłuszały.

Wtoczył się z powrotem do ziemianki. Vivvo stał na czworakach, z głową wciśniętą między ramiona i wymiotował płynnym błotem.

- Zginiemy, szefie! - wydusił z siebie.

- A zginęliśmy na Verghast?

- Nie...

- Więc jestem pewny jak gothlera, że nie zginemy też na tym dupowatym świecie.

- Soric usiadł na płóciennym stołku.

Poczuł, że coś go ciśnie w biodro i odkrył w kieszeni spodni pojemnik na rozkazy. Nie pamiętał, żeby go tam wkładał. Odkręcił mosiężną zakrętkę i wytrząsnął ze środka złożony kawałek cienkiej niebieskiej bibułki. Arkusz z gwardyjskiego notesu do pisania wiadomości. Każdy sierżant taki posiadał, choć rzadko z nich

korzystano mając łączność radiową. Przydawały się w specjalnych wypadkach i Soric był pewny, że nie korzystał ze swojego notesu, odkąd tu przybyli. Kiedy się rozejrzył, zobaczył go na półce, na ścianie ziemianki. Papierowa taśma była zerwana i brakowało jednego arkusza.

Rozłożył kartkę. Krótka wiadomość była ręcznie napisana ołówkiem. „Bombardowanie przez szesnaście minut, potem natarcie z północnego wschodu”.

Przeczytał jeszcze raz. Palce mu lekko zdrząły. Nie było wątpliwości. To był jego charakter pisma.

Ryczący pocisk uderzył w trzeci zakręt od posterunku 289 i wyrzucił w powietrze grudy ziemi, kawałki drewna i fragmenty cegieł. Gaunt rzucił się na ziemię, ciągnąc za sobą Beltayna. Naokoło żołnierze padali powaleni falą uderzeniową. Gaunt wstał, kiedy ustał deszcz odłamków. Zgubił gdzieś czapkę. Ktoś w pobliżu jęczał żałośnie.

- Beltayn?

Adiutant wstał powoli.

- Nic ci nie jest?

- Feth - wymamrotał Beltayn, zginając lewą dłoń. Miał zwichnięty kciuk. - Coś tu nie tak...

Zamilkł, kiedy zobaczył na deskach, na dnie okopu ciało szeregowego Sherica.

Wybuch zniszczył mu połowę głowy i przebił piersi kawałkiem deski. Zwichnięty kciuk Beltayna zrobił się nagle bardzo mało znaczący.

Dwóch żołnierzy z piętnastego plutonu próbowało w pobliżu opatrywać rozerwany brzuch szeregowego Kella. To właśnie Kell jęczał, wydawał słabe, zwierzęce dźwięki. Żółtawe zwoje wnętrzości wylewały się z jaskrawoczerwonych ran.

Sierżant Theiss, na co dzień pogodny dowódca piętnastego plutonu, przybiegł z jednym ze swoich kaprali. Powiedział do Gaunta coś, czego nie dało się w huku ostrzału zrozumieć. Gaunt odprawił go gestem i wskazał Kella.

Kiedy zaczęło się bombardowanie, Gaunt był na posterunku

289 na inspekcji. Przeklinał w duchu, że znalazł się w niewłaściwym miejscu. Jego własny pluton, Pierwszy, został na posterunku 291, pod dowództwem Caobera. Nie było szansy, żeby teraz do nich dołączył.

Wszedł na stanowisko ogniowe i rozejrzył się wzdłuż linii przez lornetkę podaną przez Beltayna.

- Na Tron... - zamruczał

Na ile potrafił dostrzec, cała dolina była piekłem. Zwały dymu, ciężkie i gęste jak chmury burzowe, wisiały nad okopami zasłaniając widok. Pociski spadały przez dym, niosąc śmierć i zniszczenie. Potężny ogień płonął w okolicach 256. Wyglądało na to, że cała sekcja została rozwalona na posterunku 260. Ostrzał przesuwiał się do okopów zaopatrzeniowych i łącznikowych. Tarcze podniosły się nad stanowiskami dowodzenia, ale to nie one były celem. Dzisiaj Shadik celował w linie piechoty. A to mogło oznaczać tylko jedną rzecz.

Preludium do ofensywy.

Rozległ się dźwięk gwizdka. Gwizdał Kolea na stanowisku obserwacyjnym.

- Nadchodzą! - krzyknął.

Criid wyturlała się z dziury, w której się skryła. Para i dym spalenizny zatykały okopy. Posterunek 290 dostał nieco, ale było to nic w porównaniu z sekcją Maroya. Dmuchięła w gwizdek.

- Bagnety! Przygotować się do odparcia ataku! - Bardzo chciała sprawdzić, co się dzieje z załogą Maroya, ale nie było na to czasu. Naokoło niej żołnierze dziewiątego plutonu stawali na stanowiskach ogniowych z nożami umocowanymi na końcach luf. Pociski wciąż spadały. Zdawało jej się niemożliwym, żeby wróg nacierał poprzez ostrzał.

Ufała jednak Kolei. Nigdy jej nie okłamał i teraz też mówił prawdę.

Skulona na śliskim od deszczu kamiennym stopniu, wyjrzała przez otwór strzelniczy. W snujących się oparach widziała sylwetki biegnące naprzód w powolnym tempie, z kołyszącą się bronią.

Mkoll zrobił odprawę dla Pierwszego. Nie można im pozwolić podejść na tyle blisko, żeby mogli zaatakować granatami. Bomby to ich sposób na zdobycie linii.

Działo sprężynowe albo pneumatyczny móździerz mają zasięg dużo dalszy niż człowiek.

- Hartwig! Cel na zbocza, teraz!

- Tak jest, pani sierżant!

W obliczu bombardowania ich mały ostrzał wydawał się słabiutki. Jęknęły działa sprężynowe i zagrały móździerze. Za parapetem rozległy się wybuchy lekkich pocisków.

- Nie przestawaj! - krzyknęła. Zaryzykowała kolejny rzut okiem i zobaczyła rozmazane we mgle szeregi nacierających żołnierzy Shadik. Wielu z nich zataczało się lub było wręcz wyrzucanych w powietrze przez spadające pośród nich bomby i pociski móździerzowe.

Spojrzała wzdłuż linii. Dziewiąty pluton przycisnął się w gotowości. Zobaczyła jak Vril spluwa i potrząsa głową. Jajjo osuszał peleryną uchwyt na karabinie. Zobaczyła Nesse, sztywną jak pomnik ze swoim przedłużonym karabinem. Nessa wciąż miała chłopięco krótkie włosy, po strzyżeniu na zapałkę na Phantine i czasami można ją było wziąć za jednego z młodszych mężczyzn. Jeden z żołnierzy - Criid sądziła, że był to Subeno - wymiotował z nerwów, ale wciąż trwał na swoim posterunku.

- Czyste srebro! - krzyknęła Criid. - Wstawać i strzelać bez rozkazu!

Jej pierwszy bojowy rozkaz.

Dziewiąty pluton wstał jak jeden mąż i oparł karabiny o parapet.

Zaczęli strzelać, powalając najbliższych napastników Shadik, ponad którymi przelatywały wspomagające strzały z gniazda móździerzy Hartwiga.

Criid próbowała znaleźć cel, ale dym napływający ze strony ziemi niczyjej był tak gęsty, że czuła się jakby celowała do brudnej wody. Niespodziewanie wyskoczył napastnik w kolczym hełmie, zamachnął się, żeby rzucić granat i nacisnęła spust. DaFelbe, z jej boku, też go zobaczył i wspólnie zabili napastnika. Granat spadł na ziemię, podskoczył i wybuchł.

Pojawiło się ich więcej i biegli w stronę linii obrońców.

Niektórzy poruszali się w grupach, zasłonięci prowizorycznymi tarczami z zachodzących na siebie płyt. Criid władowała pięć strzałów w jedną z takich tarcz, ale nie spowolniła ich tym. Była ledwie o sześć metrów od parapetu, kiedy zalał ją strumień płynnego ognia zmieniający się we wrzeszczącą masę płomieni i rzucających się ludzkich pochodni.

Lubba wystrzelił jeszcze raz, zalewając ogniem z miotacza najbliższą okolicę. Mimo nawałnicy ostrzału Criid wyraźnie słyszała stukanie i prychnięcie jego zbiornika. Pociski smugowe z pomocniczych broni plutonu zaczęły przecinać powietrze nad błotnistym zboczem. Postacie tańczyły i podskakiwały. Niektóre zawisały na drutach.

Granaty ręczne zaczęły nadlatywać w ich kierunku. Criid musiała się gwałtownie schylić kiedy jeden wybuchł tuż przed parapetem. DaFelbe spadł ze swojego stanowiska, trzymając się za prawy policzek, gdzie szrapnel wbił mu się w szczękę. - Medyk! - krzyknęła Criid. Wróciła do strzelania. Byli teraz tak cholernie blisko, i pomimo wszystkiego, było ich tak cholernie wielu.

Brin Milo, najmłodszy z Duchów, był tuż za swoim sierżantem, kiedy napastnicy zaczęli wskakiwać do okopu. Jeden z nich przeleciał nad głową Milo i upadł niezgrabnie na deski podłogi. Sierżant Domor odwrócił się i zastrzelił go tam gdzie leżał. Byli zalewani. Potężne ilości napastników rzuciły się na 293 i 294 i przedarły się przez parapet. Przed plutonami trzecim i dwunastym stało teraz najgorsze, co wojna pozycyjna ma do zaoferowania. Walka wręcz w wąskim okopie.

Napastnicy ubrani byli na zgniło zielono i brązowo, większość miała kaptury przeciwgazowe i ciężkie hełmy na głowach.

Uzbrojeni byli w karabiny starego typu, pistolety i zakrzywione haki.

Świat zrobił się bardzo, bardzo mały. Wąska przestrzeń pomiędzy ścianami z ziemi, pod ogłuszającym ostrzałem, pełna przepychających się ciał. Milo ciął i kłuł bagnetem, cofnął się o krok przed zalewającą go krwią i strzelił z przyłożenia do zamachującej się na niego postaci w zgniło zielonym mundurze.

Przez pewien czas - po prawdzie dłuższy niż odpowiadała większości z Duchów - Milo był jedynym cywilem uratowanym przed upadkiem Tanith. Uratował go Gaunt, chociaż czasami Milo lubił wyjaśnić, że było odwrotnie. Z tego powodu był przez wszystkich uważany częściowo za maskotkę, częściowo za szczęśliwy talizman. Dodatkowo jego zdolności gry na piszczalkach z Tanith okazały się bardzo przydatne. Milo został szeregowym, kiedy tylko osiągnął odpowiedni wiek. Według Corbeca, Varla, Larkina, Bragga - niech Bóg-Imperator da mu wieczne odpoczywanie - do czasu, kiedy Milo przyszył swoją pierwszą plakietkę do czapki, miał więcej doświadczenia bojowego niż większość Gwardzistów po pięciu latach służby.

Tak to jest, kiedy się było jednym z wybrańców Gaunta.

Na swoje własne życzenie, Milo został włączony do plutonu Domora. Wiedział, że miał szansę na miejsce w Pierwszym, osobistym plutonie Gaunta, ale chciał jak najbardziej odsunąć się od swojego „wybawcy”. Oraz od opinii, że był szczęśliwą maskotką Gaunta.

Brin Milo nie był maskotką. Miał dwadzieścia jeden standardowych lat, był wysoki i silny, nikt mu nie mógł teraz podskoczyć. Pomimo jego wieku, Duchy - szczególnie

Tanithiańczycy - traktowali go zupełnie poważnie. Milo tylko to podejrzewał, ale obaj Gaunt i Corbec widzieli w nim materiał na dowódcę oddziału.

Brin Milo miał coś do udowodnienia. Będzie to jego przeznaczeniem, że będzie miał coś do udowodnienia, aż do dnia kiedy zginie.

O niecałe dwadzieścia metrów na północ od Milo, pluton majora Rawne również odpierał natarcie. Okop był zapchany siłującymi się, śmierdzącymi, spoconymi ciałami. Rawne nie widział na dalej niż kilka metrów w każdym kierunku. Strzelił z pistoletu laserowego i ciał nożem bojowym. Feygor, w ubraniu przesiąkniętym krwią, pojawił się koło niego i razem wdarli się nieco w głąb zgnilozielonych postaci stłoczonych w okopie. Deptali po rannych i zmarłych z obu stron. Był z nimi Melwid i przez krótki czas, Caffran oraz Leyr.

- Przygniećcie ich do zakrętu - krzyczał Rawne. - Gdzie jest Neskon? Gdzie do Fetha, jest Neskon?

Plutonowego specjalisty od miotacza ognia nigdzie nie było widać. Niczego nie było nigdzie widać, oprócz kłębiących się, atakujących postaci nieprzyjaciela.

Wystrzelił pistolet, odgłos zagłuszyły gęsto upakowane ciała.

Rawne zobaczył jak Melwid pada, trzymając się za brzuch. Sam poczuł tępy ból w przeponie. Feygor krzyknął coś i nadział właściciela pistoletu na bagnet.

Rawne upadł. Nie miał takiego zamiaru, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

Upadał w bok i uderzył głową w szalunek.

Dźwięki zrobiły się dalekie i przytłumione.

Co za fethowo głupi sposób na prowadzenie wojny – pomyślał Rawne.

- Fethowo głupie, co? - powiedział ktoś za nim.

Przekręcił się i spojrzał w górę. Bardzo chciał żeby nogi znów zaczęły pracować.

Jessi Banda, snajperka plutonu, kulila się w zaułku w ścianie okopu.

- Co? - spytał Rawne.

- Powiedziałeś, że fethowo głupi sposób na co? - zapytała szorstkim głosem.

- Na prowadzenie wojny - odparł. - Powiedziałem to na głos?

- Raczej wykrzyczałeś - powiedziała.

Krzyknął, kiedy ktoś mu stanął na nogach. Banda sięgnęła i wciągnęła go do swojego zaułka, trzymając mocno, żeby nie zsunął się znów na dno okopu.

- Nic ci nie będzie - powiedziała.

- Jasne - odparł Rawne. Zamilkł na moment. - A dlaczego?

Nie odpowiedziała. Spojrzał w dół i zobaczył krew wsiąkającą, w dół bluzy i spodnie. Zobaczył jak nieruchome i pozbawione życia są jego nogi.

- Och, Feth! - warknął. To nie było w porządku. Zupełnie nie w porządku.

Odwrócił głowę, nagle zły i spojrzał na Bandę.

- Dlaczego do Fetha, nie walczysz, kobieto? Myślałem, że kobiety są niby takie twarde.

- Och, bardzo bym chciała - powiedziała. Nad głowami przeleciał im ciężki pocisk i Rawne szarpnął się i oparł się o nią. Zakaszła wtedy. Po brodzie pociekła jej krew.

- Sądzę, że nie dzisiaj jednak - powiedziała.

- Fetli! Gdzie dostałaś?

- Martw się o siebie, nie o mnie - odparła.

- Banda! Szeregowiec Banda! Gdzie was trafiło?

Nie odpowiedziała. Straciła przytomność. Rawne znalazł ułamany fragment bagnetu Shadik wciąż sterczący spod jej zębra.

Banda była tak wiotka, że o mało nie wpadła do okopu.

Rawne wpił się w nią dłońmi i trzymał w miejscu, sam bezradny, starając się uratować ich oboje przed zdeptaniem w dzikim, niekończącym się kłębowisku walki wręcz toczącej się w okopie.

- Medyk! Medyk! - wołał. Nikt nie usłyszał.

- Nic ci nie będzie - powiedział jej. - Rozkazuję ci na Fetha, żeby nic ci nie było...

Z opuszczoną głową Colm Corbec popędził wzdłuż zygzakowatego okopu łączącego jego ziemiankę z główną linią frontu na odcinku 295. Gwałtowny ostrzał artylerii dalekiego zasięgu Shadik wciąż niszczył i rozwalał wszystko dookoła.

Ale w tej części linii było dziwnie spokojnie. Nikt na nich nie nacierał.

Wszedł na podest, poklepując uspokajająco po ramionach Surcha, Orrina, Irvina i Cowna. Każdy z nich kulił się przy parapecie z karabinem umieszczonym w otworze strzelniczym.

Corbec przystanął przy Muril. Przeczesała przedpole swoim karabinem snajperskim z okiem przywartym do gumowej osłony lunety.

- Wiesz może gdzie, do Fetha, podziewa się nieprzyjaciel? - zapytał.

Zachichotała. Tym swoim nieprzyzwoitym śmiechem, który tak lubił.

- Wydaje się, że nie są nami zainteresowani, szefie.

- Widzisz cokolwiek? - zaciekawiał się.

Muril pokręciła głową.

- Wydawało mi się, że parę minut temu widziałam jakąś grupkę tnącą zasięki, na pięćdziesięciu metrach. Nie było ich tam jednak. Tylko ciała na drutach, ruszające się na wietrze. Nic więcej.

- Mogę? - zapytał. Zdjął karabin przez głowę i podała mu.

Przyłożył go do ramienia i powoli podniósł się do parapetu.

- Szefie! - syknęła.

Wiedział, że ryzykuje, ale zupełny brak aktywności był nie do zniesienia. Corbec spojrział w lunetę, poprawiając ustawienia pokrętłem i czekając sekundę aż skaner zczyta mu siatkówkę i automatycznie dopasuje się do jego wzroku.

Nie widział przed sobą nic oprócz błota, splotów drutu kolczastego i smug białego oraz szarego dymu niesionego przez boczny wiatr niemal poziomo nad ziemią.

Spojrzał w prawo. Ledwie o kilkaset metrów na południe na posterunkach 294 i 293 widział piekielną walkę w okopach zajmowanych przez majora Rawne i Domora.

Watahy żołnierzy w mundurach khaki wychodziły z błota i napierały na główną linię.

Po lewej stronie, znów nie dalej niż o pół kilometra linie obronne utrzymywane przez Krassian roily się od napastników. Corbec słyszał wściekle trzaski wystrzałów z broni ręcznej i huk granatów.

Opadł z powrotem poniżej krawędzi okopu.

- To jest jakieś fethowo... dziwne - stwierdził, oddając snajperkę Muril i dziękując jej skinieniem głowy. - Dłaczego, do Fetha, nie idą na nas?

- Wiedzą, że jest tu wielki pułkownik Corbec i nie chcą ryzykować? - zasugerowała

Muril.

- Jesteś bardzo słodką dziewczyną i oczywiście masz rację, ale musi być w tym coś jeszcze.

Muril fachowo przekalibrowała lunetę do swoich ustawień i usiadła na stopniu, wyciągając przed siebie i wyginając prawą nogę. Kucanie w pozycji strzeleckiej wyraźnie było niewygodne, szczególnie ze świeżo zrekonstruowaną miednicą.

- Niech się pan sam postawi w ich położeniu - powiedziała.

- Niby jak?

- Gdyby to panu rozkazano zdobyć tę linię, co by pan zrobił?

- Zaatakowałbym pod osłoną ostrzału artylerii - odparł od razu.

- I ruszył na najsłabsze miejsce - dodał Cown zza Muril.

- No, Feth... tak! - powiedział Corbec.

Zeskoczył ze stopnia i złożył pocałunek na brudnym czole Muril. - Dziękuję za sugestię! - wyjaśnił. Była zakłopotana.

Pocałował również Cowna w czoło. - I dziękuję za twój wkład.

- Za co, szefie?

- Wyobraź sobie! Atakujesz tą linię. Frontalny atak. Zanim jednak tam dotrzesz, oddziały na twoich skrzydłach przebijają się na swoich odcinkach. Po co tracić ludzi na natarcie na nienaruszoną linię? Każdy dowódca liniowy, znajdujący się na rzeczy, skierowałby się na jedną z wyrw. Założę się, że oddziały przeznaczone na nasz odcinek wspierają teraz 294 albo 296. Jak z podręcznika. Zdobyć i utrzymać a potem uderzyć na nas z boku, okopami. Radio!

Rerval podbiegł z nadajnikiem.

- Sir?

- Mamy już połączenie?

- Nie, sir.

- Dobra... to zrobimy tak. Co druga osoba schodzi ze stopnia. Ci, którzy zostają, mają się utrzymać i zachować czujność. Irvin, przejmujesz dowództwo tutaj na posterunku. Na pierwszy znak natarcia podnoś alarm i dmuchaj w fethowy gwizdek.

- Tak jest, szefie.

- Reszta dzieli się na dwie grupy. Gdzie jest Bewl?

- Szefie?

- Weź jedną połowę. Idziesz na południe. Wspierasz oddział Domora. Utrzymaj całą długość okopu.

Bewl skinął głową i ruszył przekazać instrukcję żołnierzom na południowym końcu sekcji.

- Reszta ze mną - rzucił Corbec.

Resztę stanowili Rerval, Cown, Mkvenner, Sillo, Veddekin i Ponore. Detowine, nowy operator miotacza ognia w drugim plutonie też się załapał, ale Corbec odesłał go z powrotem na stopień. Jeśli natarcie jednak się zacznie, będzie potrzebował miotacz na linii, razem z działkiem. 30 Surcha i Loella.

Corbec ruszył z szóstką żołnierzy biegiem wzdłuż okopu, na północ. Każdy z Duchów, jakich mijali na stanowiskach strzelniczych życzył im łaski Imperatora. Według czasomierza Corbeca atak trwał już od siedemnastu minut. Dym i para

spowodowane potężnym ostrzałem były teraz tak gęste, że ktoś, zapewne z pomocniczych linii, zaczął strzelać racami, żeby oświetlić pole walki. Flary niczemu nie służyły, nie licząc tego, że nadawały wszystkiemu białą poświatę.

Drużyna Corbeca biegła dalej, stając i kryjąc się co parę metrów, kiedy przelatował nad nimi kolejny pocisk, wstrząsał terenem i namaszczał ich deszczem drobnych kawałków ziemi.

Kiedy dotarli do umocnionego zakrętu znaczącego koniec posterunku 295, Corbec poczuł, że brakuje mu tchu.

- Nic ci nie jest, szefie? - Mkvenner spytał go cicho, tak żeby inni nic słyszeli.

- Moje gnaty są fethowo za stare, synu, i widziały już zbyt dużo wojny. - Corbec przystanął na chwilę i zakaszłał. Zawsze był na czele i płacił za to cenę. W Voltis City stracił mały palec lewej ręki. To był początek. Na Menazoid dostał ciężko.

Na Hagii jeszcze gorzej. Na Phantine miał szczęście, że przeżył.

Głębokie rany korpusu i nogi odniesione podczas zadymy na Cirenholm zakończone zatruciem krwi.

Aż cud, że nie składał się z samych protez.

Aż cud, że tak długo miał szczęście.

Szeregowiec z Verghast o imieniu Androby zajmował ostatnie stanowisko przed zakrętem.

- Mnóstwo hałasu przez ostatnie kilka minut - zaraportował. - Nie za wiele za to widać. - Korzystał ze sponiewieranej lunety artyleryjskiej pożyczonej od moździerzy, pilnując ślepego końca zakrętu.

- Zostań tutaj i uważaj na alarm podawany wzdłuż linii - polecił mu Corbec.

Ruszyli za zakręt. Po raz drugi w ciągu tygodnia, Mkvenner, wszedł za zakręt, do okopu pełnego przeciwnika. Corbec o tym wiedział. Słyszał raport Mkolla z potyczki na posterunku 143.

Mkvenner nie okazywał żadnego zdenerwowania. Był spokojny, pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu, przykryty peleryną maskującą. Prowadził z karabinem przy ramieniu, tak że gdzie spojrzał, tam celował. Był tak cichy, że Corbec mógł stwierdzić jego obecność dopiero, kiedy go zobaczył.

Corbec szedł drugi, z pistoletem laserowym w jednej ręce i granatem w drugiej. Zawleczka była już wyciągnięta i Corbec trzymał mocno łyżkę wielką, włochatą dłonią.

Za Corbekiem podążali Sillo i Cown. Obaj mieli karabiny z przymocowanymi bagnetami. Sillo był robotnikiem na Verghast, szybki i można było na nim polegać.

Cown, stary dobry Cown, to jeden z twardzieli z Tanith, który był na każdym froncie od tamtego okropnego dnia, kiedy odlecieli z ojczystej planety. Wciąż się przyzwyczajał do sztucznego bicepsa i obojczyka, które zarobił na Cirenholmie.

Następni szli Ponore i Veddekin, obaj z Verghast. Ponore był młodym, chudym, przedwcześnie łysiejącym facetem, który non stop narzekał i Corbec niespecjalnie go lubił. Veddekin był wyższy i młodszy, z wystającymi zębami. Obaj wiedzieli, jak używać karabinu i obaj brali już udział w akcji, szczególnie na Phantine. Corbec zastanawiał się, czy już kiedyś zabili. Nie wiedział tego, ale było już za późno, żeby zapytać. Rerval zamykał pochód. Zostawił nadajnik pod opieką Andorby'ego i niósł dodatkowy ładunek opatrunków polowych.

Corbec wiedział, że Rerval jest solidnym wojownikiem. Łatwo było zapomnieć o umiejętnościach bojowych radiooperatorów.

Corbec miał nadzieję, że zmieni się to za sprawą Raglona, awansowanego na dowódcę plutonu. Oprócz karabinu, Rerval miał jeszcze pistolet do rac, wzór *Pharos*, żeby móc dać znać do tyłu gdyby zaczęło być gorąco.

Okop wydawał się pusty. Światło było słabe, a powietrze pełne dymów z wybuchów. Corbec czuł mokrą ziemię, prometan i zapach świeżych desek, używanych na pomosty w okopach.

Sekcja okopu bojowego, w której się znajdowali, ciągnęła się przez dziesięć metrów, lekko wyginając się na północny zachód i kończyła się kolejnym zakrętem. Na czwartym metrze był otwór w tylnej ścianie, prowadzący do stanowiska ciężkiej broni. Mkvenner sprawdził je i zaraportował, że było puste. Znalazł moździerz pneumatyczny i pociski, ale nie było załogi.

- To jest gothlernie d... - zaczął Ponore.

Mkvenner przyłożył mu palec do ust i Verghastanin zamilkł.

Skradali się do przodu, przytuleni do przeciwległych ścian.

Porzucony karabin laserowy. Złamany uchwyt saperki. Przedmioty ze standardowego wyposażenia widoczne w szczelinach szalunku. Chlebaki, zdjęcia najbliższych, zapalniczki i papierosy, maski przeciwgazowe, próżniowo pakowane racje żywnościowe, koce, zwinięte wełniane kamizelki.

Jakby odeszli w pośpiechu, pomyślał Corbec.

Dotarli do drugiego zakrętu. Mkvenner uniósł dłoń. Wskazał wyłożoną płytami tylną ścianę okopu. Widoczna była na niej plama zakrzepłej krwi z przyklepionymi pasmami włosów.

Mkvenner dał sygnał, jedna dłoń nad drugą i padł na brzuch. Corbec odsunął się na bok i przepuścił Cowna. Mkvenner i Cown przesunęli się za róg, Mkvenner na przodzie, Cown przykucnął za nim tak, że oba karabiny mogły przywitać to, co by na nich czekało.

- Naprzód - wyszeptał Cown.

Corbec poprowadził pozostałych za róg. Następne stanowisko ogniowe również było puste, przynajmniej jeśli chodzi o żywych.

Świeże zwłoki zaścielały całe dno okopu. Polegli Krassianie, zabiści napastnicy Shadik, przemieszani i zaplątani w siebie nawzajem w orgiastycznym świętowaniu dzikiego zabijania. Z niektórych ran zadanych przez broń laserową, tam gdzie materiał munduru zaczynał się tlić, unosił się dym. W niektórych miejscach fontanny krwi zbryzgały ściany. W innych granaty poszatkowały ciała jak w rzeźni i osmały ziemię ścian na czarno. Kiedy stawali na płytach pomostów, przez szczeliny wypływała jasnoczerwona krew.

Zapach powodował mdłości. Krew, kordyt, ochłapy, pot, proch, odchody.

Wszystkie Duchy widziały już wojnę, w mniejszym czy większym stopniu, ale ten widok ich poraził. Tyle ciał, upakowanych tak gęsto, w tak małej przestrzeni.

- Gothlera... - odezwał się Ponore.

- Zamknij się - powiedział Corbec. Próbował iść naprzód, ale chcąc nie chcąc, musiał stawać na ciałach. Ciała jęczały, wzdychały, odbijało im

się, puszczały wiatry, kiedy opierał na nich swój ciężar, naciskając na płuca i brzuchy. Próbował się przedostać do wylotu okopu komunikacyjnego, mniej więcej w połowie długości stanowiska.

Ciężko było utrzymać równowagę stając po umarłych. Corbec wyciągnął ręce, żeby podparć się o ściany okopu.

Wypluł przekleństwo, kiedy z rany na piersi Krassianina, na którym stanął, wystrzelił gejzer krwi. Veddekin obrócił się nagle i ten ruch przestraszył Corbeca.

Karabin Veddekina zagrał i jasny pocisk energii przeleciał w poprzek okopu, trafiając prosto w twarz Shadika, który właśnie wyłonił się ponad parapetem.

Wrogi żołnierz szarpnął się do tyłu, do przodu i w końcu spadł głową w dół, na dno okopu. Corbec podskoczył na odgłos wystrzału tak mocno, że stracił równowagę i upadał pomiędzy zwały poległych.

- Niezły wzrok - Mkenner mruknął z uznaniem pod adresem Veddekina. Zwiadowca wskoczył na stopień, podrzucił broń i zastrzelił następnych dwóch Shadików pokazujących się nad parapetem..

Duchy rzuciły się na stopnie, przyłączając się do Mkennera i strzelając w zasnutą gęstym dymem ziemię niczyją i atakujący oddział wroga.

- Gothlera! Jest ich za dużo! - krzyknął Ponore

- Cel. Pal. Powtórzyć - ponaglił Mkenner.

Corbec patrzył na plecy swoich chłopaków na stanowiskach i próbował wyswobodzić się z płataniny ciepłych ciał. Chwycił lewą dłoń dębianą podporę i...

Zamarł. Łyżka granatu wypadła mu z zaciśniętej dłoni.

Upuścił fethowy granat.

Popatrzył w dół, w dół pomiędzy poplątane kończyny i twarze z otwartymi oczami, zwoje dymiących wnętrzości. Był gdzieś tam.

Jeśli wykrzyczy ostrzeżenie to wiedział, że oddział się rozbiegnie i napastnicy ich pokonają. Jeśli nic nie powie to on sam i najprawdopodobniej dwóch lub trzech członków oddziału zginie.

- Święty Feth! - Jęknął Corbec wpychając rękę w lepłą masę rozprutych trzewii, odsłoniętych kości i spalonego materiału.

Szukał granatu. Najgłupszy sposób na umieranie. Na jak długo był nastawiony zapalnik? Dziesięć sekund? Piętnaście? Jak długo już szuka?

Palce zacisnęły się na granacie. Zdawało się, że jest rozpalony do czerwoności, żący i miał ochotę go puścić. Nie odważył się jednak. Wyszarpnął go i rzucił. Rzucił najdalej jak pozwalało mu na to jego wielkie, zmęczone, stare ramię. Rzucił w górę i przed siebie, mając nadzieję, że doleci do Republiki Shadik i nigdy nie wróci. Rzucił tak samo desperacko, jak odrzucał skórzane piłki lecące na niego przez boisko w okręgu Pryze kiedy miał jedenaście lat i nie znosił przymusowego udziału w powiatowym turnieju szkolnym. Nienawidził skórzanych piłek. Nigdy nie potrafił ich złapać. Jako dziecko zawsze był wybierany do drużyny jako ostatni.

- Feth! - krzyknął rzucając. Rzucił mocno. Najlepszy rzut w życiu.

Granat wybuchnął w powietrzu, na wysokości trzech metrów, nad ziemią niczyją. Odłamki dosięgły pięciu napastników w samym sercu ich oddziału.

Załamali się i rzucili do odwrotu, ścigani strzałami Mkennera, Cowna, Veddekina i Rervala. Veddekin trafił jednego z biegnących w plecy i zapalił nieszczęśnikowi pas z

amunicją. Cała postać zajęła się ogniem w jednym rozbłysku i biegła dalej, płonąca, rzucając się chaotycznie nad kraterami po wybuchach i zwałami błota, aż zniknęła im z oczu.

- Czysto? - spytał Corbec, stając z powrotem na nogi. Głos miał ochryply od stresu. Modlił się do wszystkich wyobrażalnych bogów, żeby nikt nie zauważył, jak bliski był tragedii. Szczególnie Mkvenner. To Corbec miał być najlepszy. Mkvenner nigdy by tak nie pokpił sprawy, nigdy w życiu. I Mkvenner z pewnością wybrałby Corbeca jako ostatniego do swojej drużyny piłkarskiej. Colm Corbec, stary, zmęczony i powolny.

- Czysto - odparł Cown.

- Powinniśmy tu zostać? - spytał Rerval.

- Nie wrócą szybko, jeśli myślam, że ten odcinek jest dobrze broniony - stwierdził rozsądnie Mkvenner.

Corbec skinął, żeby szli za nim i ruszył okopem łącznikowym. Teraz on prowadził. Pistolet oficerski spoczywał w kaburze, a z pleców zdjął karabin. Założył bagnet. Napotkali więcej zwłok, głównie Krassian, wyróżniających się przez swoje płaszcze w kolorze miedzi i szare hełmy.

Rerval rozpoznał parę twarzy z Ouranbergu. Fethowo biedne chłopaki. Walczyli o utrzymanie każdego centymetra tej dziury w ziemi.

Sposób w jaki niektórzy z nich zginęli przechodził wszelkie pojęcie. Cierpienie, upokorzenie...

Minęli cztery zakręty, kiedy Corbec zatrzymał oddział.

Z kolejnego odcinka słyhać było świst wystrzałów broni ręcznej.

- Ja to widzę tak - powiedział Corbec cicho - wróg dostał się do okopu i pokonał załogę, zabijając Krassian lub spychając ich do łącznikowego. Prawdopodobnie sami stracili wielu przy okazji. A my jesteśmy na ich tyłach. Dajmy im popalić.

Duchy skinęły głowami i sprawdziły broń.

- Trzech w rzędzie - poinstruował Corbec. - Ja, Mkvenner i Veddekin. Nie ma miejsca na więcej. Sillo, Cown, przygotujcie jakieś ładunki wybuchowe i wrzucie je za zakręt, kiedy ruszymy. Rzucajcie daleko - słyszycie łajdaki?

Słyszeli.

- Ruszajcie za nami - powiedział Corbec do Ponore i Rewala. - Jeśli ktoś z nas padnie, wchodzicie na to miejsce.

Cown, Sillo, wy też, za nimi. Pokażmy im, jak to się robi.

Na sygnał Corbeca wpadli za zakręt i znaleźli się na tyłach gromady Shadików stłoczonych w następnym odcinku. Niektórzy z żołnierzy wroga zaczęli się odwracać, kiedy dosięgły ich pierwsze laserowe pociski.

- Pierwszy i Jedyny! - krzyknął Corbec, strzelając ogniem ciągłym, prosto w plecy w kolorze khaki.

Veddekin cofnął się z zaciętym karabinem. Rewal wepchnął się na jego miejsce, zachowując zwarty szyk. Ładunki wybuchowe przeleciały nad nimi ciężko, rzucone przez Sillo i Cowna z tyłu. Wybuch wypełnił wąską przestrzeń.

- Czyste srebro! - wrzasnął Corbec i bez zwłoki zaszarżował na wroga. Zaszarżował ponieważ zauważył, że ich sytuacja nie była bezpieczna. W najmniejszym nawet stopniu.

Drugorzędny okop, prawdopodobnie linia zaopatrzenia amunicyjnego łączył się z ich odcinkiem z prawej strony. Jeśli było tam więcej Shadików...

Byli tam.

Corbec z chrzęstem wbił bagnet w żebra jednego z Shadików, kopniakiem zrzucił go z ostrza, obracając się, żeby strzelić do kolejnego napastnika. W jakiś sposób pierwszy Shadik, padając zdołał odczepić bagnet Corbeca od jego karabinu.

Kiedy pojawił się trzeci, biorąc zamach z okutą żelazem maczugą, Corbec mimo wszystko pchnął go karabinem. Mimo narzekania na wiek i malejące siły, Corbec wciąż był jednym z największych i najsilniejszych żołnierzy Pierwszego. Bagnet czy nie bagnet, nie był w stanie się już więcej podnieść, kiedy Colm Corbec użył całej swojej siły i wbił ci stalową lufę karabinu w mostek.

Teraz Corbec miał już widok na drugorzędny okop. Był wąski i starannie wyłożony płytami, opadał lekko w dół, odchodząc w prawo. Opadał na kolano i zaczął strzelać wzdłuż okopu. Trafił dwóch nieprzyjaciół skulonych piętnaście metrów dalej, zaraz potem trzeciego. Czwarty odpowiedział ogniem z kompaktowego pistoletu automatycznego, małego, tępo zakończonego, z zakrzywionym magazynkiem, wyraźnie zaprojektowanego do walki w okopach.

Salwa pocisków małego kalibru wryła się w podporę szalunku za Corbekiem, zasypując go drzazgami. Corbec strzelił dwa razy i zwałił przeciwnika z nóg, na bok. Żołnierz ześlizgnął się na dno i przetoczył.

Jeszcze głębiej w okopie były kolejne postacie, zasłonięte dymem i cieniami. Corbec strzelił do nich jeszcze parę razy i zanurkował z powrotem za osłonę, kiedy granat wyładował u wylotu bocznego okopu i wyrzucił w powietrze błoto i połamane resztki pomostu.

Corbec ocenił sytuację. On sam, Mkvenner i Rerval byli już za wylotem bocznego okopu, reszta wciąż na początku odcinka.

Cown próbował przeskoczyć do nich, ale szarpnął się do tyłu, kiedy zagrały pociski karabinowe wylatujące z bocznej drogi amunicyjnej.

Corbec spojrzał przed siebie. Jego oddział oczyścił z napastników cały odcinek aż do kolejnego zakrętu, leżącego o jakieś dziesięć metrów dalej.

- Sprawdź, co z przodu - poleciał Mkvennerowi. - Mam nadzieję, że za zakrętem są Krassianie. Nie pozwól, żeby do ciebie strzelali.

Mkvenner skinął głową i wykrzywił się w uśmiechu. Podszedł do końca i zajrzał za zakręt. Gęsty ogień laserowy zmusił go do nagłego cofnięcia się.

- Gwardia! Jesteśmy z Gwardii! - zawołał. Kolejne strzały.

Krassianie, nowa jednostka, ze stosunkowo małym doświadczeniem bojowym, doznała ciężkich strat w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu minut. Byli przestraszeni i źli. Strzelali do wszystkiego.

Rerval dołączył do Mkvennera.

- Nie chcą ryzykować, że jesteśmy Shadikami powiedział Mkvenner.

- To lepiej zmusimy ich do myślenia powiedział Rerval.

Wyciągnął pistolet do rac, otworzył i zaczął szperać w chlebaku, pełnym kolorowych pocisków.

- Jaki dzisiaj jest kolor rozpoznawczy? - zapytał.

- Niebieski - odparł Mkvenner. Zdawał sobie sprawę, że Rerval dobrze to wie. Rerval

był radiooperatorem, podobnie jak Beltayn i Rafflan, jednym z najlepszych sygnalistów w regimencie. Pytanie było jego sposobem na opanowanie stresu. Strategią na dawanie sobie rady. Szansą na dowiedzenie się, co Mkvenner myśli o tym pomysle, bez zadawania samego pytania.

- Niebieski. Racja - powiedział Rewal. Wsunął odpowiedni pocisk do pistoletu sygnałowego, zamknął go z trzaskiem, szczęknął zamkiem i rzucił:

- Odwróć wzrok.

Obaj spojrzeli w bok. Rewal wystrzelił racę za zakręt, tak żeby wbiła się w błotnistą ścianę. Zaczęła się palić jasno białym światłem, zabarwionym na niebiesko przez wydzielany dym. Światło było bardzo ostre. Rzucalo długie cienie i powodowało, że wszystko robiło wrażenie zimnego.

Ogień z karabinów laserowych ustał.

- Gwardia! Jesteśmy z Gwardii - spróbował znów Mkvenner. - Krassianie?

Chwila przerwy. Jakiś okrzyk w odpowiedzi.

- Krassianie? - krzyknął Mkvenner znowu.

- Tak! Jakie jest dzisiaj hasło?

- Alfa niebieski wskreszenie! - odkrzyknął Rerval.

- Niebieski jedenaście salut! - nadleciała właściwa odpowiedź.

- Wychodzę - zawołał Mkvenner. - Nie strzelajcie!

Wszedł powoli na odcinek wciąż oświetlony jasnym światłem dogasającej racy.

Wokół niego snuł się niebieski dym.

Wejście było mocno teatralne i Rerval był z niego dumny.

Krassianie wyszli im na spotkanie. Broń mieli wciąż uniesioną i wyglądali na poddenerwowanych i przestraszonych. Wszyscy młodzi. Białe twarze na tle miedzianego koloru ich wełnianych płaszczy.

- Skąd wyście się, u diabła, wzięli? - zapytał dowodzący oficer.

- Z lasu Nal na zachód od Attiki - odparł Mkvenner. Oficer nic nie rozumiał.

- Jesteśmy Pierwszy i Jedyny z Tanith - powiedział Rerval.

- Przedarliśmy się od południa.

- Tanith? - powtórzył oficer. Dwóch czy trzech z najmłodszych jego żołnierzy miało łzy w oczach. To z ulgi, pomyślał Mkvenner.

- Ciężko oberwaliśmy, bardzo ciężko - powiedział oficer. - Odeszli? Załatwiliście ich?

- Jeszcze nie - odparł Mkvenner.

Piętnaście metrów za zakrętem Corbec próbował przedostać się na drugą stronę wylotu bocznego okopu. Razem z Cownem, Veddekinem i Ponore w regularnych odstępach czasu strzelał w dół okopu, ale cały czas odpowiadał im gwałtowny ogień. Najgorsze był to, że co najmniej jeden z napastników miał śrutówkę, najprawdopodobniej obciętą, idealną broń do walki w okopach. Uskok i ryzyko otrzymania postrzału to jedna sprawa. Murten Feygor z pewnością przyjąłby zakład w tej sprawie. Śrutówka pokrywała jednak całą przestrzeń.

Przekonał się o tym Sillo. Ponore odciągnął go w tył, od rozwidlenia i opatrzył mu rany, ale Corbec wiedział, że takie rany oznaczają gangrenę, nawet jeśli przeciwnik nie pokrył ołowiu bakteriami co było taktyką arcywroga.

Sillo oberwał w lewe udo z taką siłą, że oderwało mu nogawkę, rozerwało pas i rozwalilo ciało na tyle głęboko, że Corbec mógł zobaczyć żółty tłuszcz i kość. Sillo wrzeszczał, zemdlął i ocknął się znowu z krzykiem. Uspokoił się, kiedy Ponore wbił mu w pośladek igłę jednorazowej strzykawki z morfiną.

- Być może jest inny sposób - zasugerował Veddekin, opierając się plecami o ścianę przy skrzyżowaniu.

- Być może jest. Kto wie? - wymruczał Corbec. - Gdybyśmy mieli fethową mapę. Miał fethową mapę. Wszyscy oficerowie dostali je na odprawie w dowództwie 55. sektora, zanim wyruszyli na linię frontu. Mapa miała trzy poważne mankamenty. Po pierwsze pokazywała tylko bezpośrednie otoczenie posterunku każdego z oficerów, co oznaczało, że mapa Corbeka kończyła się na posterunku 259. Po drugie nie pokazywała takich drobiazgów jak okopy zaopatrzeniowe, łącznikowe, szlaki dostaw amunicji albo centra operacyjne, ponieważ dowództwo Przymierza Aexe obawiało się, że mapa pokazująca takie detale byłaby zbyt niebezpieczna, gdyby wpadła w ręce wroga. Czyli nawet gdyby Corbec posiadał mapę posterunku 269 i okolicy na zachód od niego, nie zobaczyłby na niej tego rozwidlenia.

Po trzecie, i najprawdopodobniej najważniejsze, mapa wyglądała, jakby została sporządzona przez halucynującego, umoczonego w tuszu karalucha puszczonego na arkusz używanego papieru toaletowego.

- Moglibyśmy pójść górą - odezwał się Cown, myśląc na głos. - Tak zrobili zwiadowcy na 143.

Tak, ale to byli fethowi zwiadowcy, najlepsi z najlepszych, o pół wieku młodsi ode mnie i tacy twardziele, że mogliby łupać orzechy nał w dłoniach, chciał powiedzieć Corbec.

Ugryzł się jednak w język. Cown próbował tylko pomóc.

- Założę się, że oni właśnie tego oczekują, kolego – powiedział Corbec. Podniósł hełm Shadika, zawiesił na czubku karabinu i uniósł powyżej krawędzi.

Wystarczyła sekunda, zanim został trafiony pociskiem i posłany wirującym ruchem w powietrze.

Cown uśmiechnął się słabo do Corbeca i wzruszył ramionami.

Ponore rozglądał się dookoła.

- Gothlera! - zaczął. - Mamy szczęście, że nie spłonęliśmy jak pochodnie, kiedy zaczęliśmy tu strzelać.

Znowu narzekanie. Corbec nie był zainteresowany tym, co Ponore miał do powiedzenia. Podeszedł do niego i uciszył ciosem otwartej dłoni w twarz, gdyby tylko nie musiał po drodze przedostawać się przez teren znajdujący się pod ostrzałem.

Ponore nie chciał się zamknąć. Przeszedł na drugą stronę zakrętu i uniósł płachtę. Tak jak to często bywało z okopami zaopatrzeniowymi, w ścianach wykopano schowki na zapasy i zakryto zasłonami z brezentu. Ponore odsłonił stosy toreb z opatrunkami, puszek z zupą warzywną, muślinowe torby ze świecami i trzy czy cztery beczki oleju do lamp.

- Jeśli trafiłby w to strzał - jęknął Ponore - to byłoby po nas.

Corbec nagle się uśmiechnął.

- Ponore?

- Tak szefie?
- Mógłbym cię teraz pocałować.
- Jest do tego zdolny - ostrzegł z powagą Cown.
- Dawajcie te beczki. Tylko ostrożnie.

Veddekin i Ponore przynieśli pierwszą do wylotu bocznego okopu.

Corbec raz jeszcze wyjrzał za róg. Zobaczył to samo, co widział za pierwszym razem, kiedy tam zajrzał. Wtedy jednak był zbyt zajęty zabijaniem Shadików, żeby zwrócić uwagę.

Boczny okop schodził w dół. Nie za dużo, właściwie ledwie co. Wystarczająco. Dlatego właśnie pomost na dnie był w dobrym stanie. Woda ściekała w dół okopu.

- I co teraz? - spytał Veddekin.

- Potrzebujemy jakąś rurę czy coś takiego – improwizował Corbec. - Cown, musi tam być jakiś lejek albo syfon.

Cown przeszukał schowek, klnąc za każdym razem, kiedy brezentowa zasłona opadała i zamykała go w ciemnościach.

Ponore poszedł do niego i przytrzymał brezent. Cown wynurzył się z cynowym dzbankiem.

- Może być?

- Rzuć do mnie.

Cown rzucił dzbanek na drugą stronę wylotu i Corbec złapał go za ucho. W odpowiedzi na ruch rozległo się cztery czy pięć strzałów.

Corbec uwolnił swój nóż z żeber napastnika, który w jakiś sposób zdołał mu go wyrwać. Wymruczał przeprosiny pod adresem noża za to, co zamierzał zrobić.

Około minuty cięcia i podważania zajęło mu odgięcie denka i przecięcia dzbanka wzdłuż. W końcu zaparł go o szalunek okopu i oderwał połowę.

Zrobił rynienkę. Nie jakąś najlepszą na świecie rynienkę ale zawsze coś. Ze zwięzieniem na końcu, jak trzeba. Jego ojciec, ślusarz, byłby dumny.

Rzucił ją z powrotem do Cowna. Kolejne strzały.

- Wkop to teraz w ziemię - poinstruował. - Nie, w rogu, tak żeby zwięzienie wystawało za róg. O tak. Koniec trzymaj za osłoną. Dobrze, chłopcze. Wkop głębiej jeśli trzeba. Żeby było stabilne.

Cown podkopał trochę ziemi końcówką swojej dziewięć siedemdziesiątki tak, że całość była bardzo trwała.

- No i pięknie - zaaprobował Corbec. - A teraz zaczynajcie lać w to olej. Ponore odszpuentował pierwszą beczkę i przechylił z pomocą Veddekina.

Czysty, słodko pachnący olej lampowy zagulgotał i popłynął wzdłuż rynienki bocznym okopem, pod pomostem.

- I pozostałe też - ponaglił Corbec, kiedy Cown i Ponore odtoczyli pierwszą beczkę na bok, a Veddekin przechylił drugą.

Corbec zdał sobie sprawę, że nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Tak bardzo chciałby być po drugiej stronie, ubrudzić ręce w robocie. Mógł jednak tylko stać i wydawać polecenia.

Nagle przyszło mu coś do głowy. Oświecenie. Tak to się nazywało. Słyszał jak kapitan Daur o tym mówił. Daur był wykształcony. Rozumiał te uczone rzeczy. Moment nieoczekiwanej jasności. Tak to rozumiał Corbec.

Nagły przypadek pełnego zrozumienia.

Nigdy nie powinien zostać oficerem. Nigdy. Nawet nie sierżantem, a co dopiero głównym oficerem regimentu Tanith.

Jasne, miał wygląd i charyzmę, tak mu mówiono. Był osobowością i ludzie za nim szli. To właśnie to dostrzegł w nim Gaunt, kiedy się spotkali pierwszy raz. To musiało to być to. I Corbec pełnił służbę.

Tak się stało. Gaunt zrobił go pułkownikiem. Nie prosił o to. Nie starał się o to. Nie był karierowiczem jak Daur czy, Imperatorze zachowaj, Rawne. Nie miał ambicji. Co to o nim mówili? Ten komplement? Dowodził z pierwszego szeregu. Po prostu. Nigdy nie był szczęśliwszy niż gdy był w samym sercu walki, zmagając się z rzeczywistą wojną. Był dużym, silnym synem ślusarza z okręgu Pryze. Powinien być fethowym szeregowcem brudzącym sobie teraz ręce.

A nie stać po tej stronie skrzyżowania i wykrzykiwać rozkazy.

Corbec rozmyślał o tym przez moment, patrząc na olej spływający wzdłuż bocznego okopu.

- Idzie trzecia beczka - syknął Cown. - Zadziała to?

-Zobaczmy - Corbec wykrzywił się w uśmiechu. Spojrzał w drugą stronę odcinka, gdzie Mkvenner i Rerval rozmawiali z gromadą wyglądających na oszołomionych Krassian.

- Rerval! Chodź no tu, synu!

Radiooperator podbiegł do Corbeca.

- Daj no mi pistolet do rac. Która się najlepiej pali?

-Sir? - powiedział Rerval, podając pistolet sygnałowy z grubą lufą.

- Flary, Rerval. Która się najlepiej pali?

Rerval pogrzebał w torbie. - Chyba czerwona, szefie. Ma największy ładunek prochu. Powinniśmy jednak używać ich tylko w tarapatach. To jest sygnał zagrożenia.

-Dawaj. Jeśli to zadziała, to jestem fethowo pewny, że nasi przyjaciele z Shadik za tym rogiem uznają to za poważne tarapaty.

Rerval wzruszył ramionami i podał Corbecowi oznaczony na czerwono nabój.

Corbec włożył go do pistoletu i zatrzasnął zamek.

- Czysto? - zapytał Cowna.

Duchy po drugiej stronie odtoczyły ostatnią beczkę do tyłu. Cown skinął głową.

- Chować się - powiedział Corbec. - Daję ognia.

Wycelował w dół bocznego okopu i nacisnął spust. Nic się nie stało.

-Co do Fetha, się stało temu kawałkowi gówna? - warknął, cofając rękę.

- Tu jest bezpiecznik - powiedział Rerval, starając się być delikatnym i pomocnym.

- O tutaj. Nie, ta dźwignia pod kciukiem.

Mhm.

- No przecież, wiedziałem - oznajmił Corbec i wystrzelił racę w boczny okop.

Rozpalona, świecąca raca, odbiła się od prawej ściany, skręciła w lewo, nabrała rozpędu uderzając w drewniany słup i pomknęła w stronę ukrytych Shadików, wyrzucając za sobą strumienie czerwonego dymu.

Corbec przyciągnął Rverala do bocznej ściany..

Usłyszeli odległy krzyk. Odgłos zapłonu. Czterdzieści metrów bocznego okopu stanęło w ogniu. Ogień uniósł się do nieba, powyżej krawędzi. Gęsty, intensywny,

słodko pachnący jak małe lampki, które im rozdano.

A potem był inny zapach. Okropny zapach. Pieczonego tłuszczu i mięsa.

- Dobra robota - powiedział Corbec swoim chłopakom, mrużąc oczy przed ostrym światłem płomieni. - Dobra, fethowa robota.

Atak piechoty na 292 nastąpił dokładnie szesnaście minut po rozpoczęciu bombardowania. Nadszedł z północnego wschodu, pod osłoną wielkiej, zardzewiałej rury. Tak jak było zapisane na niebieskiej kartce.

Nawet jeden napastnik nie dotarł bliżej okopu niż na piętnaście metrów. Agun Soric zgromadził swoich żołnierzy w pobliżu wielkiej rury i rozstrzelali nacierające postacie w mundurach khaki.

Szeregowy Kazel twierdził, że rozwalili co najmniej pięćdziesięciu, może nawet sześćdziesięciu. Ciężko było powiedzieć. Piąty pluton z pewnością posłał ich z powrotem tam, skąd przyszli.

Soric tęsknił za Doylem. Doyl był zwiadowcą plutonu. Zginął podczas specjalnej misji na Ouranbergu. Doyl by policzył. Doyl by wiedział.

Soric stał na stopniu i zamknął dobre oko. Nie zgadzał się na implant w miejsce utraconego oka w kopcu Vervun. W wyzywający sposób obnosił się ze swoją bliźną. Wyglądał przez to, jakby ciągle mrugał.

Zamknął oko i czekał. Zobaczył, że zabili przynajmniej siedemdziesięciu sześciu napastników, oddział w sile kilku plutonów.

Kazel nie doszacował.

Czasami Soric lepiej widział z zamkniętym zdrowym okiem.

Jedna z tych rzeczy. Nie myślał o tym. Oko było martwe i sądził, że widzi rzeczy, które tylko zmarli mogą zobaczyć. Była to cecha, jakiej nie miało dobre oko.

Dało się to szczególnie odczuć od Cirenholmu. Tam właśnie został ciężko ranny. Wracając do zdrowia, miał takie dziwne sny.

Soric wiedział, że powinien być o nich milczeć, ale nie potrafił dochować sekretu.

Mówił wszystkim o swoich snach i teraz Gaunt, Dorden i ta słodka dziewczyna Ana Curth traktowali go z nieufnością. Nigdy nie powinien im mówić o swojej prababci.

Starsza pani posiadała zdolność widzenia. Niektórzy nazywali ją wiedźmą. No i co? Nic była przecież psykerem do jasnej gothlery. Potrafiła tylko widzieć rzeczy, jakich inni nie dostrzegali. A teraz potrafił to Agun, siódmy syn siódmego syna, tak jak

prababcia zawsze go zapewniała.

Nie zawsze tak było. Aż do czasu Cirenholmu. Naznaczyło go przejście tak blisko pod czarnym skrzydłem śmierci i wyłonienie się po drugiej stronie. To go obudziło. Odblokowało mu zmysły. Otworzyło mu oczy.

Ręcznie napisana wiadomość była jednak czymś zupełnie innym. Na samą myśl o tym poczuł, jak serce stanęło mu na moment.

Skąd o tym wiedział? Jak to do siebie samego napisał?

- Możecie zejść do okopu powiedział swoim ludziom i wiadomość została podana dalej. Nie będzie dziś więcej Shadików na 292.

Soric zdał sobie sprawę, że wie o tym na pewno. Ale dlaczego?

Poczuł strach, naprawdę się nagle przestraszył. Pokuśtykał z powrotem do ziemianki, ignorując nawoływania żołnierzy.

- Vivvo?

- Szefie?

- Niech odpoczywają - powiedział i opuścił za sobą zasłoną przeciwgazową. W słabym świetle lampki usiadł przy małym stole z nieheblowanego drewna. Mosiężny pojemnik ciągle tam był, rzucał tępo zakończony cień. Nie było śladu po kawałku niebieskiego papieru.

Soric oddychał powoli, kurczowo ściskając krawędź stołu skurczoną dłonią. Sakra. To może pomóc. Wstał i podszedł do półki ciągnąc za sobą sztywną nogę. Lornetka, magazynki, świece, zapasowa manierka. Gaunt powiedział, że zastrzeli każdego za picie na służbie. Z wyjątkiem specjalnych sytuacji. To była specjalna sytuacja. Soric odkręcił manierkę dłońmi, które drżały bardziej niż miał na to ochotę. Łyknął sakry. Poczciwy Bragg dostarczył mu trunek. Soric nabrał smaku na alkohol z Tanith. Kto mu teraz załatwi sakrę, kiedy zabrakło Bragga?

Notes z niebieskimi kartkami leżał na półce, koło manierki. Soric pomyślał, że go weźmie, ale zamiast tego łyknął jeszcze raz. Zbożowy alkohol palił w żołądku. Poczul się lepiej. Popatrzył znów na notes. Brakowało dwóch pierwszych kartek. Soric popatrzył na stół. Mosiężny pojemnik stał na miejscu, złowieszczy.

- Idź precz!

- Uch, pukałem - powiedział pojemnik.

Nie był to jednak pojemnik. Był to komisarz Hark. Komisarz spoglądał na Sorica, przytrzymując zasłoną przeciwgazową.

- Sierzancie?

- Och, och! Proszę wejść.

Hark wszedł.

Soric poczuł się przyłapany na gorącym uczynku. Starał się nie otwierać ust, żeby nie było czuć od niego alkoholu. Gaunt mógłby mu wybaczyć. Hark to inna historia.

Hark był komisarzem, stuprocentowym, bez żadnych domieszek.

- Wszystko w porządku? - zapytał Hark. Przyglądał się podejrzliwie.

- W porządku, w porządku - odparł Soric, oddychając przez nos.

Hark spojrzał na niego.

- Możecie się rozluźnić, sierzancie.

Z zamkniętymi ustami, Soric uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Hark usiadł na zydłu i zdjął czapkę.

- Dobra robota dzisiaj, sierzancie. Doskonała, po prawdzie. Jak zgadliście, skąd nadejdą napastnicy?

Soric znów wzruszył ramionami.

- Szczęście? - Hark skinął głową. - Spryt jest chyba właściwszym słowem. Jesteś bardzo sprytny. Znasz się na swojej robocie, Agun. Mogę do ciebie mówić Agun? Nie obraża to twojego poczucia hierarchii?

- Zupełnie nie, sir - wymruczał Soric, starając się nie oddychać przy mówieniu.

- Ostrzał się skończył - powiedział Hark.

Soric zdał sobie sprawę, że nawet tego nie zauważył.

- Powstrzymaliśmy ich na większości odcinków - dodał Hark. - Ciężko było koło 293 i 294, również u Criid, Obela i Theissa. I Maroy nie żyje.

- A niech to! - wyrwało się niechętnie Soricowi.

- Tak, szkoda. Dobry żołnierz. Jego sekcja doznała siedemdziesięciu procent strat. Mocno oberwali od ostrzału. Lasko, Fewtin, Bisroya, Mkdil. Wszyscy zginęli. A ty jednak nie, co?

- Sir.

Hark wykonał szeroki gest.

- Nie mam jeszcze pełnego obrazu, ale jestem przekonany, że twój pluton sprawił się dziś najlepiej ze wszystkich. Świetna robota, Agun. Sprytnie postąpiłeś, przewidując trasę ich natarcia. Jestem pod wrażeniem.

- Dziękuję, sir.

- Zarekomenduję Gauntowi twój pluton do pochwały. Chcesz kogoś wyróżnić?

- Uch... Vivvo i Kazela.

Hark skinął głową.

- Powiem ci, co mógłbyś teraz zrobić.

- Sir?

- Nie wiem jak ty, Agun, ale ja bym się z przyjemnością napił. Ktoś taki jak ty musi mieć coś na podorędziu.

- Och - powiedział Soric. Zakrzętnął się przy półce. - Proszę wybaczyć mój brak gościnności, komisarzu.

Nalał sakry do dwóch najmniej wyszczerbionych szklanek stojących na półce i podał jedną Harkowi.

- Świetnie. Wiedziałem, że mogę liczyć na wiernego żołnierza z Vervun.

Hark wypił duszkiem. Soric pociągał ze swojej szklanki. Nappełnił naczynie Harka i zaczął oddychać bardziej naturalnie. Hark wypił po raz drugi.

- Trzeba się przyzwyczać, ale ta wódka z Tanith jest całkiem niezła, co?

- Ostatnio moja ulubiona, sir - stwierdził Soric.

- Musisz mi kiedyś powiedzieć, jak to zrobiłeś - powiedział Hark.

- Co zrobiłem, sir?

- Zgadłeś skąd nadejdą. Tak czy inaczej dobra robota. Świetna. Regiment może być z ciebie dumny.

Hark podniósł się na nogi.

- Muszę iść dalej. Rawne dostał. Jego sekcja jest w rozsypce.

- Mocno dostał?

- Dopiero się dowiem. Jeszcze raz, świetna robota, Agun. Przekaż słowa uznania swoim chłopakom.

Hark odsunął zasłonę przeciwgazową.

- Dzięki za poczęstunek - dodał i zniknął.

Soric usiadł kiedy tylko komisarz odszedł. Bawił się swoją szklanką i po chwili dopił resztki.

Vivvo zajrzał zza zasłony.

- Szefie? Czy...?

- Odejdź - powiedział Soric.

Kiedy został sam, Soric podniósł pojemnik i odkręcił zakrętkę.

Musiał dwa razy uderzyć w denko, żeby wytrząsnąć kawałek niebieskiego papieru.

Wiadomość była napisana jego własnym pismem, tak jak poprzednio i brzmiała: „Nie pij. Nadchodzi komisarz Hark”.

5

SREBRNY, CZERWONY I CZARNY

„Czekanie to gówno. Gówno dla głodnego człowieka w kolejce do kantyny, gówno dla pana młodego w czasie wesela i podwójne, potrójne, poczwórne gówno dla żołnierza takiego jak niżej podpisany. ”

Colm Corbec, pułkownik

To był zły dzień na froncie. Rezerwy Pierwszego z Tanith w Rhonforq mogły to ocenić po fałszywym zmierzchu spowodowanym przez ścianę czarnego dymu unoszącego się w oddali. Czekali na wiadomości, mając nadzieję na dobre, szykując się na złe.

Gaunt zostawił dowództwo nad sekcją rezerwową Pierwszego kapitanowi Banowi Daur. Były to pełne dwie trzecie sił regimentu i Daur zamartwiał się przez całe popołudnie. Co każde dziesięć, dwadzieścia minut wychodził na zewnątrz i patrzył na migające światła oraz kłęby dymu odległej bitwy. Z początku huk pocisków artyleryjskich był jak grzmot dalekiej burzy, stłumiony, odległy, pozostający w tyle za rozbłyskami. Później hałas stał się ciągły, bez jednej przerwy czy chwili wytchnienia. Ciągły łoskot, jakby ziemia się z wolna rozrywała. Czasem ziemia się trzęsła, nawet w takiej odległości.

Raz na jakiś czas nadchodził huk wybuchu tak głośny i przenikliwy, że zagłuszał cały ten zgiełk. Daur nie potrafił powiedzieć, czy te dźwięki pochodziły od pocisków, które spadły bliżej jego pozycji czy takich, które miały większy kaliber niż pozostałe. Powiedziano im, że nieprzyjaciel zbudował nową broń dalekiego zasięgu o wielkim kalibrze. Wszyscy żołnierze mówili o nich „Super działa”.

Daur próbował się czymś zająć, ale huk za bardzo go rozpraszał.

Okolo 14:00 poszedł coś zjeść w jednym z pensjonatów i napotkał zdziwiony wzrok właścicielki, kiedy zamówił jajecznicę. Dopiero kiedy ją przyniesiono przypomniał sobie, że zjadł lunch - jajecznicę - godzinę wcześniej.

Pomyślał o odwiedzeniu Zweila. Kapelan oddziału potrafił czasem być interesującym kompanem i dobrze sobie radził w odwracaniu uwagi swoimi prowokacyjnymi tematami rozmów.

Powiedziano mu jednak, że Zweil pojechał rano na front razem z Gauntem, tak jakby wiedział, że będzie dziś potrzebny.

Zamiast tego Daur odwiedził kwatery żołnierzy. Duchy zajmowały budynki stajni i stodoły dwóch farm na południu miasta. Ci, którzy się tam nie zmieścili, biwakowali pośród morza namiotów rozbitych na pastwiskach. Pastwiska przylegające do dawnej greplarni zajmowała kompania Krassian, a niewielkie skupisko opustoszałych sklepów i budynków gospodarczych na skrzyżowaniu dwóch południowych dróg stanowiło kwatery lokalnej brygady, Dwunastej „Tarczowników” z Ostlund.

Daur wszedł na błotniste podwórze przed jednym z budynków stajni. Burone, Bray i Ewler zajęli dla swoich plutonów długą stodołę po lewej stronie. Żołnierze na ogół wałęsali się wokoło, w lekkim deszczu, przygnębieni, jak jeńcy w obozie.

Daur zauważył w cieniu ogniki pałeczek *Iho*. Pod dachem przybudówki Polio z siódmego plutonu próbował uczyć tłum obserwatorów karcianych sztuczek. Polio był

na Verghast ochroniarzem szlacheckiego rodu i miał nerwy podrasowane przez ekstrawancko drogie wzmacniacze neuronowe. Teraz jego palce tasowały i rozkładały karty szybciej, niż oko potrafiło nadażyć. Dla obserwatora wyglądało to jak magia i otaczający go żołnierze byli zauroczeni. Daur przyglądał się przez chwilę, aż Polio wyczerpał repertuar sztuczek i wyciągnął trzy kubki i łuskę. Widownia jęknęła.

- Kto chce spróbować? - spytał Polio kręcąc kubkami tak szybko, że rozmywały się ich kontury. Zauważył Daura i mrugnął do niego. - A może pan, sir?

Daur uśmiechnął się.

- Widzicie moje pagony, żołnierzu? Dostałem je za bycie rozsądnym. Nie, dziękuję. Polio wyszczerzył się.

- Pańska strata.

- Nie sędzę - odparł Daur i odszedł.

Na drugim końcu podwórza pluton Hallera kopał piłkę razem z paroma Krassianami. Grali żywo, cali ubłoceni. Noa Vadim kiwał Krassian, koledzy z drużyny krzyczeli na niego, żeby podał. Daur był pewny, że naprawdę krzyczą po to, żeby zagłuszyć dalekie pomruki bitwy.

Daur usłyszał ciche wystrzały karabinowe dochodzące z jednej ze stajni i poszedł to sprawdzić. Znalazł szeregowego Merrta ćwiczącego strzelanie do szeregu starych butelek ustawionych na belce przeciwległej ściany.

Merrt podniósł wzrok na widok nadchodzącego Daura.

- Przepraszam, sir - powiedział. - Tylko trochę gn... gn...

ćwiczyłem. Ustawiłem na gn... gn... niski ładunek. - Wyglądał na lekko zawstydzonego, choć ciężko było powiedzieć na pewno. Szczękę Merrta i jedną stronę jego twarzy stanowiły toporne metalowe implanty, słabo skrywane pod maską w kolorze skóry. Daur wiedział dlaczego szeregowy ćwiczył. Merrt ćwiczył przy każdej okazji. Tanithiańczyk z pochodzenia, był jednym z pierwszych snajperów w regimencie, z wynikami niższymi niż Larkin czy Rilke, ale nadal imponującymi. I wtedy, na Monthax, gdy oberwał potworną ranę twarzy, jego umiejętności poszły do piachu. Gaunt zatrzymał go przez jakiś czas ze snajperami - zbyt długo według Harka - ale brak sukcesów Merrta na Phantine zmusił w końcu Gaunta, do przeniesienia go do regularnych oddziałów.

Daur wiedział, że Merrt nienawidził utraty statusu bardziej nawet niż straty części twarzy. Merrt ćwiczył i ćwiczył, pragnąc odzyskać umiejętności i zdobyć na nowo odznakę snajpera.

- Jak ci idzie? - spytał Daur.

Merrt wzruszył ramionami. - Chciałbym popracować z gn... gn... przedłużonym karabinem, ale mi go odebrali i gn... gn... dali jakiejś dziewczynie - odparł niemrawo, wskazując standardowy karabin w dłoniach. Wymowę miał upośledzoną przez odbudowaną część głowy. Merrt zdawał się żuć słowa.

Jąkał się przez tą wstrętą sztuczną szczękę.

- Niektóre z tych dziewczyn nieźle strzelają – powiedział Daur. Dobrze wiedział, że wielu z Tanithiańczyków miało problem z ochotnikami z Verghast, szczególnie z kobietami, a już najbardziej kobietami takimi jak Banda, Muril i Nessa, które wyróżniały się w celności.

Daur nie pozwalał ich obrażać. Były jedyną rzeczą, w której Verghastanie byli doskonali.

Merrt zajął się szczególnie mocno, zdając sobie sprawę, że powiedział za dużo do jednego z oficerów z Verghast.

- Nic nie miałem gn... gn.. na myśli, sir.

- Wiem - odparł Daur.

W wypowiedzi Merrta nie było tak naprawdę niczego przeciwko Verghastanom ani kobietom. Był zranionym człowiekiem, zmagającym się ze swoim własnym niepowodzeniem.

- Gn... gn... przepraszam.

Daur skinął głową.

- Kontynuujcie - powiedział.

Wychodząc Daur poczuł się okropnie. W tylnej ścianie było mnóstwo przestrzelin, ale bardzo niewiele rozbitych butelek.

Daur przeciął koniec tylnego pastwiska, spędzając czas z kilkoma żołnierzami.

Poszedł później grząską ścieżką wzdłuż czegoś, co było kiedyś sadem, dopóki skoszarowani tu żołnierze nie ścięli drzew na drewno na opał. Arcuda i Raglon chronili się przed deszczem za niskim murem, otuleni pelerynami.

Daur wiedział, że obaj byli nerwowi. Obaj zostali awansowani razem z Criid na dowódców plutonów akurat przed Aexe. Obaj oczekiwali pierwszego dowodzenia na polu walki. Według Daura, obaj mieli jednak powody do dumy. Arcuda, Verghastanin z długą i wąską twarzą, wykazał się wśród żołnierzy i zdobył stopień. Raglon doszedł do dowództwa oddziału przez wyróżniającą się służbę w kompanii sygnałowej.

Dziwne było widzieć Raglona bez jego nadajnika. Daur ucieszył się, że zobaczył ich razem, Verghastanin i Tanithiańczyk, równi sobie, polegający na sobie.

Przywitali go i przykucnął za murem.

- Akcja na froncie - powiedział Daur.

- Zauważyliśmy - odparł Raglon.

- Jest szansa, że możemy ruszyć wcześniej - dodał Daur.

Arcuda skinął głową.

- Chciałbym tam być, sir - powiedział. - Chcę tam już być. Tak jakby... mieć to już za sobą. Czy pan też to czuł przy pierwszym dowodzeniu?

Daur uśmiechnął się.

- Moje pierwsze dowodzenie to była warta przy Zachodnim Hass, w kopcu Vervun.

Na piechotę - dodał. - Miałem dziewiętnaście lat. Nie byłem w akcji przez cztery lata.

Aż do czasu... Wojny.

Ktoś prychnął śmiechem. Daur uniósł wzrok i zobaczył sierżanta Meryna opierającego się o mur i przysłuchującego rozmowie.

- Coś cię śmieszy Meryn?

Meryn pokręcił głową.

-Nie, panie kapitanie. Zawsze mnie bawi sposób, w jaki każdy Verghast odnosi się do akcji w kopcu Vervun jako „Wojny”, wielką literą i tak dalej. Na pewno było to duże i ciężkie jak Feth dla wszystkich zaangażowanych. Ale nie była to „Wojna”. „Wojna” to jest to, w czym teraz walczymy.

Walczyliśmy w tym już przed Verghast i będziemy walczyć przez długie lata. Daur stanął twarzą w twarz z Merynem. Sierżant był młody, jeden z najmłodszych podoficerów z Tanith, o kilka lat młodszy od Daura. Schludny, przystojny i zaczął ostatnio hodować wąsik, który w opinii Daura nadawał mu złowrogi wygląd. Meryn miał charyzmę i doskonałą historię służby. Jego tymczasowy awans na sierżanta w operacji Larisel na Phantine został zatwierdzony na stałe. Pagony miał tak świeże jak Arcuda i Raglon.

- Wiem, że jest wojna i wojna, sierżancie - powiedział Daur.

- Proszę wybaczyć Verghastowi jego pamięć. - Daur z rozmysłem użył takiego samego słowa jak Meryn. „Verghast” a nie „Verghastanin”. Tak właśnie mówili wszyscy Tanithiańczycy.

Dla Verghastian brzmiało to jak obraźliwy slang.

- Wiemy, że walczymy teraz na Wojnie. Proszę nam jednak wybaczyć, kiedy zdarza się nam skupić na walce, która wyniszczyła nasz ojczysty kopiec.

Meryn wzruszył ramionami.

- A Tanith umarła. Wszyscy mamy jakąś pamięć. Wszyscy mamy nasze własne wojny.

Daur zachnął się i spojrzał w bok, krople deszczu rozpryskiwały mu się na twarzy. Nie lubił specjalnie Meryna. Był oczywistym kandydatem na dowódcę plutonu, niektórzy mówili nawet, że za długo na to czekał, ale stał się nieprzyjemnie szorstki i zarozumiały. Czasami przypominał Daurowi Caffrana. Obaj Tanithiańczycy byli w tym samym wieku, nawet podobnie zbudowani. Jednak gdy Caffran był młody, pełen dobrych chęci i miał zwyczajnie dobry charakter, Meryn był młody, bezzwzględny i arogancki.

Colm Corbec miał na ten temat własną teorię. Teoria nazywała się major Rawne. Według Corbeca, Meryn był porządnym, uczciwym chłopakiem aż do czasu, kiedy został kapralem i dzięki kaprysom losu oraz struktury regimentu dostał się pod skrzydła majora Rawne. Major był teraz mentorem Meryna i sierżant dobrze się uczył. Dobroduszne podejście znikło, zostało zastąpione przez gorzki, nieprzyjazny stosunek. Ślad trującego wpływu majora Rawne, jak przypuszczał Daur.

Rawne wychowywał Meiyna. Nieoficjalna plotka głosiła, że Meryn rozkazał lub przeprowadził jakąś przesadnie brutalną akcję w czasie operacji Larisel. Larkin i Mkvenner nie puszczali na ten temat pary z ust. Meryn był gorliwy w osiągnięciu wyznaczonych celów operacji i dowiedzeniu, że zasługuje na awans.

Być może za bardzo gorliwy.

- Są już jakieś wiadomości z frontu? - spytał Meryn. Daur wolałby, żeby Meryn już sobie poszedł, a on mógł spędzić trochę czasu podnosząc na duchu Arcudę i Raglona bez publiczności.

- Nie - odparł Daur. - Jeszcze nie.

- Jeśli będą ofiary, to łatwo się domyślić, że wyruszymy jeszcze przed nocą

- stwierdził Meryn.

- Jeśli będą ofiary... - przyznał Daur.

Meryn zrobił sarkastyczny gest w kierunku dymów podnoszących się z linii frontu.

- Będą - powiedział.

- Chciałbyś, co? - warknął Daur.

- Ani przez chwilę - odparł Meryn ze stężałą twarzą. - Jestem jednak realistą. Mają tam fethowo ciężko. „Wojna”, rozumie pan? Ktoś oberwie. Daur chciał powiedzieć Merynowi, żeby sobie poszedł, ale Raglon i Arcuda podnieśli się na nogi, strząsając wodę z peleryn.

- Idziemy sprawdzić nasze plutony, sir - powiedział Raglan.

- Przygotować, jeśli będzie taka potrzeba - dodał Arcuda.

- Dobry pomysł - zgodził się Daur.

Dwaj nowi sierżanci odeszli w stronę wioski i wież kaplicy Świętych Avignów.

Kiedy tylko odeszli z zasięgu słuchu Daur, zwrócił się do Meryna.

- Rozumiesz pojęcie morale, Meryn?

Meryn wzruszył ramionami.

- Tych dwóch czeka pierwsze bojowe dowództwo. Są przestraszeni. Potrzebują wsparcia, a nie siania defetyzmu.

- To bycie realistą jest teraz przestępstwem, kapitanie? - zapytał Meryn bezczelnie.

- Dla mnie to też będzie pierwsza akcja w roli sierżanta, jeśli zechce pan sobie przypomnieć.

- Dowodziłeś już, Meryn. Na Ouranbergu. Dobrze sobie tam radziłeś. Może nawet za dobrze.

- Co to ma oznaczać?

- Co tylko chcesz - stwierdził Daur, odchodząc. Odmówił krótką modlitwę dziękczynną za to, że za jakiś tydzień to Rawne znów będzie odpowiedzialny za Meryna.

Z szopy na dalszym skraju greplarni dochodziło mnóstwo hałasów. Daur wepchnął się do szopy, w której unosił się zapach potu wielu ciał. Było tam pełno Duchów, Krassian i sporo Ostlunderów w czerwonych bluzach.

Ostlunderzy byli z Kottmark, kraju graniczącego z Aexe od wschodu. Mieli jasną skórę, wyglądali na twardych i odpornych, w większości sporo wyższych od Imperialnych.

Daur rozglądał się w tłumie, próbując odnaleźć źródło zamieszania.

Varl - westchnął. - Dlaczego nie jestem zaskoczony?

Sierżant Varl, dowódca dziewiątego plutonu znalazł sobie nową zabawę, na którą można było stawiać zakłady. Varl, ogólnie lubiany, przystojny łobuz, przeszedł drogę od szeregowego i zdobył stopień znojem i wysiłkiem okupionym krwią. Jego własną. Na Podwójnej Fortis, oberwał w tors, co skończyło się protezą ręki, obojczyka i fragmentu ramienia.

Wkrótce potem Gaunt zrobił go sierżantem. Zrobił to po to, żeby pokazać, że w regimencie nie było zastanej hierarchii.

Varl był jednym z chłopaków, zwyczajnym jak odchody groxa, ale miał właściwe podejście i takie pokłady charyzmy, że czyniło go to idealnym dowódcą.

Nie można było nie lubić Varla. Wszyscy go lubili. Znany był z kawałów, dowcipów i wpadania w kłopoty. Udowodnił też, że prosty żołnierz może mieć zadatki na dowódcę.

Gaunt miał nadzieję, że wniesie trochę prostoty do dowódczego eszelonu Pierwszego. Varl wnosił jej na kopy.

Daur wiedział, że Varl dostał awans dużo wcześniej niż lepiej postawiony Meryn.

Może to dlatego Meryn był tak fethowo nieżnośny.

Ceglan Varl był ośrodkiem zamieszania. Jego ludzie ustawili ring z bel słomy i wyglądało na to, że prowadzą walki kurczaków.

Daur przecisnął się na przód. Nie, nie kurczaków...

- *Struhidy!* Piękne młode *struhidy*, gotowe do walki i twarde jak diabli. - Varl prowadził konferansjerkę z drewnianej platformy nad ringiem. Podniósł jednego ptaka za kark, ze znanstwem unikając kłapiącego dzioba i gwałtownie wymachujących nóg zakończonych pazurami. *Ze znanstwem* to było dobre określenie. Daur zachichotał. Byli na tym świecie od pięciu minut a Varl już był ekspertem w kwestii miejscowej fauny.

- Popatrzcie na tego gościa! Sami popatrzcie – gardłował Varl. - Nazywa się Major, bo jest ostry jak Feth!

Duchy z tłumu zaśmiały się na te słowa.

- Spójrzcie na jego pazury. Spójrzcie tutaj! - Varl złapał jedną z wymachujących nóg i rozłożył złowrogię pazury tak, żeby tłum mógł je podziwiać. - Długie na trzy centymetry i ostre jak czyste srebro. Czego więcej można chcieć?

Jeden z Krassianów coś wykrzyknął.

- Dziób? Dziób? - odparł Varl, patrząc w jego kierunku i wywijając na około wrywającym się ptakiem. - Pokażę wam dziób! Panie Brostin, jeśli można prosić? Brostin, wielki operator miotacza płomieni z plutonu Varla, wszedł do ringu i wyciągnął przed siebie pustą łuskę od. 30.

Ptaka szarpnął się do przodu i przeciął łuskę na pół ostrym dziobem.

Tłum zawył. Brostin podniósł obie części łuski i rzucił w tłum. Żołnierze rzucili się na nie i zaczęli się bić.

- Jest twardy. O tak, panowie. Major to stary twardziel. Wszyscy widzieliśmy, co zrobił z Kapitanem, czyż nie?

Kolejne okrzyki.

- Kapitanem? - zawołał Daur.

Varl zauważył Daura i zająknął się.

- Ach, o witam pana, sir! Jak się pan ma? Kapitan, o którym mówiłem... niech odpoczywa w pokoju... został tak nazwany na cześć innego kapitana, który w żadnym razie nie przypomina pana... Nie mam wątpliwości. Jakie zakłady na Majora?

Na twarz Varla powrócił uśmiech.

- Zechce pan może zrobić zakład z jednym z moich przemiłych asystentów, sir?

- Daur zauważył Baena, Mkfeyda i Rafflana, przesuwających się przez tłum, zbierających gotówkę i ogłaszających stawki.

- Przeciw komu staje ten Major? - zawołał Daur.

- Trzy rundy, do pierwszej krwi... - powiedział Varl – przeciwko Potężnemu Ibramowi!

Rozległ się gardłowy ryk aprobaty. Szeregowy Etron pojawił się po drugiej stronie ringu, trzymając młodego białopiórego *struhida* ze srebrnym dziobem. Miał spore kłopoty z utrzymaniem go. W ciepłym powietrzu wirował puch ptaków.

- O nie, dziękuję. Zawsze stawiam na Potężnego Ibrama.

- Ustawione! Ustawiliście to! - krzyczał jeden z Kottmarkijczyków.

- Uspokój się, przyjacielu - powiedział Varl.

- Mamy swojego własnego zawodnika - zawołał najwyższy z Tarczowników z Ostlund.

Varl zwrócił się do tłumu.

- Nowy zawodnik, panie i panowie, trenowany przez naszych wartościowych sprzymierzeńców z Kottmark... jak się nazywa ten ptak?

Grupka Kottmarkijczyków wniosła klapiącego, pokrytego bliznami młodego *struhida*.

- Redjacq - ogłosił dumnie ich przywódca.

-Redjacq! Dobrze się prezentuje to ptaszysko! - zawołał Varl. - Róbcie ludzie zakłady... w następnej rundzie stają Major z Tanith, twardy jak Feth i Redjacq, trenowany przez naszych wspaniałych sprzymierzeńców z Kottmark. Kto stawia na Majora?

- Dziesięć! - wrzasnął Verghastanin.

- Dwadzieścia na Redjacq! - krzyknął Krassianin.

- Mój nóż, że Major go wypatroszy.

Daur spojrział przez tłum, żeby zidentyfikować źródło tego zakładu. Mkoll. Dowódca zwiadowców stał z założonymi ramionami pośrodku zamieszania.

- Plujemy na twój nóż! - zawołał jeden z Kottmarkijczyków.

- Hmm... nie robiłbym tego gdybym był na twoim miejscu - powiedział Daur, ale Kottmarkijczyk go nie słuchał.

-Panowie! Koniec zakładów! - ogłosił Varl, dostrzegłszy skinienie głowy Baena.

- Pierwsza runda! Wypuścić zawodników!

Młode *struhidy* wpadły na ring z przeciwnych stron w kakofonii okrzyków. W górę poleciały pióra. Redjacq ciał i walił w Majora i kolejna porcja piór zawirowała w powietrzu. Właśnie wtedy Major zrobił wypad i złamał kark Redjacq jednym czystym ciosem swojego wspaniałego dzioba. Dachówki nad gręplarnią zadrżały od ryku żołnierzy.

Tanithiańczycy oraz niektórzy z Krassian krzyczeli z radości i tańczyli. Płacono zakłady, w obie strony lokalną walutą, imperialnymi monetami, trofeami, odznakami, pamiątkami. Wysoko na podeście, Varl wykonał dumny taniec, niczym puszący się kogut, w przód i tył, kiwając głową i machając łokciami jak skrzydłami.

Daur, znajdujący się w samym środku, śmiał się z innymi. Na chwilę prawie udało mu się zapomnieć, jak zła jest sytuacja na zewnątrz.

Mocna dłoń chwyciła go za ramię. Mkoll.

- Niech pan uważa, sir - powiedział cicho dowódca zwiadowców. Skinieniem głowy wskazał drzwi. - Tam.

Daur spojrział. Pomocnik Varla, Ifvan, próbował odebrać należność od grupy Kottmarkijczyków. Daur nie słyszał wymiany słów, ale potrafił odczytać mowę ciała. Coraz więcej Kottmarkijczyków zbliżało się w tamtym kierunku, przedzierając się przez niczego nie podejrzewających, tańczących Tanithiańczyków.

- Wspieraj mnie - rzucił Daur.

- Jasne - odparł Mkoll.

Daur ruszył poprzez tańczący tłum. Wokół Ifvana zgromadziło się teraz dziewięciu lub dziesięciu Kottmarkijczyków, pozostali też wyglądali mało przyjaźnie.

Jeden z żołnierzy z Ostlund zaczął uderzać Ifvana w pierś.

Wszyscy byli znacznie wyżsi niż Daur.

Daur odchrząknął i przygotował się do interwencji. W tym momencie Kottmarkijczyk stojący za Ifvanem wyciągnął okopową pałkę. Była to cylindryczny kawałek twardego drewna z metalowym okuciem na końcu.

Daur rzucił się do przodu. Pałka zaczęła opadać... i zatrzymała się. Rozległo się głucho, soczyste uderzenie, które nagle uciszyło pomieszczenie.

Kottmarkijczyk upuścił pałkę. Rękaw miał przyszpilony tanithiańskim nożem bojowym do framugi drzwi. Zapanowała nieprzyjemna, nabrzmiała cisza.

Daur spojrzął za siebie na Mkolla, ale szef zwiadowców wzruszył tylko ramionami, wyraźnie rozbawiony.

- Nie lubię jak ktoś nie umie przegrywać - stwierdził Varl ze swojego podestu, oddalonego o dziesięć metrów.

Wpatrywał się w Kottmarkijczyków otaczających Ifvana. - To miała być rozrywka. Sport. To nie wojna. Zebraliśmy się tutaj, żeby przyjaźnie rywalizować i zostawić zabijanie za drzwiami. Jesteście rozgoryczeni. No cóż, trudno. W duchu tego miejsca, mówię wam: weźcie swoje pieniądze. Nie chcemy ich. Wasze zakłady są unieważnione. Zabierzcie swoje pieniądze i spadajcie. Niektórzy z Kottmarkijczyków ruszyli w stronę podestu.

- Albo - powiedział Varl ostro - zacznę rzucać więcej noży. Niech mi ktoś poda czyste srebro.

Daur zamrugął. Stało się coś niebywałego. Usłyszał serię uderzeń i wokół nóg Varla pojawiło się półkole wbitych w deski noży, rzuconych z tłumy bez chwili zastanowienia i z absolutną precyzją.

Varl schylił się i wyciągnął jeden z wibrujących jeszcze noży.

Rzucił go, bez patrzenia, w powietrze i złapał na powrót za rękojeść.

- No więc?

Kottmarkijczycy uciekli. Podobnie jak niektórzy Krassianie. Właściciel pałki zostawił część rękawa przyszpilonego do framugi.

Żołnierze Pierwszego zaczęli wiwatować i klaskać w dłonie. Varl uklonił się lekko i postawił sobie nóż, czubkiem w dół, na nosie.

- Wystarczy! - Daur podniósł głos. - Wynosimy się stąd! Szykować się do przeglądu sprzętu!

Duchy wyszły na zewnątrz, rozmawiając i śmiejąc się. Jeden za drugim noże zostały zabrane z podestu. Brostin wyciągnął nóż Varla z framugi rzucił do sierżanta. Varl odrzucił mu jego ostrze. Noże minęły się w powietrzu. Żaden z nich nawet nie spojrzął, kiedy zgrabnie je łapali.

Szopa była prawie pusta. Mkoll jeszcze został. Daur wspiał się na podest koło Varla.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział kapitan. - Miałeś wszystko pod kontrolą.

- Nie organizuje się czegoś takiego, jeśli się nie wie, jak nad tym zapanować.

- Odparł Varl. - Pierwsza zasada organizowania rozrywki.

- Nieźle, okazałeś wspaniałomyślność, pozwalając im odejść bez płacenia.

Varl uśmiechnął się. - To wszystko to część przedstawienia. Poza tym Ifvan i Baen obrobili im kieszenie, kiedy uciekali.

- Kapitanie?

Daur spojrzął w dół. Mkoll stał w drzwiach.

Dostaliśmy wiadomość powiedział Mkoll. - Wysyłają rannych na tyły.

Pierwsi ranni zaczęli się pojawiać późnym popołudniem. Od momentu, kiedy bombardowanie ustało i natarcie zamarło, napływali szerokim strumieniem. Niektórzy przyszli sami, innych przyniesiono na noszach, albo podtrzymywali ich towarzysze, jeszcze innych przywieziono na taczkach albo wózkach amunicyjnych. Dorden, szef medyków Pierwszego, wysłał swój zespół na pierwszy posterunek medyczny zaraz po obiedzie.

Posterunek, oznaczony jako 4077, znajdował się już o cztery kilometry za linią frontu. Szykując się do pracy, doświadczyli jeszcze końcówki ostrzału. Ziemia się trzęsła. Płótno namiotów powiewało na wszystkie strony. Narzędzia chirurgiczne grzechotały na metalowych tacach.

- Nie ma tu dostępu do linii wodociągu – zaraportował Mtane, jeden z trzech wykwalifikowanych medyków regimentu.

- Żadnego? - zapytała doktor Curth, układając czyste ostrza na tacy pokrytej materiałem.

Mtane pokręcił głową.

- Jest tylko zbiornik. W połowie pełny. Dyżurni Przymierza nie mogą obiecać, że jest czysty.

- Lesp! - krzyknął Dorden. Smukły pomocnik natychmiast podbiegł. - Ustaw jakieś palniki i zacznij gotować wodę. Zaczekaj!

- Lesp stanął w pół kroku. Dorden wręczył mu małą paczuszkę.

- Tabletki sterylizujące. Zrób co się da.

Cruth rozdarła pudełko żeluz antybakteryjnego zapakowanego w grube metalowe tuby i rozdała dookoła.

- Używajcie tego z rozwagą - napomniała. - To nasz jedyny karton.

Posterunek medyczny składał się z brudnych, długich namiotów, rozstawionych po zachodniej stronie umarłego lasu. Rampy schodzące do pierwszych ziemianek sektora 55 zaczynały się ledwie pięćdziesiąt metrów na wschód od nich.

Byli straszliwie odsłonięci, stanowili pierwszą strukturę powyżej poziomu gruntu po tej stronie Linii Peinforq. Las - ponoć nazywał się Hambley - był dowodem na ich nędzne położenie. Było to teraz morze błota i dawnych kraterów, usianych wypalonymi pniami tysięcy drzew. Cały teren śmierdział spleśniałym drewnem.

Zespół medyczny Pierwszego dzielił posterunek z Krassianami i grupą sanitariuszy Przymierza. Kiedy doktor Curth wyszła przed namiot Duchów na ostatnią pałeczkę *lho* przed rozpoczęciem prawdziwej pracy, została zaskoczona i zgorziona tym, jak niechlujni i brudni byli tubylecy. Ich fartuchy - i co gorsza ręce - były brudne. Wielu z nich było chorych. Niektórzy byli odurzeni, prawdopodobnie spirytusem medycznym.

Foskin, najmłodszy z sanitariuszy, dołączył do niej przed namiotem.

- Jak wielu zabijają, przekazując im infekcję? - zapytała.

- Postarajmy się, żeby Duchy trafiły do nas - powiedział.

Nie było to takie proste. Ciała i chodzący ranni, którzy zaczęli pojawiać się na posterunku byli tak ubłoceni, że trudno było odróżnić stopień, przynależność do regimentu czy nawet płęć.

Doktor Curth spędziła pięć minut, zszywając ranę uda, zanim zorientowała się, że operuje Lubbę, operatora miotacza płomieni. Jednego ze starej paczki Kolei, z dziewiątego plutonu. Umyła mu twarz i uśmiechnęła się na widok tatuaży.

- Co z Golem? - zapytała.

- Nic mu nie jest, proszę pani. Wyszedł z tego, kiedy ostatni raz go widziałem.

- A jak sobie Tona radzi?

- Sierżant? Była w porządku.

Doktor Curth była zadowolona. Nazywali już Tonę Criid sierżantem. Ana Curth była jedyną osobą w regimencie, która знаła sekret. Kolea kiedyś wiedział, ale stracił pamięć razem ze swoją osobowością. Była też burdelmama, która wiedziała, ale doktor Curth nie widziała jej od czasów Phantine. Dwójka dzieci *adoptowanych* przez Criid i Caffrana, dwójka dzieci czekających teraz razem z cywilną załogą regimentu w Rhonforq, była naprawdę dziećmi Kolei. Sądził, że zginęły.

Kiedy dowiedział się, że jednak żyją, było już za późno. Jako sieroty przywiązały się do Tony. Było za późno, żeby jeszcze raz przewracać im świat do góry nogami. Tak przynajmniej uważał Kolea, zanim rana pozbawiła go całej osobowości.

Doktor Curth uważała, że jest odpowiedzialna za opiekowanie się nimi wszystkimi.

Anonimowi ranni napływali przez całe popołudnie. Dorden napotkał przypadki ran od szrapneli, uszkodzenia od wybuchów i kilka przykładów starych zmian chorobowych wywołanych przez gazy, tak żrące jak i duszące. Wyciągnął pięciocentymetrowy fragment powłoki granatu ze szczęki DaFelbe, dwadzieścia dwa gwoździe ze stopy i nogi szeregowego Charela i złamane ostrze bagnetu z żeber Jessi Bandy. Ocknęła się na stole, kiedy czyścił ranę przed ekstrakcją ciała obcego.

- Rawne! - westchnęła. - Rawne.

- Spokojnie - syknął. Spojrzał na Lespa. - Mamy jakąś morfinę?

Lesp pokręcił głową.

- Co z majorem Rawne? - zawołała Jessi, wpadając w konwulsje.

- Spokojnie - powiedział Dorden. - Nic ci nie będzie.

- Rawne... - wymruczała.

- Też dostał? - zapytał Dorden.

Banda zemdląca.

- Nie ma oznak oddychania po lewej stronie. - Zaraportował

Lesp. - Stracimy ją.

- Płuco jej się zapadło - odparł Dorden spokojnie i zabrał się do pracy.

Niektórzy z najciężej rannych pochodzili z szesnastego plutonu.

Nie było ich wielu. Jeden z Krassian powiedział doktor Curth, że szesnasty przestał właściwie istnieć.

Szeregowy Kureń, który przetrwał horror operacji Larisel na Phantine bez jednego zadrapania, stracił fragment nogi.

- Wszyscy nie żyją - powiedział doktor Curth. - Maroy nie żyje.

Przeszedł ją dreszcz.

- Nie żyje?

- Prawie wszyscy z nas. Fethowe pociski, zabijały nas...

Rozejrzała się po posterunku. Mtane starał się zamknąć dziurę w klatce piersiowej

Krassianina. Foskin i Chayker przytrzymywali żołnierza, który dostał napadu padaczkowego i wymiotował krwią. Dorden walczył o życie Bandy.

- Sierżant Maroy nie żyje - powiedziała.

Dorden przytaknął smutno.

-Major Rawne być może też - powiedział.

Okolo 17: 00 napływ rannych ustał. Sam posterunek medyczny Dordena udzielił pomocy prawie pięciuset osobom. Światło było już słabe, przytłumione przez dym po ostrzale. Wciąż mżyło. Ziemia wewnątrz i naokoło namiotów była zalana krwią, wszędzie wałały się fragmenty porzuconego ekwipunku i mundurów.

Lżej ranni zostali odesłani do Rhonforq i innych posterunków rezerwowych.

Naprawdę chorzy i poważnie ranni byli transportowani wozami i na noszach do

głównych szpitali polowych. Dorden zadbał, żeby wszystkie poważnie ranne

Duchy zostały odpowiednio oznaczone i przeniesione do jego szpitala w greplarni w Rhonforą.

Curth i Dorden wyszli z namiotu, kiedy już wszystkich opatrzyli, narzekając między sobą na braki w zaopatrzeniu. Doktor Curth zapaliła kolejną pałeczkę *iho*, Dorden przyłączył się do niej na chwilę, ale zaczął tylko kaszleć. Obawiała się, że uczy go złych nawyków.

-Hej - rzuciła, szturchając go w bok - spójrz tam. Po drugiej stronie błotnistej dziedzińca posterunku, dyżurni Przymierza wnosili kartony z materiałami medycznymi do swoich namiotów. Doktor Curth pobiegła w ich stronę, rzucając niedopałek w błoto. Dorden starał się ją zatrzymać.

-Nie, Ana! Nie rób lego!

Za późno. Doktor Curth dobiegła do kartonów. Chwyciła najbliższy i rozerwała pokrywę, mimo gniewnych protestów dyżurnych Przymierza.

- Imperialne zaopatrzenie! Te rzeczy są oznaczone na użytek Pierwszego i Ostatniego. Łajdaki! Ukradliście je!

- Spadaj! - warknął Aexegarczyk.

- O nie! Nasze zapasy zaginęły i walczyliśmy o przetrwanie bez nich! To wy je przejęliście, prawda? Ukradliście nasze fethowe zapasy!

- Ana! Proszę cię! Nie warto! - zawołał Dorden podchodząc bliżej. Zbyt często widział tę zrodzoną z desperacji korupcję. Przymierze cierpiało na bolesne braki w zaopatrzeniu. Duży transport świeżych materiałów medycznych był zbyt dużą pokusą do zignorowania. Zdobędzie więcej, przyślą mu dodatkowe ilości ze statków *Munitorium*. Nie warto było się kłócić z tymi biednymi, zdesperowanymi nieszczęśnikami.

- Niech idą do piekła! - wykrzyknęła doktor Curth i próbowała zabrać część kartonów.

Żołnierz Przymierza o posturze bandyty i z brudnym bandażem na głowie uderzył ją i przewrócił w błoto. Kartony rozsypały się dookoła.

- Nie, o nie... nie będziesz! - Krzyknął Dorden i rzucił się na dyżurnych Przymierza, odciągając ich od powalonej doktor Curth, która zwinęła się w kłębek, chroniąc się przed kopniakami.

Zajęli się i nim. Jeden uderzył go w usta, inny kopnął w biodro.

Dorden wrzasnął i walnął na odlew, przewracając jednego z Aexegarczyków. Wtedy naprawdę zaczęli go bić. Doktor Curth podniosła się i rzuciła w środek walk, drapiąc, bijąc i kopiąc.

Rozległ się bardzo głośny wystrzał z boltera.

Na ten dźwięk napastnicy oderwali się od doktor Curth i Dordena. Ibram Gaunt szedł przez błoto, biały dym unosił się ze szczelin na końcu lufy. Od stóp do głów pokryty był błotem i krwią a na policzkach miał ślady oparzeń.

- Jestem Imperialny komisarz Gaunt - ogłosił. - Jestem znany z tego, że traktuję wszystkich sprawiedliwie, chyba że zostanę sprowokowany. Właśnie mnie sprowokowaliście.

Gaunt opuścił broń i zastrzelił na miejscu dwóch Aexegarczyków. Reszta uciekła. Dla pełnego efektu, Gaunt westchnął i zastrzelił również jednego z uciekających.

Gwardziści, medycy i personel Przymierza, wszyscy stali na około zupełnie zaszokowani.

Gaunt pomógł Dordenowi i doktor Curth podnieść się na nogi.

- Nikomu nie pozwolę tak traktować mojego korpusu medycznego - powiedział.

Doktor Curth patrzyła na niego z nieukrywanym strachem. Nigdy go takiego nie widziała.

- Jestem komisarzem - zwrócił się do niej. - Chyba nie zdawałaś sobie sprawy z tego, kim są komisarze, Ana. Musisz się przyzwyczaić.

Gaunt rozejrzał się.

- Wy tam, żołnierze! - krzyknął w stronę grupki gapiów.

- Zbierzcie te zapasy i podzielcie równo pomiędzy zespoły medyczne Gwardi i Przymierza na tym posterunku. Doktor Curth będzie nadzorować.

Skinęła głową.

- Dorden? - Gaunt zwrócił się w stronę starego lekarza.

Medyk miał podbite oko i pękniętą wargę.

- Nic ci nie jest?

- Przeżyję odparł Dorden. Gaunt widział, że jest bardziej zły niż ranny. Zły, że w ogóle doszło do bijatyki i że był na tyle głupi, iż dał się do niej wciągnąć. A najbardziej był zły, że Gaunt właśnie zademonstrował ponurą stronę imperialnej dyscypliny. Dorden ślubował nie zabijać. Złamał ten ślub raz, na Menazoid Epsilon, ratując Gauntowi życie. Teraz zaś był świadkiem, jak Gaunt z rozmysłem odbiera życie w imię żelaznej dyscypliny.

- Doktorze? - odezwał się Gaunt.

- Sir?

- Proszę się zająć majorem Rawne.

Przybycie Gaunta poprzedziło nowy napływ rannych, w większości Krassian i Sprzmierzonych, ale również sporą ilość z co najmniej siedmiu plutonów Duchów, w tym dowodzonych przez majora Rawne, Domora, Theissa i Obela.

Obrażenia w oddziałach Theissa i Obela pochodziły głównie od ostrzału. Niektóre z tych ran, jak na przykład odniesiona przez Kella, były katastrofalne.

Szeregowy Tokar będzie pierwszym Tanithiańczykiem, który będzie musiał się nauczyć języka migowego, używanego przez ogłuszonych wybuchami Verghaslan.

W plutonach Domora i majora Rawne, rany były skutkiem walki wręcz. Milo, sam

nawet nie drażnięty, nie licząc paru siniaków, przyniósł Nehna, który miał czaszkę rozbitą pałą napastnika. Osket stracił oko, a potem fatalnie złapał za ostrze wymierzonego w niego bagnetu. Ostrze wcięło się między palcami środkowym i wskazującym, rozcinając dłoń aż do podstawy kciuka. Kapral Chiri, jedna z Verghastanek w oddziale Domora, została poważnie skaleczona, co na zawsze zeszpeci jej pospolitą, ale wesołą twarz.

Major był nieprzytomny. Feygor i Leclan przynieśli go na zaimprovizowanych noszach z desek.

- Co wiadomo? - zapytał energicznym tonem Dorden, tnąc mundur i bieliznę majora.

- Pocisk w brzuch - odparł Leclan, sanitariusz trzeciego plutonu. - Z bliskiej odległości.

- Jak dawno?

- Dwie, może dwie i pół godziny temu. W okopie było piekło. Cholerne piekło. Znalazłem go w jakiejś dziurze. Banda trzymała go, ale stracił przytomność dużo wcześniej.

- Bandę przyniesiono jakiś czas temu - powiedział Dorden, zmywając brud z brzucha majora.

- Ja ją wysłałem - powiedział Leclan. - Z pierwszą falą.

Nie chciałem ruszać majora. Wzywałem lekarza, żeby przyszedł do niego na linię frontu, ale radio nie działało a posłańcy, których wysłałem, nigdy nie wrócili.

- Feth! - rzucił Dorden badając ranę. - Stracił dużo krwi. Fethowo dużo.

Pochylił się, wziął do ręki tabliczkę na łańcuszku na szyi majora i odczytał czekającemu dyżurnemu grupę krwi.

- Co z Bandą?

Dorden przerwał gorączkową pracę i spojrzał na Leclana. Żołnierz był przestraszony. Sanitariusze tacy jak Leclan byli zwykłymi żołnierzami przeszkolonymi do udzielania podstawowej pierwszej pomocy. Nie byli medykami. Mieli tylko zrobić podstawowe rzeczy do czasu przybycia lekarzy.

- Jessi Banda będzie żyła. Było z nią krucho, ale wylize się z tego.

Leclan opuścił ramiona, z wyraźną ulgą.

- Dobrze postąpiłeś - powiedział Dorden, wracając do pracy.

- Major nie umrze, prawda? - zapytał Feygor.

Niezamierzony sarkazm dodany do jego wypowiedzi przez sztuczne gardło spowodował, że Dorden się zachnął.

- Zobaczymy.

- Jak kciuk?

Beltayn uniósł wzrok i zobaczył Gaunta. Zszedł ze skrzyni na amunicję, na której odpoczywał i pokazał komisarzowi - pułkownikowi zabandażowaną dłoń.

- Trochę bolało, kiedy nastawiali, ale teraz już w porządku. Doktorek Mtane mówi, że nie mogę nic dźwigać i absolutnie żadnego obsługiwania nadajnika. Po prawdzie rekomendował też wakacje, gdzieś gdzie nie ma ognia broni palnej.

- Pomarzyć można - powiedział Gaunt.

Byli sami na skraju posterunku medycznego, na poboczu drogi, gdzie długa trawa wyrastała pomiędzy połamanych sztachet płotu. Słońce zaczęło zachodzić, światło

zrobiło się osmolone od wyziewów wojny.

Przeszedł przed nimi pochód noszy, zdążając na zachód.

Gaunt usiadł na trawie i Beltayn zajął na nowo swoje miejsce na skrzyni.

- Masz listę ofiar? - zapytał Gaunt.

Beltayn wyciągnął płytkę danych.

Rawne zażartował kiedyś ponuro, że Tanith oszczędziła Gauntowi tej jednej przykrej konieczności wszystkich innych dowódców, listów do domu. Co prawda niewielu dowódców Gwardii przejmowało się powiadamianiem najbliższych, choć garść regimentów znana była ze skrupulatności w tej kwestii.

Gaunt nie miał do kogo pisać, nawet jeśli czułby taką potrzebę. Tanith nie istniała, a większość Verghastan, którzy dołączyli do Duchów, zrobiła to, ponieważ nikt im już nie został.

Gaunt pamiętał dawne czasy, kiedy Oktar nakazał mu przygotowanie listów „Zaginiony w Czasie Akcji” do rodzin poległych Hyrkanów. Po Balhaut zajęło mu to większą część całego tygodnia.

Gaunt przestudiował tabliczkę danych.

- Szesnasty pluton właściwie nie istnieje - powiedział Beltayn.

- Rozumiem, że tych, którzy przetrwali, włączymy do oddziałów potrzebujących nowych ludzi.

Gaunt skinął głową. Po przeczytaniu listy zdał sobie sprawę, że siły Duchów spadły do poziomu poniżej stu plutonów, po raz pierwszy od Vergahst. Poczul powracający gniew. Wojna pochłaniała ludzi. Była to jedna z pierwszych prawd, jakie wtłoczyli mu do głowy w korpusie komisarzy.

Jednak ta wojna... ta wojna pochłaniała ludzi jak żarłok. Karmiła się śmiercią, mimo że była już rozdęta i pełna.

- Możesz mnie połączyć z Van Voytzem? - spytał Gaunt.

- Mogę spróbować - odparł Beltayn.

Kiedy adiutant zaczął ustawiać nadajnik, Gaunt podniósł się na nogi i przeszedł kawałek drogą. Kolumny piechoty Przymierza Aexe posuwały się w jego kierunku z odwodów, zmęczone i brudne. Kolejne ciała dla wojennej maszyny.

Gaunt zauważył samotną postać spieszącą wzdłuż drogi, posuwającą się znacznie szybciej niż powolne szeregi piechoty.

- Kapitan Daur?

- Sir - zsalutował Daur. Stracił oddech. Biegł całą drogę z Rhonforą.

- Ufam, że rezerwy są w dobrych rękach?

- Mkolll, sir - dyszał Daur.

- A pan jest tutaj?

- Źle to wyglądało. Radio nie działało. Chciałem... wiedzieć.

- Było źle. Ponad setka ofiar. Trzydziestu sześciu nie żyje, o tylu wiem, w tym Maroy. Rawne może również nic przeżyć.

Daur odwrócił wzrok, patrzył na porzucone pola i wyniszczone lasy.

- Przemieli nas wszystkich, prawda, sir? - powiedział.

- Nie, dopóki ja mam coś do powiedzenia - odparł Gaunt.

- Pamiętaj, Ban... z Rawne wyłączonym ze służby, jesteś od teraz trzeci w hierarchii.

- Rozumiem.
- Chciałbym, żebyś przyprowadził pięć plutonów i zluzował drugi, trzeci, jedenasty, dwunasty i szesnasty. Według twojego uznania. Lepiej nie przejmuj się normalną kolejnością zmian. Od tej pory każdy pluton, który wejdzie do akcji, zostaje zluzowany przez świeży oddział.
Daur skinął głową.
- Chce mnie pan teraz na froncie?
- Z tego co rozumiem, Colm również doświadczył dziś trochę fethowej akcji. Pośle go do tyłu, a ty go zastąpisz.
- Nic mu nie jest?
- Z tego co wiem, to nie. Ale nie chcę go za bardzo obciążać. Miał bardzo ciężkie ostatnie osiemnaście miesięcy. Wciąż nie jest... nie jest jeszcze sobą.
- W porządku, sir - powiedział Daur.
- Colm obejmie rezerwy, a ty i ja będziemy dowodzić na froncie.
- Tak jest, sir! - Daur poczuł szczególną dumę. Po raz pierwszy to Gaunt i Verghastanin będą dowodzić w samym sercu akcji. Miał jednak mieszane uczucia. Rawne ranny, Colbec w rezerwie... Czy Duchy wciąż będą Duchami bez nich dwóch? Kiedy zgłosił się do Gwardii, Daur wyobrażał sobie, że będzie kiedyś oficerem dowodzącym u Gaunta. Życzył majorowi Rawne i Corbecowi śmierci, żeby móc wypromować Verghastan. Teraz, kiedy się to ziściło, miał tylko i wyłącznie poczucie straty.
- Sir? - zawołał Beltayn. Gaunt podszedł do adiutanta, który słuchał z uwagą głosu w słuchawkach radionadajnika.
- Nie udało się z generałem, sir - wyjaśnił Beltayn – ale rozmawiałem z jego sztabem. Jest pan zaproszony na obiad z szefami sztabu, jutro wieczorem w Meiseq. Szesnasta zero zero. Mundur galowy.

Larkin szedł wzdłuż okopu pomiędzy posterunkami 290 i 291, w jednym ręku miał snajperkę, w drugim bojowy nóż.

Żołnierze odsuwali mu się z drogi. Szalony Larkin znów był szalony.

- Larks? - zawołał Corbec wychodząc mu na przeciw. - Jak się masz?

Corbec wysyłał właśnie Sillo na posterunek medyczny, kiedy dotarła do niego wiadomość, że Larkina wzięło.

- Wygląda jakby mu odbiło! - powiedział szeregowy Bewl podnieconym tonem.

Larkin zamrugał i powoli rozpoznał Corbeca. Spojrzał na broń, którą miał w dłoniach, jakby dopierają teraz zauważył.

Starannie ułożył ją na stopniu stanowiska strzeleckiego. Następnie usiadł obok.

Corbec odesłał gapiących się żołnierzy do swoich zajęć i przysiadł koło Larkina.

- Zły dzień, Larks?

- Okropny.

- Wszędzie było ciężko. Chcesz o tym pogadać?

- Tak. - Larkin przerwał. Otworzył usta żeby wypowiedzieć imię „Lijah Cuu”, ale powstrzymał się. Tak bardzo chciał Corbecowi powiedzieć o Cuu. Cuu maniak. Cuu psychopacie. Cuu, który byłby go zabił, gdyby nie nagły ostrzał.

Cuu, który zabił Bragga.

Teraz jednak wydawało się to pozbawione sensu. Loglas, jedyny świadek, był martwy. Jeśli Larkin złoży skargę, nie będzie miał żadnych dowodów. A Cuu pokazał już, jak bardzo jest przebiegły.

Larkin wiedział, że Corbec potraktowałby go poważnie. Wiedział jednak również, że Colm musiał przestrzegać reguł.

Kiedy tylko zaczął się ostrzał, Cuu uciekł, zostawiając Larkina samego. Larkin był tak przerażony, obejmując głowę rękami, z zamkniętymi oczami, że dopiero po chwili zorientował się, że Cuu odszedł i został tylko strach przed nim.

Nie, nie było sensu, zdecydował Larkin. Jedyny sposób żeby się uwolnić od strachu, to stanąć z nim twarzą w twarz. Corbec nie mógł mu pomóc. Gaunt też nie. System nie mógł mu pomóc.

Lijah Cuu musi zginąć. Po prostu. Cuu chciał załatwić porachunki, prawda? No więc je załatwił. Fethowo proste, pewne pewniutkie, w ten czy inny sposób.

- Larks? - odezwał się Corbec. - Co mi chciałeś powiedzieć?

Wyglądasz, jakby coś cię gryzło.

- Bo gryzie - powiedział Hlaine Larkin. - Loglas zginął - wyznał.

Było to prawdą, ale równocześnie kłamstwem. To nie to gryzło Larkina.

Ale tylko tyle mógł powiedzieć Corbekowi.

COŚ ZA COŚ

„Powiadam wam, jeśli chcą się skradać, to proszę bardzo.

Z ciekawością zobaczę słynnych zwiadowców w akcji. ”

Pułkownik Ankre

Noc i kolejny ranek były w sektorze 55 miłosiernie spokojne. Wyglądało to tak, jakby wojna dała im spokój w tym rejonie, zatrzymała się, straciła impet.

Gdzie indziej uderzyła ze zdwojoną siłą. Dalej na wschód, wzdłuż doliny Naeme, sektory 46 i 47 zostały brutalnie potraktowane dwunastogodzinnym ostrzałem.

Znaczący odcinek tak zwanej linii Seronne, która biegła na wschód od końca sektora Peinforq do samego masywu Kottmark, doświadczyła ostrzału i następnie pancernego natarcia. Najgorsze miało miejsce na południe od delty Vostl.

Na północy przez całą noc następowały sporadyczne ataki pod Loncort i Salient.

Krażyły niepotwierdzone raporty, że sektory na północ od Gibsgatte doświadczyły największej ofensywy w tym roku i że bitwa wciąż tam trwała.

Poranek był wilgotny i mglisty. Z Beltaynem jako jedynym towarzyszem Gaunt podróżował na północ, do Meiseq. Beltayn niewiele mówił. Widział, że Gaunt jest w podłym nastroju i nie chciał niczego prowokować.

Samochód sztabowy podwiózł ich aż do Ongche, gdzie wsiedli do pociągu jadącego na północ. Pociąg był w połowie pusty i z turkotem posuwał się poprzez zamglone pola i zalane deszczem wrzosowiska.

Przed wyjazdem, zaraz po świcie, Gaunt przeprowadził finalną inspekcję pozycji Pierwszego. Plutony Daura były już o tej porze na froncie, jednak Corbec miał pozostać oficerem dowodzącym na linii do czasu powrotu Gaunta.

Pod koniec inspekcji Gaunt udał się do szpitala wojskowego w Rhonforą, gdzie spędził trochę czasu z rannymi i zapoznał się ze stanem przypadków krytycznych. Rawne przetrwał noc, choć nad ranem wymagał kolejnej operacji w celu zatrzymania wewnętrznego krwotoku.

Dorden był tak zmęczony, że wyglądał, jakby miał zasnąć na stojąco, a siniaki które zarobił w bijatyce, zaczęły mu dokuczać.

Gaunt zamierzał poprosić głównego lekarza, żeby towarzyszył mu do Meiseq, ale jeden rzut oka na Dordena wybił mu ten pomysł z głowy. Miejsce Dordena było w Rhonforą, choćby po to, żeby trochę odpoczął.

Gaunt wiedział, że Dorden jest wciąż na niego zły za dyscyplinarną egzekucję. W opinii Gaunta miał do tego prawo.

Poprzedniego popołudnia komisarza opanowała wściekłość, efekt bezsensownych strat, jakich był świadkiem na posterunku 289. Przebrała się miarka.

Jako Imperialny komisarz Gaunt był niezwykły, nie tylko dlatego, że posiadał stopień wojskowy. Komisarzy się bano. Byli w Gwardii instrumentem dyscypliny i kontroli, biczem utrzymującym wojsko w ryzach i poganiającym je do przodu.

Ich zadaniem było wbijanie do głów poborowych dogmatów imperialnej wiary, a później regularnie przypominanie im tych prawd. Egzekucje, nawet za drobne

przewinienia, były akceptowanym sposobem postępowania komisarzy. Nawet sam słynny Yarrick powiedział kiedyś, że rolą komisarza jest bycie większym zagrożeniem dla Imperialnego Gwardzisty niż jakikolwiek wróg.

Gaunt nie był taki. Doświadczenie pokazało mu, że lepiej budować morale zachętą i zaufaniem niż nieprzewidywalnym temperamentem i pistoletem. Miał dobry przykład w osobie swojego mentora, nieżyjącego Delane Oktara. Filozofia morale według Oktara również zasadzała się na zaufaniu oraz tolerancji. Bywały okazje, gdzie potrzebna była twarda ręka i nawet więcej, kiedy działanie zdawało lepszy egzamin niż słowa.

Gaunt szczyił się swoim poczuciem sprawiedliwości i wiedział, że z tego powodu mógł uważać ludzi takich jak Dorden za swoich przyjaciół. Na posterunku medycznym zachował się jak typowy komisarz. Dorden nic nie powiedział, ale Gaunt widział rozczarowanie w jego oczach.

Jadąc pociągiem, powracał w myślach do incydentu. Nie było sensu zwać winy na zmęczenie. Oznaczało to słabość, a komisarz nigdy nie mógł być słaby. Zdał sobie sprawę, że była to raczej kwestia daremności. Przybył na Aexe pełen wątpliwości i ciągle miał okazję utwierdzać się w swoich obawach. Sama wojna nie była pozbawiona sensu. W obliczu nieśmiertelnej plugawości Chaosu, ludzkość miała powód do walki. Nawet na Aexe było większe dobro.

Nie miał sensu sposób prowadzenia tej wojny. Pogarda z jaką Przymierze rzuciło na front ludzi i sprzęt. Antyczny sposób myślenia, w którym brutalna siła była głównym czynnikiem decydującym o zwycięstwie. Widząc to Gaunt, wpadał w złość. Mając Pierwszy wmieszany w to wszystko, wpadał w jeszcze większą złość. Poprzedniego popołudnia opanowało go poczucie daremności i to popchnęło go do działania.

Za oknem świat uciekał do tyłu. Jeden świat, jeden z tysięcy, setek tysięcy, które wspólnie tworzyły największe osiągnięcie w ludzkiej historii. Imperium Ludzkości. Wielu wierzyło, że Imperium było tak potężne w skali, tak ogromne w zasięgu, że działania jednego człowieka nie mogły mieć na nie wpływu. Nie była to prawda. Jeśli wszyscy by tak myśleli, Imperium upadłoby jednego dnia. Każda ludzka dusza wyznaczała swoją rolę w *imperialnej kulturze*. *Tej jednej rzeczy Imperator wymagał od ludzi*. Pozostań sobie wierny a te wszystkie milirady poszczególnych udziałów połączą się i stworzą kulturę, która przetrwa do końca wszechświata.

Beltayn spał, głowa opadał mu na piersi, zabandażowaną dłoń chronił w drugiej. Za szybą migwały lasy poprzecinane wzgórzami ciemnymi od deszczu. Strumień zamigotał jak wyciągnięty miecz. Łąki leżały niewidoczne pod pokrywą białej mgły. Wzniesienia wylaniały się z niej jak szare rafy. Samotne, naznaczone piorunem drzewo stało na straży na nagim wzgórzu. Zaniedbana wieś spała. Grube chmury goniły się po niebie.

Gaunt ocknął się z powtarzającego się snu o Balhaut i zdał sobie sprawę, że pociąg stanął. Deszcz padał, stali w ponurym lesie. Rzucił okiem na czasomierz: godzina po południu. Powinni już być w Chossene.

Wstał i przeszedł przez pusty wagon do drzwi. Otworzywszy okno, poczuł wilgotną ściółkę i glebę, usłyszał śpiew ptaka i bębnienie deszczu. Kilku innych pasażerów również wyglądało. Maszynista wysiadł z lokomotywy.

Gaunt otworzył drzwi i wyskoczył na zarośnięte torowisko.

Jeden z maszynistów poinformował go, że lokomotywa się popsowała. Nie potrafili jej naprawić. Muszą czekać na przybycie drugiej lokomotywy z Chossene.

- Jak długo to potrwa? - spytał Gaunt

- Trzy, może cztery godziny, sir.

Gaunt obudził Beltayna potrząsając go za ramię.

- Wstawaj - powiedział - zbieramy się.

- Co się stało, sir? - zapytał zaspany Beltayn.

Gaunt uśmiechnął się,

- Coś się stało.

Szli przez las, kierując się na zachód, mało uczęszczaną ścieżką. Mgła zaczynała ustępować. Białe słońce przeświecało przez gałęzie. Przestało padać, ale krople wciąż spadały z liści. Powietrze pachniało wilgocią i dzikimi kwiatami.

Maszyniści udzielili im wskazówek. Wioska, Veniq, leżała o pół godziny marszu na zachód. Ktoś tam powinien być w stanie zapewnić transport imperialnemu oficerowi. Tak sądził maszynista. W jego opinii lepiej było zaczekać w pociągu.

Pomoc nadejdzie. Kiedyś.

Beltayn również był za czekaniem.

- Możemy iść godzinami. Albo się zgubić. Albo...

- Jeśli będziemy czekać na drugą lokomotywę, to na pewno nie dotrę na czas. Do Meiseq wciąż jest kawałek drogi.

Idziemy.

Ścieżka była błotnista i szli powoli. Beltayn nalegał na niesienie bagażu Gaunta, ale ze swoim własnym bagażem i zranioną ręką był nadmiernie obciążony. Zatrzymywał się co jakiś czas, żeby postawić coś na ziemi i zmienić ręce.

Chłodne powietrze było orzeźwiająjące. Gaunt zdał sobie sprawę, że się poci, zdjął płaszcz i zarzucił na lewe ramię.

Za plecami usłyszeli gwizd pociągu. Jeśli była to druga lokomotywa, to podjęli naprawdę złą decyzję i niepotrzebnie się natrudzili.

- Chce pan wracać, sir? - zapytał Beltayn na głos gwizdka.

Gaunt pokręcił głową. Ten krótki spacer przez spokojny las był jak balsam. Płuca miał pełne zimnego, wolnego od dymu powietrza, a w nosie zapach kwiatów. Czuł go teraz niezwykle mocno. Nie wiedział, co to za woń. Małe, jaskrawoniebieskie kwiatki z płatkami o dziwnym kształcie pokrywały ziemię pomiędzy drzewami, górując nad mokrym mchem i powojem. Zastanawiał się, czy to one tak pachną.

Odwrócił się do Beltayna i odebrał od niego swój bagaż.

Wziął również jego pakunek.

- Nie ma potrzeby - powiedział Beltayn.

- Kawałek je poniosę - stwierdził Gaunt.

Ścieżka wiała się pomiędzy drzewami, ale nie było widać żadnych śladów pól ani wsi. Dzięki staremu kamiennemu mostowi, czarnemu od wilgoci, pokonali rwący strumień. Ptaki śpiewały, a chmary owadów bzyczały wśród drzew. Na jakimś gęstym krzaku pajak rozpiął swoją, błyszczącą niczym kwarc kroplami deszczówki, pajęczynę.

- Co ten maszynista miał na myśli, mówiąc o bandytach? - spytał Beltayn, stając na chwilę, żeby wyciągnąć kamień z buta.

- Sądzę, że chodziło mu o dezertersów - odparł Gaunt. - Przez te wszystkie lata bandy dezertersów znalazły schronienie w lasach. Żyją z grabienia gospodarstw, kłusownictwa...

Bandytyzmu? - dodał Beltayn. - Skoro są bandytami...

Gaunt wzruszył ramionami.

- Może to był kiepski po... - zaczął Beltayn, ale zamilkł, kiedy Gaunt uniósł dłoń.

W oddali, przy kilku białych brzozech z błyszczącą korą, z mgły wynurzył się jeleń. Stał przez chwilę, przypatrując się im z przekrzywioną głową. Po chwili odwrócił się i uciekł.

Moment później zobaczyli następne, dalekie, bezgłośnie biegnące przez las.

Jak duchy.

Godzinę po tym, jak wyruszyli w drogę, wyszli na skraj lasu, w miejscu, gdzie teren przechodził w pola uprawne. Młode, zielone zboże kołysało się na wietrze, pokrywając łagodne zbocze, schodzące ku kolejnej linii lasu w dolinie.

Mieli dobry widok na okolice, ale nie było widać żadnych śladów wsi.

- Głodny jestem - odezwał się Beltayn.

Gaunt spojrział na niego.

- Tak tylko mówię.

Gaunt postawił bagaże na ziemi i otarł pot z czoła. Marsz odświeżył go, ale skłonny był zgodzić się z Beltaynem. To był kiepski pomysł.

Sprawdził położenie słońca i spojrział na czasomierz. Żałował, że nie miał kompasu albo lokatora, albo nawet *auspexu*, ale rano nic nie wskazywało na to, że będą potrzebne. W torbie miał tylko przybory do golenia, mundur galowy i egzemplarz „Sfer Tęsknoty”.

Chciał zapytać Beltayna, który by wybrał kierunek, ale gdyby to zrobił, przyznałby, że się zgubił. Zdecydował, że powinni iść ścieżką do końca pola, gdzie skręcała w dolinę. Może tam będzie droga.

Przeszli może ze sto kroków, kiedy znów się zatrzymał.

- Widzisz to? - zapytał.

Beltayn zmrużył oczy. Daleko w dolinie, ukryty pośród drzew stał budynek. Z szarego kamienia, pokryty dachówką. Ponad korony drzew wystawała jakaś wieża.

- Ma pan dobry wzrok, sir - stwierdził Beltayn. - Nigdy bym tego sam nie zauważył.

- Chodźmy - powiedział Gaunt.

Była to kaplica, stara i zapuszczona, zatopiona w zielonym półcieniu lasu. Powój wił się po ścianach. Mech wgryzał się w kamień. Okrążyli częściowo zawaloną ścianę, weszli przez starą bramę i ścieżka doprowadziła ich do drzwi. Znów czuć było zapach, woń kwiatów. Był tak mocny, że Gaunt prawie kichał. Kwiatów nie było widać.

Gaunt pchnął drzwi i wszedł w zimny mrok kaplicy. Wnętrze było proste, ale dobrze utrzymane. Za szeregiem drewnianych ławek, na imperialnym ołtarzu płonęła świeca. Obydwaj zrobili znak *aquili* i Gaunt ruszył nawą w stronę obrazu Imperatora. W witrażach dostrzegł, pomiędzy innymi, postać Świętej Sabbath.

- No - zamruczał głos z mroku. - Jesteście w końcu.

Była bardzo stara i ślepa. Kawałkiem czarnego jedwabiu miała przewiązaną głowę na wysokości oczu. Siwe włosy zaplotła w ciasny warkocz. Upływ czasu przygarbił ją,

ale gdyby się wyprostowała, górowałaby nad Gauntem.

Czerwono-czarne szaty nie pozostawiały wątpliwości.

- Siostro - odezwał się Gaunt i skłonił głowę.

- Witajcie. Nie trzeba się kłaniać.

Gaunt uniósł wzrok. Skąd wiedziała, że się uklonił? Przez ułamek sekundy

zastanawiał się nawet, czy nie jest uzdolnioną jasnowiedzką, ale odrzucił to zaraz.

Głupiec. Miała wyostrzone zmysły. Zauważyła po prostu zmianę kierunku, z którego dochodził jego głos.

- Jestem komisarz-pułkownik Ibram Gaunt - powiedział.

Skinęła głowę, jakby jej to specjalnie nie obchodziło. *Albo*, pomyślał Gaunt, *jakby już to wiedziała*.

- Witajcie w Kaplicy Obfitości Świętej Światłości w Veniq.

- Jesteśmy więc niedaleko od wioski?

- No cóż, nazwa jest nieco myląca. Veniq jest o jakieś cztery kilometry na południe stąd.

Beltayn jęknął cicho.

- Twój chłopak jest niepokieszony - powiedziała.

- Mój chłopak? Adiutant?

- Słyszę was dwóch. Czyżbym się myliła?

- Nie. Staramy się dotrzeć do Veniq, znaleźć tam transport. Nasz pociąg... to właściwie nie ma znaczenia. Muszę być dziś wieczorem w Meiseq.

Usiadła w jednej z ławek, szukając drogi jedną ręką, a drugą opierając się na lasce.

- To daleka droga - powiedziała.

- Wiem - odparł Gaunt. - Czy mogłaby nas może siostra skierować na właściwą drogę?

- Jesteś już na właściwej drodze, Ibramie, ale jeszcze przez jakiś czas nie osiągniesz celu.

- Meiseq?

- Och, tam to będziesz dziś wieczorem. Miałam na myśli...

- Co takiego?

Oparła się sztywnymi plecami o drewniane oparcie.

- Nazywam się Elinor Zaker, dawniej z *Adepta Sororitas* zakonu Naszej Umęczonej Pani. Obecnie strażniczka tej kaplicy.

- To honor, poznać siostrę. Co siostra miała na myśli, mówiąc o moim celu?

Odwróciła głowę w jego kierunku. Był to płynny ruch szyi, kogoś kto nawykł do hełmu z celownikiem na wyświetlaczu wizjera. Przez chwilę Gaunt czuł się, jakby w niego celowała.

- Powinnam mniej mówić. Są rzeczy, których nie należy mówić, jeszcze nie. Proszę o wybaczenie. Mam tak mało gości, że zaraz zacznę paplać.

- Czego nie należy mówić? - Gaunt zaczął pytać, ale Beltayn wtrącił się z tyłu.

- Od jak dawna tu pani jest?

- Całe lata - odparła. - Tak wiele lat. Opiekuję się tym miejscem najlepiej, jak potrafię. Czy wygląda na zadbane?

- Tak - odparł Gaunt, rozglądając się dookoła.

Uśmiechnęła się lekko.

- Sama tego nie widzę. Robię co mogę. Pewne rzeczy widzę wyraźnie, ale nie otoczenie. Nie brzmi on bardzo młodo.

Gaunt zdał sobie sprawę, że ta ostatnia uwaga dotyczyła Beltayna. - Mój adiutant? Ma... trzydzieści dwa lata?

- Skończyłem trzydzieści jeden, sir - odparł Beltayn z drugiego końca nawy.

- Nie jest więc chłopcem.

- Nie - zgodził się Gaunt.

- To miał być chłopiec. Bez urazy, Ibram. Ty też jesteś ważny. Ale to chłopak jest sednem sprawy.

- Mówi siostra zagadkami.

- Wiem, to musi być bardzo denerwujące. Tylu rzeczy nie mogę powiedzieć.

Wszystko bym popsua. A to naprawdę jest zbyt ważne, więc nie mogę nic popsuć.

Czy był jakiś chłopak? Bardzo młody? Najmłodszy ze wszystkich?

- Mój poprzedni adiutant był chłopcem - powiedział Gaunt, nagle bardzo nieswój. Ma na imię Milo. Jest teraz żołnierzem.

- Ach - powiedziała kiwając głową. - Czasem się coś myli.

- Co się myli? - zapytał Gaunt.

- Tarot.

- Jak siostra może czytać karty, nic nie widząc? - zapytał czujnie Beltayn.

Odwróciła głowę w stronę jego głosu. Kolejne uważne celowanie.

Beltayn cofnął się lekko, jakby został namierzony.

- Nie czytam - powiedziała. - To one mnie czytają.

Kiedy odwróciła głowę Gaunt zobaczył długą, linię różowej blizny, biegnącą przez czubek głowy, przecinającą włosy jak miedza przecina pole kukurydzy, aż do lewej strony podstawy czaszki. Westchnął odruchowo. Prawie dał się ponieść jej słowom.

Był już bliski uwierzenia, że napotkali - albo zostali tu przez los skierowani

- prorokinię. Ale teraz wszystko, nawet ta dziwnie dokładna uwaga na temat Milo, nabrała innego znaczenia. Była szalona. Uszkodzenie mózgu w jakiejś bardzo dawnej akcji. Oszalała, gadała z cieniami, pozbawiona kontaktu z ludźmi na tym samotnym posterunku. Gaunt wiedział, że muszą ruszać w drogę.

- Proszę siostry... kierujemy się do Meiseq. Sądzę, że od tego czy tam dotrzemy, zależy wiele ludzkich istnień. Czy może nam siostra jakoś pomóc?

- Raczej nie. Przynajmniej w szerszym kontekście. Będziecie musieli sami sobie pomóc. To znaczy ty i chłopak. A jeśli chodzi o Meiseq... nie chciałabym tam pójść. Wstrętne miejsce. Zniewaga dla oczu. Możecie jednak pożyczyć mój samochód, jeśli chcecie.

- Samochód?

- Ja go już nie potrzebuję. Stoi w jednej z szop po drugiej stronie drogi. Być może trzeba będzie oczyścić wrota z trawy, ale samochód jest na chodzie. Uruchamiam go codziennie. Kluczyki są na gwoździu we framudze.

Gaunt skinął na Beltayna, który pospiesznie wyszedł na zewnątrz.

- Poszedł? - zapytała.

- Poszedł po samochód - odparł Gaunt.

- Usiądź ze mną - wyszeptała.

Gaunt usiadł przy niej na ławce. Mimo, że szalona, siostra Zaker wyświadczała mu

dużą przysługę, mógł więc przynajmniej zabawić ją przez minutę czy dwie. Znów poczuł zapach kwiatów. Skąd on go pamiętał?

- Będzie ciężko - wyznała.

- Co będzie?

- Herodor - odparła.

- Herodor? - Jedyne Herodor, jaki Gaunt znał, to była kolonia bez żadnego taktycznego znaczenia, w jakimś odległym układzie. Wzruszył ramionami.

- Pozwolono mi przekazać ci parę rzeczy - mówiła. - Wszędzie doświadczamy krzywdy. Ale największej krzywdy, ostatecznie, doznajesz w sobie. W twoim ciele.

- Moim ciele? - powtórzył Gaunt. Nie chciał się dać w to wciągnąć. Zasługiwała jednak na grzeczne traktowanie.

- Obrazowo mówiąc Ibram, twoje ciało, tak jak to opisuje DeMarchese... Czytałeś DeMarchese?

- Nie siostrze. - Gaunt nawet nie wiedział, kto to jest.

- No więc przeczytaj. Krzywda składa się z dwóch części.

Dwóch niebezpieczeństw, jedno to prawdziwe zło, drugie niezrozumiane.

I to drugie właśnie jest kluczem. To bardzo ważne, żebyś zapamiętał, bo wasi komisarze są w gorącej wodzie kąpani. To chyba tyle. Och, jeszcze coś. Pozwól, żeby twój najostrzejszy wzrok pokazał ci prawdę. Właśnie tak. Najostrzejszy wzrok. Teraz to już wszystko. Mam nadzieję, że wszystko zrozumiałeś.

- Ja... - zaczął Gaunt.

- Muszę teraz pozamiatać - powiedziała.

Odwróciła głowę do niego.

- Naprawdę nie powinnam tego mówić. Wychodzę poza moją rolę, ale kiedy ją zobaczysz, poleć mnie jej. Proszę. Tęsknię do niej.

Na zewnątrz ciszę przerwało kasznięcie silnika i po chwili coraz wyższe obroty.

- Oczywiście - powiedział Gaunt. Delikatnie ujął i pocałował jej dłoń.

- Niech Imperator cię chroni, siostrze.

- Będzie miał ręce pełne roboty, chroniąc ciebie, Ibramie - odparła. - Ciebie i chłopaka.

Gaunt ruszył do wyjścia.

- Samochód zwrócimy.

- Och, zatrzymajcie go sobie - odparła, lekceważąco machnąwszy dłonią.

Na zewnątrz, na mokrym podjeździe Beltayn siedział za kierownicą wielkiej starej limuzyny. Ciemnogrnatowy lakier upstrzony był wypryskami rdzy. Z kratki chłodnicy i zderzaka zwisały chwasty. Beltayn włączył przednie światła, wyglądające jak oczy nocnego drapieźnika. Gaunt podszedł do samochodu i przejechał ręką po szarej skórze zdejmowanego dachu.

- Da się to złożyć? - zawołał.

Beltayn szukał właściwego przełącznika na tablicy rozdzielczej.

Trzeszcząc w zawiasach dach złożył się do tyłu.

Gaunt usiadł na tylne siedzenie. Beltayn spojrział na niego przez ramię i uniósł zabandażowaną dłoń w rozbrajającym geście.

- Hmm... nie wydaje mi się żebym dał radę zmieniać biegi, sir - powiedział.

Gaunt z rozbawieniem pokręcił głową.

- Zmiana miejsc - stwierdził.

Jechali drogą przez las, zostawiając kaplicę za sobą. Promienie słońca migają, zalewając ich jasnymi cętkami.

- No więc... - Beltayn przekrzykiwał z tyłu ryk ośmiocylindrowego silnika - dość dziwne, prawda?

- Zapomnij o tym - odkrzyknął Gaunt, redukując bieg, kiedy wielka podstarzała limuzyna wchodziła w ciasny zakręt.

- Pokręciło jej się w głowie z braku towarzystwa.

- Ale wiedziała o Milo...

- Nie, nie wiedziała. To tylko kilka enigmatycznych uwag. Kaznodzieje na targu od zawsze używają takich sztuczek. Działa na łatwowiernych.

- No dobra. Czyli co, chciała nas oszukać?

- Nic takiego. Po prostu była nie całkiem przy zdrowych zmysłach.

Boczna droga doprowadziła ich do Veniq, dalej jechali wśród pól uprawnych aż do Shonsamarl, gdzie biegła Autostrada Północna. W kierunku południowym na autostradzie tłoczyły się konwoje z amunicją i ciężarówki z wojskiem. Na północy akurat przejeżdżał konwój gwardyjskich Thundererów i lekkich pojazdów pancernych w drodze do Gibsgatte.

Wyprzedzali po kolei, w miarę jak ruch na to pozwalał, ciężkie czołgi, aż do momentu, kiedy konwój skręcił w Chossene.

Wtedy pomknęli dalej przez most Naeme i pola kukurydzy w okręgu Loncort.

Urywany deszcz z przerwami na słońce towarzyszył im przez całe popołudnie, na ciemnej drodze ciągnącej się niczym wstążka poprzez zielone pola. Widzieli formacje powolnych trójpłatowców Przymierza z szumem ciągnące na wschód, w kierunku frontu, i raz czy dwa błysk Imperailnych Sił Powietrznych przelatujących z naddźwiękowym hukiem, zwiastującym nowy rodzaj wojny na tym staromodnym teatrze.

Krótko przed 18: 00 Gaunt dostrzegł zarysy Meiseq pojawiające się w oddali nad polami.

Meiseq było nowym miastem zbudowanym na starych korzeniach.

Zostało prawie całkowicie zniszczone we wczesnych latach Wojny Aexe, kiedy początkowa ofensywa Shadik bezlitośnie wdarła się przez krainy Górnej Naeme. Pięć lat kontrofensywy, ze szczególnym naciskiem na bitwę pod Diem, w końcu wyparło wroga z terytorium wyznaczonego w północno-zachodnim narożniku przez miasto Gibsgatte, a w południowo-wschodnim przez Loncort. Ten, tak zwany Obszar Meiseq, był teraz prawdopodobnie najmocniejszym odcinkiem linii obronnych Przymierza, stanowiąc przy okazji środek północnego frontu. Na południe od Loncort biegła Linia Peinforq broniąca doliny Naeme. Na północy leżały bardzo aktywne bojowo sektory za Gibsgatte. Przymierze uznawało Obszar Meiseq za na tyle bezpieczny, że teren wokół Diem zamieniono w Park Pamięci Poległych. W miejscu dawnej katedry w Diem płonął wieczny płomień, a ocean traw na około usiany był niekończącymi się rzędami białych kamieni nagrobnych.

Meiseq zostało odbudowane. Budynki zrobiono z zabezpieczonych przed pogodą płyt paździerzowych, pokrytych emulsją cementu. Miasto usadowiło się na skarpie nad

zakrętem górnej Naeme, otoczone zwałami płyt i drewna. Po środku wznosiła się drewniana katedra Świętego Jevala.

Kiedy wjeżdżali przez bramę w południowej ścianie murów, zaczęło się robić ciemno. W katedrze rozdzwoniły się dzwony, a miejscy latarnicy zapalili wzdłuż ulic chemiczne światła.

Meiseq przypominało Gauntowi nowe miasto kolonistów. Prefabrykowane budynki pachniały nowością i gryzły się ze starymi, kamiennymi miastami, jakich do tej pory doświadczył na Aexe. Meiseq było strategicznie ważnym miejscem i chciało, żeby odwiedzający je o tym nie zapomnieli. Ale wciąż nie wyglądało dużo lepiej niż większy obóz. Powietrze pachniało smołą z dachów i chemikaliami, którymi nasączono płyty. Przypomnił sobie jak przed laty zajął z Hyrkanami Rakerville. Panował tam ten sam zapach. Posterunek. Przelotne stwierdzenie imperialnej obecności. Gest wykonany bez przekonania na dalekiej granicy.

Zaparkowali w pobliżu katedry, na placu otoczonym drzewami. Drzewa były stare i zniszczone, ale Aexegarczycy, którzy odbudowali Meiseq, odbudowali również drzewa, szczepiąc nowe gałązki na starych pniach połamanych przez wojnę. Późne kwiaty i świeża zieleń stworzyły koronę nad pogiętymi, szarymi pniami.

Gaunt i Beltayn przeszli umiarkowane zatłoczonymi ulicami i znaleźli siedzibę sztabu, ponury budynek z dwoma wieżami, otoczony murem.

Była prawie 20: 00.

Umyty i przebrany Gaunt zostawił Beltayna w przeznaczonym dla niego apartamencie i zszedł na kolację. Przewodnikami było dwóch żołnierzy *Bande Sezari*, wyglądających dystyngowanie w czakach z piórami i zielonych jedwabkach. Zapadła noc i wąskie korytarze sztabu rozświetlone były blaskiem lamp.

W pokoju z tarasem otwierającym się na rzekę zaczęła się właśnie kolacja. Ostatnie oznaki dnia znikwały w mroku, wzdłuż niskiego brzegu rzeki migotały światła ognisk. Obecnych było dziewiętnastu oficerów i wszyscy wstali na chwilę, kiedy Gaunt zajmował ostatnie, dwudzieste miejsce.

Kiedy usiadł na nowo rozległy się szmery rozmów. Długi stół przykryty był białym obrusem i oświetlony przez cztery duże kandelabry. Zastawa przy miejscu Gaunta błyszczała wypolerowanymi srebrnymi sztućcami. Kelner przyniósł mu owalny biały talerz i napełnił schłodzoną czerwoną zupą.

- Imperialny? zapytał oficer z prawej strony, niski Aexegarczyk z wąską twarzą, który wyraźnie zdążył już za dużo wypić.

- Tak jest, sir - odparł Gaunt, dostrzegając jego pagony. Generał.

Mężczyzna wyciągnął dłoń.

- Siquem Fep Orten, głównodowodzący 60. sektora.

- Gaunt, Pierwszy z Tanith.

- Ach - stwierdził pijany generał. - To o panu rozmawialiśmy.

Gaunt rozejrzał się. Zobaczył w pobliżu Golkego, a w szczycie stołu Lorda Generała Van Voytza. Nie rozpoznał nikogo innego z obecnych, oprócz głównego oficera taktycznego Van Voytza, Bioty. Podobnie jak Orten, wszyscy pozostali byli wyższymi oficerami Przymierza, albo z Aexegary albo z Kottmark.

Gaunt zaczął się czuć tak, jakby wszedł do jaskini lwa.

Zakładał, że Van Voytz zaprosił go na prywatną kolację, podczas której mógłby

wyrazić zaniepokojenie taktyką Przymierza w obecności wybranych szefów sztabów. Nie spodziewał się tego, pełnego bankietu generalicji. Pomimo że Van Voytz, imponujący w ciemnozielonym mundurze galowym, dominował u szczytu stołu, to jednak przewodnictwo zgromadzenia zdawało się koncentrować na osobie na lewo od Van Voytza, potężnego generała Kottmark z niepokojąco łagodną twarzą, okularami pasującymi do podrzędnego urzędnika i jasnymi włosami.

Gaunt nie mówił dużo, jadł spokojnie, przysłuchując się fragmentom rozmów krzyżujących się nad stołem. Dochodziło go wiele lekko zawołowanych uwłaczających uwag na temat imperialnego wojska, co Gaunt obierał jako w całości skierowane pod jego adresem. Sztabowcy Przymierza wbijali mu szpile, sprawdzając, na ile mogą sobie pozwolić, testując, co spowoduje jego odpowiedź.

Podano trzy dania, z czego głównym była duszona dziczyzna, a później lepki, przesłodzony deser o nazwie sonso, który oficerowie Przymierza przyjęli z wyraźną aprobatą. Była to miejscowa specjalność. Orten i niektórzy z pobliskich oficerów wysławiali go pod niebiosa. Dla Gaunta był przesłodzony nie do zniesienia. Większość zostawił.

Kelnerzy sprzątnęli ze stołów, zebrali okruszki z obrusu i podali słodką czarną kawę oraz amasek w dużych, zielonkawych, baloniastych kieliszkach. Miejscowi, którzy w czasie posiłku mieli wyprasowane białe serwetki zatknięte za kołnierze, zarzucili je teraz na lewe ramiona, najwyraźniej był to zwyczajowy znak zakończenia posiłku. Gaunt złożył swoją luźno i zostawił na talerzu.

Drobny serwitor krążył wokół stołu, przycinając i zapalając cygara. Jeden z Kottmarkijczyków odsunął się z krzesłem od stołu i zapalił długą fajkę wodną. Orten zaproponował Gauntowi grube, luźno zwinięte cygaro, którego komisarz odmówił. Orten zachichotał.

- Pańskie zwyczaje są dość obce. Na Głównej Aexe dżentelmen nigdy nie zostawia sonso. I nigdy nie odmawia przyjęcia cygara, bo nie może być pewien, kiedy będzie miał okazję zakosztować tych specjalów następnym razem.

- Nie chciałem pana urazić - odparł Gaunt. - Czy poprawnym będzie przyjęcie cygara i zachowanie go na później?

- Oczywiście.

Gaunt skinął głową i wziął zaproponowane cygaro. Wiedział, że Corbec będzie mu za nie wdzięczny.

Konwersacja ponad stołem zrobiła się teraz bardziej swobodna.

- Ibram - Van Voytz przywitał Gaunta ze szczytu stołu toastem - późno do na dołączyłeś.

- Proszę o wybaczenie, lordzie. Napotkałem na problemy z transportem w drodze z Rhonforą.

- Obawiałem się, że pan wcale nie dotrze - odezwał się generał z Kottmark. - Wiele sobie obiecywałem po spotkaniu z panem.

- Sir - Gaunt skłonił się lekko.

- Ibram, pozwól że ci przedstawię: generał Carn Martane, głównodowodzący armii Zachód z Kottmark oraz zastępca głównego dowódcy Przymierza. Prawa ręka Lyntor-Sewqa.

Martane uśmiechnął się dobrotliwie do Gaunta i delikatnie łyknął amaseku.

- Zaintrygowały mnie pewne raporty - zaczął.

- Och, daj spokój, Martane! - przerwał mu Van Voytz wesołym tonem. - Zebraliśmy się tu dla przyjemności. Rozmowy o wojnie możemy zostawić na rano.

Ależ oczywiście, lordzie generale - odparł Martane gładko, odchylając się na krześle do tyłu. Wojna wkrada się w każdą chwilę naszego życia, w sposób, który, jak często zapominam, musi być niezrozumiały dla przybyszów.

Oblicze Van Voytza pociemniało. Była to olbrzymia, choć zawołowana zniewaga. Martane zgadzał się z Van Voytzem, ale w sposób który sugerował, że Imperialni traktowali tutejsze zmagania mniej poważnie niż miejscowi.

- Jeśli pan pozwoli, lordzie - odezwał się Gaunt – byłbym bardzo zainteresowany uwagami generała.

Rozmowy zamarły. Rozpoczął się ni mniej, ni więcej tylko pojedynek, być może tylko na słowa, ale nie mniej zajadły.

Imperialni przeciwko Przymierzu. Stwierdzenie Mariana było pełne jadu i dawało Van Voytzowi dwa wyjścia: puścić je mimo uszu i dać się znieważać, albo rozpocząć znacznie poważniejsze starcie, biorąc je do siebie. W każdym przypadku Van Voytz straciłby twarz. Gaunt włączył się i odbił zniewagę tak samo gładko, jak Martane ją rzucił. Martane starannie dobierał słowa.

- Pułkownik Ankre, wartościowy syn Kottmark, zasugerował w swoich raportach, że był pan... nie do końca pod wrażeniem naszego sposobu organizacji.

- Pułkownik Ankre i ja wymieniliśmy się poglądami, sir - odparł Gaunt. - Rozumiem, że o tym pan mówi. Przyznaję, że jestem zaskoczony, że aż tak się tym przejął, iż musiał panu tym zawracać głowę.

Gaunt zauważył, że Van Voytz maskuje uśmiech. Uwagom tego typu, jaką zrobił Gaunt, na ogół towarzyszy jedno słowo.

To słowo to „trafiony”.

- Nie traktowałem tego jak zawracanie głowy, komisarzu-pułkownikowi. Byłem zadowolony, że Redjacq poświęcił czas na oświecenie mnie. Nie chciałbym uważać, że nasi nowi imperialni alianci walczą przeciwko nam. To znaczy, administracyjnie. Martane był doświadczonym graczem. Była to kolejna uwaga, wyglądająca na przyjazną i ciepłą, a jednak było w niej zimne ostrze.

- Dlaczego miałby pan tak uważać? - spytał Gaunt, parując bezpośrednio.

- Ankare mówił, że miał pan problem ze strukturą dowodzenia i etykietą polową. Że protestował pan przeciwko brakowi informacji wywiadowczych. - Martane zrobił się bardziej bezpośredni. Najwyraźniej czuł, że ma Gaunta w odwrocie i że lada chwila zmusi go do pogrążenia się.

Gaunt zauważył Golkego po drugiej stronie stołu. Był zupełnie nieporuszony. Gaunt przypomniał sobie wyraźnie jak bezpośredni i brutalny był w stosunku do Golkego w Rhonforq. Jak również do Ankre. Wiedział, że Golke nie chciałby, żeby teraz zachował się podobnie.

Nie jestem taki głupi, pomyślał Gaunt.

- Tak było, sir - powiedział.

- Przyznaje pan to? - Martane spojrzał z figlarnym uśmiechem po niektórych ze swoich oficerów. Gaunt zobaczył, że

Van Voytz leciutko kręci głową.

- Siły imperialne przybyły tutaj, żeby być waszymi towarzyszami broni, sir. Żeby włączyć się do waszego prężnego Przymierza przeciwko Republice Shadik. Z pewnością przyzna pan, że powinniśmy się właściwie połączyć z siłami Przymierza? Etykieta polowa i informacje wywiadowcze mają szczególne znaczenie dla tej wojny i wymagały wyjaśnienia. Walczyłem w wielu wojnach, sir, ale nie będę udawał, że rozumiem już wszystkie niuanse tutejszej. Moje pytania, generale, byty tylko oznaką chęci jak najlepszego służenia Wysokiemu Sezarowi i wolnym obywatelom Aexe.

Blade policzki Martana zrobiły się na moment tak czerwone jak zupa podana na pierwsze danie. Za zasłoną uczciwości Gaunt właśnie zyskał przewagę. Martane popełnił błąd.

- Ankre zasugerował również, że uważa pan swoich żołnierzy za zbyt dobrych jak na walkę na linii frontu – zaczął, ale był to fałszywy krok, na który tak Gaunt jak i Van Voytz tylko czekali. Nie mogąc zmusić Gaunta do pogrążenia się własnymi słowami, Martane popełnił błąd i wyartykuował bezpośrednią zniewagę.

- Wstyd, panie generale - warknął Van Voytz.

- Czuję się urażony, sir - stwierdził Gaunt.

Przestań Martane - odezwał się Golke po raz pierwszy.

- Nie są to dobre maniery, jakimi Przymierze traktuje ochotniczych aliantów.

Wokół stołu podniosły się głosy. Wielu z oficerów było zawstydzonych przez słowa ich dowódcy.

Gaunt uśmiechnął się do siebie. Tak jak w sprawach wojny tak i w kwestii dobrych manier Aexe było staroświeckie. Pamiętał niektóre z kolacji w sztabach, kiedy imperialni dowódcy obrzucali się zniewagami, a potem śmiali się wspólnie przy amaseku. Tutaj nie było takiej otwartości. Była tylko kultura wojskowej formalności, która stłumiła wszelkie nadzieje na wygraną.

- Proszę o wybaczenie, komisarzu-pułkowniku – powiedział Martane. Pożegnał się i odszedł od stołu.

- Dobrze rozegrane, Ibram - powiedział Van Voytz. - Widzę, że dawne dyplomatyczne zagrywki masz świetnie opanowane.

Gaunt przeszedł z Van Voytzem, Golkem i Biotą do małej biblioteki. Serwitorzy ustawili lampy, napełnili kieliszki i zostawili ich samych.

- Czy wezwał mnie pan tutaj, żebym zrobił błazna z Martane, sir? - spytał Gaunt.

- Być może - Van Voytz uśmiechnął się, jakby ten pomysł był przedni.

Generał Martane nie potrzebuje pomocy w robieniu z siebie głupca - odezwał się Golke.

- Miałem nadzieję, że wyjdę stąd z czymś więcej niż tylko satysfakcją - powiedział Gaunt.

- No właśnie - odparł Van Voytz. - Czytałem twoje raporty i wysłuchałem uwag naszego przyjaciela, hrabiego Golke, nieoficjalnie rzecz jasna. Mogłeś narobić kłopotów z tym Ankre, Ibram. On mówi, co myśli, a o tobie myśli bardzo źle.

- Oczywiście. Ale nie będę się beczynn timer przyglądał, jak imperialne oddziały są masakrowane bez przyczyny.

Van Voytz usiadł w dużym wyściełanym fotelu przy kominku i wyjął przypadkową

książkę z najbliższej półki.

- To jest trudna wojna, Ibram. Wymagająca taktu. Jeśli to my byśmy tu dowodzili, to z przyjemnością wziąłbym Przymierze i potrząsnął nimi, aż zaczęłyby właściwie działać. Jak nowoczesna armia. Na Boga-Imperatora, jedna armia Gwardii mogłaby pogonić Shadik w miesiąc. - Spojrzał na Gaunta. - Nie mamy jednak tego luksusu. Dowódcy Przymierza Lyntor-Sewq, którego osobiście nie znoszę, oraz sam Wysoki Sezar mają, chociaż tylko nominalnie, dowództwo na polu walki. Lord Mistrz Wojny Macaroth osobiście mi przykazał, że jesteśmy tu, aby wspierać Przymierze, a nie odbierać im dowodzenie. Mamy związane ręce.

- W takim razie żołnierze będą umierać, sir – stwierdził Gaunt.

- Będą. Jesteśmy zobowiązani toczyć tę wojnę wedle zasad Przymierza i postępować zgodnie z tradycjami Przymierza. Aexegary i jej alianci są zdeterminowani, żeby zachować kontrolę nad walkami. Bez urazy, panie hrabio. Golke wzruszył ramionami.

- Zgadza się z panem w tej sprawie, lordzie-generale. Przez całe lata próbowałem coś zmienić. Zmodernizować taktykę i strategię. Rzecz w tym, że Aexegarczycy mają długą i świetlaną historię wojskowości. Nie przyznają się, nigdy w życiu, że są w stanie przegrać wojnę. Widzą panowie, Aexegary nigdy nie przegrała. Szczególnie przeciwko tak dawnemu wrogowi jak Shadik.

- Przymierze nie przyzna, że walczy z nowoczesnym wrogiem - odezwał się cicho Biota. - Nie przyjmą do wiadomości, że Republika Shadik zmieniła się, została zepsuta, że nie jest to już ta sama sąsiednią potęgą, którą Aexegary pokonała w pięciu wojnach.

- I członkowie Przymierza również tego nie widzą? - spytał Gaunt.

- Nie - odparł Golke. - Szczególnie Kottmark. Ci widzą swój udział w wojnie jako okazję do zaprezentowania swojej wartości na światowej scenie.

- Duma - powiedział Gaunt. - To z nią walczymy. Nie z Shadik. Nie z arcywrogiem. Walczymy z dumą Przymierza.

- Tak sądzę - zgodził się Van Voytz.

- Bez wątplenia - dodał Biota.

- W taki razie jest mi wstyd za moją ojczyznę – stwierdził Golke ze smutkiem.

- Kiedy Wysoki Sezar powiedział mi, że Gwardia przybywa nam pomóc, ucieszyłem się. Do momentu, kiedy zobaczyłem wyraz jego oczu.

- Jaki wyraz? - spytał Van Voytz.

- Wyraz oczu mówiący, że Imperialni są nową zabawką. Zabawką, jaką wykorzysta w ten sam sposób co poprzednie. Miałem nadzieję, że Przymierze może się czegoś nauczyć od Gwardii, nowych sposobów prowadzenia walki. Takich rzeczy jak płynne dowodzenie w polu i podejmowanie decyzji na poziomie oddziału.

- Czytał pan Slaydo - stwierdził Gaunt z uśmiechem. Golke skinął głową.

- Czytałem. Wydaje mi się że jestem jedynym człowiekiem na Głównej Aexe, który to zrobił. Nic z tego nie wynikło. Przymierze wciąż żyje w chwale dawnych czasów. Nie zmienia się.

- Oddany ojciec - odezwał się Biota miękko – zasmucił się, kiedy zastał syna oplakującego swego kota. Chłopiec skarżył się, że opiekował się zwierzęciem, karmił je, a i tak zdechło pomimo opieki. Chcąc pocieszyć syna, ojciec kupił mu nowego

zwierzaka, psa. Przeraził się kiedy zastał chłopca wypychającego psa przez balustradę balkonu. Syn znów był zmartwiony. „Ten też nie umie latać” - powiedział ojcu.

Biota spojrział po zgromadzonych.

- My jesteśmy tym psem.

Kiedy Gaunt wstał następnego ranka, poranna mgła znad Górnej Naeme zasnęła Meiseq. Przykazał Beltaynowi, żeby go obudził odpowiednio wcześniej, aby zdążyli wrócić do Rhonforq. Kiedy się golił w zimnym świetle wstającego dnia, przybył goniec, zapraszając go do lorda-generała Van Voytza.

Van Voytz jadł śniadanie w swoim apartamencie, razem z Biotą i nieliczną grupką doradców. Na polecenie Van Voytza kelner przyniósł kawę, smażoną rybę i jajecznicę dla Gaunta, żeby mógł zjeść z nimi.

- Wybierasz się dziś do Rhonforq, Ibram? - spytał Van Voytz, jedząc ze smakiem.

Ubrany był w haftowaną pelerynę i ciemnoczerwony mundur połowy.

- Zostawiłem ich już na zbyt długo, sir. A pan?

- Na północ. Lyntor-Sewq oczekuje mnie w Gibsgatte, gdzie mam się spotkać z generałami północnego frontu. Ciężko tam jest. Jutro wysyłamy tam nasze oddziały Urdeshi. Mam jednak dobre wiadomości dla ciebie.

- Sir?

Van Voytz wytarł usta serwetką i przeżuwał popijając sokiem owocowym.

- No cóż, to była dobra wiadomość aż do piątej trzydzieści dziś rano. Potem zrobiła się tylko interesująca.

- Niech pan kontynuuje.

- Nasz przyjaciel hrabia Golke przez ostatnie kilka dni używał swoich wpływów w sztabie Przymierza i po wczorajszej kolacji w końcu zebrał efekty. Pierwszy zostaje przeniesiony tak, aby wykorzystać jego zwiadowcze umiejętności. Idziecie na zachód, do... jak to się nazywa, Biota?

- Lasy Montorq, sir.

- O właśnie. Dostaniesz rozkazy. Ale wyszło na twoje. Tanithiańczycy będą mogli w końcu wykorzystać swoje umiejętności. Nie zawieź mnie.

- Nie zrobię tego, sir.

- Ani Golkego. To był cholerny wysiłek, żeby ich przekonać.

- A jaka jest interesująca wiadomość, sir? - spytał Gaunt.

Van Voytz zamilkł i przełknął kęs jedzenia. Podniósł szklanę.

- Chodź ze mną, Ibram.

Van Voytz poprowadził Gaunta na werandę z widokiem na rzekę. Krajobraz przed nimi przysłonięty był kredowo białą mgłą.

- Sprawa jest taka - zaczął Van Voytz. - Golke bardzo dużo naopowiadał o twojej gromadzie, podkreślając, jacy są dobrzy jako zwiadowcy, tak żeby Główny Sztab zgodził się ich przesunąć. Sęk w tym, że mógł trochę przesadzić. W Sztabie spodobał im się ten pomysł. Nagle się okazało, że podoba im się myśl o zwiadowcach. Wymyślili dla nich zastosowanie.

- I co to dokładnie oznacza?

- Coś za coś, Ibram. Pięćdziesiąt procent twoich sił będzie prowadziło zwiad w lasach

Montorq. W zamian za to, druga połowa zostanie rozstawiona w Kotle.

- Kotle?

- Kocioł Seibera. Linia frontu. Ich zadaniem będzie spenetrować linie obronne Shadik i zlokalizować i być może unieszkodliwić te nowe super działa. Twierdzą, że skoro jesteście tak dobrzy w rozpoznaniu...

- Feth! - powiedział Gaunt. - Jest dobre określenie na taki interes.

- Wiem. Sądzę, że to określenie to „ironiczny”. Jestem pewny, że Martane i Ankre maczali w tym palce. Coś za coś. Wykorzystasz wasze umiejętności na zachodzie pod warunkiem, że wykażesz się tym samym na pierwszej linii. Przykro mi, Ibram.

- Przykro? Przyjmuję taki interes, sir. Wszyscy moi ludzie na froncie, albo tylko połowa.

- Dobrze. Coś za coś, jak mawiał Solon.

Z bagażem w rękę i głową pełną kłopotów, Gaunt wyszedł z budynku sztabu na zalane słońcem ulice Meiseq. Była 8: 30. Imperialny personel tłoczył się pomiędzy strażami Przymierza, czekając na transport Van Voytza.

Gaunt rozejrzał się za Beltaynem i samochodem. Znalazł tylko Beltayna.

- Co jest? Gdzie samochód?

- To dziwne, sir. Coś jest nie tak. Wydaje mi się, że samochód został skradziony.

- Skradziony?

- Nie ma go tam, gdzie zaparkowałem.

Gaunt położył torbę na ziemi.

- Daj mi kluczyki, ja go znajdę.

Beltayn skrzywił się.

- To właśnie jest dziwne, sir. Kluczyków też nie mogę znaleźć.

- Feth! Co ja jej powiem?

- Tej starej kobiecie?

- Tak, starej ko...

Gaunt westchnął.

- Szkoda zachodu, nie marnujmy więcej czasu. Załatw nam jakiś transport. Albo przynajmniej zdobądź nam bilety na następny pociąg idący na południe.

Beltayn skinął głową i odszedł pośpiesznie.

- Jakiś problem, komisarzu-pułkowniku?

Gaunt odwrócił się i zobaczył za sobą Biotę.

- Nic takiego, nic z czym bym sobie nie poradził.

Biota dopiął guzik na kołnierzu czerwonego munduru dywizji taktycznej i skinął głową.

- Ta przypowieść z zeszłej nocy. O kocie i psie. Bardzo stosowna.

Bardzo trafna - powiedział Gaunt.

- Nie mogę sobie przypisać autorstwa - odparł Biota od niechcienia.

- To jedna z bajek DeMarchese.

Biota ruszył w stronę czekających pojazdów.

- Taktyku Biota! Chwileczkę!

- Gaunt?

- DeMarchese? Powiedział pan DeMarchese? Kto to taki?

Biota zatrzymał się.

- Pomniejszy filozof. Bardzo mało znany. Zna pan to nazwisko?

- Słyszałem o nim.

- DeMarchese służył jako doradca Kiodrusa, który ze swojej strony był prawą ręką świętej w czasie Pierwszej Krucjaty. Jego dokonania są raczej przyćmione przez Faltomusa, który był prawdziwym architektem strategii świętej Sabbat, ale jego swojskie przypowieści mają pewną wartość. Gaunt? Co takiego?

- Nic - odparł Gaunt. - Nic.

Spojrzał w blade słońce i zapytał.

- Elinor Zaker. Czy to nazwisko coś panu mówi?

- Elinor Zaker?

- *Z Adepta Sororitas*, zakonu Naszej Umęczonej Pani?

Biota pokręcił głową.

- W porządku. Nie szkodzi. Powodzenia w Gibsgatte. Niech Imperator chroni.

Gaunt odszedł w poszukiwaniu Beltayna. Rzadko czuł się tak nieswojo. W końcu zidentyfikował wszechobecny zapach kwiatów z poprzedniego dnia.

Islumbine. Święte kwiaty z Hagii.

KŁUSOWANIE

„*I to, przyjaciele, jest piękne.*”

Murtan Feygor

Las przyzywał. Czuli go. Już od Ins Arbor, wychodząc z ciężarówek widzieli go. Wyglądał jak zielone futro pokrywające wzgórze na wschód od nich. Wielki. Cichy. Nieodgadniony.

Nie żeby Tanithidńczy nie widzieli żadnego lasu od momentu Powołania. Widzieli mnóstwo. Gęste lasy deszczowe na północ od Bhavnager, tropikalne zagajniki na Monthax, puszcę na Voltemad. Jednak w tym lesie było coś specjalnego, coś umiarkowanego, starego i chłodnego, boleśnie przypominającego im wszystkim o straconych lasach Nal.

Ins Arbor było obdrapanym miasteczkiem, słabo zaopatrzonym i śmierdzącym letnim upałem. Nie było tam porządných kwater, prawie żadnej wody i najgorszy prowiant, jakiego kiedykolwiek doświadczyli.

Mimo to morale poprawiło się z dnia na dzień. Las przyzywał.

Corbec dostrzegał w otaczających go w całym obozie twarzach poprawę nastroju. Przysiadł na błotniku półciężarówki i wprowadził ostatnie kilka poprawek do list oddziałów, które przygotowywał. Każda dziesięcioosobowa drużyna potrzebowała właściwej mieszanki zwiadowców i zespołów strzeleckich, a Hark zażądał, żeby Corbec równomiernie rozproszył żołnierzy szkolonych na zwiadowców.

Corbec zaciągnął się grubym cygarem tłącym się między zębami. Prezent od Gaunta. Miał zamiar zachować je na specjalną okazję, ale dym dobrze sobie radził z tłumieniem zapachu latryn w Ins Arbor.

Prawdziwym podarunkiem od Gaunta była ta misja. Połowa Pierwszego zdjęta z linii frontu Naeme i wysłana do robienia czegoś użytecznego. To właśnie poprawiło morale, mimo straszliwych warunków na tymczasowych kwaterach.

Wszystko było lepsze niż frontowa maszynka do mięsa, a perspektywa akcji w lesie po prostu najlepsza. Tanithiańczycy chodzili uśmiechnięci. Verghastanie, którzy nie żywili specjalnych uczuć do lasów, też się uśmiechali, udzielał im się dobry nastrój z powodu wybawienia od okopów.

Przywołał Varla i kazał mu zebrać żołnierzy do pierwszej drużyny.

Las przyzywał.

Brostin o niczym innym nie mówił. Wielki, wytatuowany brutal, jeden z najbardziej barbarzyńskich ze wszystkich rekrutów z Tanith, nie chciał się zamknąć, opisując jego wspaniałości.

- Powąchajcie tylko! - mówił. Zatrzymał się i z zadumą przekrzywił głowę. - Ale nie liście. Poczujcie zapach mokrej ziemi pod drzewami. Hmm...

- Ja tam czuję twoje gothleme zbiorniki, Tanithiańczyku - rzucił miękko Cuu.

- Nie masz duszy, Cuu. Wcale nie masz duszy.

- Tak właśnie mówią, pewne, pewniutkie.

- A ja mam taki pomysł - odezwał się Feygor, cicho świszcząc przez protezę gardła.

- Może byście się obaj zamknęli?

Brostin wzruszył ramionami, uśmiechnął się i podniósł chlupoczące zbiorniki z paliwem. Cuu zniknął w krzakach. Feygor uniósł prawą dłoń i dwukrotnie zakręcił palcami. Członkowie dziewiętnastej drużyny rozproszyli się po zaroślach.

Było późne popołudnie. Słońce było żółtą plamą na zachodzie, za pokrywą liści. Zasnute mgiełką leśne polany otaczały czarne pnie. Głośnie wołanie dzikich ptaków rozlegało się w przestrzeniach pomiędzy drzewami, powietrze pachniało wilgotną korą i hubą.

Dziewiętnasta drużyna wyruszyła z dowództwa kompanii w Ins Arbor trzy godziny temu, razem z pozostałymi drużynami po odprawie z Corbekiem. Idąc przez wsie drużyny rozdzieliły się, jedna po drugiej skręcając w stronę swoich odcinków do patrolowania. Dziewiętnasta została wyznaczona do przeczesania doliny Bascuol aż do drogi na przełęczy prowadzącej do Frergarten. Dwa, może trzy dni w tę i z powrotem. Poruszali się w terenie w niezłym tempie. Przyjemny spacer w lesie.

- Myślałem, że Brostin dorastał w slumsach Tanith Magna - szepnął Caffran.

Gutes wzruszył ramionami.

- Ja też tak myślałem. Pewnie chłopaki z miasta też robią się czasem sentymentalni. Caffran skinął głową. Nie miał za złe Brostinowi jego entuzjazmu. Byli pomiędzy ciemnymi sosnami, najbardziej przypominającymi Tanith, odkąd stracili rodzinną planetę. Ukłucie znajomego uczucia, jakie sam poczuł na lądowisku tutaj było zwielokrotnione. Las. Drzewa. Czuł się na Głównej Aexe wystarczająco podobnie jak w domu, żeby było przyjemnie.

Verghastanie w oddziale nie byli tak samo odprężeni. Muril i Jajjo, wychowani w kopcu, podskakiwali na każdy szelest i celowali z broni we wszystkie podejrzone cienie.

- Spokojnie - Caffran wyszeptał do Muril, kiedy znów się poderwała z wycelowanym karabinem.

- Łatwo ci powiedzieć, leśniku - odparła. - Strasznie tu.

Feygor podniósł dłoń, nakazując zatrzymanie i odwrócił się do swojej drużyny zwiadowców.

- Feth! - powiedział. - Słyszałem cichsze tańce w gospodzie!

Czy moglibyście się zachowywać jak profesjonaliści? Moglibyście?

Przytaknęli skinieniem głowy.

- I sami powiedzcie... - dodał - czy to nie jest lepsze niż gnucie na froncie?

Tak, proszę pana - zgodzili się wszyscy.

- No to dobrze, świetnie. Ruszamy.

Feygor odwrócił się i wszedł na Mkvennera.

-A niech to Feth! Ven! Cholera!

Mkvenner spojrział na Feygora zimnym wzrokiem. Nie darzył sympatią adiutanta majora Rawne. Kawalek gówna, powiedziałby, jeśli ktoś by go przycisnął, a niewielu by się na to odważyło.

- Czysto przed wami - powiedział Mkvenner. - Aż do dużego dębu w zagłębieniu. Chcesz żebym poszedł przodem?

- No, możesz tak zrobić - odparł Feygor, odzyskując równowagę ducha. - I weź ze sobą jednego z kursantów. O to w tym idzie, nie?

- Tak słyszałem - powiedział Mkvenner. Spojrzał do tyłu na szeroko rozstawionych w tyraliere żołnierzy. - Szeregowy Jajjo! Do mnie!

Jajjo podbiegł do przodu, żeby dołączyć do smukłego, przerażającego zwiadowcy. Jajjo był jednym z nielicznych Verghastan zdradzających jakiś potencjał do bycia zwiadowcą.

- Naprzód, nisko, zachodzisz od południa. Standardowe sygnały. - Rzucił Mkvenner do gorliwego Jajjo. - Ruszaj.

Mkvenner i Jajjo poszli przed drużyną. Feygor patrzył za nimi. Po dwóch minutach wciąż widział skuloną sylwetkę Jajjo. Mkvenner zniknął prawie natychmiast.

Rerval przeprowadził test radia, żeby upewnić się, że wciąż są w zasięgu. Uniósł wzrok i zobaczył ponury grymas na twarzy Muril.

- Co jest, Verghast?

- Nic. Nic... - odparła. Rerval wzruszył ramionami. Wiedział, o co jej chodzi. Muril i Jajjo razem zapisali się na kurs zwiadowców i na tym patrolu w lesie mieli się wykazać. Jak na razie tylko Jajjo korzystał z doświadczenia i lekcji Mkvennera.

To dlatego, że jest kobietą, pomyślał Rerval. Zupełnie jak z majorem Rawne, chociaż nigdy bym się nie spodziewał tego typu uprzedzeń ze strony Vena.

- Zbierać się - zawołał Feygor do oddziału. - Ruszamy.

Ruszyli naprzód, szeroko rozproszeni, poprzez mroczny las: Feygor, Gutes, Brostin, Muril, Caffran, Cuu.

Cuu zatrzymał się, żeby spojrzeć do tyłu na dziesiątego i ostatniego członka drużyny.

- Jesteś jeszcze z nami?

- Jasne - odparł Hlaine Larkin.

- Pewne, pewniutkie.

Feygor był z siebie zadowolony. Dostał się do tak zwanej „szczęśliwej połówki” Pierwszego i oto teraz był dowódcą patrolu. Minimum wysiłku, proste zadanie: *przespacerujcie się i porozglądajcie*. A jeśli znajdą jakieś przyjemne miejsce, może starą farmę albo coś takiego, to dwudniowy patrol może się zmienić w trzy albo cztery dni rekonesansu.

Wolałby osobiście wybrać sobie drużynę. Członkowie dziewiętnastej byli różni, ale Brostin, Rerval i Gutes byli w porządku, Cuu miewał dobre momenty, a Caff był w porządku na swój sposób. Larks to wariat, ale to przecież żadna nowina.

Potrafił strzelać. Może ustrzeli im coś na kolację. Feygor przyznał się przed samym sobą, że nie ma pojęcia, jaka tu żyje zwierzyna, ale był całkiem pewny, że znajdzie się coś z pyskiem na jednym końcu i tyłkiem na drugim, z przyzwoitym mięsem pośrodku.

Verghastan mógł sobie odpuścić. Jajjo był sztywniakiem i w opinii Feygora żaden Verghast nie zostanie nigdy zwiadowcą.

Dziewczyna była lepsza. Śliczna. Może mu się poszczęści i upoluje inny rodzaj zwierzyny w tym lesie.

Najgorszy był Ven. Jasne, Feygor darzył go szacunkiem, tak jak wszyscy. Ale wszyscy również obawiali się Mkvennera.

Ten to dopiero miał zasady. Feygor wiedział, że musi dokładnie zaplanować, jeśli mają mieć szansę na jakąś zabawę bez Vena wchodzącego w drogę.

Oczywiście była też robota do wykonania. Lasy Montorq pokrywały ponad trzy tysiące kilometrów kwadratowych i rozciągały się od Toyre, zahaczając o zachodnie krańce masywu Kottmark, pasma gór oddzielających wschodnie prowincje Aexegary od Kottmark. Większość terenów Montorq stanowiły strome, pokryte gęstym lasem zbocza, w większości niedostępne inaczej niż na piechotę, chyba że miało się dość czasu na znalezienie przyzwoitego szlaku.

Republika Shadik leżała na północy. Nominalna granica była o jakieś osiemdziesiąt kilometrów dalej, za Toyre. W czasie długich lat wojny Shadik napierał na Aexegary i Kottmark wzdłuż wszystkich dostępnych szlaków, stopniowo wyznaczając linię frontu. Na mapie taktycznej zalesione pogórze było jedyną przerwą w tej linii. Na zachód od nich ciągnęła się Linia Seronne, sektory Naeme i Meiseq. Na wschodzie i północy leżała tak zwana Linia Zaporowa Ostlund, blokująca natarcia Shadik na Kottmark. Republika Shadik nigdy nie tknęła nawet Montorq. Wojny oszczędziła mu geografia. Już kilka godzin na obrzeżach lasu pokazało, jak ciężko byłoby się tu przedzierać. Tylko głupiec próbowałby poprowadzić armię przez las. Feygor słyszał, jak dowódców Republiki różnie nazywano, ale nigdy głupcami. Czasy się jednak zmieniały. Przymierze przejęło się myślą, że Republika Shadik zamierza zmienić taktykę, żeby przerwać impas. Zamiast bezpośrednio nacierać na Frergarten, główny bastion Przymierza na wschodzie, mogli rzucić elitarną piechotę z lekkim wsparciem przez Montorq i okrążyć Frergarten, osiągając to, co nie udało się trzem poprzednim natarciom. Mogli zdobyć Frergarten, Ins Arbor, złamać linię Seronne i w czasie krótszym niż sześć tygodni wejść do Wschodnich Prowincji. Było to mało prawdopodobne, ale możliwe. Duchom rozkazano ocenić rozstawienie wroga i szlaki komunikacyjne w Montorq. Przynieść odpowiednio wczesne ostrzeżenie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Oraz, jak zasugerował Corbec w czasie odprawy, ocenić możliwość przeprowadzenia podobnego manewru przez Przymierze. Być może do jesieni siły Przymierza mogłyby maszerować przez las, w kierunku północnym...

Feygorowi było wszystko jedno. Było mu wszystko jedno kto wygra, a kto przegra. Feth by go to obchodziło, gdyby prezydent Shadik narobił na tron Najwyższego Sezara. Jeśli tylko zostawią Feygora w spokoju. Był zmęczony. To była fethowo długa droga z Tanith i mnóstwo już przeszli.

Rawne zawsze mówił, że Gaunt prowadził ich tak, jakby miał coś do udowodnienia. No więc fethowo udowodnili już wystarczająco dużo, nie? Teraz była pora na kogoś innego. Może kiedy skończą już z tą fethową dziurą. Pierwszy zostanie na parę miesięcy odesłany do rezerwy. Może nawet na sześć miesięcy. Rok. Feygor widział już inne kompanie odsyłane na tyły. Fethowi Vitrianie na przykład. Przeszli do rezerw krucjaty jakieś osiemnaście miesięcy wcześniej i o ile Feygor wiedział, wciąż tam byli, siedząc ze swoimi fethowymi szklanymi butami na stole, paląc nie swoje *lho*, bawiąc się w garnizon. Niebiesko krwiści podobnie, te łajdaki zostały odesłane na tyły po akcji w kopcu Vervun.

Feygor ruszył w drugą stronę i dogonił drużynę. Brostin zatrzymał się, żeby łyknąć z manierki. Na samym przodzie, u podnóża kolejnego wzniesienia, w cieniu drzew Cuu także się zatrzymał. Wpatrywał się w dno doliny, w postać odchodzącego Larkina. Larkin przykląkł i zbadął odchody. Były świeże. Jakieś małe zwierzę,

prawdopodobnie trawożerne. Usiadł na chwilę na skale, wymieniając amunicję bojową na zwykły magazynek niskowoltowy.

- Co to? - spytała Muril.

- Polowałeś kiedyś?

Pokręciła głową.

-Bojowa amunicja rozwali wszystko, co jest mniejsze od jelenia. Chcemy jeść. Nie chcemy pomalować scenerii płynnym zwierzęciem.

Uśmiechnęła się. Usiadła i położyła karabin laserowy przy sobie, na ziemi. Larkin przywykł do jej widoku z przedłużonym karabinem snajperskim. Dziwnie wyglądała ze standardowym MK III.

- Brakuje ci go? - zapytał.

- Tak jakby - przyznała. - Ale chcę być zwiadowcą. Naprawdę chciałabym to zaliczyć. A to oznacza, że musiałam zamienić moją ulubioną snajperkę na standardowy MK III. A poza tym dostałam w zamian czapkę.

Mówiła o miękkiej, czarnej wełnianej czapce, którą miała na głowie. Standardowym wyposażeniem żołnierza w aktywnej służbie był ceramitowy hełm, prócz tego do wyboru czarny beret lub furażerka. Chyba że było się zwiadowcą albo kandydatem na zwiadowcę tak jak Muril. Wtedy nosiło się wełnianą czapkę na wszystkie okazje. Nie przeszkadzała w ruchu i nie zasłaniała pola widzenia tak jak hełm i nie było niebezpieczeństwa, że zadzwoni uderzony bronią podczas czołgania. Czapka była znakiem rozpoznawczym elity Pierwszego, jedną z tych subtelnych, ale kluczowych różnic w ubiorze, która dodawała prestiżu. Jeśli dostanie się do zwiadowców, będzie nosiła na czapce czarną, matową odznakę specjalizacji. Żaden Verghastanin jeszcze tego nie osiągnął. Ani żadna kobieta.

Larkin uśmiechnął się. Co by nie mówiły na temat nakrycia głowy standardowe instrukcje umundurowania, Pierwszy przywiązywał do tego wyjątkowo mało wagi.

Wielu żołnierzy miało gołe głowy. Berety były częstym widokiem pod ostrzałem.

Słyszał kiedyś, jak Corbec mówił Haikowi, że więcej Duchów używało hełmów jako naczyń niż nosiło je w boju. A tutaj była dziewczyna, która pragnęła zdobyć prawo do noszenia czapki, jakiej prawdopodobnie i tak nigdy nie będzie nosiła.

Za wyjątkiem parad, rzecz jasna. Tam to miało znaczenie. To tam właśnie Shera Muril byłaby fethowo kimś.

- Co cię śmieszy? - zapytała.

- Nic - odparł.

Podniósł się i przetestował lunetę na odległych drzewach.

- Myślisz, że się dostanę? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Dostałaś się do snajperów. To wiem. Jeśli ktokolwiek z was, z kopca, zostanie kiedyś zwiadowcą, będzie to jedna z was.

- Mkvenner nie wygląda na przekonanego - mruknęła. - Kiedy pułkownik powiedział mi, że wybrał mnie do tej drużyny, bym była z Venem, bardzo się ucieszyłam. Bo wiesz, Ven to jest ktoś. On i Mkoll. Najlepsi. Myślałam, że to jest to. Duży krok naprzód. Ale on wygląda, jakby był tylko zainteresowany Jajjo.

- Jajjo jest w porządku.

- Jasne. Ale to właśnie wokół niego się wszystko kręci. Kogo Ven teraz wziął ze

sobą? Mnie? Raczej nie. Zrobiłam coś nie tak? Czy się po prostu oszukuję? Czy może Ven ma problem?

- Problem?

- Z dziewczynami?

Larkin opuścił karabin i zmrużył oczy patrząc w jej kierunku.

- My wszyscy mamy problem z dziewczynami.

Muril roześmiała się.

- Ale poważnie...

Larkin znów uniósł broń. W oddali, pomiędzy drzewami widział członków dziewiętnastej drużyny podchodzących pod kolejne zbocze przy grupie świerków.

- Nigdy ci nie przyszło do głowy - powiedział miękko - że Ven poświęca dużo czasu Jajjo, bo to on potrzebuje jeszcze dużo pracy?

- Gothlera! - powiedziała. Szeroki uśmiech pojawił się na jej smukłej twarzy. - Tak tego nie widziałam.

- Musisz patrzeć ze wszystkich stron - powiedział Larkin. Przycichł do szeptu.

Pozwolił karabinowi luźno leżeć w dłoniach, celować płynnie. Zatoczył łuk czubkiem luty. Nie mrugał. Przez lunetę widział odległe postacie pojawiające się i na powrót znikające za zasłoną liści. Czekał aż luneta zatrzyma się na celu. W oku zaświecił mu się odczyt. Cel namierzony. Czteryście siedemdziesiąt dwa metry. Tył głowy Feygora. Najazd w bok. Kolejny namiar. Czteryście siedemdziesiąt dziewięć i pół. Zbiorniki Brostina. Najazd. Czteryście osiemdziesiąt jeden. Cel namierzony. Lijah Cuu. Bok czaszki. Poprawka na wiatr. Śledzenie celu.

- Co ty robisz? - zapytała Muril.

Larkin przestał oddychać. Snajperka zdawała się nic nie ważyć. Runa namierzenia błyskała równomiernie. Prawy palec wskazujący zaciskał się powoli na spuście. Lijah Cuu zatrzymał się, żeby powiedzieć coś do Gutesa. Poprzeczna linia celownika Larkina przecinała oczy Cuu. Pionowa prawie się nakładała na linię charakterystycznej blizny. Właśnie tu. Właśnie teraz. Jeden strzał.

Larkin opuścił karabin, odetchnął i kliknął bezpiecznikiem.

- Sprawdzam lunetę - powiedział.

Heqta Jajjo nie mógł znaleźć gothlernego liścia do zwinięcia. Za każdym razem, kiedy go zawijał, ten się rozprostowywał, a kiedy w końcu wcisnął łodyżkę w liść, rozdarł go.

- Problem? - zapytał głos.

Jajjo uniósł wzrok. Mkvenner stał nad nim.

- Gothlera, mało ze skóry nie wyskoczyłem.

- To dobrze, bo jestem zwiadowcą. A jednocześnie źle, bo nim właśnie chcesz być.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Popraw się. W czym problem?

- Powiedziałaś, że bym to zostawił, znak. Nie mogę go zwinąć.

Ven przykucnęła i zerwał świeży liść z pobliskiego krzaka.

- Za bardzo się starasz. To tylko jeden ruch. Musi wyglądać naturalnie.

Mkvenner zawinał perfekcyjną pętlę i położył na kupce białych kamieni.

Jajjo westchnął.

- Dojdiesz do tego - stwierdził Mkenner, nieomal zachęcającym tonem.
- Myślisz, że marnujemy tylko czas, prawda? - zapytał Jajjo.
- Dlaczego?
- Bo się nie nadajemy. Na zwiadowców. - Jajjo nie musiał wyjaśniać, kim byli „my”. Oboje wiedzieli, że ma na myśli Verghastan.
- Jeśli tak myślisz, to jedyną rzeczą, jaką marnuję, jest mój wysiłek. Idziesz na szpicy.
- Pod warunkiem...
- Na szpicy, Jajjo. Pokaż mi, że radzisz sobie w terenie.

Jajjo podniósł swój MK III i ruszył nisko pochylony. Dotarli do długiej, zakrzywionej doliny pełnej sosen, ze stromymi zboczami gęsto usianymi zeszlorocznymi igłami. Zerwał się wiatr i drzewa nad nimi chwiały się i szumiały. Zrobiło się zimno. Nie było już słońca i las pogrążył się w półmroku. Jajjo starał się robić jak najmniej hałasu. Pod nogą trzasnął mu kawałek kory i spojrzał wzrokiem pełnym skruchy w kierunku, gdzie zostawił Mkennera.

Zwiadowcy nie było. Jak on to do *gothlery* zrobił?

Jajjo szedł w ukryciu aż do gęstej grupy olch. W połowie drogi uderzył kolbą w młode drzewko. Wtedy też uzmysłowił sobie, że nie przykrył się prawidłowo peleryną maskującą.

Do jasnej *gothlery*, czy coś jeszcze mógłby schrzanić?

Szum wiatru w drzewach był hipnotyczny. *Jak morze*, pomyślał Jajjo. Jego rodzina pochodziła z kopca Imja, na archipelagu jednego z tropikalnych miast Verghast. Brakowało mu go, kiedy skończył sześć lat i przeprowadzili się do Vervun.

Jajjo minął zagajnik i przeciął łąć skrzących paproci.

Zaczęły spadać pierwsze krople deszczu, twardo uderzając w liście zakrywające grunt. Jajjo starał się trzymać w cieniu. Zdawało mu się, że za kępą sosen w przodzie coś jest, ale nie potrafił powiedzieć, co to było. Zmienił rytm, poruszał się teraz, przebiegając krótkie odcinki pomiędzy drzewami, tak jak go uczono na kursie zwiadowców. Hałas jaki teraz powodował był zagłuszany przez wzmagające się deszcz i wiatr. MK III trzymał pod prawą pachą, z lufą w dół, tak żeby o nic nie zahaczyć. Padało coraz mocniej. Krople waliły w liście jak nieprzerwany werbel. Temperatura natychmiast podniosła się o kilka stopni, co spowodowało, że z ziemi podniosły się pasma mgły, a w nosie poczuł wilgotny zapach ściółki.

Jajjo dotarł do kępy sosen i prześliznął się pomiędzy drzewami.

Co to do cholery było? Zdecydowanie wyglądało na jakąś polanę. Przerwę w lesie. Można to było rozpoznać po świetle.

Położył się w paprociach i Podczołgał ostatnie dwadzieścia metrów do brzegu polany, trzymając broń przed sobą. Podniósł głowę i zobaczył w deszczu, co przed nim leżało.

- Gothlera - zająknął się. Obrócił się, żeby ruszyć do tyłu, ale Mkenner przykucnął tuż za nim.
- Dobra robota - odezwał się Mkenner cicho. - No popatrz, co znalazłeś.

Nie było go na mapach. Głównie dlatego, że był stary a mapy nowe. Ven i Jajjo wrócili po swoich śladach do drużyny i przyprowadzili wszystkich na miejsce. Był to dom. Duży dom. Rerval nazwał go dworkiem i ta nazwa się przyjęła.

Porzucony i zarośnięty, zajmował oczyszczony z lasu fragment zbocza i stał frontem na zachód. Z pobielonego wapnem szarego kamienia, pokryty czarną dachówką. Dwie kondygnacje i być może strych. Ślepe okna wyglądały na zapuszczony frontowy ogród. Widać było zarośniętą zielską ścieżkę prowadzącą do ganku oraz ślady starego muru i bramy pośród przerośniętych zarośli. Gutes i Caffran zatoczyli łuk i podeszli od tyłu, gdzie znaleźli parterowe skrzydło oraz zespół budynków gospodarczych upchniętych pod murem otaczającym tylny ogród i wybrukowany dziedziniec. Jeszcze dalej rozciągały się dziki ogród i trawnik, sięgające aż do krawędzi sosnowego lasu. Na końcu trawnika stał stary mur, a pod nim kolejne, rozpadające się budynki gospodarcze.

Lało jak z cebra.

- No to zobaczymy - powiedział Feygor.

Rozdzielili się. Feygor, Gutes, Cuu i Brostin podeszli do drzwi frontowych. Caffran, Rerval, Jajjo i Mkvener od tyłu.

- Broń - rzucił Feygor na frontowych schodach.

Towarzyszące mu, ociekające deszczem Duchy skinęły głowami. Gutes i Cuu dopadli obu stron wielkich, starych drzwi. Farba łuszczyła się z drewna. Feygor zajrzał przez okno na parterze, ale nie zobaczył nic oprócz kurzu i cieni.

- Wchodzimy - powiedział przez komunikator.

- Rozumiem - zatrzeszczała odpowiedź Caffrana.

Feygor skinął głową. Brostin podszedł i napał na drzwi ramieniem.

Musiał uderzyć drugi raz, aż drewno pękło i drzwi się otworzyły.

Gutes i Cuu z wycelowanymi karabinami czaili się tuż za nim.

Hall był ciemny z zatechłym powietrzem. Zapach pleśni. Starych dywanów. Wilgoć. Wsunęli się do mrocznego środka, rozpoznając schody i kilkoro drzwi prowadzących z hallu. Z dachu i schodów kapała woda. Feygor zakradł się do środka, z uniesioną bronią. Pstryknął palcami. Razem z Gutesem i Cuu włączyli latarki. Odczepili je od luf karabinów i oświetlali obszerny hall. Plamy światła ukazały lakierowaną komodę z pokrytym pajęczyną świecznikiem, olbrzymie lustro w błyszczących ramach, które odbiło z powrotem do nich światło latarek. Stojący wieszak z samotnym prochowcem. Haftowany kilim. Zasuszone kwiaty w wazonie. Stolik z mosiężnym stojakiem na listy.

Cuu pstryknął włącznikiem na ścianie. Wielki kandelabr pozostał ciemny.

- Nie ma prądu - powiedział.

- No - zgodził się Feygor - ale jest dach.

Deszcz jeszcze przybrał na sile. Rozległ się grzmot. Feygor podszedł do drzwi po lewej stronie hallu.

Brostin odkręcił zawór swojego miotacza płomieni i trzasnął zapalniczką. Nastąpiło mokre kasznięcie, po nim syk i miotacz ożył. Brostin ustawił płomień na jak najmniejszy, tak że tylko niebieski stożek gorąca skwierczał naokoło zakończenia lufy. Syk palnika wypełnił pomieszczenie. Wszyscy poczuli prometan.

Brostin podkradł się do Feygora, używając miotacza jako źródła światła.

- Jestem za tobą - powiedział.

Feygor otworzył wewnętrzne drzwi i uchylił je szeroko, stając plecami do framugi.

Brostin wszedł do środka i podkręcił lekko miotacz, aż pokazały się żółte płomienie.

- Jadalnia - ogłosił. Feygor wszedł za nim i oświetlił latarką ściany. Stare obrazy olejne z ponurymi obliczami. Wazy i porcelanowe naczynia. Długi, ciemny stół z dwudziestoma krzesłami. Pojedynczy talerz udekorowany dwoma pestkami owoców i małym nożykiem.

Feygor wrócił do hallu. Gutes i Cuu otworzyli drzwi do pokoju naprzeciwko. Jakies fotele i sofy przykryte pokrowcami. Duży kominek i kosz polan. Kolejne pajęczyny. Feygor ruszył do następnych drzwi na drugim końcu. Uchylił je i wycelował w szczelinę latarkę i karabin. Małe pomieszczenie z pustymi półkami. Kurz. Biblioteka? Gabinet? Wsunął się do środka, kryty przez Gutesa. Biurko i fotel na mosiężnym stojaku. Wieszaki na ścianach. Skierował światło na prawo. Z ciemności wynurzył się potwór, z wyszczerzonymi kłami i szponiastą łapą uniesioną do ciosu.

- Feth! - wrzasnął Feygor i wystrzelił.

Trafił go w brzuch i nastąpił głośny wybuch futra i kurzu.

Gutes przestraszony nagłym wystrzałem wtoczył się przez drzwi i sam wystrzelił serią.

-Stój! Stój! - Feygor przekrzykiwał palbę Gutesa. Potwór wciąż się na nich szczyrzył. Komunikator rozszalał się nagle.

- Kto strzela? - to był Caffran.

- Potwierdzić kontakt! Potwierdzić kontakt! - Jajjo.

- Feygor? Odezwij się - Ven.

Feygor śmiał się, a jego rechot brzmiał przez radio płasko i sucho.

- Spokojnie, nie ma kontaktu.

Gutes również chichotał z ulgą.

- Co do Fetha? - spytał Brostin wpadając przez drzwi z uniesionym miotaczem.

Nacisnął spust i płomień rozświetlił pomieszczenie.

Wielka bestia w rogu była dokładnie oświetlona, upozowana na postumencie, z łapami uniesionymi do zadania ciosu. Z postrzelonego brzucha leciały trociny, a płomienie odbijały się od szklanych oczu.

- Feth! - powiedział Brostin. - Palce was świerzbą na spustach?

- Myślałem, że to fethowe prawdziwe zwierzę – protestował Feygor. - Zaskoczył mnie.

- No cóż - stwierdził Brostin - z pewnością go zabiliście.

Feygor podszedł do wypchanego trofeum. Niezła bestia. Stojąc na tylnych nogach, mierzyła ze trzy metry, pokryta czarnym futrem, szczyrzyła kły wielkości jego palców.

- Co to do Fetha jest? - spytał Gutes.

- Jakiś rodzaj niedźwiedzia - odparł Feygor, zaczepnie dźgając zwierzę palcem w pierś.

- To *behj* - odezwał się Cuu z drzwi. - Poważna sprawa tutaj na Aexe. Zwierzę symbol, król drapiezców. Słyszałem, że Sezar nosi kołnierz z niego, a miejscowi uważają szpony za amulet.

- Skąd do Fetha to wiesz, Lijah? - zdziwił się Brostin.

Cuu uśmiechnął się.

- Zarobiłem parę kredytów handlując w okopach. Zawsze lepiej mieć trochę lokalnej wiedzy. Pióro *struhida* przynosi szczęście, ale szpon *behja*...

- Zawsze masz oko na możliwości zarobku, co Cuu? - powiedział Feygor.
- Pewne, pewniutkie - odparł Lijah Cuu.

Caffran poprowadził swój zespół od strony kuchni na tyłach.

- Dziwne - stwierdził Mkvenner.
- Co?
- Wszystko jest czyste i odłożone na miejsce oprócz tego kubka i naczyń przy zlewie.
- Ktoś opuścił to miejsce w pośpiechu - powiedział Rerval.
- Cały ten region był podobno ewakuowany.
- To dlaczego czuję czosnek? - spytał Ven.

Celując światłem latarki w ciemność Caffran przekradał się przez pustą, pachnącą wilgocią pralnię. Jajjo szedł za nim. Jajjo znalazł drzwi, które ustąpiły po kopnięciu. Była to spiżarnia z półkami pełnymi przetworów owocowych i warzywnych. Z haków w suficie zwisały cztery kawały solonego mięsa.

- Niech to gothlera - odezwał się Jajjo. - Ślinka mi cieknie. Od momentu lądowania mieli bardzo kiepski prowiant. Odezwał się komunikator.

- Chłopaki, chodźcie zobaczyć, co znalazłem – powiedział Feygor.

Zespół Caffrana znalazł Feygora w piwnicy. Krótkie kamienne schody schodziły w dół od drzwi w hallu. Stojaki z winem stały w pięciu szeregach.

Feygor wziął butelkę z jednego ze stojaków, obtłukł szyjkę o ścianę piwnicy i chlusnął sobie do szeroko otwartych ust.

- Gutes, Cuu - powiedział bekając i oblizując usta. - Idźcie rozpalić ogień. Tylko przygotujcie solidny zapas drewna.

Znaleźliśmy kwaterę.

- Powinniśmy ją zabezpieczyć - powiedział Mkvenner.
- Dobra, zabezpiecz - warknął Feygor. Wyraźnie było słychać wiatr i gwałtowny deszcz na zewnątrz. - Rób co chcesz.

Mkvenner popatrzył przez chwilę na Feygora. Następnie odwrócił się do Jajjo.

- Idziemy.

Obaj opuścili piwnicę.

Feygor łyknął jeszcze raz z butelki i spojrzał na Caffrana.

- Sakra to, to nie jest - powiedział - ale wydaje mi się, że się nam tu spodoba.

KOCIOŁ

„Najgorszy dzień mojego życia. Najgorszy odcinek Unii frontu. Nie życzę nikomu. Nigdy tam nie chcę wrócić.”

Hrabia Golke, o Kotle Seiberq

W milczeniu czekali, aż działa ucichną. Następnie ruszyli. W górę, po drabinach, przez parapet. W ciemność i błoto. W małe, indywidualne światy dusznych masek przeciwgazowych. Zbliżała się 3: 30 nad ranem i dzień zdawał się być oddalony o długość całego życia.

- Trzymać się blisko - burknęła Criid do komunikatora, a dźwięk jej oddechów rozniósł się wewnątrz płóciennej maski.

Pluton się jej rozchodził. Gdzieś na lewo był piąty, banda Sorica. Gdzieś na prawo siedemnasty, Raglona. Gdzieś naokoło niej był jej własny gothlerny pluton, choć wcale ich nie widziała. Cholerne maski: przepaski na oczy, kneble i zatyczki do uszu połączone w jedno.

Było jakieś światło. Migąło poprzez niedoskonałe plastikowe soczewki maski. Bursztynowe, nieostre. Tylko tyle, że można było rozpoznać krajobraz ziemi niczyjej. Wyziewy z mgły i dymu unosiły się z kraterów. Ukrywały druty. Kałuże chemicznie zanieczyszczonej wody w głębokich lejach po pociskach dawały fosforyzującą poświatę.

Taka gra. Niespecjalnie śmieszna. Nikt nie miał ochoty w nią grać, odkąd przesunięto ich do 58. sektora. Criid żałowała, że nie ma przy niej DeFelba. Mówiło się, że dochodzi do siebie po ranie twarzy. Zmuszona była przesunąć Mkhafa na stanowisko swojego adiutanta, a nie dogadywała się tak dobrze z tym chudym Tanithiańczykiem. Grunt był mokry i klejący. Szło się jak w karmelu. Jedyne, co słyszała, to własne stłumione dyszenie wewnątrz maski.

- Druty! - odezwał się stłumiony głos. Odwróciła głowę. To Mkhaf, czekający aż Kenfeld i Vulli podejda z nożycami.

Criid przykucnęła. Wszędzie naokoło przemykały anonimowe Duchy w maskach, cienie w słabym świetle. Wszyscy byli pozawijani w maskujące peleryny.

- Przejście! - zaraportował Kenfeld, którego głos brzmiał, jakby dochodził z pudełka. Podniósł się odciągając w bok przecięty fragment drutu dłonią w rękawicy.

- Idziemy, za mną - wyszeptwała Criid.

Ledwo o pięćdziesiąt metrów na lewo od Criid swój pluton prowadził Soric. Pomimo bliskości nie widział nikogo z załogi Criid ani Obela, który szedł gdzieś na lewej flance.

Agun Soric pocił się w masce. Nienawidził masek. Był oślepiiony i przygłuszony, jego mocno ograniczone przez utratę oka pole widzenia zostało zredukowany do marnych resztek.

Błoto było piekielne. Mokre, miękkie i głębokie. Wciągało buty, ciągnęło stopy w dół za każdym krokiem, jakby ziemia była głodna. Soric musiał się zatrzymać, żeby osłaniać szeregowego Hefrona, który nie zawiązał odpowiednio mocno butów i stracił jeden w błocie.

- Załóż ten gothlerny but! - warknął Soric, dysząc w wilgotnej ciemność swojej maski.

- Przepraszam, sierżancie, przepraszam... - powtarzał Hefron.

- Zamknij się i zasznurowuj go lepiej! - Soric stał z boku i starał się napełnić płuca. Wszystko, co udało mu się poczuć to wilgotne, ciepłe powietrze. Pot zalewał mu zdrowe oko. Nie mógł go obetrzeć.

- Gothletra!

Hefron podniósł się i Soric posłał go w dalszą drogę uderzeniem dłoni w tył głowy. Sam zdołał przejść krok może dwa, potknął się na czymś zagrzebanym z ziemi i przewrócił.

Płynne błoto zalało soczewki maski. Nic nie widział. Czuł smak brudnej wody wlewającej się przez filtr z gazy.

Jakieś dłonie złapały go i postawiły na nogi.

- Sierżancie! W porządku?

To był Vivvo, jego głos zatrzeszczał przez komunikator.

- No.

- Dostał pan?

- Nie. Upadłem.

- Gothlera, myślałem, że pan dostał.

Wytrzymaj mi te gothlerne soczewki, na miłość boską – powiedział Soric.

Nastąpiło skrzypnięcie i powróciła widoczność. Vivvo ściągał palcami błoto z soczewek maski.

- Nie panu nie jest? - zapytał.

- Nie. Tak, potłukłem nogi. Upadłem na coś. - Oddychało mu się teraz jeszcze ciężiej. Nigdy nie czuł się taki przyduszony. Piekielna maska...

- Daj mi chwilę, Vivvo. Zastąp mnie. Zbierz pluton, zanim za daleko odejdą.

Soric pokuśtykał do przodu, czując stłuczenia na nogach.

Coś go mocno uderzyło, kiedy upadał. Miał coś w kieszeni. Na ślepo wyciągnął to i uniósł przed oczy. Mosiężny pojemnik na rozkazy. Serce Sorica przyspieszyło jeszcze bardziej. Był przekonany, że zostawił fethową rzecz w ziemiance.

Ślizgającymi się, ubłoconymi palcami rękawiczki odkręcił zakrętkę. W środku był złożony arkusz niebieskiej bibuły, którego się spodziewał. Trudno było przeczytać przez zamazane soczewki.

Na bibule było napisane: „Powietrze czyste. Nie trzeba masek. Ostrzeż dziesiąty o młynie”

Pod spodem było napisane coś jeszcze, ale nie mógł tego odczytać.

Soric zerwał klamry i ściągnął maskę. Zacerpnął głęboko zimnego powietrza, powietrza aż gęstego od smaku paliwa, błota i wody.

Ale nie gazu.

Ściągnął rękawice i wytarł dobre oko, odsuwając pot z powrotem we włosy.

- Radio! Radio! - zawołał.

Mohr, jego radiooperator, przybiegł potykając się na błocie i stanął zdziwiony widząc Sorica z gołą głową.

- Feth, sierżancie! Rozkazy były, że w maskach!

- Powietrze jest czyste - powiedział mu Soric. - Nadaj to.

- Powietrze jest czyste i masz na to moje słowo.

Mohr ukląkł w leju po pocisku i dostroił nadajnik, zdejmując jednocześnie maskę.

Młodą twarz miał zaczerwienioną i spoconą.

- Daj mi mikrofon - powiedział Soric. - Mówi dwudziesty, dwudziesty do wszystkich.

Powietrze jest czyste, powtarzam, czyste. Można zdjąć maski.

Soric usiadł, wciąż trzymając mikrofon przy ustach. Przekręcał kawałek papieru aż w końcu padło na niego słabe światło i mógł przeczytać.

- Dwudziesty, dziewięćdziesiąty pierwszy.

- Dziewięćdziesiąty pierwszy, dwudziesty. Jesteś pewien co do tych masek?

- Pewien. Zaufaj mi, Tona.

- Rozumiem, dwudziesty.

- Dwudziesty, dziewięćdziesiąty pierwszy. Wydaje mi się, że podchodzicie do jakiegoś młyna. Budynku.

- Dziewięćdziesiąty pierwszy, dwudziesty. Nie ma nic na mapie.

- Nic nie ma na mapach, Tona. Uważaj, dobra? Jak zobaczysz budynek, uważaj.

- Masz jakieś informacje, Soric?

- Po prostu uważaj.

- Dziewięćdziesiąty pierwszy, dwudziesty. Uważać. Zrozumiałam.

Soric wyłączył mikrofon i opadał na moment do tyłu, patrząc w górę. Niebo było ciemne, pełne żółtawej mgły. Nie było gwiazd. Żałował, że nie było gwiazd.

- Skończył pan, sir? - spytał Mohr. Robił się niespokojny.

Pluton zostawiał ich z tyłu.

- Niezupełnie - odparł Soric, patrząc na kawałek papieru w zaciśniętej, brudnej dłoni.

Druga linijka. Mokre palce rozmazały tusz. Została tylko smuga. Wpatrywał się w nią. Co tam, do gothlery było napisane? Powinien wiedzieć. Sam to napisał.

Albo coś, co miało taki sam charakter pisma.

Coś, wiedział Soric, nawet jeśli przerażało go to śmiertelnie, czemu musiał zaufać.

Coś tam, żeby czegoś nie pozwolić... co to było? Wyglądało jak „Raglon”. Tak?

Cholera, co to było? Pierwsza część to ostrzeżenie dla Tony. Czy Raglon też się pakował w jakieś kłopoty? Boże-Imperatorze, co tam było napisane?

-Następnym gohlernym razem pisz ołówkiem! - powiedział.

- Sierżancie? - Mohr zapytał nerwowo.

Powiedziałem to na głos, pomyślał Soric. Uniósł mikrofon.

- Dwudziesty, dwa zero trzy?

- Dwa zero trzy, dwudziesty - Raglon zgłosił się od razu.

- Dwudziesty, dwa zero trzy... ech, uważajcie na siebie, dobra?

- Powtórz, Soric.

- Powiedziałem, żebyście na siebie uważali. Nie wiem dlaczego, nie wiem na co.

Bądźcie... dodatkowo uważni, dobra?

- Pierwszy Zrozumiałem. Dwa zero trzy wyłącza się.

Soric rzucił mikrofon do Mohra.

- Idziemy - pierwszy powiedział i podniósł się. Otaczały ich ze wszystkich stron ciemność i błoto. Po Vivvo i reszcie piątego plutonu nie było śladu.

Soric złapał Mohra za ramię i ruszył do przodu.

Nie było tu krajobrazu we właściwym tego słowa znaczeniu.

Jedynie rozerwana wybuchami ziemia i zniszczenia.

Criid była na tyle dezorientowana, że równie dobrze mogli teraz wracać do swoich linii. Jednak Hwlan w jakiś sposób znajdował drogę.

Zwiadowca z Tanith szedł na czele, prowadząc rozciągnięty szereg dziesiątego plutonu poprzez pustkowie. Przynajmniej poczuli ulgę zdejmując maski. Skąd Soric wiedział, że było czysto? Pewnie z czujników atmosfery na linii frontu, zakładała Criid. Ciemność wydawała się lita jak skała. Odór śmierci i zanieczyszczonej wody nieomal dusił. Criid wskoczyła razem z Nessą i Vrilem do płytkiego krateru, gdzie znaleźli się w wodzie razem z nabrzmiałymi, spuchniętymi ciałami.

Chwilę później z pluskiem dołączył do nich Mkhef i wzdrygnął się z obrzydzenia.

- Feth!

- Zamknij się, do gothlery - wyszeptała Criid. - Musimy być już blisko linii Shadik. Nessa podczołgała się do krawędzi krateru i rozejrzała się przez lunetę snajperki.

- Druty, o jakieś dwadzieścia metrów. Żadnego ruchu.

- Niech to Feth - zamruczał Mkhef, starając się odepchnąć wciąż na niego wpadające nabrzmiałe od gazów ciało.

Odezwał się komunikator. Criid usłyszała głos Hwlana.

- Widzę jakiś rodzaj budynku, pani sierżant. Dziewięć punktów na zachód. Wygląda jak... no nie wiem...

- Czekaj tam - powiedziała Criid do komunikatora.

Gestami zasygnalizowała do Nessy, Vrila i Mkhefa: „Za mną”.

Cała czwórka wygrzebała się ze śliskiego zbocza krateru i pobiegła na zachód, przez usiane dziurami błoto, aż przykucnęli pod starym fragmentem zardzewiałego drutu. Zaszli od tyłu poszarpany odcinek płotu, gdzie Hwlan chował się w jakiejś dziurze. Budynek był podświetlony od tyłu przez żółtawą mgłę podnoszącą się z linii wroga. Była to ruina, sama skorupa, bez jednej ściany, z kominem sterczącym jak kamień nagrobny.

Budynek stał w niecce, przy strumieniu, otoczony drutem kolczastym.

Wyglądał jak jakiś rodzaj... młyna.

Criid miała nieprzyjemne, męczące uczucie pozostawione przez ostatnią transmisję Sorica.

Spojrzała znów na ruiny, nicość na tle żółtawej ciemności.

Caffran był znany z umiejętności szturmowania budynków. Co on by tu zrobił?

Ta myśl zatrzymała wszystkie inne. Caff. Criid poczuła straszny ból. Gdzie teraz był?

Co robił, właśnie teraz? Czy chociaż był żywy?

Co za głupota, przedzieranie się przez ciemność i błoto z karabinem w rękę, kiedy inne rzeczy naprawdę się liczyły?

Caff...

- W porządku, pani sierżant? - wyszeptał Mkhef.

- Tak, a co?

- Wyglądała pani jakoś tak dziwnie...

- Nic mi nie jest - powiedziała. Nic jej nie było. Była sierżantem Toną Criid. Tanith Pierwszy i fethowy Ostatni, jedyna kobieta, która dochrapała się tego stopnia. Nie miała zamiaru teraz tego zepsuć. Nie miało znaczenia co czuła do Caffrana,

Yoncy czy Dalina. Wybrała karierę żołnierza i zapracowała na swoje pagony. Miłość była tylko obciążeniem, którego nie potrzebowała. Nie teraz.

- Kenfeld? - powiedziała cicho do komunikatora.

- Pani sierżant? - zatrzeszczało radio.

- Raport.

- Jestem na wschód od pani, od przodu, razem z Mosarkiem, Pozetine i Lubbą.

- Widzisz coś?

- Tylko ruiny.

- Dobra, poślij przodem Lubbę i Pozetine. Kryjcie ich. Czekaj na sygnał. My się zakradniemy od tej strony.

- Zrozumiałem.

- Zakradamy się - Criid powtórzyła do swoich towarzyszy, zdejmując bagnet z uchwytu na lufie i zarzucając karabin na ramię. Pozostali zrobili tak samo.

- Po co tyle zachodu, pani sierżant? - spytał Vrill.

- Mam przecucie - odparła. - Może być ciężko, ale chcę to zrobić po cichu.

Cała czwórka ruszyła przez czarne błoto w stronę poszarpanych ruin. Były większe niż Criid je wstępnie oceniła. Wysokie. Grube ściany, to co z nich zostało. Wsunęła się za fragment zwalonego dachu i gestem dała znać Hwlanowi, żeby ruszył. Vrill był tuż za nim. Poszła za nimi. Za nią Mkhef. Nessa pilnowała tyłów z uniesioną lunetą. Wewnątrz młyna było jak w jaskini. Woda kapła przez zniszczony dach i dziurę w podłodze pomiędzy piętami. Podłoże usiane było popękany betonem i połamanymi belkami. Criid szła prawie na oślep poprzez zwały gruzu. Przeszła przez walającą się na ziemi belkę stropową, przerzucając nóż do lewej dłoni i podpierając się prawą. Na zachód od niej, Hwlan czołgał się pod belkami i przeszedł przez wyrwaną wybuchem dziurę w jednej z wewnętrznych ścian. Odczekała, aż usłyszała dwa stuknięcia w komunikatorze. Był to standardowy niewerbalny sygnał w Pierwszym, nadawany przez delikatne przełączanie mikrofonu komunikatora.

Dwa uderzenia... czysto.

Ruszyła naprzód na brzuchu, starając się zmieścić w wąskim przesmyku pomiędzy dwoma kawałkami betonu, ale jej peleryna wciąż się zaczepiała o wystające fragmenty zbrojenia. Musiała się wycofać i pójść na około.

Pojedynczy sygnał. Niebezpieczeństwo. Zamarła.

Dwa uderzenia. Zaczęła się dalej czołgać na łokciach i kolanach przez nieruchomą kałużę, a potem powoli pod górę na usypisko gruzu wynurzając się z wody, starając się nie poruszyć żadnego luźnego fragmentu.

Hwlan czekał na nią na szczycie, pod resztkami dawnych drzwi. W cieniu, w pobliżu jej nóg leżał jakiś trudny do określenia ciemny kształt. Zdała sobie sprawę, że to zwłoki strażnika Shadik.

Poczekali aż dołączyli do nich Vrill i Mkhef. Niepostrzeżenie weszli przez otwór po drzwiach do zrujnowanego młyna. Tu też było bardzo ciemno, ale w dole, w dalszym końcu budynku, błyskało światło, jak cienie rzucane przez płonący ogień.

Zauważyli ruch. Większe cienie poruszające się na tle mizernego ogniska.

W dalszej części młyna znajdował się wysunięty posterunek obserwacyjny Shadik.

Trzech, może czterech ludzi w kapturach i długich szarych płaszczach poruszało się na końcu pomieszczenia. W puszcze po oleju mieli ogień na rozgrzanie, niewidoczny

z zewnątrz. Hwlan złapał Criid za ramię i skierował jej uwagę w górę. Poprzez brakujące deski podłogowe zobaczyli kolejnego Shadika, na resztkach pierwszego piętra, pochylonego nad lornetą na trójnogu i wpatrującego się w pustkowie na zachodzie.

Nigdy w życiu nie podejda go niezauważeni.

Criid dała znać pozostałym, żeby podeszli bliżej i byli gotowi do zdjęcia przy pomocy noży Shadików na parterze. Sama zdjęła karabin z ramienia i starannie wycelowała w ciemną sylwetkę na górze. Będzie musiała zaryzykować jeden strzał. Musi być jednak celny.

Czekała na sygnał Hwlana. Miała dobrą linię strzału. Jeden strzał warto było zaryzykować.

O pół kilometra na południe, pluton sierżanta Raglona dotarł do zalanych wodą resztek okopów. Nie dało się stwierdzić, która strona go zbudowała i zupełnie nie wiadomo, dlaczego wykopano go w osi wschód - zachód. Dawno temu ten kierunek miał jakieś taktyczne znaczenie.

Raglon mocno się pocił, zdenerwowany dużo bardziej niż chciałby się przyznać. Miał za sobą mnóstwo akcji i tymczasowe dowodzenie oddziału na Phantine, ale to było jego pierwsze formalne dowództwo w operacji bojowej.

Raglon był poważnym, myślącym mężczyzną, zdeterminowanym podobnie jak Criid i Arcuda, inni świeżo upieczeni sierżanci, żeby udowodnić Gauntowi i Harkowi, że dokonali dobrego wyboru. Zazdrościł Criid, że miała już okazję wypróbować swój pluton w walce na linii frontu. Jednocześnie zazdrościł Arcudzie, który wciąż czekał w rezerwie w okopach. Gaunt nie ukrywał przed nimi niebezpieczeństwa tych wypadków na ziemię niczyją. A Raglon dowiedział się od żołnierzy Przymierza, że kocioł Seiberq miał szczególnie złą reputację jako jeden z terenów, gdzie toczyły się najbardziej zażarte walki na Linii Peinforq.

Dał sygnał swoim ludziom, żeby weszli do opuszczonego okopu. W najgorszym razie dawał chociaż szansę niezauważonego posuwania się na wschód.

W okopie było pełno trupów. Starych trupów. Nierozpoznawalnych resztek ludzi poległych lata temu, a których ciał nigdy nie odzyskano. Brązowe kości sterczały z błota jak połamane gałęzie.

Siedemnasty posuwał się pojedynczym szeregiem, z pochylonymi głowami, czasami zmuszeni byli się czołgać, tam gdzie okop się zapadał i wypełnił ziemią.

Raglon rozkazał Lukasowi, radiooperatorowi, przestawić radio na same słuchawki tak, żeby odbiornik nie odezwał się nagle, ujawniając ich położenie. Było to mądre posunięcie, coś, co inny świeżo upieczony dowódca mógł przegapić. Raglon pochodził jednak z korpusu sygnalistów i wiedział takie rzeczy. Natomiast Raglonowi brakowało doświadczenia w ocenie charakterów. Odkąd objął dowodzenie siedemnastym, jego podstawowym priorytetem było zdobycie autorytetu. Siedemnasty był plutonem Lhurna Adare i Raglon aż za dobrze zdawał sobie sprawę z faktu, że nie posiada nic z charyzmy opłakiwanego sierżanta. Nigdy nie był tak popularny jak Adare.

Zdecydował więc, że najlepszym sposobem dowodzenia siedemnastym będzie pozwolenie im na funkcjonowanie w taki sposób, jak to było za Adare. Nie chciał

robić zamieszania z nawykami i ustalonymi sposobami. Jeśli siedemnasty wykształcił praktyki bojowe, z którymi było im wygodnie, na przykład, jak się łączy w pary w drużynach bojowych, nie widział sensu zmieniania tego. Myślał, że arbitralne zmiany naraziłyby go na opór ze strony plutonu i miał w tym rację, do pewnego stopnia. Niektóre z nawyków pochodziły jednak z niedbałości.

Kiedy dotarli do starego okopu, żołnierze automatycznie ustawili się w szereg, tak jak uważali za stosowne, a Raglon nie zgłosił sprzeciwu. I stało się tak, że szli teraz z Suthem, zwiadowcą, na czele i Costinem zaraz za nim. Raglon wmieszał się w szereg o jakieś cztery miejsca dalej.

Był to jego pierwszy błąd.

Suth był dobrym zwiadowcą. Jego kumpel Costin był pijakiem.

Adare wiedział, że Costin za dużo pije. Próbował go hamować. Costin był w porządku gościem, pomimo rozrywkowego charakteru i przyzwoitym żołnierzem, jeśli trzymał się z daleka od sakry. W sytuacjach taki jak ta, Costin bez wątpienia chciał być w pobliżu swojego przyjaciela Sutha. Adare powstrzymałby go, posłał dalej do szeregu, na wszelki wypadek.

Kiedy Costin przesunął się gorliwie w pobliże Sutha, Raglonowi nie przyszło do głowy, żeby zaprotestować. Wszyscy wiedzieli, że Costin lubi wypić. Raglon nie zdawał sprawy, jak dużo Costin pił od śmierci Adare.

Opuszczony okop został zbudowany przez Przymierze w czasie wczesnej fazy walk, zanim została skonstruowana pełna Linia Peinforq. Shadik, do których lini było teraz najbliżej, nigdy go nie zasypali, bo zapewniał im doskonałą, niewidoczną drogę dla ich oddziałów szturmowych i drużyn dywersyjnych tnących druty. Przedłużyli nawet wschodni koniec aż do skraju własnego systemu okopów.

Podczas gdy pluton Raglona szedł okopem, oddział szturmowy zbliżał się z drugiej strony.

Suth zatrzymał się i dał znać za siebie, żeby pluton stanął.

Usłyszał coś i chciał to sprawdzić.

- Idę z tobą - syknął Costin.

Suth potrząsnął głową. W oddechu Costina czuł alkohol.

„Zostań” - powiedział bezgłośnie. Costin robił za dużo cholernego hałasu.

- No to nie! - powiedział Costin i usiadł, spoglądając do tyłu na Azaydę, kolejnego żołnierza w szeregu, ze wzruszeniem ramion mówiącym: „co ja mogę?”

Rozzłoszczony Suth chwycił Costina za szczękę i uderzył go mocno otwartą dłonią w policzek. „Zamknij się!” - poruszył ustami bez głosu, przynaglając.

Spoglądając groźnie, Costin oparł się o ścianę.

Zwiadowca odwrócił się i ostrożnie ruszył do przodu wzdłuż wodnistej brei na dnie okopu. Kawałek dalej wdrapał się przez krawędź i zaczął czołgać.

Costin patrzył przez chwilę za Suthem z urażoną dumą. Obtarł dłonią usta i wypluł błoto. Miało obrzydliwy smak.

Wychylił się, żeby zobaczyć, jak daleko Suth zaszedł, ale zwiadowca zniknął z widoku.

Costin pociągnął nosem i wyciągnął butelkę z kieszeni munduru. Łyknął, ale naczynie było prawie puste i poczuł tylko opary. Przechylił je więc. Przechylił do góry nogami, żeby wydobyć ostatnie krople.

Szklana butelka błysnęła, kiedy padło na nią światło.

Costin krzyknął z bólu, kiedy pocisk z karabinu rozerwał mu dłoń i trzymaną w niej butelkę. Sekundę później kolejny strzał rozerwał mu mundur na ramieniu.

Costin opadł z jękiem na dno okopu.

Azayda skoczył do przodu, starając się uciszyć Costina, ale trzecia kula rozerwała głowę Verghastanina niczym dojrzały arbuz.

Kawałek dalej w szeregu, Raglon usłyszał krzyki i strzały.

Zaklął głośno. Starał się przedostać na czoło, ale jego żołnierze byli spychani przez gwałtowny ostrzał snajpera i szybkie salwy z broni półautomatycznej. Zemel padł, zabity na miejscu. Tyne dostał w kolano i ramię. Lukas szarpnął się do tyłu z krzykiem, kiedy strzał rozwalił mu radio.

Suth leżał na ziemi, sam, w otwartym terenie. Widział błyski strzałów przecinających okop w kierunku jego plutonu.

Widział biegnące sylwetki obcych szturmowców. Czuł to co najgorszego może czuć zwiadowca z Tanith, że poprowadził swoich towarzyszy w niebezpieczeństwo.

Nie zawahał się. Podniósł się i ruszył biegiem wzdłuż okopu, strzelając z karabinu laserowego, szarżując na szturmowców z flanki.

Zabił kilku, zanim ściał go zmasowany ogień przeciwnika.

Na północy pluton Sorica zamarł i padł na ziemię, kiedy do uszu żołnierzy dobiegły dźwięki strzelaniny. Agun Soric usłyszał wystrzały z broni palnej i karabinów laserowych.

- Gothlera! - powiedział - ktoś nawiązał walkę.

I chociaż nie chciał się przed sobą przyznać, wiedział na pewno, kto to był.

Raglon.

Nagła strzelanina o niecałe pół kilometra na południe przestraszyła Criid i na moment opuściła broń. Akurat miała oddać gothlerny strzał.

Zobaczyła, jak obserwator na piętrze młyna podniósł się w pośpiechu i ruszył na drugą stronę budynku, z wprawą pokonując przerwy w podłodze. Słyszała głosy załogi posterunku obserwacyjnego w drugim pomieszczeniu.

Czekać czy już zaczynać, pytała się samej siebie w myślach.

Wycelowała znowu.

- Do roboty - powiedziała do komuniatora i strzeliła.

Strzał przebił od dołu deskę podłogi i oderwał prawą łydkę obserwatora. Trafiony przeciwnik krzyknął i wpadł z hukiem przez spleśniałe deski, objając się po drodze o sterczący fragment belki stropowej.

Vril, Mkhaf i Hwaln wtargnęli do środka i bezlitosnymi strzałami zabili pozostałych. Criid dołączyła do nich biegiem, nakazując reszcie oddziału utrzymanie pozycji. Od południa nadlatywały odgłosy poważnej potyczki. Will i Hwlan zapewniali osłonę, a Criid i Mkhaf przeszukiwali teren posterunku. Naczynia kuchenne, pudełka z amunicją do działka 45 ustawionego w rozbitym oknie, puszki z mielonką, telefon połowy. Dziwna, obrzydliwa statuetka z pomalowanej gliny, którą Criid rozbiła o ścianę kiedy tylko ją zobaczyła.

- Sprawdź dookoła! - rzuciła.

- Tutaj! - zawołał Mkhef.

Na końcu pomieszczenia arkusze blachy falistej osłaniały wejście do tunelu. Zajrzeli do środka. Był ciemny, ale dobrze wyłożony drewnianymi płytami.

Wyglądało na to, że biegł prosto do linii Shadik.

- Co robimy? - spytał Vril.

Criid zignorowała go. Wpatrywała się w telefon połowy.

Światelko na obudowie błyskało.

Feth.

- Nie możemy tu zostać. Jeśli nie dostaną odpowiedzi, to albo zamkną tunel albo zjawią się tu w pełnym składzie.

Z daleka, zza ziemi niczyjej usłyszeli działa i moździerze Shadik budzące się do życia.

Spojrzała jeszcze raz na wejście do tunelu. Tak, to szansa na dotarcie do linii wroga, ale nie dzisiaj.

- Odwrót! - rozkazała, przez komunikator ustawiony na częstotliwość plutonu. Jako ostatnia opuściła młyn. Zatrzymała się w wyjściu i wrzuciła ładunek wybuchowy do ujścia tunelu, zamykając go w wybuchu błota i ziemi. Jeśli nie mogą z niego skorzystać, to Shadik też nie będą mieli takiej szansy.

Brzask nadszedł wcześniej nad Linie Peinforę, brudny i zamglony.

Zaczęło znów padać, a od północy grzmiał wczesny ostrzał. Gaunt czekał w ziemiance, bawiąc się prawie pustym kubkiem kawy. Zasłona przeciwgazowa odsunęła się i do środka wszedł Daur.

- Co słyhać? - spytał go Gaunt szorstko.

- Piąty, dziesiąty i jedenasty wróciły. Dziesiąty przed kilkoma minutami.

- Straty?

Daur pokręcił głową.

- Nie nawiązali kontaktu, cofnęli się, kiedy zaczęło się robić gorąco.

- Cokolwiek użytecznego?

- Criid dobrze się spisała. Jej banda zbadała jakiś stary młyn, którego nie ma na mapie. Posterunek obserwacyjny. Zdjęli załogę. Jest tam tunel prowadzący do linii wroga. Criid go zamknęła.

- Jak?

- Ładunkiem wybuchowym. Jest niezadowolona. Sądzę, że poszłyby z plutonem zobaczyć, co jest po drugiej stronie, gdyby nie zaczęła się rozróżba.

- Postąpiła słusznie.

Daur skinął głową.

- Siedemnasty?

- Na razie nic. Żadnego znaku. Zero kontaktu radiowego. Soric i Criid potwierdzili, że zamieszanie było w rejonie Raglona.

Gaunt ostrożnie postawił porcelanowy kubek na stole, ponieważ wiedział, że za chwilę nim rzuci. Posłał cztery plutony ostatniej nocy, żeby zacząć grać w nową grę Przymierza i tylko trzy wróciły. Raglon. Przez kilka lat był oficerem radiowym Gaunta. Był taki dumny z pagonów sierżanta i dowództwa.

- Co robimy, sir? - spytał Daur.

- Postępujemy według zasad - odparł Gaunt. - Wszyscy schodzą ze służby. Następnej nocy cztery kolejne plutony, cztery nowe rejony. Haller, Bray, Domor, Arcuda.

Powiedz im, że...

- Że co, sir?

- Następnej nocy, idę z nimi.

Daur zawahał się.

- Jako pański zastępca sugeruję, żeby pan nie szedł.

- Przyjąłem do wiadomości.

- Tylko dla zasady, rozumie pan, sir.

- Rozumiem. I dziękuję za wypełnienie obowiązku, Ban.

- Ja też chciałbym pójść, sir.

Gaunt zmusił się do lekkiego uśmiechu.

- Dobrze wiesz, że nie mogę na to pozwolić. Nie możemy iść we dwójkę.

- To niech mi pan pozwoli iść za siebie.

- Nie tym razem, Ban. Udało mi się wywalczyć przyzwoitą operację dla połowy Duchów. I do cholery, zamierzam być z tymi, którzy mieli mniej szczęścia. Być może dostaniesz kolejną noc. Umowa stoi?

- Stoi, sir.

Po kilku minutach od wyjścia Daura zasłona przeciwgazowa znów została odsunięta. Tym razem był to Zweil.

- Słyszałem, że brakuje paru ludzi - powiedział stary kleryk z Hagii, siadając bez zaproszenia.

- Pluton Raglona.

- Chcę pójść dziś w nocy. Jeśli jest szansa, że ich znajdziemy, to chcę tam być.

- Nawet nie będziemy rozważać powrotu do tej samej strefy, ojcze. Nie ma sensu.

Zweil zmarszczył się.

- Nie pójdziemy nawet ich szukać?

- Jesteśmy zobowiązani do próbowania w innych strefach, ojcze. Nie tam, gdzie Shadik się nas spodziewają. Standardowa praktyka.

- Czyja?

- Moja.

- Hmmm - powiedział Zweil. Siedział patrząc na Gaunta. - Ciężkie masz zadanie.

- To zawsze jest ciężkie zadanie.

- Tak, ale wysyłanie kolejnych plutonów w te... pustkowia... mając nadzieję, że znajdziesz szczelinę w ich linii. Po co to robimy?

- Wiecie to bardzo dobrze, Zweil. Nie udawajcie, że Daur wam nie powiedział.

Zweil uśmiechnął się. Gaunt zawsze lubił ten uśmiech, od momentu pierwszego ich spotkania ze starym kapłanem na Hagii. Była w nim pewność siebie, mądrość.

- Bardzo dobrze, Ibram. Możesz udawać, że jestem Daurem. Podziel się ze mną swoimi planami.

- Nie sądzę. Nie masz takich uprawnień, ojcze.

- Mógłbym mieć uprawnienia, gdybyś mi pozwolił.

- Nie, Zweil.

Stary kapłan wyciągnął rękę z otwartą dłonią.

- Zagram z tobą o to. Łapki.

- Och, na miłość boską...

- O ile nie boisz się, że stary kapłan cię pokona.

Gaunt odwrócił się energicznie i wystawił swoje dwie złożone dłonie w stronę Zweila.

- Nigdy nie podpuszczaj oficera Gwardii – powiedział. Zweil skinął głową. Gestem szybkim jak błyskawica uderzył dłonie Gaunta ciosem z prawej strony.

- Auu! -krzyknął Gaunt. - Nie wiedziałem, że już zaczęliśmy.

- Teraz już wiesz. Do dwóch wygranych?

Gaunt odczekał moment i zamachnął się, mijając cofniętą przez Zweila dłoń.

W odpowiedzi Zweil zrobił najpierw udawany cios na odlew i następnie uderzył Gaunta po raz drugi z prawej.

- Do trzech? - zapytał Zweil z uśmiechem.

- Nie. Wystarczy.

- To dostanę ten dostęp?

- Nie.

Zweil westchnął i oparł się wygodnie.

- Trafiłem cię dwa razy.

- Tak, tak...

- Dwa razy z tej samej strony.

- Co?

- Z tej samej strony.

- I coś z tego wynika?

Zweil pokiwał głową.

- Trafiłem cię, bo nie spodziewałeś się, że dwa razy spróbuję tak samo. A jeśli Shadik myślał tak samo? - Bardzo sprytnie.

- A teraz wynoś się.

Zweil wstał.

- Obiecuj mi coś. Myślę, że przynajmniej to możesz zrobić po tym, w jaki sposób z tobą wygrałem.

- Mów.

- Jeśli zdecydujesz pójść w te same strefy dziś w nocy, weź mnie ze sobą.

Gaunt zawahał się.

- Tak, ojczu.

- Niech cię Imperator błogosławi - powiedział Zweil.

Gaunt wezwał Criid do swojej ziemianki. Chciał się więcej dowiedzieć o znalezionym przez nią młynie. Kiedy jednak rozległo się pukanie, nie była to Criid tylko hrabia Golke. Miał na sobie mundur połowy.

- Wybiera się pan gdzieś? - spytał Gaunt.

- Kiedy pójdzie pan dziś w nocy, będę z panem.

- Dlaczego miałby pan to zrobić, sir? Jest pan oficerem łącznikowym. Działania frontowe są już za panem.

- Znam Kocioł, Gaunt. Służyłem tu. To ja pana w to wpakowałem, choć nie było to moją intencją. Myślę, że mogę pomóc.

- Doprawdy?

Golke skinął głową.

- No więc... co z tym młynem?

- Zgaduję, że to stary młyn wodny Santrebar. Nie wiedziałem, że cokolwiek jeszcze z niego zostało.

- Cóż - powiedział Gaunt. - Nadał mu pan nazwę. Nie sądzę jednak...

- Byłem żołnierzem, Gaunt, zanim jeszcze byłem kimkolwiek. Zanim zostałem wciągnięty w polityczne nonsensy kierujące tą wojną. Wydaje mi się, że przestałem już być użyteczny jako oficer sztabowy. Niech mi pan pozwoli znów być żołnierzem. Rozległo się pukanie.

Weszła Criid.

- Melduję się na rozkaz, sir - powiedziała.

- Siadajcie sierżancie, i opowiedzcie mi o tym młynie...

DWOREK

Nawiedzony? No cóż, z pewnością są tam duchy.

Szeregowy Brostin

Burza, która zaczęła się poprzedniego wieczora nie wykazywała żadnych oznak końca. Deszcz bębnił o dach dworku i bił w okna przez całą noc. Po północy huk grzmotów i jasne błyskawice sprawiły, że wyglądało to, jakby wciąż byli na linii frontu, pod ostrzałem artyleryjskim.

Do świtu, elektryczne wyładowania skończyły się, ale deszcz tylko się wzmógł. Wyglądało to tak, jakby olbrzymie, czarne chmury burzowe były za ciężkie, żeby pokonać szczyty Masywu i zaczęły się tutaj, zalewając las niczym sterowce zrzucające balast.

Przez zaparowane okna werandy dworku, Caffran widział ponury frontowy ogród. Wcześniej tylko zarośnięty, teraz usiany był zerwanymi liśćmi i połamanymi gałęziami naniesionymi przez całą noc. Wirujące strumyki deszczówki spływały z położonego wyżej tylnego ogrodu, obramowanym żywopłotem i rowem po wschodniej stronie dworku, w kierunku głównej bramy. Dolna część trawnika znajdowała się właściwie pod wodą.

Poszedł z powrotem przez hall, do kuchni. Wciąż było wcześnie. Z pokoju dziennego dochodziło głośnie chrapanie.

Nie ma sensu przeszkadzać tym śpiochom, zdecydował. Rozmaite garnki i naczynia z kuchni stały na podłodze w hallu i na schodach, łapiąc kapiącą z góry wodę. Caffran przesunął jeden z garnków stopą tak, żeby znalazł się dokładnie pod szczególnie mocnym strumieniem.

Mkvenner, Jajjo i Muril byli w kuchni. Ven siedział przy stole, studiował mapę i żuł baton typu C z racji polowych.

Muril zajmowała ławkę pod oknem, popijając kawę z kubka.

Jajjo przywitał Caffrana i zaproponował mu kubek z czajnika na kuchni. Dojadał jakieś resztki z wczorajszego posiłku.

Muril i Larkin dołączyli do nich około godziny po tym jak znaleźli dworek.

Przemoczeni, nieśli żerdź, z której zwisał dorodny jelen. Dziewiętnasty pluton dobrze się najadł tego wieczora. Niektórzy z nich również zdrowo wypili.

- Jaki jest plan? - spytał Caffran, siadając obok Mkvennera.

- Mnie nie pytaj - odparł Mkvenner krótko, nie podnosząc wzroku znad mapy.

Caffran uniósł dłonie w geście poddania.

- Tylko pytam - powiedział.

Mkvenner westchnął i wyprostował się.

- Przepraszam, Caff. Nie chciałem aby to tak zabrzmiało. - Złożył mapę, wstał i otulił się peleryną maskującą. - Będę na zewnątrz, sprawdzę perimetr.

Wyszedł w ulewny deszcz i zamknął za sobą drzwi. Stary skobel zaskoczył z trzaskiem.

- Feth! - powiedział Caffran. - Co go ugryzło?

- Dla mnie zachowuje się zupełnie normalnie – mruknęła Muril. Ton miała równie

posepny jak poranek.

- No co ty, nawet jak na Vena to było ponure – powiedział Caffran.

- Myślę, że mu się gothlernie nie podoba zachowanie Feygora - odezwał się Jajjo.

- Chciał ruszyć wcześniej rano, pójść do lasu, a oni wciąż odsypiają. I do tego... nikt nie stał na warcie w nocy.

- Ja stałem - powiedział Caffran.

Jajjo skinął głową.

- No, wszyscy troje staliśmy. Ale Brostin i Cuu mieli wziąć wartę przed świtem, tylko że im się nie chciało. Byli zbyt pijani.

- Feth... - stwierdził Caffran. Poczul niepokój. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz spędził noc na akcji bez warty. Każdy mógł ich podejść w nocy. Cała fethowa Republika Shadik mogła się podkraść w ciemnościach.

- Idę obudzić Feygora - ogłosił Caffran.

- Czy to na prawdę dobry pomysł? - spytała Muril.

- Nie, może nie - stwierdził po namyśle Caffran i usiadł z powrotem. - Po tym, jakie ilości wczoraj wypili, dzisiaj nie będzie bardzo fajnie.

- On sam, Brostin, Gutes i Cuu - powiedział Jajjo z wyraźną dezaprobatą w głosie.

- Jakby byli po służbie.

Caffran uśmiechnął się. Lubił Jajjo, ale potrafił być czasem sztywniakiem. Choć tylko Feygor i jego kumple od kieliszka upili się poprzedniej nocy, wszyscy uraczyli się kieliszkiem lub dwoma, nawet Ven. Tylko Jajjo nie. Właściwie to Caffran nigdy nie widział, żeby Jajjo pił.

- Możesz im trochę odpuścić - powiedział Caffran do Verghastanina. - Wiem, że jesteśmy na patrolu, ale to nic w porównaniu do linii frontu. Mając okazję, trochę się wyszaleją.

Jajjo pociągnął nosem.

- Nieważne.

Usłyszeli głosy z hallu i do kuchni weszli Larkin i Rerval. Żaden z nich nie upił się na umór poprzedniej nocy, choć Rerval miał trochę w czubie. Larkin zwinął się wcześniej.

- Może to pogoda - mówił Larkin.

- Coś nie gra - odparł Rerval. - Nie odbieram żadnego sygnału.

- W czym problem? - spytał Caffran.

- Radio nie działa - odparł Larkin, nalewając sobie kawy.

- Radio działa - nie zgodził się Rerval. - Coś nie gra z odbiornikiem.

- Jesteś pewny? - zapytała Muril. - Może to pogoda.

- Nie zaczynaj - odparł Rerval kręcąc głową. - Będę musiał go rozebrać. Jak tylko dostanę coś ciepłego do picia.

- W głowie szumi? - spytał Jajjo bez cienia sympatii.

- Nie - odparł Rerval. Zamierzona przygana tylko go rozgniewała.

- Źle spałem. Ciągle się budziłem. Pełno tu dziwnych odgłosów.

- No, wiem o czym mówisz - potwierdził Caffran. - A ty, Larkin, jak spałeś?

- Jak dziecko - odparł Larkin cicho. Caffran zastanawiał się, gdzie snajper spędził noc. Pijacy spali w pokoju dziennym, przy kominku. Reszta zajęła sypialnie na piętrze: Jajjo i Mkvenner jedną, Rerval, Muril i Caffran drugą.

- Ja się biorę za coś użytecznego - oznajmił Jajjo. - Może posprzątam.
- Żartujesz! - odezwała się Muril.
- Wczoraj wieczorem zostawiliśmy bałagan w jadalni. To przecież czyjś dom.
- Kogoś, kto go opuścił przed wielu laty - powiedział Rerval.
- Ta cała sekcja była ewakuowana. Corbec tak mówił.
- A ja myślę, że tak będzie uprzejmie. Nie jesteśmy rabusiami. No, przynajmniej ja nie jestem. Może kiedyś ktoś tu wróci. Wszyscy się w niego wpatrywali.
- Och, no dobra. Jeśli mamy tu zostać kolejny dzień, będziemy potrzebowali czystych talerzy i kubków.

Caffran westchnął.

- Pomogę ci - powiedział.

Wyszli we dwójkę z kuchni i ruszyli przez hall w stronę jadalni. Korytarz był ciemny, więc wyraźnie zobaczyli daleki rozbłysk na krótko rozświetlający okna. Krótkie opóźnienie i głucho zagrał grzmot.

- Feth - odezwał się Caffran. - Czy to kiedykolwiek przejdzie?

Jajjo zatrzymał się w drzwiach do jadalni. Wpatrywał się w coś.

- Co jest? - zapytał Caffran.

- Ten płaszcz przeciwdeszczowy. Zeszłej nocy, kiedy tu przyszliśmy, był na wieszaku.

- No, i ciągle tam jest.

- Zgadza się. Tyle, że jest mokry.

Na kafelkach pod drewnianym stojakiem zebrała się niewielka kałuża wody.

Caffran rozejrzył się dookoła i zobaczył wyraz twarzy Jajjo.

- Nie zaczynaj. Ktoś go włożył zeszłej nocy i tyle.

- Kto?

Caffran wzruszył ramionami.

- Nie wiem! Może ktoś, kto był bardzo pijany? Jest paru kandydatów.

Jajjo uśmiechnął się uspokojony. Weszli do jadalni i stanęli w miejscu.

Stół był sprzątnięty i wytarty. Krzesła stały na swoich miejscach.

Cała zastawa zniknęła.

- Co do Fetha...? - zaczął Caffran.

- Myślałem, że to my jesteśmy duchami - wymruczał Jajjo.

- Powiedziałem ci, nie zaczynaj - warknął Caffran. Wypowiedź przerwały mu nagłe krzyki z pokoju dziennego. Oraz wystrzały z karabinu laserowego.

-A niech was Feth! A niech was Feth! -ryczał Feygor. Rozebrany do szortów, siedział w swoim posłaniu z karabinem w ręku. Caffran i Jajjo wpadli do środka z nożami w dłoniach.

Sekundę później Rerval, Larkin i Muril przybiegli z kuchni.

Wypchany *behj* leżał na plecach przed Feygorem z odstrzeloną głową. Trociny opadały powoli w powietrzu. Na sąsiednich posłaniach w sąsiednich pomieszczenia Brostin, Gutes i Cuu budzili się, mrugając oczami.

- Co się do Fetha dzieje? - spytał Caffran.

- Ci fethowi łajdacy! - zaskrzeczał Feygor. - Obudziłem się, a to fethowe zwierze

stało nade mną! Ha, ha, bardzo fethowo śmieszne, wy sukinsyny! Kto go tu postawił?

- Tym razem na pewno go zabiłeś - stwierdził Cuu i opadł z powrotem na swoją matę.

- Kto go tu postawił? - dopytywał się Feygor.
- Gutes pokręcił głową.
- Sukinsyny! - zawołał Feygor i kopnął wypchaną bestię.
- Czy ktoś go tu postawił? - zapytał Caffran. Odpowiedział mu chór zaprzeczeń.
- Spojrzał na Jajja, zanim ciemnoskóry żołnierz zdążył się odezwać.
- Nawet o tym nie myśl - ostrzegł.
- Myślę, że ten dom jest nawiedzony - powiedział jednak Jajjo.
- Odwal się!
- Zglupiałeś!
- Mówiem, żebyś nie próbował - upomniał go Caffran.
- A kto niby pozmywał, co? - spytał Jajjo.

Nastąpiła cisza.

- Ja - odezwał się Gutes. Rerval i Caffran warknęli.
- Odwalcie się! Mam taki nawyk. - Gutes wstał i wyszedł z pokoju.
- Pomywacz Gutes - uśmiechnął się Larkin.
- Słyszałem - doleciał ich głos Gutesa z hallu.
- A wypchane zwierze? - syknął Caffran. - Brostin? To musiał być ktoś silny, żeby go przesunąć.

Brostin przekreślił się na posłaniu i założył ręce za głowę.

W tej pozycji jeszcze bardziej było widać, jak dobrze jest umięśniony. Spojrzał na Caffrana.

- Oskarżasz mnie, Caff?
- Wygląda to na twój styl.
- No, tak... to ja. Śmieszne jak Feth, nie? - zamknął oczy i przewrócił się na bok.
- Sukinsyn! - burknął Feygor i rzucił w niego butem.

Caffran odwrócił się i gestem wyprosił Larkina, Rerval, Muril i Jajjo na zewnątrz.

- Zostawcie to im - powiedział.

Gutes był w kuchni, gdzie pił resztkę zaparzonej kawy.

- Dzięki, żeście poukładali naczynia na miejsce - powiedział.
- Co? - zapytał Caffran.
- Talerze i cała reszta. Zmyłem wszystko, ale nie wiedziałem, gdzie co idzie, więc zostawiłem wszystko przy zlewie.

Spojrzał po nich.

- Co? Co jest?

Do południa wszyscy wstali. Brostin, Feygor i Cuu wciąż byli w bieliźnie, ponurzy i skacowani. Reszta dziewiętnastego była spakowana i zabijała czas.

Muril znalazł gdzieś zestaw do „Królobójstwa” i grała z Larkinem.

Rerval wszedł do kuchni.

- Kto z was to wziął? - spytał.
- Co wziął? - odpowiedział pytaniem Feygor.
- Odbiornik nie działa, bo ktoś wyjął główny obwód nadawczy. Nic mam zapasowego. Kto go ma?

Wszyscy zgodnie wzruszali ramionami i kręcili głowami.

- No już...

- My się na tym nie znamy, Rerval. Nie kombinujemy z fethową technologią

- powiedział Brostin. - Czy ja wyglądam na *Adepta Mechanicus*?

- Ktoś to zrobił. Bardzo fachowo. Pan Feygor?

- Dlaczego patrzycie na mnie, żołnierzu?

- Może myślałeś, że będziemy musieli tu zostać jeszcze jedną noc, może dwie i cieszyć się wygodami, jeśli niespodziewanie stracimy kontakt.

Feygor odstawił kubek.

-Wiesz co Rerval? Żałuję, że o tym nie pomyślałem. Naprawdę. To niezła myśl, sprytna. Odpowiadałoby mi to. Tyle, że planowałem tu zostać tak czy inaczej, czy mamy łączność, czy nie. Nie tykałem twojego fethowego, ukochanego odbiornika. Pochylił się do przodu, patrząc Rervalowi prosto w oczy.

Nigdy więcej mnie nie oskarżaj o jakieś gówno, ty sukinsynu.

Rerval zamrugnął i gwałtownie odwrócił wzrok.

- Przepraszam - powiedział.

- Przepraszam, co? - warknął Feygor. Wszyscy patrzyli z kamiennymi twarzami. Caffranowi nie podobało się to, co widział. Feygor był brutalem, a jego wredna natura miała rozmiary masywu Kottmark.

- Przepraszam, Mister Feygor.

- Lepiej - odparł Feygor i usiadł wygodnie.

- Pewne, pewniutkie - wymruczał Cuu z drugiego końca pokoju.

Feygor ziewnął.

- Czy ktoś ma coś do powiedzenia o tym obwodzie? Skoro już o tym mówimy? Tak jak mówiłem, mi to pasuje, że radio nie działa, ale chciałbym wiedzieć, kto dokonał sabotażu. Ktoś się przyzna?

Nikt się nie odezwał.

- Dobra - powiedział Feygor ze złośliwym uśmiechem. - Może nasz sabotażysta zechciałby włożyć obwód z powrotem do radia tego jęczącego sukinsyna... powiedzmy za trzy dni? Tak będzie w porządku i nie wspomnę o niczym Corbecowi. Zrozumiane?

Żołnierze wierzili się niespokojnie. Grzmoty wciąż grały nad lasem, a deszcz nie przestawał lać. Feygor spojrzał na Brostina.

- Weź no, przynieś trochę wina - powiedział.

Brostin wstał i poczłapał na zewnątrz.

- Nie ruszamy się dzisiaj? - spytał Caffran.

- Czy ja wyglądam, jakbym się gdzieś ruszał, Caff? No powiedz?

- Nie, mister Feygor.

- To pewnie się nigdzie nie ruszam.

- Powinniśmy - zaczął Jajjo.

- Ani słowa, Verghast. Jasne? - Feygor przechylił krzesło tak, że stało na tylnych nogach.

- Słuchajcie - odezwał się nieco łagodniej. - Widzieliście pogodę? Nie przejaśnia się. Zrobimy tak: zostajemy tu, aż nie przejdzie. Trzeba by było być szalonym, żeby teraz ruszać. Bez urazy, Larks.

- Nie ma sprawy - odparł Larkin.

- Czy ktoś jeszcze ma z tym problem? Czy ktoś ma problem z tym, że to ja tu

dowodzę? Bo o ile pamiętam, właśnie tak to ustawił pułkownik Corbec.

Tylne drzwi otworzyły się i wszedł Mkvenner, z ociekającą wodą peleryną. Popatrzył na milczące, zebrane postaci.

- Rozumiem, że nie idziemy dalej? - odezwał się ponuro.

- Jakież ślady wroga? - spytał go Feygor.

Mkvenner pokręcił głową.

- Żadnych. Perymetr bezpieczny. Teren spokojny. Ktoś albo coś było w jednym z budynków gospodarczych. Jakby ktoś tam spał.

- W ostatnim czasie? - spytał Feygor.

- Nie da się powiedzieć - odparł Mkvenner.

- W takim razie nie będziemy się tym przejmować.

- Jak sobie życzysz - stwierdził Mkvenner.

- O właśnie, tak sobie życzę - zgodził się Feygor.

Mkvenner zamilkł na chwilę.

- Według założeń misji mieliśmy zbadać tę dolinę - odezwał się.

- I tak zrobimy - powiedział Feygor.

- Kiedy?

- Kiedy będę gotowy - odparł Feygor patrząc na Mkvennera. - Powinieneś się wyluzować, Ven.

- Jest wiele rzeczy, które powinienem zrobić, mister Feygor. Ale ich nie zrobię.

Feth, pomyślał Caffran. *Może się zrobić naprawdę nieprzyjemnie.*

- Coś ci powiem, Ven - powiedział Feygor. - Jeśli tak bardzo chcesz robić zwiad w dolinie, to proszę bardzo. Bez nas pójdiesz szybciej. Idź, zbadaj teren i wracaj. Do tego czasu może się przejaśnić.

- Czy to rozkaz?

- Jasne, czemu nie? Wyjdiesz na głęboki zwiad, sprawdzisz, jak się sprawy mają i wrócisz tutaj. Kiedy burza minie, ruszymy się wszyscy i dokończymy zwiad razem z tobą. Traktuj nas jak bazę. Kwaterę główną. My się będziemy tu trzymać.

Mkvenner miał lodowaty wzrok.

- Nie powinniśmy tego sprawdzić z bazą w Ins Arbor? - zapytał.

- Ach, niestety, radio nie działa - stwierdził Feygor z zadowoloną miną.

Mkvenner rozejrzał się dookoła.

- Dobra. Nie będzie mnie najwyżej jeden dzień.

- Niech cię Imperator chroni - powiedział Feygor.

Brostin wrócił z naręczem butelek w ramionach.

- Wystarczy? - zapytał.

- Zdecydowanie tak - odparł Feygor.

Mkvenner obrzucił jeszcze pełnym pogardy spojrzeniem Brostina, Feygora i butelki, po czym wyszedł.

- Ven! Ven! - wołał Caffran, biegnąc w deszczu, przez ogród na tyle dworku, za odchodzącym zwiadowcą.

Mkvenner stanął i poczekał na niego. Grzomt huknął im nad głowami.

- To nie jest w porządku - powiedział Caffran.

- Nie jest, ale taka jest sytuacja.

- Feygor przesadził.

Mkvenner skinął głową.

-Przesadził, ale on jest dowódcą tego patrolu. Co chciałbyś zrobić? Zbuntować się?

- Corbec by zrozumiał.

-Tak, rozumiałby. Ale jeśli ja albo ty wdamy się w awanturę z Feygorem, to może się zrobić bardzo nieprzyjemnie na długo wcześniej niż Corbec zdąży interweniować. Straszne gówno, ale lepiej odpuścić.

Caffran wzruszył ramionami.

- Moglibyśmy pójść z tobą.

- My?

- Ja, Muril, Rerval... pewnie Larks. Na pewno Jajjo. Może nawet Gutes.

Znów rozległ się grzmot.

- Wezmę Jajjo, przyślij mi go.

- I już?

Mkvenner przeszył Caffrana zdecydowanym spojrzeniem.

- Pomyśl o tym w ten sposób. Z przyjemnością posiedziałbym tutaj parę dni, nawalił się, poopowiadał dawne historie. Ale jest też zadanie do wykonania. Jest szansa, tylko szansa, że w lesie działa wróg. I tak długo jak jest taka szansa, zamierzam go szukać.

- No i...

Ven uniósł palec żeby uciszyć Caffrana.

- W idealnej galaktyce, wszyscy byśmy poszli. Tak jak powinno to być. Ale dzięki Murtanowi Feygorowi to nie jest idealna galaktyka. Dlatego improwizujemy. To właśnie w tym jesteśmy dobrzy. Jeśli coś znajdę, niech mnie Imperator chroni, wolałbym mieć drużynę bojową za plecami. Jeśli tego nie mam, to chciałbym wiedzieć, że w niedalekiej odległości jest dobrze broniony umocniony posterunek. Zostań tu Caff.

Właśnie tutaj. Weź Muril, Rewala, Larkina - może nawet Gutesa, tak jak mówiłeś - i przygotuj to miejsce. Na wszelki wypadek.

- Dobra. Jeśli tego chcesz.

-Tego właśnie chcę. Nie tego bym sobie życzył, ale wystarczy i tyle. Jeśli o mnie chodzi, to ty tu teraz dowodzisz. Utrzymaj dworek i czekaj na mnie. Feygora spotka to, na co zasłużył, kiedy wrócimy. Osobiście tego dopilnuję. Na razie martwmy się o to, żeby wykonać zadanie.

Caffran przytaknął.

- Dawaj sygnały, jak będziesz mógł.

- Na komunikatorach nie będzie dużego zasięgu w tym lesie, nie więcej niż milę, dwie.

- Próbuj tak czy inaczej. Jeśli to będzie zła wiadomość... daj sygnał „zapłata”.

Mkvenner uśmiechnął się. Caffran nieczęsto widział, żeby to robił.

- Dobra. Przyślij Jajja. Zobaczymy się jutro.

Caffran stał i patrzył jak Mkvenner idzie przez deszcz i znika na skraju lasu.

Zagrał grzmot.

- Gdzie Jajjo? - spytała Muril wchodząc do kuchni. Burza jeszcze przybrała na sile i zrobiło się ciemno. Z pokoju dziennego dochodziły ich śmiechy i pijackie opowieści.

- Poszedł z Venem - powiedział Caffran.
- Muril usiadła na ławce pod oknem.
- No tak, typowe - stwierdziła głosem ociekającym jadem.
- Spokojnie - odezwał się Rerval.
- Odwal się, Tanithiańczyku. Cały ten patrol to jedno gównno - poskarżyła się.
- Z pokoju obok dobiegł wyjątkowo głośny ryk. Uderzenie. Śmiech.
- Co oni tam robią? - spytał Caffran.
- Używają wypchanego zwierza jako taranu – powiedział Rerval. - Wydaje mi się, że zabawa polega na tym, żeby zobaczyć, kto najdłużej się na nim utrzyma, podczas gdy pozostali biegają z nim dookoła pokoju.
- Dzieci - stwierdziła Muril kwaśno.
- Posłuchajcie - odezwał się Caffran. - Rozmawiałem z Venem.
- Według niego nie ma sensu sprzeciwiać się Feygorowi. Ale chce żebyśmy utrzymali to miejsce, na wszelki wypadek.
- Na wypadek czego? - zdziwił się Rerval.
- Na wypadek jeśli razem z Jajjem znajdą coś w lesie.
- W porządku? Gdzie jest Larkin?
- Rerval wzruszył ramionami.
- Muril, widziałaś Larksa?
- Nie - odparła zamyślona. - Dlaczego do gothelry Jajjo chodzi na zwiad? Dlaczego tak się gothlemie dzieje?
- Zapomnij o tym - powiedział Caffran. - Musimy się skupić. Będziemy stać na warcie. Po dwie godziny. Weźmiesz pierwszą, Muril?
- Jasne - odparła.
- Rerval. Obejdz teren i zacznij budować umocnienia. Cokolwiek uda ci się znaleźć.
- Rerval skinął głową.
- A ty co będziesz robił, Caff?
- Ja poszukam Larksa - odparł.

Zapadła noc. Burza wciąż szalała nad lasem i zalewała dworek. W jednym z budynków gospodarczych, starej szklarni na skraju ogrodu, Muril kulila się i trzęsła, obserwując linię drzew. Była to tylko ciemna masa pni, na pół przysłonięta ulewnym deszczem. Rerval przyniósł jej kubek gorącej kawy i talerz pokrojonej dziczyzny.

- Zrobiłeś coś? - zapytała.
- Nie ma specjalnie z czego, ale zrobiłem barykadę w poprzek ogrodu, za kuchnią. I zabiłem deskami niektóre z okien na parterze.
- A Caffran, gdzie jest?
- Robi obchód - odpowiedział.

Caffran w rzeczywistości wylewał wodę z naczyń. Nikt nie raczył opróżnić garnków łapiących deszczówkę z przecieków i niektóre z nich były już pełne. Otworzył frontowe drzwi i wylewał z nich wodę po kolei, na deszcz.

Z pokoju dziennego do hallu przesączało się światło, hałas i zapach rozpalonego w kominku ognia. Caffran słyszał Brostina opowiadającego jakąś rubaszną historię oraz

Cuu i Gutesa wybuchających śmiechem. Dźwięk tłuczonego szkła.

I jeszcze jakiś inny, dziwny dźwięk, który okazał się śmiechem Feygora, dochodzącym z jego sztucznego gardła. Caffran wzruszył ramionami. Zamknął frontowe drzwi. Nigdzie nie mógł znaleźć Larkina. Spojrzał na wieszak na ubrania. Płaszcz nie było. Drzwi pokoju dziennego otworzyły się z hukiem i wtoczył się przez nie Gutes. Otaczały go światło, hałas i gorąco.

- Więcej wina! - wykrzyknął.

- Nie masz już dosyć? - spytał Caffran.

- Nie bądź takim fethowym sztywniakiem, Caff! Odparł Gutes. - Może byś się przyłączył. Dobrze się bawimy.

- Słyszę.

- Niezła odmiana od fethowej wojny - zabełkotał Gutes.

- Wojna wciąż trwa - uśmiechnął się Caffran.

Gutes posmutniał. Zamknął za sobą drzwi, odcinając hałas. Oparł się o ścianę i opadł na podłogę.

- Wiem. No wiem. Nigdy się nie kończy, co nie? Wojna. Jest tylko wojna. Jedyne, co nas czeka w przyszłości. Ciemna? Tak! Ponura? O, tak! Jest tylko wojna.

- Nie przejmuj się, Piet - uspokajał go Caffran.

- Nie przejmuję się, Caff. Zupełnie nie - mamrotał Gutes. - Jestem tylko tak bardzo zmęczony, wiesz? Tak bardzo fethowo zmęczony tym wszystkim. Wypalony. Mam dosyć. Caffran przykucnął koło pijanego towarzysza.

- Idź się połóż, Piet. Rano wszystko będzie lepiej wyglądało. Gutes nie mógł się podnieść. Caffran musiał mu pomóc.

- Teraz wszystko lepiej wygląda, Caff! Naprawdę. Idę po więcej butelek. - Zatoczył się w stronę drzwi do piwnicy.

Caffran pomyślał, żeby go zatrzymać, ale zdecydował, że tego nie zrobi. Gutes był już zbyt pijany.

Usłyszał skrzypnięcie na schodach i szybkim ruchem uniósł karabin laserowy, włączając latarkę przymocowaną do lufy. W połowie schodów niewielka, stara kobieta skrzywiła się w nagłym ostrym strumieniu światła. Miała na sobie mokry płaszcz przeciwdeszczowy. Światło latarki Caffrana wydobyło z ciemności postać Larkina za kobietą. Uśmiechał się podtrzymując ją za ramię.

- Hej, Caff - powiedział. - Zobacz, kogo znalazłem...

MŁYN SANTREBAR

Krew za ziemię: wojenny handel.

Satacus, „Poczet Sezarów”

Rankiem Republika przeprowadziła w sektorach 57 i 58 Linii Peinforą zmasowany atak gazowy. Zachodni wiatr sprzyjał ich przedsięwzięciu i sprawnie poniósł gaz do okopów Przymierza. Po prawdzie tak sprawnie i szybko, że obnażył niedostatki wyszkolenia przeciwgazowego Przymierza. Żołnierze umierali w olbrzymich ilościach. Trzystu czterdziestu ośmiu na jednym tylko pięciokilometrowym odcinku. Kolejne setki wyniesiono ze śmierdzącej mgły, z pianą na ustach i pęcherzami, krzyczących i płaczących. Odpowiedzią na gazowy atak był sporadyczny ostrzał. Na północy, w sektorze 59, nieco poważniejsza nawała wstrząsała ziemią przez ponad godzinę. Gaz długo się nie rozpraszał, ale Shadik bez wątpienia na to właśnie liczyli.

Kilka minut przed 15:00 znaczna część została przerwana. Szalę zwycięstwa przeważało przybycie na czas oddziału *Bande Sezari* i kompanii elitarnych oddziałów chemicznych Kottmarku. Wiatr zmienił kierunek i trująca mgła zaczęła dryfować na wschód od Peinforą. Szturmowcy Shadik ruszyli do odwrotu. Możliwość takiego obrotu spraw została do tego czasu przewidziana i Sztab Przymierza w sektorach 57 i 58 zdecydował o natarciu. Kawaleria i lekkie oddziały piesze zostały posłane z zadaniem zniszczenia oddziałów szturmowych wroga i przeprowadzenia kontrataku. Towarzyszyły im oddziały pancerne.

Siły pancerne Przymierza składały się głównie z niezgrabnych, prymitywnych, kanciastych czołgów z ciężkimi działami na dachu lub w bocznych wieżyczkach. Ocieężałe giganty z chrzęstem ruszyły do Kotła. Wyglądały groźnie, ale od pierwszego zastosowania dwanaście lat wcześniej nie osiągnęły żadnych rezultatów oprócz psychologicznych. Jednakże tego dnia pięć Thundererów Gwardii Imperialnej, zabranych z akcji pod Gibsgatte, poszło na czele natarcia. Do wieczora uczyniły pamiętny wyłom w liniach Shadik. Była to pierwsza demonstracja przewagi współczesnej broni pancernej na Głównej Axe.

W momencie gazowego ataku Pierwszy znajdował się w okopach bojowych drugiej linii. Zostali dzięki temu dostatecznie wcześniej uprzedzeni, ale i tak ich wyszkolenie przeciwgazowe było znakomite. Siedzieli spokojnie aż do sygnału o szturmie na 57. sektor. Daur natychmiast poszedł zobaczyć się z Gauntem.

- Możemy ich wspomóc - zasugerował. - Jesteśmy dostatecznie blisko, żeby się przydać.

Gaunt odrzucił ten pomysł. Ciężko się napracował, żeby zapewnić obu częściom Pierwszego pełnoprawny udział w Przymierzu i nie zamierzał teraz zaburzyć tej równowagi jednostronnym pokazem brawury. Jak bardzo by tego nie chciał.

- Postaw w gotowości trzy plutony - zgodził się w końcu. - Jeśli dowództwo tego zażąda, ruszymy natychmiast.

Czekali w napięciu przez jakąś godzinę. Kiedy wiatr zmienił kierunek i ruszyło

kontrnatarcie, Gaunt i Golke przeszli na punkt obserwacyjny na skraju drugiej linii. Pożyczywszy lornetkę Gaunta, Golke obserwował atak czołgów, podążając wzrokiem za ciężko toczącymi się maszynami Gwardii. Thunderery pomalowane były na brązowo i szły z opuszczonymi lemiuszami obłęzniczymi, rozrywając zasieki i kolczaste barykady z drutu. Spod gąsienic tryskały strugi płynnego błota.

Golke był pod silnym wrażeniem. Opowiadał przez chwilę o starciach pancernych, jakich był świadkiem, ale był tak zaintrygowany tym, co widzi, że w jego historii nie było właściwie spójnego wątku. Z tego, co Gaunt rozumiał, Golke został ranny w jednym z takich starć, ale nie chciał z hrabiego wyciągać szczegółów. Golke wspomniał pacerniki, ale wyglądało na to, że to słowo nie oznacza dla niego tego samego, co dla Gaunta.

Dla Aexegarczyka pancernik był ogólnym określeniem wszystkich pojazdów pancernych.

Wzdłuż, całego systemu okopów zabrzmiały gwizdki na znak, że jest już czysto. Gaz odpłynął. Gaunt zdjął maskę i otarł spoconą twarz. Popołudniowe światło było jasne i czyste, nic licząc toczących się żółtawych smug odpływającego gazu, który przykrywał ziemię niczyją.

- Zmierzch o 19: 40 - wspomniał Golke. Wyciągnął płytkę danych. - Mam rozkład ostrzału na dzisiejszą noc. Kiedy chce pan ruszyć?

Było to uzasadnione pytanie. O ile tylko poinformuje Sztab Przymierza, do niego należało wyznaczenie terminu zwiadu Duchów.

Gaunt spojrzął na Aexegarczyka.

- Teraz - powiedział.

Główny szpital połowy 58. sektora składał się z dużego zespołu bunkrów usytuowanych pośród okopów rezerwowych na tyłach głównej linii, na zachód od głównych stanowisk artyleryjskich.

Położony dobrze pod ziemią, przykryty betonowym dachem. Miał podobno nawet własną tarczę, ale Dorden w to nie wierzył.

Warunki były jednak przyzwoite. Curth wykonała solidną pracę w celu zdobycia świeżego zaopatrzenia z floty *Munitorium* i Mkoll wziął swój pluton, żeby eskortować zapasy i zapewnić, że dotrą nienaruszone. Wielu w Pierwszym, w tym Dorden, dziwiło się, że Mkoll nie znalazł się w części regimentu wysłanej na wschód do Montorq.

- Tutaj też są potrzebni zwiadowcy - powiedział Mkoll Dordenowi, kiedy temat się pojawił. - Nie zamierzam ruszać do lasu i oczekiwać od chłopaków, których tu zostawiam, żeby robili coś, czego ja bym sam nie robił.

W uwadze szefa zwiadowców kryło się coś więcej, poczuł Dorden. Cokolwiek miało się wydarzyć w Montorq, dobrego czy złego, tutaj mogli liczyć tylko na złe rzeczy. Bez względu na wszystko w Kotle będzie gorąco. Poczucie obowiązku Mkolla było silniejsze niż chęć łatwiejszej służby.

Kiedy Pierwszy został przesunięty do 58. sektora, Dorden zapakował swój szpital połowy z Rhonforq i zabrał go ze sobą, razem z rannymi i całą resztą, żeby mógł nadal osobiście się nimi opiekować i jednocześnie być pod ręką przy nowych

walkach. Tego popołudnia do izby przyjęć szpitala napływały ofiary ataku gazowego. Żadna z nich nie była Duchem, ale Dorden i jego załoga nie wahali się. Poderwali się do pomocy lekarzom Przymierza, przemywając oczy, opatrując oparzenia, wymywając jad z ubrań i pełnej bąbli skóry.

Najgorsze były obrażenia układu oddechowego. Ofiary zalanych płynem płuc mogli tylko próbować stabilizować. Dorden pracował gorączkowo. Bardzo mu brakowało Foskina i doktora Mtane, którzy towarzyszyli ekspedycji w Montforq.

Bardzo chciał zaufać chirurgom Przymierza, z których wielu było dobrymi, oddanymi lekarzami, ale ich medyczne praktyki były tak strasznie przestarzałe.

Uważnie notował wszystkie swoje uwagi i miał nadzieję, że będzie miał okazję doradzić szefowi służb medycznych sektora lepsze, mniej barbarzyńskie techniki.

Przynajmniej trzech żołnierzy, których uratował tego popołudnia umierało w wyniku tutejszej opieki, a nie gazu.

Obrzydliwy smród chemicznych oparzeń i skażonej krwi wypełniał szpital.

Spienione, odbarwione odpadki tworzyły jeziora na kamiennej posadzce. Dyżurny włączył wywietrzniki dachowe i polewał z węża dezynfekantem, ale dużo to nie pomogło.

- Feth! - mruknął Rawne. - Ten smród mnie udusi.

- A przynajmniej przestaniesz gadać? - spytała Banda.

Spojrzał przez korytarz na jej łóżko kamiennym wzrokiem, ale spowodował tylko jej uśmiech. Była blada, a nad prawym okiem miała zszytą ranę. Dochodzące do siebie płuca z trudem radziły sobie z zaduchem w powietrzu. Odetchnęła jednak, żeby się z nim podrażnić.

Rawne podniósł się z łóżka i usiadł ostrożnie. Na oddziale pełno było Duchów, paru Krassianów z pierwszego starcia w okopach 55. sektora. Wielu, tak jak Rawne, dochodziło do siebie, ale długo jeszcze potrwa zanim zostaną skierowani do czynnej służby. Rawne zastanawiał się, ilu jeszcze Duchów przewinie się przez tą salę, zanim obecni lokatorzy zostaną wypisani.

Dni od momentu, kiedy został ranny, upływały w przygnębiająco wolnym tempie.

Rawne czuł się odsunięty i porzucony, nawet jeśli otrzymywał regularne raporty.

Chciał już wstać i wyjść ze szpitala, ale nie dlatego, że był takim sumiennym żołnierzem, potrzebował wrócić, żeby dalej służyć Imperium.

Niepokoił się na myśl o tym, jak takie fethowe nieudaczniki jak Daur mogą sobie radzić pod jego nieobecność.

- Co ty wyprawiasz? - spytała Banda.

Nie odpowiedział. Złapał za oparcie drewnianego krzesła i powoli podciągnął się na nogi. Ból w brzuchu, który przycichł znacznie przez ostatnie trzydzieści godzin, znów się odezwał.

- Co ty wyprawiasz? - powtórzyła Banda. - Doktor Dorden cię wypatroszy.

- Czuję się tak, jakby już to zrobił - warknął Rawne.

Odetchnął głęboko i puścił oparcie krzesła.

Na Boga-Imperatora, ciężko było. Czuł jakby nogi ogarnęła mu atrofia. Czuł jakby ktoś mu rozpałił ogień w brzuchu. Czuł jakby ktoś zadawał mu ciosy bagnetem w kręgosłup.

-Co ty wyprawiasz? - powtórzyła po raz trzeci Banda. Po czym dodała. - Majorze? To było to. Rawne nie był tytuowany majorem od, jak mu się wydawało, lat. Szczególnie przez Jessi Bandę. Było to najlepsze, co go spotkało w czasie przymusowego pobytu na oddziale. Połączeni przez bliskości łóżek, śpiączkę bezpośrednich sąsiadów i wspólne traumatyczne przeżycia na posterunku 293, byli dla siebie towarzyszami rozmów. Nie była to może przyjaźń. Rawne zdecydowanie nie przyznałby się do niczego takiego, ale rozmawiali, grali w słowne gry, żeby pokonać nudę, czasem żartowali. Po pierwszych paru godzinach przestała go nazywać majorem, a on ją szeregowym. Ukształtowała się między nimi serdeczna, koleżeńska więź w reakcji na sytuacje, w jakiej się znaleźli.

- Idę zaczerpnąć świeżego powietrza - stwierdził Rawne, dysząc.

-Och, doprawdy? I zostawisz mnie tu samą? A już myślałam, że jesteśmy kumplami. Nie miał siły rzucić jej kolejnego miazdzącego spojrzenia.

Nie miał prawie siły ustać na nogach.

-Tylko... - zaczął. - Tylko...

- Co? - spytała Banda.

Westchnął.

- Możesz wstać?

- Coś jeszcze?

- Och, niech to Feth... - Powoli, bardzo powoli obszedł jej łóżko i złapał wózek inwalidzki, złożony u stóp następnego posłania. Zabrało mu chwilę, żeby zmusić sprężyny mechanizmu do rozłożenie wózka i omal przy tym nie upadł.

- Uważaj! - powiedziała.

- Akurat cię to obchodzi...

Ustawił w końcu wózek i przysunął do jej łóżka, ciężko się opierając na uchwytach.

- No chodź - powiedział.

Spojrzała na niego.

To może byś tak, gothlera, pomógł?

Opuściwszy hamulce, złapał ją za nadgarstki i podciągnął do krawędzi łóżka. Słyszał jak rzezi jej w płucach.

- Może nie powinniśmy...

- Sam to zacząłeś, Rawne - powiedziała.

- Na trzy. Musisz mi pomóc. Raz, dwa...

Mało nic minęła się z wózkiem. Musiała się w końcu przekręcić, kiedy już złapała oddech. Rawne pochylił się, zgięty w pół, omdlewając z bólu w brzuchu.

- W porządku? - zapytała.

- Och, jasne...

Złapał uchwyty wózka, kopnięciem zwolnił hamulce i po kilku niewprawnych próbach odwrócił ją w stronę wyjścia.

Rozwalony brzuch naprawdę bolał od pchania. Ale przynajmniej miał się teraz, o co opierać. Banda chichotała pod nosem. Pomimo prawdziwego i narastającego bólu w brzuchu, Rawne zdał sobie sprawę, że również się uśmiecha. Miał poczucie uwolnienia. Tak musieli się czuć więźniowie połączeni ucieczką na wolność.

I jeszcze to przyjemne wrażenie szpanu, jakiego Rawne nie czuł od czasów, kiedy był graczem na czarnym rynku Tanith Attiki.

Oboje inwalidzi dotarli do rampy przy wyjściu ze szpitala i dalej do okopów. Był to ich pierwszy, od dłuższego czasu, widok jasnego dnia. Wiózł Bandę po płytach na dnie okopu, co kilka metrów przystając, żeby odpocząć, a potem objął ją ramieniem i wniósł do pustego stanowiska obserwacyjnego.

Oboje byli już wtedy wykończeni i opadli na worki z piaskiem, opierając się plecami o ścianę pod parapetem. Oboje także się uśmiechali.

Ból w brzuchu majora wybuchł na chwilę, ale odkąd przestał się męczyć, powoli opadał. Oboje oddychali głęboko, rozkoszując się świeżym powietrzem. Nie było tak naprawdę świeże. Czuć było smród błota, potu, mokrych worków, paliwa do miotaczy płomieni, grzyba, skwaśniałego jedzenia, latryn.

Ale i tak było to całe lata świetlne lepsze niż przesycony gazem zapach odpadków przeważający w szpitalu.

- Powinniśmy częściej to robić - zażartowała, wyraźnie czując ból, ale rozkoszując się ucieczką.

- Teraz już wiem, co Corbec miał na myśli - odpowiedział.

- Co takiego?

Rawne spojrzał na nią.

- Nie miał łatwo ostatnio. Ranny, przykuty do łóżka. Mówił mi, że to, czego najbardziej mu brakowało, co najbardziej go bolało, to poczucie braku. Fizyczny ból ran nie miał takiego znaczenia. Chodziło o to, że stracił swoje miejsce.

Skinęła głową.

- Nie doceniałem tego, co mówił, tak naprawdę. Myślałem, że rana oznacza wakacje. I że za bardzo się człowiek przejmuje swoją raną, żeby się martwić o cokolwiek innego. Miał jednak rację. Czuję się tak jakbym został pogrzebany, a galaktyka kręci się beze mnie.

Nastąpiła długa pauza. Oddział piechoty z Fichua przeszedł pod nimi okopem.

Gdzieś w oddali, odezwał się stłumiony głos z radia.

- Dlaczego rozkazałeś mi, żebym nie umierała? - spytała.

- Co?

- Tam w okopie. Słyszałam cię. Nie mogłam odpowiedzieć, ale słyszałam cię.

Rozkazałeś mi, żebym nie umierała.

Zastanowił się nad tym.

- Ponieważ nie chciałem mieć kłopotu z szukaniem nowego snajpera dla plutonu

- powiedział.

Cień uśmiechu zagościł na jej ustach i skinęła głową.

- Tak właśnie myślałam - stwierdziła z mądrą miną.

Rawne podniósł się i spojrzał ponad ścianą z worków z piaskiem wzdłuż okopu.

Oddziały posuwały się w obu kierunkach. Brudny, czarny pojazd terenowy przetoczył się z łomotem, obładowany pociskami do *feldkanonne* i raketami do wyrzutni.

- Zapowiada się na coś - stwierdził.

- Co?

- Beltayn właśnie tędy przebiegł i wpadł do szpitala.

- Ach - powiedziała Banda ze zrozumieniem - masz na myśli, że coś nie tak...

- Jestem trochę zajęty, adiutancie Beltayn - odezwał się Dorden, po raz kolejny próbując przemyć oczy wrzeszczącemu i wyrrywającemu się żołnierzowi Przymierza.

- Widzę, doktorze - powiedział Beltayn.

- No to musicie poczekać.

- Z całym szacunkiem doktorze, komisarz ostrzegł mnie, że tak pan właśnie odpowie. Polecił mi przekazać, że grupa zwiadowcza rusza za piętnaście minut i...

- I ?

- I że ma pan ruszyć fethową dupę. Jego własne słowa.

- Naprawdę? - spytał Dorden. - Myślałem, że nie ruszy się aż do wieczora.

Beltayn odpowiedział coś, co zostało zagłuszone przez szczególnie przenikliwy krzyk męzczyzny na noszach.

- Mówiłem... zmiana planów, doktorze. Mamy dobrą osłonę, już za dnia. Widzi pan, ten gaz. I do tego mnóstwo zamieszania. Idzie kontrnatarcie. Czołgi i wszystko inne.

- Nie mogę tego zostawić, Beltayn - powiedział Dorden.

Obiecał Gauntowi, że pójdzie z następną grupą w nadziei, iż znajdą pluton Raglona, ale nie liczył się z izbą przyjęć pełną poparzonych gazem żołnierzy.

- Idź, Tolin. Ja się tym zajmę - powiedziała doktor Curth, pojawiając się znikąd, z fartuchem poplamionym żółcią i pianą.

- Jesteś pewna, Ano?

- Tak. Idź już. - Zabrała się za rzucającego się żołnierza.

- Trzymajcie go - warknęła do stojących obok noszowych.

Skoczyli jej na pomoc.

Dorden ściągnął pobrudzone rękawiczki, fartuch i wrzucił je do kosza na brudy. Zdjął świeży fartuch z wieszaka i zaczął uzupełniać swój zestaw polowy zapasami z półek.

- Nie mamy dużo czasu - poganiał Beltayn.

- Bądź więc tak dobry i weź moją kurtkę i pelerynę z gabinetu. Wiszą na kołku.

Dorden dopiął apteczkę i zarzucił na ramię.

- Uwaga! - krzyknął ponad zamieszaniem panującym na oddziale. - Informuję, że doktor Curth przejmuje dowództwo operacyjne. Żadnych wymówek, żadnych wyjątków. Ze wszystkim do niej.

Beltayn wrócił i pomógł mu założyć czarną kurtkę munduru polowego Pierwszego.

- Powodzenia! - krzyknęła Curth.

- Zatrzymaj je sobie - odparł. - Bardziej będziesz go potrzebowała.

Naciągając pelerynę na ramiona, Dorden pospieszył za Beltaynem po rampie wejściowej.

- Mówisz, że zdecydował się ruszyć w biały dzień? - spytał.

- Tak, doktorze. Słyszałem jak mówił hrabiemu Golke, że zwiad można przeprowadzić nawet, kiedy nie jest spokojnie. Chce skorzystać z opadającego gazu i zamieszania i dotrzeć tam, gdzie drużyny doszły zeszłej nocy.

- Rozumiem. Musimy wrócić. Zostawiłem respirator.

Beltayn odwrócił się i puścił oko.

- To też zabrałem - powiedział.

- Myślisz o wszystkim - zadrwił Dorden.

- To moja praca - stwierdził Beltayn bez śladu ironii w głosie.

Wpadli do okopu i pospieszyli na północ, w stronę pierwszej odnogi komunikacyjnej prowadzącej na wschód. Dorden stanął gwałtownie i spojrzał do tyłu. Beltayn zatrzymał się z poślizgiem.

- Co wy tu do Fetha, robicie? - Dorden krzyczał do najbliższego stanowiska obserwacyjnego.

- Czujemy się już lepiej - odkrzyknął Rawne, machając dłonią. - Udanego polowania, doktorze!

- Weźcie... weźcie chociaż lekarstwa! - krzyknął sfrustrowany doktor i ruszył za Beltaynem.

Rawne usiadł wygodnie i wyciągnął z kieszeni manierkę. Odkręcił pokrywkę i podał Bandzie.

- Co to? - zapytała.

- Sakra. Najlepsza. Ostatki z legendarnej produkcji Bragga.

- Nie wiem, czy powinnam - powiedziała.

- Słyszałaś, co powiedział nasz szanowny doktor – stwierdził Rawne. - Weź lekarstwo.

Śmiejąc się tak głośno, jak na to pozwalały bolesne rany, wypili za swoje zdrowie.

Zwiadowcy weszli na ziemię niczyją Kotła na minutę przed piątą po południu. Cztery plutony - Criid, Domora, Mkola i Arcudy - razem z oddziałem dowódczym Gaunta, Dordenem, Zweilem, Beltaynem, hrabią Golke i czterema elitarnymi żołnierzami z *Bandę Sezari*.

Z maskami na twarzach weszli w gęstą zasłonę dryfującego gazu, przez który krajobraz wyglądał jak poplamiony tytoniem. Widoczność była ograniczona do dwudziestu metrów, choć światło było całkiem dobre. Łagodny blask dnia oświetlał ich poprzez toksyczną chmurę.

Hwlan, zwiadowca z plutonu Criid, szedł na czele razem z samym Mkollem i „Szczęśliwym” Boninem z drużyny Domora.

Hwlan znalazł młyn poprzedniej nocy i oddali mu prowadzenie, ufając jego instynktowi. Dla Hwłana, doświadczonego zwiadowcy z wieloletnim doświadczeniem tropiciela w lasach *nal*, było to dziwne doświadczenie.

Mówiło się, że Tanithiańczycy nie mogą się zgubić i mają niezawodne poczucie kierunku. Ciągłe zmieniające się lasy na Tanith takimi ich stworzyły.

Taka przynajmniej była teoria.

Chemiczny atak zmienił grunt, tak bardzo zapiekając błoto, że aż zaczęło pękać. Pod spodem było mokro i miętko, stopy żołnierzy łamały twardą górną warstwę i rozchlapwały błoto płynne i żółte jak budyń.

Nieliczne punkty charakterystyczne z poprzedniej nocy - złamane drzewo, płot z drutu kolczastego, rozbity czołg - skamieniały już dawno, ale one również zostały zmienione przez gaz. Kocioł stał się martwą przestrzenią, odwodnioną, chemicznie przemieloną.

Czoło dotarło do zasieków z drutu, które pod dotykiem rozpadały się w rdzawy pył. Płynne chemikalia, zebrane z niektórych lejach po wybuchach, płonęły.

A do tego było tyle trupów. Dorden był zszokowany. Świeże zwłoki, zaplątane w zasieki lub leżące na ziemi, tak barwne, że wyglądały jak żywe. Inne, starsze,

schylone i rozpląszczone w poddańczych pozach, jakie tylko umarli mogą przyjąć. Inne, jeszcze starsze, wysuszone, straszły gołymi kośćmi.

Panowała ponura cisza. Nie było wiatru, a chmura gazu tłumiała wszystkie dźwięki. Jasna, sucha pustynia, śmiertelna przy najmniejszym dotknięciu czy oddechu.

Gaunt posłał Milo i Nehna z plutonu Domora, żeby towarzyszyli Zweilowi. Stary *ayatani* był nowicjuszem w sprawach ochrony przeciwgazowej i wyraźnie było widać, że niewygodnie mu w masce i grubych rękawicach. Podciągnął poły długiego płaszcza, żeby się nie ciągnęły w błocie, ukazując parę pożyczonych ciężkich butów żołnierzy Przymierza. Gaunt słyszał dochodzące przez komunikator mamrotanie.

Zweil recytował pod nosem modlitwę ochronną.

Gaunt zasygnalizował do Milo, żeby pokazał mu jak wyłączyć komunikator.

- Doceniam twoje błogosławieństwo, ojczy - powiedział - ale na razie może mógłbyś zatrzymać je dla siebie, w swojej własnej masce. Potrzebujemy ciszy na łączach.

Rozdarty krajobraz zawijał się na długim grzbiecie gdzie błoto pokryte było mozaiką kości, ludzkich i końskich. Dostrzegali czasem zardzewiałe fragmenty zaworów od masek przeciwgazowych, sprzączek od siodeł, pogiętych luf karabinowych.

Po drugiej stronie grzbietu grunt opadał i tworzył rozległy basen, gdzie mętna woda błyszczała w stłumionym świetle. Kołki od dawnych zasieków maszerowały szeregiem w dół zbocza i ginęły w wodzie. Błoto na wschodnim brzegu było pofałdowane w dziwne formy przypominające Gauntowi kwiaty róży. Fragmenty szkła po przywierały do fałd każdego kwiatu. Zdał sobie sprawę, że to miejsca wybuchów butli z gazem z poprzedniego ataku. Błoto było spieczone i pofałdowane przez toksyny. Po drugiej stronie wody stał bezgłowy żołnierz Przymierza. Gnijące ciało utrzymywane było przez metalowy pręt, na który upadło.

Trójka zwiadowców poprowadziła ich naokoło sadzawki. Weszli na płaską przestrzeń pokrytą kraterami wybuchów, niektóre z nich były tak duże, że mogły pochłonąć człowieka, inne miały ledwie wielkość pięści. Kratery nachodziły na siebie, małe znajdowały się wewnątrz większych, duże przecinały się z innymi. Były tak gęsto i regularnie rozsiane, że wydawało się to nieprawdopodobne. Na północ od nich, na zwałach błota leżał wypalony wrak czołgu Shadik.

Mkoll pokazał, że powinni skręcić nieco na południe, ale Golke sprawdził swoją mapę i nie zgodził się z tą opinią. Szereg skrzyżowanych belek sugerował krawędź pola minowego. Ładunki stare, ale głupio byłoby ryzykować. Nie przygotowali się do wykrywania min. Specjaliści tacy jak Domor, nie chcąc się obciążać zostawili wykrywacze w okopach. Ruszyli więc na północny wschód, wzdłuż pokiereszowanego grzbietu, brodząc przez mętne kałuże wody i oleju. Po lewej stronie mijali szereg zalanych wodą wykopów wypełnionych ciałami, jakby umarli zdecydowali zebrać się w jednym miejscu.

Zweil uzmysłowił sobie, jak przydatna bywała maska. Od momentu, kiedy wyruszyli, słyszeli przed sobą, lekko na południe, ryk kontrnatarcia. Teraz doszedł ich głębszy, huczący dźwięk. Zamknięci w chmurze gazu nic nie widzieli, ale Gaunt był pewien, że to super działa Shadik otworzyły ogień w odpowiedzi na natarcie.

- Można jakoś określić źródło tego dźwięku? - Gaunt spytał Mkolla bez większej nadziei. Mkoll wskazał maskę.

- Nie za bardzo - odparł. Zastanowił się i słuchał przez chwilę rytmicznego huku.

- Zgaduję, że z tego kierunku - wskazał. - Ale to duże przybliżenie.

Gaunt zwrócił się do Hwlana.

- Jak daleko do młyna?

- Jeszcze pół kilometra. Podchodzimy pod nieco innym kątem niż zeszłej nocy.

Niedaleko jest strumień z płotem, a sam młyn będzie w szerokim zagłębieniu.

- Raczej jakieś trzy czwarte kilometra - odezwał się Golke przez komunikator, wycierając rozpryski błota z plastikowej osłony mapy. - I trochę bardziej na południe. Gaunt spojrział na Hwlana. Przez szkła maski widział, jak Hwlan delikatnie pokręcił głową.

- Z całym szacunkiem, sir - powiedział Gaunt do Golkego.

- Muszę zaufać mojemu zwiadowcy.

Golke nie wydawał się urażony. Zaakceptował nadzwyczajne zdolności żołnierzy z Pierwszego. Ruszyli dalej. Po niecałych piętnastu minutach podchodzili do południowo wschodniej strony zrujnowanego młyna, niewyraźnego kształtu w gazowej mgle. Dokładnie tak, jak powiedział Hwlan.

Młyn wyglądał na spokojny, pusty. Być może Shadik nie byli w stanie odkopać przejścia poprzedniej nocy. Nie warto było jednak ryzykować.

Duchy podchodziły ukradkiem. Gaunt puścił pluton Criid w półkolu po swojej prawej stronie, a plutony Mkolla i Domom po lewej, z oddziałem Arcudy na tyle, w gotowości do wsparcia. Podeszli na pięćdziesiąt metrów do rozwalonego młyna.

- Stać - zasygnalizował Gaunt. Schylone, ukryte pod pelerynami Duchy wycelowały broń, szukając ruchu w ruinach.

Gaunt skinął na Mkolla. Szef zwiadowców zaczął się czołgać pod przykryciem peleryny. Dla Golkego wyglądało to tak, jakby zniknął. Bonin i Hwlan szybko ruszyli za Mkollem, razem z Oflynem, zwiadowcą z plutonu Arcudy.

Po dziesięciu sekundach Mkoll odezwał się przez radio.

- Czysto. Jesteśmy przy zewnętrznej ścianie. Dwie upadłe betonowe belki, tworzące literę V. Widzicie?

Gaunt potwierdził. Golke starał się wypatrzyć belki. Nawet kiedy je znalazł nie mógł dostrzec Tanithiańczyka.

- Drużyna szturmowa może ruszać - nadał Mkoll.

Drużyna ruszyła, Gaunt razem z nimi. Sześciu żołnierzy: Domor, Luhan, Vril, Harjeon i do tego Lubba oraz Dremmond ze swoimi miotaczami płomieni. Gaunt zostawił dowództwo drużyny strzeleckiej Criid.

Dotarli do pozycji Mkolla. Zwiadowcy byli gotowi do wejścia do środka. Dremmon i Lubba przygotowali miotacze.

- Na trzy - powiedział Gaunt.

- Stójcie! - nadał Bonin. - Ruch. Na górze, po lewej. Belki nad ostatnim oknem.

Zanim Gaunt zdążył spojrzeć, z młyna doleciał strzał, gwizdnął im nad głowami, za nim kolejny, który trafił w belkę, za którą krył się Luhan.

- Stać! - krzyknął Gaunt zanim zaczęli odpowiadać ogniem.

Strzały były oddane z broni laserowej.

Gaunt pokręcił regulatorem swojego komunikatora. - Jeden, kto tam?

Pauza. Trzaski na linii. - Jeden - powtórzył Gaunt. - Kto tam?

- Dwa zero trzy - nadeszła odpowiedź. Raglon.

NA POSTERUNKU

Cuu to fethowy szaleniec, Larks...

Szeregowy Bragg (zmarły), na Phantine

Nic nie mówiła. Nie zdjęła nawet płaszcz. Pozwoliła się Larkinowi i Caffranowi poprowadzić do ciemnej kuchni i posadzić na jednym z krzeseł przy stole.

Wzdrygnęła się, kiedy Rerval wszedł gwałtownie z zewnątrz.

Spojrzał zdumiony na starszą kobietę.

- Chowała się na górze - wyjaśnił mu Larkin. - Ja byłem na patrolu, usłyszałem hałas i ją znalazłem. To ona jest naszym duchem.

Caffran nalał gorącego napoju z garnka na kuchni i postawił przy niej, na stole.

- Proszę wypić - powiedział. - Wygląda pani na głodną. I zmarzniętą.

Spojrzała na Caffrana powoli, stare oczy nawet nie mrugnęły.

W jej wzroku było coś dalekiego, co sugerowało, że wcale go nie widzi.

- Niech pani wypije - powtórzył Caffran zachęcająco. Nie zareagowała. Jej wzrok skupił się na nowo na blasku fajerki.

- Co to znaczy, że jest naszym duchem? - Rerval spytał Larkina.

- Przesuwała rzeczy, no wiesz. Poukładała naczynia. Cały czas tu była, kryjąc się przed nami.

- Skąd wiesz?

Larkin wzruszył ramionami.

- Hej, a myślisz, że to ona wyjęła obwód z mojego radia? - zapytał nagle Rerval.

- Czy to ty majstrowałaś przy moim radiu, matko?

Na nagły głos znów się wzdrygnęła.

Larkin chwycił Rervalą za ramię i odciągnął do tyłu.

- Miej litość, chłopie. Jest przerażona na śmierć. Obiecałem jej, że jej nie skrzywdzimy.

- Oczywiście, że jej nie zrobimy krzywdy - wtrącił się Caffran.

- Nie zrobimy, proszę pani.

- Poza tym - dodał Larkin - nie wydaje mi się, żeby taka starsza pani miała smykałkę do wyposażenia Gwardii. Rozwalić, być może. Wyjąć główny obwód nadawczy? Nie wydaje mi się.

- Kto to, do Fetha, jest? - wyszeptał Rerval. - Oprócz tego, że jest naszym duchem.

Myślicie, że przyszła się tutaj schronić?

- Nie wygląda mi na to - powiedział Larkin. - Za bardzo dba o ten dom. Sprząta, wiesz płaszcz. Myślę, że to jej dom.

- Ale ten cały teren był ewakuowany cała lata temu - powiedział Rerval. - Tak nam pułkownik mówił. Po co by tu jeszcze była?

- Czasem ludzie nie chcą odchodzić - odparł Larkin. - Starsi, przywiązani do wspomnień. Może postanowiła zostać.

- To znaczy że może tu być od wielu lat.

- Czekać na najeźdźców. Mając nadzieję, że do tego nie dojdzie - wymruczał Larkin.

Caffran spojrział na kruchą, starszą panią. Wciąż była spokojna, trwała bez ruchu. Włosy miała srebrne, prawie białe, upięte drobnymi metalowymi spinkami. Ubranie miała czyste, choć stare i wypłowiałe a niewielkie skórzane buty były zużyte. Widać było, że od jednego odchodzi podeszwa. Grymas twarzy na głośny hałas dochodzący z pokoju dziennego był jej jedyną reakcją. Huk pękającego szkła. Uderzenie. Donośny śmiech Brostina.

To my jesteście najeźdźcami, pomyślał, najeźdźcami w jej domu.

- Dlaczego ma mokry płaszcz? - zapytał nagle.

- Co?

- Jeśli się chowała tutaj przed nami, po co wychodziła na zewnątrz? W deszcz? I jeśli się kryła, po co wieszala płaszcz na widoku?

Larkin zmarszczył się.

- Nie wiem. Może powinniśmy sprawdzić okolicę jeszcze raz, kiedy się rozwidni.

Ten budynek gospodarczy, o którym wspomniał Ven. Mówił, że wydawało mu się, iż ktoś tam spał.

- Ktoś inny? - spytał Caffran.

- Być może.

- Nie powinniśmy powiedzieć Feygorowi o niej? - spytał Rerval.

- Nie, na Fetha! Nie dzisiaj. Nie w jego stanie. Chcesz ją jeszcze bardziej przestraszyć?

Rerval rozważył słowa Caffrana.

- Nie - stwierdził. - Muszą gdzieś być jakieś wskazówki na jej temat. Rozejrzę się trochę.

- Dobra - zgodził się Caffran. - Zostań z nią, Larks. Ja pójdę powiedzieć Muril o niej i żeby wypatrywała innych gości.

Rervala i Caffrana nie było od dziesięciu minut, a Larkin po prostu siedział w kuchni ze starszą panią, słuchając deszczu i ognia na kuchni. Wiatr znów się wzmagął, grzmoty biły coraz bliżej.

Cuu po prostu nagle się pojawił w drzwiach kuchennych.

Starsza pani patrzyła na niego i Larkin uniósł gwałtownie wzrok.

- Hej Tanithańczyku, to twoja dziewczyna? - odezwał się Cuu. Oczy miał przymrużone i lekko się chwiały.

- Wracaj do picia - powiedział Larkin miękko.

- Zrobiliśmy się głodni. Przyszedłem po jedzenie. Skąd wytrzasnąłeś tę wiedźmę?

- Ukrywała się - powiedział Larkin.

- Ukrywała? W domu? Gothlera! I co ma do powiedzenia?

- Nic. Idź już.

Cuu pijackim gestem skinął na Larkina, ze wzrokiem skupionym na starszej pani.

Pochylił się, zbliżając do niej swoją chytrą twarz. Odchyliła się, unikając jego wzroku.

- Przestań - powiedział Larkin.

- Kim jesteś, wiedźmo? Co? Gadaj, nie słyszę cię, do gothlery. Gdzie się, do gothlery chowałaś? Co?

Odsunęła się najdalej jak mogła na krześle.

- Odejdź, Cuu - ostrzegł Larkin.

- Zamknij się, Tanithańczyku. No dalej, stara wiedźmo! Kim jesteś? - Cuu sięgnął i złapał ją brutalnie za jedno cienkie ramię. Pisnęła ze strachu. - Kim jesteś do diabła? Larkin pochylił się i złapał mocno Cuu za nadgarstek. Szarpnął jego ramię, zmuszając do puszczenia starszej pani i powoli wstał, odpychając pijanego Verghastanina do tyłu.

- Odczep się, do diabła - syknął Cuu, koncentrując całą uwagę na Larkinie. Zatoczył się do tyłu. Był na tyle pijany, że miał zwolnione reakcje, ale szybko odzyskał równowagę i sam pchnął. Larkin nie ustępował.

- Weź te ręce, Tanithańczyku - warknął Cuu.

- Zostaw ją w spokoju.

- Ooo, dobra. Doigrałeś się w końcu, pewne pewniutkie.

Nie wyszło mu uderzenie. Larkin z łatwością uniknął ciosu i pchnął Cuu do tyłu, przez całą kuchnię. Upadł ciężko pod kredensem. Kilka talerzy i kubków rozbiło się, spadając na podłogę.

- Ty gówniarzu - powiedział Cuu, odruchowo sięgając po nóż. Cały ekwipunek zostawił jednak w pokoju dziennym.

Kiedy zdał sobie sprawę, że bagnetu, który próbuje namacać, nie ma przy pasie, Larkin uderzył lewym sierpowym, który przekreślił głowę Cuu i obalił go na ziemię. Cuu leżał tam, jęcząc i plując krwawą śliną na czerwone kafelki podłogi.

Larkin zatrzymał się. Mógłby to teraz zrobić. Miałby nawet dobrą wymówkę. Mógł z powodzeniem...

Starsza pani patrzyła jednak na niego. Ręce miała nad głową, w geście obrony, nadal jednak siedziała na krześle. Widział błysk oczu wpatrujących się w niego między powyginanymi palcami.

- Feth, dobra! - powiedział Larkin. - Nie zrobi pani krzywdy. Daję słowo, że nie zrobi. Podszedł do niej i schylił się, starając się ją uspokoić.

- Proszę, już dobrze. Naprawdę już dobrze. Ja...

Stracił przytomność. Nastąpiło głucho uderzenie, jakby stłumiony grzmot i stracił przytomność. Ocknął się, leżąc na stole, twarzą w dół. Tył głowy bolał naprawdę mocno. Nie mógł skupić wzroku. Próbował wstać, ale stracił równowagę i stoczył się ze stołu na podłogę.

Upadek go uratował. Cuu uniósł ciężką żeliwną patelnię do następnego ciosu i uderzył stół w miejscu, gdzie przed chwilą leżał Larkin. Pod uderzeniem patelni eksplodował kubek, posyłając naokoło odłamki porcelany i letnią kawę.

Larkin próbował odczołgać się od Cuu, ale Verghastanin poszedł za nim, biorąc zamach patelnią. Trafił Larkina w ramię. Snajper kopnął nogi Cuu.

Cuu schylił się i złapał Larkina za gardło. Z zaciśniętymi zębami Cuu uniósł Larkina i rzucił go na blat szafek. Przytrzymał go przedramieniem i znów walnął patelnią.

Larkin jęknął, czując pękające zebro. Kolejny cios i ból wybuchnął w lewym łokciu. Gdyby nie uniesiona ręka to patelnia właśnie roztrzaskałaby mu twarz.

- Ty gothlemy Tanithańczyku! Ty gówniarzu! Głupi sukinsynu!

- Cuu zasypywał go ciosami i obelgami w szaleńczej furii.

Nagle, Cuu krzyknął i padł, upuszczając patelnię z hukiem.

Metalowa kolba karabinu laserowego MK III trafiła go właśnie od tyłu między

nogami. Cuu upadł na podłogę, zwijając się i dławiąc z bólu, łzy toczyły się po jego pokiereszowanej twarzy. Zwinął się w kłębek, kurczowo trzymając się za krocze i wymiotował.

Kapiąc jeszcze deszczówką, Muril odwróciła karabin i wycelowała w czaszkę Cuu.

- Jeszcze trochę, Cuu, jeszcze trochę i użyję teraz tego końca.

- Co tu się, do Fetha, dzieje? - spytał Caffran ściągając kaptur, kiedy wszedł za Muril z dworu. Starsza pani rzuciła się nagle do otwartych drzwi, ale Caffran złapał ją delikatnie i posadził z powrotem. Nie protestowała.

Muril pomogła Larkinowi się podnieść. Trząsł się cały. Jeden policzek puchł mu i nabierał niebieskiego koloru, z nosa leciała krew. Na blacie została krew z rozbitej głowy. Muril podciągnęła krzesło i pomogła mu usiąść.

-Cuu... Cuu chciał ją skrzywdzić - jękał się.

Muril rzuciła spojrzenie Caffranowi.

- Łajdak o mało co nie zatłukł Larkina na śmierć. Jak byśmy nie przyszli na czas...

Caffran spojrzał na Cuu, który wciąż się zwijał i wydawał z siebie urywane jęki. Co kilka oddechów wymiotował na nowo, powiększając kałużę wymiocin przy swojej głowie.

- Feth - mruknął Caffran. Sięgał właśnie, żeby złapać Cuu kiedy do kuchni wpadli Feygor i Brostin. Obaj byli bardzo pijani, dużo bardziej niż Cuu. Feygor szedł z trudem. Zatrzymali się zamrugali, próbując objąć wzrokiem i zrozumieć rozgrywającą się przed nimi scenę.

- Gdzie jest fethowe jedzenie, Lijah? - odezwał się Feygor.

- Chcecie jeść? - spytał Caffran. - Przyniosę wam. Wracajcie do pokoju, a ja wam coś przyniosę.

Kiwając głową do przodu i do tyłu jakby miał gumową szyję, Feygor zmarszczył się i zrobił kilka niewyraźnych gestów wskazując coś naokoło.

- Co to do Fetha? - warknął, a jego syntezytor zabrzmiał szorstko i niewyraźnie, próbując poradzić sobie z pijacką mową. Patrzył na starszą panią i próbował skupić na niej wzrok. - Kto to jest do Fetha?

- Wygląda na to, że jesteśmy jej gośćmi, więc okaż trochę szacunku - powiedział Caffran. - Jest w podeszłym wieku i bardzo przestraszona.

Feygor prychnął.

- Co z Larkinem? I dlaczego Cuu się zwija?

- Cuu groził starszej pani odpowiedziała Muril. - Larkin próbował go powstrzymać i Cuu zaczął go tłuc patelnią.

- Musieliśmy go uciszyć - dodał Caffran, mając nadzieję, że jeśli zajdzie taka potrzeba przyjmie na siebie część gniewu Feygora.

- Cuu robił krzywdę starszej pani? - wybełkotał Brostin.

Wyglądało na to, że jest oburzony na samą myśl.

- Jest pijany - powiedziała Muril.

- To nie jest wymówka - stwierdził Brostin z zupełną pewnością.

- Kto to do Fetha jest? - chciał wiedzieć Feygor. Zrobił krok do przodu w jej kierunku. Caffran podtrzymał go ostrożnie.

- To właścicielka tego domu - powiedział. Nie miał co do tego pewności, ale taki przekaz miał ciężar gatunkowy, który mógł dotrzeć do otumanionego umysłu

Feygora.

- Skąd się wzięła?

- Cały czas to była. Ukryta.

- Fethowy szpieg! - rzucił Feygor, klaszcząc dłońmi. Starsza pani podskoczyła.

- Nie, sir.

- A ja mówię, że tak. Zakradła się i podpatrywała.

- Bo się nas bała. Czy ona wygląda jak szpieg Shadik?

- A skąd, u Fetha, mam wiedzieć? - powiedział Feygor. Stał sztywno i machał palcem. - Zamknijcie ją gdzieś. Zamknijcie ją. Przepytam ją rano.

- Nie możemy jej zamknąć - zaczęła Muril.

- Zamknijcie ją do Fetha - wybuchnął Feygor. - Kto tu jest dowódcą, suko?

Dobre pytanie, pomyślał Caffran.

Brostin pociągnął Feygora za rękaw.

- Nie możesz jej zamknąć, Murt. To nie byłoby w porządku. Nie starszą panią.

- To co mam zrobić?

- Ja jej przypilnuję. Zostanę z nią - powiedział Caffran. - Możesz z nią porozmawiać rano.

- Dobra - zgodził się Feygor, usatysfakcjonowany. Odwrócił się szerokim łukiem i ruszył do spiżarni. Słysząc było trzask rozbijanych słoików, gdy szukał tam jedzenia. Brostin postąpił chwilę i ruszył za Feygorem.

- Feth - mruknął Caffran. Spojrzał na Muril, która pokręciła głową. Caffran schylił się i pociągnął Cuu w stronę drzwi.

Wyrzucił krztuszącego się Verghastanina na deszcz.

- Wytrzeźwiej, Świnio - rzucił za nim. Cuu leżał na podwórzu, w ulewnym deszczu, skamląc jak pies.

Kiedy Cafiran wrócił do kuchni, starsza pani staranie zbierała przedmioty, które pospadały w czasie walki. Garnki wróciły na miejsce. Kawałki porcelany zostały pozbierane jeden po drugim.

- Właśnie zaczęła to robić - powiedziała Muril, przykładając dezynfekujące okłady z polowej apteczki do tyłu głowy Larkina.

Cafiran obserwował. Starsza pani wyrzuciła porozbijane kubki do śmieci, a później pozamiatała drobniejsze fragmenty.

Podniosła patelnię, której Cuu użył na Larkinie i powiesiła z powrotem na haku nad kuchnią. Poczłapała do pralni i wróciła z wiadrem i szmatą.

Caffran podszedł do niej i zabrał jej to. Nie opierała się.

- Niech mi pani pozwoli to zrobić - powiedział i zabrał się do zmywania wymiocin Cuu z kafelków.

Nie mógł pozwolić, żeby sama to robiła.

Było dobrze po północy. Burza powróciła z jeszcze większą mocą niż poprzedniej nocy. Rerval porzucił przeszukiwanie piętrowości. Nie było tam nic osobistego, nie licząc mebli i pościeli. Szafy były w większości puste. Prawie wszystkie pokoje na piętrze były wilgotne, niektóre wręcz zalane przez przeciekający dach. Woda leciała strumieniami. Powietrze śmierdziało pleśnią i gnijącą pościelą.

Oświetlił latarką hall i ściany pokoi. Było tam kilka obrazów, ale dostrzegł też

jaśniejsze owalne miejsca, gdzie kiedyś obrazy wisiały. W jednym z pokoi stał ozdobny zegar. Zatrzymał się na wpół do piątej. Błyszczące ornamenty przedstawiały dwóch żołnierzy w czapkach z piórami, stojących po obu stronach tarczy i podtrzymujących ją rękami.

Znalazł pomieszczenie, w którym sterty starej pościeli były całkiem suche. Było tam kilka fragmentów wojskowego wyposażenia i parę magazynków do snajperki.

Najwyraźniej tutaj Larkin zrobił sobie kryjówkę. Rerval niczego nie ruszył.

Zobaczył klapę w suficie i podciągnął krzesło. Zajrzał na strych i poświecił latarką. Strych pływał. Brakowało wielu dachówek. W świetle latarki zobaczył czarne, pokryte pleśnią belki, strumienie deszczówki i sterty gnijących rupieci. Postanowił nie marnować czasu.

Ruszył w kierunku schodów. Jak ona tu przeżyła tak długo?

Sama? Może samotność zrobiła spustoszenie w jej głowie?

Czy to dlatego nic nie mówiła?

Zszedł po schodach, unikając garnków i innych naczyń zbierających wodę. Błysnęła błyskawica. Z półotwartych drzwi do pokoju błyskało światło lampy, dochodziły głosy i stukanie szklanek. Słabsze światło wychodziło spod drzwi do jadalni.

Rerval zgasił latarkę i wyciągnął pistolet laserowy. Położył dłoń na klamce i ostrożnie otworzył drzwi. Pojedyncza świeczka stała pośrodku długiego stołu, tańczący płomień odbijał się od ciemnego, błyszczącego blatu.

Piet Gutes siedział samotnie przy stole z głową w dłoniach.

Koło niego stała do połowy opróżniona butelka czerwonego wina i leżały jakieś papiery.

- Gutes?

Gutes uniósł wzrok. Był pijany, ale to nie do końca tłumaczyło dlaczego ma czerwone oczy.

- Nic ci nie jest, Piet?

Gutes wzruszył ramionami.

- Nie ma znaczenia, dokąd się pójdzie - powiedział. - Zawsze cię znajdzie.

- Co cię znajdzie?

- Wojna. Wydaje ci się, że jest tak daleko, że nie może cię dotknąć, ale i tak cię znajdzie.

Rerval usiadł koło niego.

- Wojna to nasze całe życie, przecież wiesz. Pierwszy i Jedyne.

Gutes uśmiechnął się gorzko.

- Jestem zmęczony - powiedział.

- Prześpij się. Wszyscy...

- Nie, to nie tak. Zmęczony. Zmęczony tym wszystkim.

Kiedy nas tu przysłali...

- Na Główną Aexe?

- Nie, Rerval. Do tych lasów. Na tę misję. Kiedy nas tu przysłali, byłem wdzięczny.

Mogliśmy dostać parę dni spokoju, zostawić wojnę za sobą. Wyrwać się z jej objęć. A kiedy Ven i Jajjo znaleźli to miejsce... Feth, wyglądało jak raj. Raj na dzień lub dwa.

- Jasne.

Gutes zabębnił palcami po blacie i łyknął wina. Podał butelkę Rervalowi i ten też

wziął łyk.

- Wszystko wygląda w porządku z daleka – powiedział Gutes. - To znaczy, kiedy odejdziesz się odpowiednio daleko, nic nie ma znaczenia.

- Pewnie tak - zgodził się Rerval i oddał butelkę Gutesowi.

- Byłem daleko, kiedy Finra zginęła. I mała Foona.

- Finra? Twoja żona?

- Nie - zachichotał Gutes. - Moja córka. Moja żona umarła osiemnaście... nie, dziewiętnaście lat temu. Wychowałem Finre sam, wiesz? Chyba mi się udało. Była śliczną dziewczyną.

Foona, moje kochanie, moja pierwsza wnuczka.

Rerval zawahał się. Nie wiedział, co powiedzieć. *Jaka ironia, pomyślał. Jestem sygnalistą, oficerem radiowym. Komunikacja to moja specjalność. Nie mam jednak pojęcia, co mu powiedzieć.*

- Żałuję, że nie mam ich zdjęć - powiedział Gutes. - Nie było czasu, kiedy się zaciągnąłem. Na ostatnią chwilę. Ustaliliśmy, że mi przyśle potem przez *Munitorium*. Obiecała mi paczki. Listy.

- One nie cierpiały, Piet - powiedział Rerval.

- Wiem. Mały rozbłysk i Tanith umarła. Bang i dobranoc.

Tak jak mówiłem, nic nie ma znaczenia, jak się jest wystarczająco daleko. Znasz tę piosenkę? „Daleko, w górach”? Brin Milo czasem ją gra.

- Znam.

Płomień świecy zatańczył i o mało co nie zgasł. Rozbłysnął znowu, na czubku zaskwierczał wosk. Grzmot rozległ się ponad bębnieniem deszczu.

- Zawsze myślałem - mówił Gutes - że to ona dostanie list.

Moja córka. Jeden z tych co przychodzą w welinowej kopercie.

Ten, w którym jest napisane: „Bła, bla, bla. Z przykrością informujemy, że pani ojciec itd. ”.

- Ten list - Rerval skinął głową i łyknął znów z butelki.

-Wygląda na to, że wyszło odwrotnie. Tyle, że ja nie dostałem listu. Zobaczyłem tylko z bardzo daleka błysk.

- Powinieneś się przespać - powiedział Rerval.

- Wiem. Wiem, Rerval.

- No to chodź.

- Daleko. Jesteśmy tutaj daleko. Tak właśnie myślałem. Szansa, żeby w końcu pobyć z daleka, na parę dni. Ale to nie ma znaczenia dokąd pójdziesz. Zawsze cię znajdzie.

Przesunął stare papiery w stronę Rerval. Kartka listu, brązowa od upływu lat, i koperta. List był ozdobiony godłem Przymierza Aexe.

Rerval przeczytał go.

- Feth, gdzie to znalazłeś?

- Na stoliku, w hallu. Był tam kiedy tu przyszliśmy. Nie zwróciłem wcześniej uwagi. Data w nagłówku powiedziała Reivalowi, że został wysłany prawie siedemnaście lat temu. Zaczynał się tak: „Szanowna Pani Pridny, w imieniu Dowództwa Sztabu Generalnego Przymierza Aexe z przykrością informuję, że pani syn, kapral Masim Pridny, został uznany za zaginionego w akcji w Loncort...”

- Przestało padać - stwierdziła Muril. Przez okna kuchni przesączał się blask przedświt.

Starsza pani spała, skulona na ławce. Larkin siedział pochylony przy stole, ściskając szklankę sakry. Siniaki na twarzy zrobiły się prawie czarne, a rana na potylicy wyglądała fatalnie.

Wszyscy inni dawno spali, oprócz Caffrana i Rervalą stojących na warcie.

Muril podniosła się i używając szmaty otworzyła drzwiczki kuchni. Dorzuciła kolejne polana do ognia i rozłożyła je równomiernie pogrzebaczem.

- Jak się masz? - spytała.

- W porządku - powiedział Larkin. Nadal studiował list pokazany im wcześniej przez Rervalą. - Biedna kobieta, czeka od tak dawna... siedemnaście lat... czeka na syna.

- Myślisz, że to dlatego stąd nie odeszła?

- No, tak myślę. Czeką w domu na syna, który nigdy nie wróci.

- Biedna kobieta-zgodziła się Muril, spoglądając na śpiącą postać. Usiadła naprzeciwko Larkina.

- Opowiedz mi o Cuu.

- Cuu?

- Gothlery Lijah Cuu. O mało cię nie zabił, Larks. Nie poszło o jakąś starą kobietę, prawda?

- Był pijany. Robił jej krzywdę.

- A jednak... jest w tym coś jeszcze, prawda?

Larkin wzruszył ramionami. Gest okazał się bolesny. Muril żałowała, że nie ma z nimi Dordena, Cruth albo chociaż sanitariusza, żeby mogli zbadać zębra i łokieć Larkina.

Oraz jego głowę.

- Nie wiem o co ci chodzi - powiedział.

- Chodzi mi o to - odparła - że między tobą i Cuu coś jest. Wszyscy to widzą. Nie wiem kiedy i jak to się zaczęło, ale coś między wami jest.

- Coś?

- Wendeta.

- Być może.

- Och, gothlera, Larks! Mogę ci pomóc!

- Pomóc? Nie Muril, lepiej żebyś mi nie pomagała. Lepiej, żeby nikt się nie wplątał w to co robię.

- Co robisz? To znaczy, po jasną gothlerę zgłosiłeś się na ten patrol, wiedząc, że Cuu też tu będzie?

Larkin uśmiechnął się. Łyknął ze swojej szklanki. Muril zobaczyła krew wykwitającą na przezroczystym płynie kiedy odsunął naczynie od ust.

- To znaczy... jest między waszą dwójką słynna wendeta, o której wszyscy wiedzą.

Traktuje cię jak gówno. I nagle zgłaszasz się na ochotnika do oddziału, kiedy wiesz, że on tu będzie. Na ogół robisz co możesz, żeby być jak najdalej, ale teraz to jakbyś chciał być blisko, jakbyś chciał... o gothlera!

- Teraz zrozumiałaś - uśmiechnął się Larkin.

Muril pobladła.

- Co ty do gothlery zamierzasz?

- Nic, o czym musiałabyś wiedzieć. Zapomnij o tym.

- O nie, Hlaine! O co w tym chodzi?

- Zapłata - odparł.

- Zapłata? Za co?

- Nie ma znaczenia. Powiniennem zmienić Caffrana. - Dopił sakrę i wstał.

- Z twoją głową? Jesteś pewny?

Usiadł z powrotem, mrugając i ostrożnie pomacał palcami tył głowy.

- Może nie.

- No to opowiedz mi o tej zapłacie.

- Nie zrozumiesz.

- Przekonajmy się.

Larkin uśmiechnął się.

- Jesteś dobrą dziewczyną, Muril.

- Tak mi mówią. Nie zmieniaj tematu. Zapłata.

- Co ja ci mogę powiedzieć? Na przykład, jakbym powiedział, że chcę wyrównać rachunki za to, jak Cuu prześladował mnie od pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy? To by było w porządku? Zatrul mi życie, zaszczuł mnie, wdeptał w ziemię. Tyle by wystarczyło?

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak. Cuu to łajdak. Drapieżnik. Wyżywa się na wszystkich, na których może. Caff go nienawidzi, wiesz? Po tej sprawie na Phantine. Wiem, że Gaunt wybronił Cuu, ale Caff jest przekonany, że Cuu zabił tę kobietę. A Caff sam mało co nie poszedł za to pod ścianę.

- Ja go uratowałem - powiedział Larkin. - Razem z Szansą.

To dzięki nam umorzono sprawę Caffrana i Cuu poszedł na jego miejsce. Bragg na niego doniósł. Wtedy Gaunt wybronił Cuu z powodu błędów proceduralnych.

Załatwił mu chłostę zamiast plutonu egzekucyjnego. Dlatego Cuu mnie nienawidzi.

Ma do mnie pretensje o chłostę. Do mnie i Szansy.

- I teraz kiedy Bragg odszedł, skupił swoją nienawiść na tobie?

- Niby tak - odparł Larkin z uśmiechem, który wcale się Muril nie spodobał.

- To dlatego chcesz...

Larkin uniósł palec.

- Nigdy tego nie powiedziałem. A może chcę odpłaty na Cuu, bo jestem szalony?

Wszyscy wiedzą, że jestem szalony.

„Szalony Larkin”, wiesz, jak to idzie.

- No tak, ale...

- Mam nie po kolei w głowie. Wszyscy to wiedzą. Może chcę dostać Cuu, bo jestem szalony.

- Nie jesteś szalony.

- Dzięki, ale tego nikt nie stwierdził ostatecznie. Dla mnie nie ma to znaczenia. Może jestem wariatem. Miej się na baczności, Lijahu Cuu.

- A jaki jest prawdziwy powód? - spytała.

Larkin zawahał się. Chciał jej powiedzieć, ale wiedział, jak inni go traktują. Szalony Larkin. Nie można na nim polegać.

Wariat. Głowa go bolała.

- Zabił Bragga - powiedział po prostu.
- Co zrobił?
- Nie mogę niczego udowodnić. Nic, a nic. Ale z tego, co mi powiedział, to zabił Bragga. Za to, że na niego doniósł. I teraz chce mnie też dopaść. No to pomyślałem, że nie ma na co czekać i uderzę pierwszy.
Wpatrywała się w niego.
- Poważnie?
- Ja w to wierzę. Ty nie musisz. Po prawdzie, to pewnie właśnie dałem ci dowód na to, że jestem jednak szalony.
- Nie - powiedziała. Pochyliła się do niego.
- Larks... powiedz o tym Gauntowi. Gauntowi albo Corbecowi, albo Daurowi. Oni ci pomogą. Nie rób czegoś, czego będziesz żałował.
- Tak jak zabicia Cuu, zanim on zabije mnie? Za późno. I nieważne, w co Gaunt, Corbec i Daur uwierzą. Z tym, co mam, nie będą mogli nic zrobić. Nie sądzisz, że już o tym pomyślałem? Jest jak jest.
Wstał niepewnie i wziął długą snajperkę.
- Dzięki, że walnęłaś Cuu - powiedział - ale zrób coś dla mnie jeszcze. Zapomnij o tej całej rozmowie. Tak będzie lepiej.

Jasne światło poranka rozlało się po trawnikach dworku. Z mokrej trawy podniosła się mgła. Dostrzegł ruch kącikiem oka. Nic dużego, mignięcie czegoś.

Drobne mignięcie.

Caffran zostawił posterunek wartowniczy w szklarni i pobiegł przez główny trawnik. Ze wszystkich stron otaczały go poranne śpiewy ptaków. Dotarł do jednej z najbardziej oddalonych szop i szarpnięciem otworzył drzwi.

- Wychodź! Już! - rzucił, z wycelowanym do środka karabinem.

Żołnierz Przymierza był młody i bardzo brudny. Miał brudną, skołtunioną brodę.

Wyszedł na zewnątrz mrugając oczami, z podniesionymi ponad głowę rękami.

- Nie róbcie jej krzywdy - powiedział. - To nie jej wina.

- Zamknij się i oprzyj rękami o ścianę! - warknął Caffran.

Żołnierz odwrócił się i oparł o boczną ścianę szopy.

Caffran obmacał go. Cały czas trzymał karabin oparty na jego plecach.

Nagle zatrzeszczał komunikator.

Odsunął się i poprawił ustawienia komunikatora.

- Powtórz? Powtórz? - wołał.

Komunikator zabrzączał znowu i usłyszał jedno słowo.

„Zapłata”.

WSZĘDZIE, BYLE NIE TUTAJ

Jestem dzielnym wojakiem, Serdecznie kocham swój kraj, Pchnij mnie wojennym szlakiem, sir; Wszędzie, byle nie tutaj
referen popularnej piosenki z Aexe

Dziewięciu nieżywych. Sześciu rannych. Trzech kolejnych z obrażeniami od gazu spowodowanym przez uszkodzenie ekwipunku. Siedemnasty pluton był w rozsypce. I Raglon o tym wiedział. Gaunt widział, że nowo mianowany sierżant jest wstrząśnięty i potwornie zawstydzony. Pierwsze dowództwo na polu walki skończył z mniej niż połową stanu osobowego plutonu.

Siły Gaunta zajęły ponure ruiny młyna Santrebar. Cztery plutony obsadziły stanowiska przy oknach i innych otworach, z których można było prowadzić ostrzał. Dorden wybrał sześciu żołnierzy do pomocy przy rannych z plutonu Raglona. Dwóch było bliskich śmierci. Sicre i Mkwyl, nie było dla nich nadziei. Dorden przywołał Zweila.

Zbliżała się 19: 00 i zaczynało się ściemniać. Stłumiony łoskot kontrnatarcia wciąż niósł się po ziemi niczyjej, na południe od nich. Nie ustawał też głęboki huk super ciężkich dział. Wszystko było nadal zamknięte w żółtawych oparach gazu.

Wkrótce zaczęło padać. Światło zmieniło się, niskie żółtawe niebo nabrało miękkiego rumieńca. Przypomniało to Golkemu sposób w jaki mokrym pędzlem można zmienić akwarelę. Malowanie było, wiele lat temu, jego hobby. Stał, wyglądając przez jedno z niskich okien młyna, prawie podziwiając ten widok. Był może trudny do pokochania, ale coś w nim było. Ciemny, rdzawy teren, brudnobiałe niebo powoli nasycające się niebieskawą szarością.

Obciążony bojową kolczugą, ciężkim płaszczem i maską przeciwgazową czuł się wyobcowany. To była ziemia, o którą walczył przez całe swoje dorosłe życie. Tak daleko, jak sięgał wzrokiem, nie było nic oprócz wojennych zniszczeń. To nie było pole bitwy, ten krajobraz został przemieniony przez brutalną magię niekończącej się walki. Ograbiony, spalony, zatruty, zniekształcony, zamordowany.

Dziwił się sam sobie, dlaczego w takim razie podziwia to przedziwne piękno. Z pewnością nie był to siedzący w nim malarz amator ze swoją trywialną estetyczną obserwacją. To jest Kocioł, powiedział sobie. Kocioł Seibera. Morderczy kawałek kraju, który obrabował go z przyjaciół, żołnierzy i zdrowia.

Opuścił to miejsce jako wypalony wrak, tak przerażony tutejszą grozą, że od tamtej pory wciąż był pod opieką lekarza. Wspomnienia wciąż targały umysłem.

Próbował sobie wyobrazić, jak to miejsce znów żyje. Za dziesięć lat, piętnaście, sto... ile będzie potrzeba. Próbował sobie wyobrazić koniec wojny, pokój stopniowo przywracający panowanie natury. Drzewa. Lasy. Jakiegokolwiek życie.

Golke potrafił to sobie wyobrazić, ale nie była to przekonująca wizja. Jediną prawdą był obraz tego zniszczenia.

Wiedział, dlaczego ma to dla niego takie znaczenie. Kocioł prześladował go przez lata, zakradając się do nocnych koszmarów i snów. A teraz wrócił, żeby stawić mu

czoła. To dlatego tak naprawdę zgłosił się na ochotnika, żeby towarzyszyć Gauntowi. Rodzaj terapii. Wrócił, żeby stawić czoła swoim demonom, zanegować je, odegnąć. Wrócił, żeby odzyskać coś utraconego w młodości. Kocioł był piekłem, nieprawdopodobnie wstrętną ruiną. Jednak dostrzegał już w nim jakieś piękno. Zrobił pierwszy krok. Patrzył na krajobraz swoich koszmarów i nie zamarł w przerażeniu. Był w stanie to zrobić. Potrafi złamać Kocioł, tak jak on złamał kiedyś jego.

Dwa miesiące wcześniej, adiutanci wyciągnęli go na wieczorne przedstawienie w Ongche. Do miasta zjechała popularna grupa i przekonali go, że będzie mu się podobało. Krzykliwie pomalowany teatr wypełniony był głośnymi żołnierzami na przepustkach, ale Golke oglądał przedstawienie w łożu na balkonie. Było dość zabawne, żołnierzom podobało się, jakby była to najlepsza rzecz pod słońcem. Magik, trupa akrobatów, wirtuoz smyczka, komik z tresowanymi psami, śpiewacy, orkiestra, raczej słaby sopran. Słynny kabareciarz w za małym kapeluszu, robiący żarty na temat obyczajów seksualnych i higieny Shadik przy wtórze hucznych oklasków. Następnie wystąpiła dziewczyna, drobna dziewczyna z Fichua, gwóźdź programu. To na nią, poinformował go adiutant w podnieceniu, czekali chłopaki. Nic nadzwyczajnego, dziecko w szerokiej spódnicy i bluzce. Ale jej głos...

Zaśpiewała trzy piosenki. Były śmieszne, zuchwałe i patriotyczne.

Ostatni był kawałek, który Golke słyszał czasami śpiewany przez żołnierzy. Ironiczny tekst na temat spełniania obowiązku, w którym żołnierz zapewniał przełożonego, że był gotów walczyć, ale wyrażał życzenie robienia tego w jakimś bezpieczniejszym miejscu. Zwrotka szła jakoś tak: „Chcę znaleźć miejsce, gdzie będę walczył, wszędzie, byle nie tu”.

Tłum oszalał. Drobna dziewczyna z Fichua bisowała z tą samą piosenką. Na scenę poleciały kwiaty. Piosenka zapadła mu w pamięć. Golke zaczął nucić pod nosem. „Wszędzie, byle nie tutaj, wasza wysokość, wszędzie, byle nie tutaj”. Trzy bisy i dobranoc.

Miał ją teraz w głowie. Refren powtarzał się w kółko. „Wszędzie, byle nie tutaj”. Rozumiał dobrze, dlaczego żołnierze, jak jeden mąż sentymentalni głupcy, tak jak wszyscy żołnierze po służbie, uwielbiali ją. Była chwytna i wesoła. Wyrażała ich skryte marzenia. Pozwalała im śmiać się z najgłębiej ukrytych i najlepiej strzeżonych życzeń. Melodia zamarła mu w głowie. Kiedy tak patrzył na niedolę Kotła, po prostu ucichła. Golke dostrzegł jej fałsz. To tutaj chciał być. To tutaj musiał być. Nie „wszędzie, byle nie tutaj”.

Właśnie tutaj. I właśnie teraz.

Deszcz przybierał na sile, syczał na zatrutej ziemi, wlewał się przez rozwalone koryto strumienia we młynie. Był tak intensywny, że w piętnaście minut powietrze się oczyściło, a niebo zrobiło się większe i bardziej szare.

Dorden użył analizatora powietrza i ogłosił, że stężenie gazu opadło poniżej niebezpiecznego poziomu. Żołnierze z wdzięcznością zaczęli odpinać maski. Powietrze było zimne i wilgotne, wciąż metalicznie pachniało gazem, zgnilizną i nasiąkniętą ziemią. Niektórzy z żołnierzy poczuli taką ulgę po zdjęciu masek, że zaczęli się śmiać i gadać. Gaunt wysłał Beltayna dookoła młyna z rozkazem, żeby byli cicho.

Zweil, znów z gołą głową, pobłogosławił niebo i wrócił do Sicre i Mkwyla. Obaj już

nie żyli i zdążył odprawić odpowiednie obrzędy. Teraz je powtórzył.

- Żeby mnie słyszeli - powiedział Dordenowi.

Robiło się ciemno. Nie licząc snujących się dymów artyleryjskich, mieli widoczność na kilka kilometrów. Niebo robiło się czarne i widać było światła na obu liniach, swojej i wrogiej.

Na wschodzie fałszywy brzask flar podświetlał krajobraz na biało. Z południa nadchodziły światła kontrnatarcia. Za wschodnim horyzontem, olbrzymie rozbłyski z super dział rozświetlały okolicę.

Nad głowami, w ciemnym, błotnistym błękicie, Gaunt widział gwiazdy, po raz pierwszy odkąd postawił stopę na Głównej Aexe. Mrugały i rozmazywały się w dymach rozwiewających się w górnych warstwach atmosfery, ale mógł je dostrzec. Co jakiś czas czerwone i pomarańczowe linie przecinały niebo znacząc lot rakiet. Cześć Linii Peinforq - sektor 56, jak zgadywał Gaunt - zaczął rozbłyskać, kiedy rozpoczęli ostrzał. Słysząc było jęk i wizg lecących pocisków. Na skraju linii Shadik zaczęły wykwiatać ognie. Zagrały gdzieś moździerze. Rozgadały się *feldkannony*. Zaczęła się kolejna noc na froncie.

- Co się stało? - spytał Gaunt. Zaprowadził Raglona w spokojniejszy kąt młyna i posadził na ziemi. Raglon był potwornie spięty i trząśnięty.

- Przepraszam, sir - powiedział.

- Za co?

- Za to, że tak fethowo wszystko popsułem.

- Zostawcie to, sierżancie. Co się wydarzyło poprzedniej nocy?

Mocno oberwaliśmy. Szliśmy opuszczonym okopem i wpadliśmy prosto na przeciwnika. Walka nie trwała długo. Ale była bardzo gwałtowna. W tę i z powrotem, prawie w jednym szeregu. Wydaje mi się, że nieźle im dokopaliśmy. Uciekli i ruszyliśmy na północ, niosąc rannych, mając nadzieję dołączyć do dziesiątego. Słyszeliśmy, że Criid zajęła młyn.

- I co dalej?

Raglon westchnął.

- Nie wiem o ile się spóźniłem, ale już ich nie było. Nieprzyjaciel zaczął ostrzał.

Musieliśmy się kryć. Wydawało się, że to właściwy wybór. Myślałem, że mam szansę utrzymać młyn, nawet z połową stanu.

- Jakiś kontakt w nocy?

- Żadnego, sir.

Gaunt skinął głową.

- Zostawiłeś kogoś, Raglon?

- Nie, sir!

- W takim razie myślę, że dobrze się spisałeś. Przestań się za to winić.

Raglon spojrzał na Gaunta.

- Myślałem, że mi pan natychmiast zedrze pagony.

- Za co, Rags?

- Za przesranie sprawy. Za utratę tylu ludzi.

- Jedna z moich pierwszych akcji. Na jednej z moich pierwszych prawdziwych akcji, gdzie dowodziłem, rozumiesz, prowadziłem dziesięcioosobowy oddział Hyrkanów w

lasy na Folion. Powiedziano nam, że były już oczyszczone. Nie były. Straciłem siedmiu ludzi. Siedemdziesiąt procent strat. Nienawidziłem się za to, ale zachowałem stopień. Oktar wiedział, że po prostu znalazłem się w niewłaściwym miejscu. To się zdarza. Zdarza się to każdemu w Gwardii, wcześniej czy później. Kiedy masz władzę, to wydaje się, że ma to jeszcze większe znaczenie. Dobrze się spisałeś. Miałeś po prostu pecha. Raglon przytaknął, ale wciąż zdawał się poruszony.

- Nienawidzę odpowiedzialności.

- Za zabitych?

- I błąd...

Gaunt zrobił przerwę.

- Raglon, to twój pierwszy sprawdzian dowództwa. Nie walka, nie to, co zrobiłeś później. Testem jest prawda. Jeśli wszystko odbyło się tak jak powiedziałeś, to w porządku. Jeśli kogoś kryjesz, to nie jest w porządku. Jeśli chcesz być oficerem w moim regimencie, to musisz mówić prawdę, od samego początku. A więc... czy jest coś jeszcze co chciałbyś mi powiedzieć?

- Ja byłem dowódcą, sir.

- Tak, byłeś. To kto fethowo nawalił?

- Ja. Ja byłem dowódcą.

- Sierżancie, cechą dobrego dowódcy plutonu jest, że potrafi on rozpoznać słabości i dać o nich znać swojemu oficerowi. Wiem, że jest ci ciężko, musisz żyć z bólem. Jeśli jednak masz słabe ogniwo, to mi powiedzcie to teraz.

Raglon westchnął.

- Myślę, że tak czy inaczej wpadlibyśmy na szturmowców Shadik, chociaż mówiono mi, że zwiadowca Suth dał sygnał odpowiednio wcześniej. Byłem za daleko w szeregu. Z tego, co rozumiem, szeregowy Costin wydał naszą pozycję.

- Jak?

- Pil na służbie, sir. Wydał naszą pozycję, nie zachowując odpowiedniej dyscypliny zwiadu.

Gaunt skinął głową i wstał.

- Na miłość Imperatora, sir! - jęknął Raglon. - Nie!

- Sierżant Adare, niech Imperator da mu wieczne odpoczywanie, poinformował mnie o nałogu Costina w zeszłym roku. Adare powinien był się tym zająć. Ja powinienem był się tym zająć. Powinienem cię przynajmniej ostrzec o tym, kiedy obejmowałeś siedemnasty. To głównie mój błąd, w następnej kolejności Adare, a nie twój. A przede wszystkim Costina.

- Sir...

- Mów.

- Mam tylko połowę plutonu po tej akcji. Niech pan, proszę, nie zmniejsza liczby tych, którzy przeżyli.

Gaunt położył dłoń na ramieniu Raglona.

- Wykonuj swoje obowiązki i niczego nie żałuj. Ja wykonam moje. Będziesz pierwszej klasy dowódcą plutonu, Raglon.

Gaunt odszedł w głąb młyna. Mkoll pospieszył za nim.

- Sir?

- Za chwilę, Mkoll.

Gaunt dotarł do obskurnej wnęki w betonowej ścianie, gdzie leżał Costin. Dorden zmieniał opatrunek na strzaskanej dłoni żołnierza.

Doktor spojrział w górę i rozpoznał ponury wyraz twarzy Gaunta.

- Nie - powiedział wstając. - Nie. Nie ma mowy, Gaunt. Nie teraz. Wykrwawił się prawie na śmierć, a ja spędziłem ostatnie dwadzieścia minut zszywając mu dłoń.

- Przykro mi - powiedział Gaunt.

- Nie ma fethowej mowy! Powiedziałem że nie! Nie pozwolę ci tego zrobić! Gdzie jest twój humanizm? Szanuję cię, Gaunt! Szedłem za tobą na koniec wszechświata, bo nie byłeś taki jak inni! Tamto gówno w szpitalu polowym... tamto mogłem zrozumieć! Nienawidziłem cię za to, ale ci wybaczyłem! Ale tego nie.

- To znaczy, że się przyznał?

- Wszystko powiedział - Dorden spojrział na Costina. - Powiedział mi. Jest w szoku. Żałuje. Prawdopodobnie jest bliski samobójstwa.

- Samobójstwo nie wchodzi w grę. Jego nieostrożność spowodowała śmierć kilku Duchów.

- No i co? Zastrzelisz go za to?

- Tak - powiedział Ibram Gaunt.

Dorden stanął przed Costinem.

- W takim razie po moim trupie. No dalej, ty sukinsynu. Na co czekasz?

Gaunt wyciągnął pistolet z kabury.

- Niech pan się odsunie, doktorze.

- Nie odsunę się. Niech cię Feth, nie odsunę się.

- Niech się pan odsunie, doktorze, albo każę pana odsunąć.

Dorden pochylił się, stojąc na palcach, tak że mógł spojrzeć Gauntowi prosto w oczy.

- Zastrzel mnie - warknął. - No dalej. Sprzeciwiam się twoim rozkazom. Jeśli Costin zasługuje na kulę za niewykonanie twoich rozkazów, to ja też. Więc strzelaj. Albo niech się wszyscy dowiedzą, że nie stosujesz równych standardów. Jedne zasady dla jednych, inne dla drugich.

Gaunt nawet nie mrugnął. Wolnym ruchem uniósł pistolet aż lufa dotknęła jabłka adama Dordena.

- Upiera się pan przy sprawie, przy której nie należy się upierać, doktorze. Jest pan bardzo ważną częścią Pierwszego, wszyscy na panu polegają. Jest pan kochany przez żołnierzy. Uważam, że mam szczęście, mogąc pana nazywać przyjacielem. Jeśli się pan jednak uprze przy swoim, to pana zastrzelę. To jest mój obowiązek. Obowiązek względem Gwardii, Mistrza Wojny, Boga-Imperatora Ludzkości. Nie mogę robić wyjątków. Nie dla Costina. Ani dla pana. Proszę, doktorze... niech się pan odsunie.

- Nie.

Gaunt uniósł jeszcze trochę pistolet tak, że Dorden zmuszony był odchylić głowę do tyłu.

- Proszę, doktorze. Niech się pan odsunie.

- Nie.

- Jesteśmy zwierciadłami, Tolin, ty i ja. Zwierciadłami wojny. Ja je niszczę. Ty je składasz do kupy. Na każdy gram twojej duszy, który życzy sobie, żeby wojna się skończyła, moja robi to dziesięciokrotnie. Jednakże dopóki zabijanie się nie skończy, nie cofnę się przed wypełnianiem mojego obowiązku. Nie pozwól, żeby kula, którą

wystrzelę była tą, która zabije Tolina Dordena.

- Ty byś mnie naprawdę zabił - zdumiał się Dorden cicho - prawda?

- Tak.

- A niech cię Feth... tym bardziej będę tu stał.

Palec Gaunta zacisnął się na spuście.

Mocniej. I mocniej.

Odwrócił się i opuścił broń, przełączając bezpiecznik.

- Tolin - odezwał się cicho. - Właśnie podważyłeś przed moimi żołnierzami mój autorytet. Osłabiłeś go. W głębi serca cieszę się, że nie mogłem cię zastrzelić z powodu naszej przyjaźni. Mam jednak nadzieję, że jesteś przygotowany na konsekwencje.

- Nie będzie żadnych konsekwencji, Ibram – odparł Dorden.

- Och tak, będą - rzucił Gaunt. - Zdecydowanie będą.

Mkoll stał w pobliżu, zaalarmowany konfrontacją. Przez chwilę myślał, że Gaunt każe mu odsunąć Dordena. Nic musiał się tego obawiać. Gaunt nigdy nie angażował innych do swoich osobistych pojedynków.

Niedobrze się stało. W całym Pierwszym nie było nikogo, kto podniósłby broń na doktora Dordena. Sama myśl była szaleństwem. Czas pokaże, do czego doprowadzi utrata twarzy przez Gaunta.

Impas pokazał, że Gaunt był człowiekiem. Ironiczne było to, że wcale nie musiało to okazać dla niego korzystne. Jeszcze bardziej ironiczne było to, że większość Pierwszego i tak to już wiedziała.

Gaunt stał samotnie przez kilka minut. We młynie żołnierze szeptali między sobą. Komisarz-pułkownik odwrócił się nagle i ruszył z powrotem w kierunku Costina. Zapadła cisza.

Dorden uniósł wzrok znad kolejnego żołnierza, którego opatrywał.

Wstał, ale Milo go zatrzymał.

- Nie - wyszeptał. - Nie zaczynajcie od nowa.

- Ale...

- Milo ma rację - powiedział Mkoll podchodząc do nich. - Nie trzeba.

Gaunt przykucnął nad Costinem i zdjął czapkę. Pogładził daszek.

Costin leżał pod ścianą usianą śladami po kulach. Na jego twarzy było widać strach silniejszy od bólu.

- To jest regiment, z którego można być dumnym, Costin - odezwał się w końcu Gaunt.

- Tak jest, sir.

- Wspieramy się nawzajem. Pilnujemy się nawzajem. Zawsze tak to robiliśmy.

Podoba mi się, że tak to robimy.

- Tak jest, sir.

- Doktor jest moim przyjacielem. Nie zgadzamy się we wszystkim, ale to jest właśnie oznaka przyjaźni, czyż nie? Sądzę, że zasłużyłeś na egzekucję. Tu i teraz, z powodu twojego zaniedbania. Doktor uważa inaczej. Nie zastrzelę go. Okazuje się, tak naprawdę, że nie mógłbym, nawet gdybym uważał, że tak by należało. W związku z

tym jestem w kłopotach. Muszę być konsekwentny. Jeśli nie zastrzelę go za złamanie moich rozkazów, to również nie mogę zastrzelić ciebie za to samo, prawda? Możesz w takim razie uważać, że masz szczęście.

- Uważam tak, sir.

- Powinieneś także wiedzieć, że mam cię w najgłębszej pogardzie, za to co zrobiłeś. Nigdy nie będę ci już mógł zaufać. Twój dowódca nie będzie ci mógł zaufać. Wielu może cię znienawidzić. Lepiej oglądaj się za siebie.

- Tak jest, sir.

Gaunt założył z powrotem czapkę na głowę.

- Traktuj to jako pierwszą i jedyną szansę. Weź się w garść. Od zaraz. Bądź modelem idealnego żołnierza. Udowodnij Dordenowi, że miał rację. Jeśli kiedykolwiek zobaczę, że pijesz albo dowiem się o tym od innych, czy to na służbie, czy po, to dopadnę cię jak bóg zemsty. Decyzja należy do ciebie.

- Sir?

- Co?

- Jest mi... jest mi przykro. Naprawdę przykro.

Gaunt wstał.

- Słowa, Costin. To tylko słowa. Działanie ma większe znaczenie. Nie mów mi, że ci przykro. Niech ci będzie przykro

Dobra rada, zadumał się Gaunt, dołączając do Mkolia. Działania, nie słowa.

Czas upływał i zanosilo się na to, że mogą stracić uzyskaną wcześniej przewagę. Albo ruszą teraz na linie Shadik, albo mogą wracać.

Gaunt wezwał Golkego, Beltayna i dowódców plutonów, żeby do niego dołączyli.

- Na podstawie rozbłysków oceniam, że działa są oddalone o około siedem kilometrów, sir-zaczął Mkoll. - Na północny wschód. Biorąc pod uwagę ich zasięg, może to być więcej, ale rozbłyski są jaśniejsze niż ostatnim razem, kiedy je widziałem, więc wygląda na to, że się nie ruszają.

- To są ciężkie działa. Na szynach. Czy Shadik mają w tym rejonie tory, hrabio?

Golke wzruszył ramionami.

- Przed laty po wschodniej stronie doliny Naeme była linia kolejowa, ale teraz? Od dziesięcioleci nikt z Przymierza nie widział, co się dzieje po drugiej stronie frontu. Nawet nasz zwiad powietrzny jest ograniczony. Mogli oczywiście zbudować coś specjalnie do tego celu.

- Jak się tam dostaniemy? - spytał Gaunt, oczekując opinii innych.

- Trzeba by iść przez ziemię niczyją - odezwał się Domor.

- Jakies półtora kilometra stąd. Jest gdzie się kryć, oprócz ostatnich kilkuset metrów. Musielibyśmy iść powoli, sposobem Duchów.

- A co z tym tunelem, Criid? - spytał Gaunt.

Zaprowadziła ich z powrotem do młyna i pokazała zwały gruzu znaczące wylot tunelu.

- Mam wszelkie podstawy, żeby sądzić, że prowadzi bezpośrednio do ich linii

- powiedziała. - Ukryte przejście do młyna dla patroli obserwacyjnych.

Sprawdziłabym to zeszłej nocy, jeśli byłby czas, ale nie było, więc go zamknęłam.

- Coś, za co chłopaki Raglona są z pewnością wdzięczni.

Użyłaś pojedynczego ładunku?

- Tak, sir.

- Czyli, jeśli oczyścimy wejście, reszta powinna być w porządku?

- Będą go pilnować - odezwał się Golke. - Może nawet sami próbują go teraz oczyścić.

Mkoll pokręcił głową.

- Nic nie słyszę. Żadnych dźwięków łopat ani kilofów. Myślę, że po prostu założyli, że teraz my trzymamy młyn. Albo to, albo nie mieli jeszcze czasu wysłać saperów.

- Jeśli pódziemy tędy, możemy się do nich dostać dużo szybciej - zastanawiał się Gaunt. - Na końcu będzie ciężko, którądy byśmy nie poszli. Myślę, że lepiej pójść pilnowanym tunelem i spróbować szczęścia. Alternatywą jest, jak mówił Domor, marsz prosto na linię, a to może być naprawdę nieprzyjemne.

- Musimy jeszcze oczyścić wejście - powiedział Golke.

Gaunt uśmiechnął się.

- Szansa dla żołnierzy z Vergahst w Pierwszym, żeby pokazali, co potrafią. Arcuda... zbierz wszystkich, o których wiesz, że byli górnikami lub hutnikami. Potrzebujemy sześciu, siedmiu. Nie trzeba więcej, bo tylko wchodziliby sobie w drogę. Niech Dremmond i Lubba ich kryją. Wypalą dziurę, jeśli tylko coś się tam ruszy.

Arcuda skinął głową i odszedł pospiesznie.

Gaunt obrzucił spojrzeniem resztę.

- Kiedy ruszymy, będziemy działać płynnie. Szybkie uderzenie. Wykorzystując okazję. Wszyscy muszą być gotowi, żeby improwizować. W najlepszym wypadku znajdziemy te działa i wepchniemy kij w ich szprychy. W najgorszym, po prostu je znajdziemy i przekazemy ich dokładne położenie Przymierzu. Wszystko jasne? Plan minimum to zlokalizować. Pytania?

- Co z rannymi? - spytał Mkoll. W siedemnastym było siedmiu ludzi niezdolnych do chodzenia.

- Zostają tutaj. Zweil zostaje z nimi razem z tylną strażą. Ja ich wybiorę. Coś jeszcze?

- Jedna rzecz, która może być przydatna, sir - odezwał się Beltayn. - Monitorowałem aktywność radiową. Jakies pięć minut temu Przymierze rozesłało sygnał „samotny *behj*”.

- I co to ma oznaczać?

- Kolejne natarcie - wyjaśnił Golke. - Kontrnatarcie musiało przynieść rezultaty w 57. Sztab Generalny musiał zdecydować, żeby pójść za ciosem i posłać drugą falę. Jaki był kod oznaczenia, Beltayn?

- Jedenaście jeden przecinek dwa, sir.

Golke skinął głową wyraźnie pod wrażeniem.

- Idą pełną parą. Z 57 i 58. Możemy się spodziewać na początek poważnego bombardowania, potem lekkich harcowników i główne natarcie. Ten fragment frontu będzie dziś w nocy bardzo aktywny.

- To zadziała na naszą korzyść - stwierdził Gaunt. - Zamieszanie, natarcie. Nie moglibyśmy życzyć sobie lepszego odwrócenia uwagi. A to, że będziemy w czasie bombardowania pod ziemią, też nie może zaszkodzić.

- O ile jakiś zabłąkany pocisk nie zwali nam stropu na głowę - mruknęła Criid.

Gaunt roześmiał się z jej pesymizmu.

- Bierzemy się do roboty - powiedział. - Czas ucieka. Chcę dotrzeć do linii Shadik w czasie albo zaraz po pierwszym natarciu. Dalej się zobaczy.

Arcuda zebrał sześciu Verghastan z górniczym doświadczeniem: Trillo, Ezlana, Gunsfelda, Subeno, Pozetine oraz, rzecz jasna, Koleę. Rozebrani z wierzchnich mundurów, wzięli się do pracy dziewięć siedemdziesiątkami i gołymi dłońmi. Resztę żołnierzy wezwano do stworzenia łańcucha do usuwania gruzów wykopywanych przez Verghastańczyków. Lubba i Dermmond, z wycelowanymi miotaczami płomieni, stali gotowi zalać dziurę ogniem na pierwsze oznaki ruchu.

Gaunt stał i przez chwilę obserwował prace. Gol Kolea fascynował go. Criid musiała wyjaśnić Kolei, co należy robić, ponieważ w jego umyśle brakowało nawet podstawowych wspomnień z długich lat spędzonych na pracy w Siedemnastej Głębokiej Kopalni w kopcu Vervun. Jednak jego ciało nie zapomniało umiejętności. Przystąpił do pracy, nieustępliwy, niewyczerpany, kopiąc gruz i ziemię z fachową skutecznością.

Nie był tylko silnym mężczyzną, kopiącym w ziemi, wiedział, co robić. Potrafił doradzić przy oczyszczaniu i zabezpieczaniu wykopu. Tak ustawił łańcuch, że praca nabrała tempa. Tyle tylko, że nie wiedział, co robi. Wszystkie ruchy były automatyczne. Fizyczna pamięć górniczego doświadczenia informowała kończyny. Oczy pozostawały puste.

Gaunt pomyślał, że ze wszystkich, których Pierwszy stracił, Kolea był najbardziej opłakiwanym. Świetny żołnierz. Doskonały dowódca. Gdyby nie Ouranberg, Kolea miałby szanse na wysoki stopień wśród Duchów.

Najbardziej ze wszystkiego, Gauntowi brakowało cichego, wnikliwego charakteru Kolei.

Kiedy żołnierze umierali, opłakiwało się ich nieobecność. Brak. Tęskniło się za ich obecnością. Mógł przywołać do pamięci wielu takich: Baffels, Adare, Doyl, Cluggan, Maroy, Cocoer, Rilke, Lerod, Hasker, Baru, Blane, Bragg...

Boże-Imperatorze! To tylko wierzchołek góry lodowej.

Z Koleą było jednak gorzej. Wciąż tu był, ciałem, głosem. Ciągłym przypomnieniem, jakiego utracili wojownika.

Gaunt podszedł z powrotem do wylotu tunelu i odszukał Milo.

- Mam dla ciebie zadanie - powiedział.

- Jestem gotowy, sir - odparł Milo.

- Chcę, żebyś utrzymał ten młyn. Zweil zostaje i ranni potrzebują opieki. Chcę też mieć tu oddział na wypadek, gdybyśmy musieli wracać w pośpiechu. Ty i czterech ludzi. Ty dowodzisz, więc sam wybierz.

Milo sprawiał wrażenie zbitego z tropu. Był wyraźnie rozczarowany, że nie weźmie udziału w głównej misji.

- Nie ma kogoś, kto lepiej by się nadawał do tego, sir? - spytał.

- Na przykład?

- Arcuda? Raglon? Obaj mają stopień. I obaj są...

- Co są, Milo?

Niedoświadczeni, chciał powiedzieć Milo.

- Dobrym wyborem - powiedział niepewnie.

Gaunt westchnął i skinął głową. Milo stał się świetnym żołnierzem, z dobrze rokującymi zadatkami na dowódcę, mimo swojego wieku. Wybór każdego z proponowanych - Arcudy, zielonego i nerwowego, Raglona, zmęczonego i wciąż wstrząśniętego - miałyby większy sens. Tak naprawdę, Gaunt wolałby mieć Milo w swoim oddziale zamiast obydwu sierżantów.

Był inny powód takiej decyzji, powód który nie dawał mu spokoju od wielu dni. Chciał powiedzieć Milo o starej Sororitas w zapomnianej leśnej kaplicy, ale za każdym razem, kiedy o tym myślał, brzmiało to niepoważnie. Sam w to właściwie nie wierzył.

Powiedziała, że Milo był ważny. Nie tutaj, ważny gdzieś indziej. No, ale przecież była zupełnie szalona. Jeśli, przyznawał sam przed sobą, w ogóle tam była. Cały incydent nabrał w jego głowie charakteru snu.

Jednak Ibram Gaunt żył wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że galaktyka porusza się w sposób dużo dziwniejszy niż potrafił to sobie wyobrazić. Całe jego życie było poprzeplatane dziwnymi prawdami i ich konsekwencjami. Zbiegami okoliczności. Przeznaczeniem. Prawdami, które okazywały się prawdami dopiero po wielu latach. Nie mógł ryzykować. Nie mógł zaryzykować Milo.

- Chcę żebyś ty to zrobił - powiedział. - Potraktuj to jako test.

- Test, sir?

- Maroy nie żyje, Milo. Szesnasty pluton potrzebuje nowego sierżanta. Biorę pod uwagę ciebie. Wypełnij to zadanie i wezmę cię jeszcze poważniej pod uwagę. Wybierz swoją czwórkę.

Milo wzruszył ramionami. Był mocno zaskoczony perspektywą awansu i dowództwa. W kopcu Vervun wybór był między Milo i Baffelsem. Gaunt mianował dowódcą Baffelsa z powodu wieku i doświadczenia. Milo był jeszcze taki młody.

Jednak od tamtej pory dojrzał na wojnie. I nabrał doświadczenia. Gaunt wiedział, że jeśli zaproponowałby teraz Milo dowodzenie, nie spotkałby się z odmową. Nie był już chłopcem. Kopiec Vervun, Phantine i Główna Aexe zmieniły go w żołnierza.

- No więc? - powiedział Gaunt. - Twoja czwórka?

- Będę potrzebował snajpera, Nessa. - To miało sens. Milo i Nessa stworzyli zgrany zespół w czasie akcji na Ouranbergu.

- Miotacz płomieni do krycia tunelu. Dremmond. Oprócz tego... no nie wiem. Mosark? Mkillian?

- Dostaniesz ich. Postaraj się, żebym był z ciebie dumny. Jeśli nie wrócimy do świtu, wracaj do okopów, jeśli się da. Moja identyfikacja to „chłopiec”, odzew „z fujarką”. Jeśli by się nie dało, to jeden długi i dwa krótkie sygnały. Upewnij się, że to nie my, zanim Dermmond weźmie się do usmażenia tunelu.

Milo przytaknął.

- Zwróć uwagę na Zweila. Potrafi być męczący. Uważaj się za tymczasowo mianowanego sierżanta.

- Dziękuję, sir.

Gaunt uśmiechnął się i zsalutował Milo. Milo odpowiedział tym samym.

- Daleko zaszedłeś od Tanith Magna, Brin. Możesz być z siebie dumny.

- Jestem, sir.

Dziura była ciemna i złowroga.

- Czysto? - syknął Gaunt.

Dwa stuknięcia w komunikatorze od Mkolla mówiły, że tak.

- Naprzód - powiedział Gaunt.

Oddział zwiadowczy szybko wszedł do tunelu. Mkoll i Domor szli na szpicy, za nimi byli Lubba i Hwlan. Gaunt był następnym razem z Boninem.

Początkowo wykopany w ziemi tunel opadał w dół dość gwałtownie. Po około dziesięciu metrach wrócił jednak do poziomu i zmienił charakter. Nie był już wykopany w ziemi tylko zrobiony z pokrytego pleśnią kamienia, starego, ale dobrze ułożonego. Przypominało to Gauntowi kanał burzowy albo ściek.

Całość była zdecydowanie zbyt wyszukana, żeby była zbudowana tylko do ukrycia oddziałów Republiki idących na wysunięty posterunek obserwacyjny we młynie.

Tunel był dużo starszy. Gaunt zdał sobie sprawę, że najprawdopodobniej była to część systemu zaopatrującego młyn w wodę. Shadik go odkopali i zrobili z niego użytek. Było tam dość ciasno i nisko, a mokre, pokryte szlamem kamienie robiły się zdradliwe, szczególnie w prawie zupełnych ciemnościach. Nie odważyli się używać latarek, nie chcąc ogłaszać swojego nadejścia. Dlatego właśnie wysłał sierżanta Domora przodem. „Shoggy” Domor został oślepiony na Menazoid Epsilon i oczy zastąpiono mu dużymi wszczepami optycznymi, przez co wyglądał jak jaszczurka z wyłupiastymi oczami, od której nazwy otrzymał przydomek. Domor ustawił swoje implanty na tryb nocny.

Po kolejnych dwudziestu metrach tunel znów opadł, tym razem gwałtownie i musieli brodzić po kolana w wodzie. Kamienne ściany były w tym miejscu mocniej zniszczone - najwyraźniej tunel zapadł się na tym odcinku.

Gaunt spojrzał do tyłu na szereg. Oczy przyzwyczyły mu się do mroku, przynajmniej na ile było to możliwe. Widział szaro-czarne kształty poruszające się w ciemnościach i słyszał przypadkowe chlupnięcia albo uderzenia o kamień. Szło się ciężko, ale żołnierze starali się nie dyszeć głośno. Było też gorąco i brakowało powietrza, wszyscy mocno się pocili.

Po około trzystu metrach Mkoll zarządził postój. Po lewej stronie pojawił się boczny tunel, również wyłożony kamieniem, z szumiącą wodą. Czekali aż szef zwiadowców go sprawdzi. Minuta. Dwie. Trzy.

Dwa stuknięcia w komunikatorze.

Gaunt zaryzykował kontakt ściszym głosem.

- Jedyńka, czwórka?

- Czwórka, jedynka - odpowiedział niewyraźnie Mkoll. - Boczna odnoga. Ślepy koniec. Zapadnięty.

Ruszyli dalej. Na kolejnych dwustu metrach pojawiły się trzy kolejne odnogi.

Oddział czekał za każdym razem, aż Mkoll skrupulatnie je sprawdzi.

Po następnych kilku minutach Gaunt poczuł ruch powietrza na twarzy. Poczuł też zapach wody. Po dwóch krokach usłyszał ją także. Szybko płynący strumień.

Tunel rozszerzył się. Gaunt nie widział wystarczająco dużo, ale czuł przed sobą dużą przestrzeń.

- Jakieś pomieszczenie - zaraportował Domor przez komunikator.

Dobiegły ich nagłe hałasy i ciche przekleństwo.

- Raport! - zażądał Gaunt.
- Lubba o mało się nie przewrócił. Sir, myślę, że musimy zaryzykować latarki.
- Jak czysto jest przed nami?
- Ani śladu kontaktu. Chwileczkę.

Usłyszeli miękkie kroki na kamieniu, skrzypnięcie drewna i na parę sekund zapadła cisza.

- Domor?
- Czysto. Myślę, że powinniśmy skorzystać z latarek. Inaczej ktoś się przewróci.
- Ty decydujesz, Domor, jesteś w najlepszej pozycji, żeby zdecydować.
- Zróbmy tak, sir.
- Tylko dwie latarki. Hwlan. Bonin.

Zwiadowcy włączyli swoje lampy. Plamy światła, jakie się pojawiły zdawały się niebezpiecznie jasne. Oświetliły pomieszczenie i Gaunt od razu zorientował się, że Domor miał rację.

Tunel, którym przyszedli kończył się w połowie wysokości ściany głębokiego zbiornika. Mieli przed sobą gwałtowny spadek. Wąskie, kamienne schody bez poręczy prowadziły w dół do kamiennego podestu, gdzie drewniane płyty zostały przerzucone w charakterze mostu do kolejnego podestu po drugiej stronie. Stamtąd kolejne schody wiodły do dalszego ciągu tunelu. Domor był po drugiej stronie, kuczał na szczycie schodów, obserwując dalszy odcinek drogi.

Nie było się czego przytrzymać, a wszystkie powierzchnie pokryte były szlamem. Bez światła, znaczna część z nich straciłaby równowagę na jednych ze schodów, a wąski most z płyt byłby niemożliwy do pokonania.

Daleko pod nimi woda huczała na dnie kamiennego zbiornika.

Z latarką w dłoni, Hwlan przeszedł na drugą stronę mostu.

Stanął u stóp drugich stopni żeby oświetlać drogę. Bonin ze swoją latarką czekał na dole bliższych schodów.

Gaunt i Mkoll przeszli na drugą stronę razem z Lubbą.

Gaunt odwrócił się i dał znak oddziałowi, żeby szli po kolei. Chciał uwolnić Hwlana i Bonina, aby mogli ruszyć przodem. Co trzeci miał oświetlać drogę. Ostatni miał wyłączyć latarki.

Byli pod ziemią od około pięćdziesięciu minut i pokonali w ocenie Mkolla jakieś dwie trzecie kilometra, kiedy rozpoczął się ostrzał.

Z początku brzmiało to jak odległe walenie, potem wzmogło się w natężenie i częstotliwości, aż poczuli jak ziemia naokoło nich drży. Gaunt oceniał, że mają nad głowami od ośmiu do dwunastu metrów ziemi, ale mimo to wszystko się trzęsło. Woda tryskała i kapiała z sufitu, wytrząśnięta lub wyciśnięta z ziemi. Co jakiś czas całe kamienne bloki wypadały ze ścian i spadały na posadzkę.

Napięcie rosło. Gaunt czuł to wyraźnie. Nie trudno było sobie wyobrazić, co by się stało gdyby ciężki pocisk uderzył bezpośrednio nad nimi. Zmiażdżeni, uduszeni, pogrzebani żywcem. Tunel mógł się zapaść. Widzieli już wcześniej jak to wygląda. Nawet najbardziej pewne siebie Duchy chciały już wyjść z tej potencjalnej mogiły. Woleli zaryzykować na otwartej przestrzeni. Nie miało znaczenia, że prawdopodobnie byli mniej narażeni na ostrzał i szrapnele, będąc pod ziemią.

Po prawdzie, nawet Gaunt czuł, jak puls gwałtownie mu przyspiesza. Nigdy nie

cierpiał z powodu klaustrofobii, ale tutaj, w ten sposób...

Ziemia zatrzęsała się w wyjątkowo gwałtownym wstrząsie. Ktoś w szeregu jęknął ze strachu.

- Cisza! - syknął Gaunt.

Od razu zdał sobie sprawę, jak głupie to było. Jeśli tutaj było głośno to na powierzchni musiało być ogłuszająco. Ostrzał zagłuszał ich hałasy. Mogli teraz przyspieszyć, nie martwiąc się skradaniem. Wydał rozkaz i ruszyli szybciej, prawie biegnąc tunelem. Nad sobą mieli ryk artyleryjskiej nawałnicy.

- Stać! - krzyknął Mkoll.

Zatrzymali się.

- Co jest? - spytał Gaunt.

- Słyszycie?

Gaunt nie słyszał nic oprócz wybuchów i dyszenia żołnierzy.

- Co?

- Drapanie. Szelest...

- A niech to Feth! - zawołał nagle Domor. Widział dalej niż ktokolwiek z nich.

Widział co się zbliża.

- Szczury! - krzyknął przerażony. - Stado szczurów, idą na nas! Och Imperatorze!

- Sir? - zapytał Lubba ponaglającym tonem. Trzymał w gotowości miotacz płomieni.

- Nie - odparł Gaunt. Ostrzał mógł zagłuszyć ich pochód, ale wielokrotne płomienie z miotacza były zbyt ryzykowne.

- Stać w miejscu! - powiedział Gaunt. - One uciekają przed ostrzałem. Zacisnąć zęby i przygotować się. To rozkaz.

W tym momencie uderzyły w nich szczury.

Rzeka piszcących, skołtunionych ciał, wzbierających niby fala przyływu z głębi tunelu, wypełniających przestrzeń od podłogi do połowy łydek. Niektóre poruszały się również po ścianach. Gaunt poczuł jak uderzyły go w nogi aż się zachwiał.

Zaczęły przepływać naokoło i pod nim. Żołnierze krzyczeli.

Hałas i smród żywej rzeki był potworny. Nacisk wijącej się masy szczurzych ciał był jeszcze gorszy. Spanikowane, szukające schronienia w niższych partiach podziemi, szczury drapały i gryzły. Gaunt musiał się zaprzeć rękami o ściany tunelu, żeby uniknąć przewrócenia. Czuł na łydkach i kostkach ostre jak igły ugryzienia.

Z tyłu rozległ się krzyk i nastąpiła gwałtowna szarpanina.

Harjeon przewrócił się, porwany przez strumień czarnych gryzoni. Criid i Livara klnąc próbowali go wyciągnąć.

Prawdopodobnie wszyscy zginiemy, pomyślał Gaunt. Wszyscy zarazimy się mnóstwem obrzydliwych zarazków niesionych przez te wstrętne stworzenia. Złoty tronie! Ze wszystkich rzeczy, o których myślałem, że mogą zakończyć moją służbę Imperium, nigdy nie były to szczury.

Tak samo nagle jak się zaczęła, nawała szczurów gwałtownie ustała. Ostatnie kilka piszcących stworzeń przebiegło w mroku. Gaunt usłyszał, jak żołnierze próbują je zdeptać.

- Raport! - rzucił.

Odpowiedziały mu ogólne jęki i wyrazy obrzydzenia. Nikt z całego oddziału nie uniknął ugryzienia i zadrapań. Harejon był nimi pokryty i zaczął się trząść i

wymiotować z obrzydzenia.

- Miałem je na twarzy... w ustach... - jęczał.

- Zamknij go, Criid.

- Tak jest, sir.

- Ruszamy.

Odgłosy ostrzału przybrały na sile. Mieli teraz przed sobą słabą zimną poświatę, a ryk ostrzału artyleryjskiego nadchodził z wylotu tunelu.

Ostatnie sto metrów.

Gaunt wysłał przodem Mkolla, Bonina i Hwlana.

- Szykować się - powiedział pozostałym. - Czyste srebro.

Korzystajmy z zaskoczenia tak długo, jak się da.

Dwa stuknięcia.

- Naprzód - powiedział.

W przodzie trzech zwiadowców wynurzyło się na otwartą przestrzeń. Było zimno i mgliście od ostrzału, wybuchy rozświetlały zadymione powietrze. Huk ostrzału był ogłuszający. Nadlatujące pociski ryczały, niektóre wydawały wysokie dźwięki, inne niskie i basowe, jeszcze inne dziwnie melodyjne i pełne wyrazu. Większość wybuchów była tak wielka i głośna, że drżały bębny w uszach. Niektóre wybuchy były bezgłośne, tylko błyski i wstrząs. Po każdym następował wzbierający szum, kiedy ziemia i odłamki spadały w dół.

Odnajdując drogę w rozbłyskach eksplozji, Mkoll, Bonin i Hwlan wyskoczyli z pochylonymi głowami z wylotu tunelu.

Przy wejściu od strony Shadik było umocnienie z worków z piaskiem i posterunek strażnika, ale teraz nie był obsadzony. Straże uciekły przed ostrzałem.

Zwiadowcy znaleźli się w głębokiej wnęce głównego okopu bojowego. Podbiegli do wyjścia i zaraz cofnęli się z powrotem, kiedy trzech żołnierzy Shadik przebiegło obok, tupiąc butami po płytach na dnie. Kiedy zniknęli, kolejnych dwóch pojawiło się z krzyżącym żołnierzem na noszach. Ci też zniknęli w dymie.

Mkoll dał znać pozostałej dwójce, żeby szli z nim. Weszli do właściwego okopu. Był głębszy i lepiej zorganizowany niż umocnienia Przymierza, miał szersze stopnie stanowisk ogniowych i betonowe parapety. Z tego co widzieli, do najbliższego zakrętu, okop był pusty.

- Naprzód - powiedział Mkoll.

Chwilę później pięciu żołnierzy Shadik, biegnących co sił w nogach, wypadło zza zakrętu po lewej stronie. Nie zauważyli Tanithiańczyków do ostatniej chwili.

Zwiadowcy nie dali im szansy na zareagowanie. Mkoll powalił pierwszego, tnąc nożem maskę gazową i tchawicę.

Hwlan nadział kolejnego w mostku i rzucił się razem z zabitym na trzeciego.

Bonin wbił kolbę karabinu w brzuch najbliższego żołnierza i posłał go zwiniętego na ziemię, po czym kopnięciem z całej siły złamał kark piątemu, który padł na miejscu.

Bonin przeskoczył go i zabił skulonego żołnierza gołymi rękami.

Hwlan próbował gładko zabić ostatniego, ale ten się szarpał z całych sił.

Tanithiańczyk zapał karabin o szyję wroga i skręcił mu kark.

Pięciu ludzi zabitych w kilka sekund.

Kiedy wciągali ciała za umocnienie przy tunelu, do okopu wszedł Gaunt.

- W którą stronę? - zapytał.

Mkoll wskazał na lewo.

- Poprowadź z Hwlanem - polecił mu Gaunt. Odwrócił się do Bonina. - Zostań tutaj z Oflynem i idźcie na tyły. Pozostań w kontakcie.

- Sir - przytaknął Bonin.

Oddział ruszył szybkim marszem za Mkollem i Hwlanem.

Dwóch zwiadowców z przodu i dwóch na tyłach, to było najlepsze, na co mógł sobie pozwolić.

Za drugim zakretem grupa żołnierzy Shadik próbowała ustawić na parapecie parę działek automatycznych. Wszystkiego razem dziewięciu ludzi.

Mkoll i Hwlan zaszli ich od tyłu, z nożami w dłoniach.

Gaunt szedł zaraz za nimi, wyciągając miecz energetyczny, razem z Criid, Ezlanem i LaSalle. Nastąpiło brutalne zabijanie.

Jeden z żołnierzy Shadik zdołał oddać strzał, ale Gaunt miał nadzieję, że jego dźwięk zginie w huku ostrzału. Ściął głowę jednemu przeciwnikowi, nadział na miecz kolejnego. Nic nie mogło powstrzymać jego starożytnej broni ani kolczuga, ani pancerz, ani skóra, a już na pewno nie gołe ciało.

Criid załatwiła ostatniego i spojrzała na Gaunta.

W tym momencie ostrzał nagle się skończył.

To oznaczało, że nadchodziło natarcie piechoty. Jak również, że Shadik wyleją się ze swoich bunkrów i schronów, żeby obsadzić i utrzymać okopy.

TRUPIE ŚWIATŁO

Czasem, rozumisz, naprawdę tęsknię za moimi slumsami. Na przykład teraz.
operator miotacza płomieni Lubba

Piętnaście regimentów żołnierzy Przymierza ruszyło do natarcia po ustaniu ostrzału. Fale atakujących wynurzały się z poprzepłatanej pasmami dymu ciemności nad ziemią niczyją. Dwudziesto kilometrowy odcinek frontu przez pół godziny był rozświetlony salwami ostrzału. Po chwili niesamowitej ciszy, rozpałił się na nowo. Broń ręczna. Karabiny maszynowe. Granaty. Miotacze płomieni. Z powietrza widać było jak szeroki pas wielkich wybuchów światła zmienić się w cieńszą linię ognia. Był to najpoważniejszy atak na linię Shadik od osiemnastu miesięcy. Ofensywa, jak nazwali ją oficerowie Sztabu Generalnego z bezpiecznych bunkrów na tyłach. Lyntor-Sewq i Martane szykowali się do niej od momentu, kiedy Lyntor-Sewq otrzymał awans na głównodowodzącego. Gorąco pragnął wykazać się i jak najszybciej udowodnić Najwyższemu Sezarowi, jak mało osiągnął jego poprzednik hrabia Golke.

Ofensywa była fragmentem większej strategii obejmującej natarcie od północy przez Gibsgatte, gdzie główne dowództwo posłało większość sił pancernych Gwardii Imperialnej.

Założenie było takie, żeby zadać Shadikom mocny cios od północy i potem uderzyć w miękkie podbrzusze w Kotle i Bassin-on-Naeme. Plan Lyntor-Sewq zakładał skupienie sił przeciwnika na północy i odbicie doliny rzeki, ustanawiając nowy front, nazywany przez niego linią Frergarten, jeszcze przed zimą. W wypadku powodzenia Linia Peinforq stałaby się zbędna po raz pierwszy od dwudziestu sześciu lat.

Zimą nowa linia mogłaby zostać wzmocniona przy pomocy oddziałów Przymierza i na wiosnę byłaby gotowa nie tylko, żeby się utrzymać podczas nieuniknionego kontrnatarcia, ale również jako punkt wyjściowy do inwazji na Południową Republikę połączonymi siłami Przymierza i Kottmark w Ostlund.

Był to zbyt ambitny plan, typowy dla nowego dowódcy próbującego przerwać impas jakoby ustanowiony przez poprzednika.

Gdyby Golke był obecny na naradach, gdzie zapadły te decyzje, mógłby powiedzieć Lyntor-Sewqowi, że dokładnie tego samego już wcześniej próbowano. Trzy razy, żeby być dokładnym. Była to stara strategia, która nigdy się nie sprawdziła.

Gdyby Ibram Gaunt był obecny na naradach, gdzie zapadły te decyzje, jego uwagi byłyby jeszcze dosadniejsze. Lyntor-Sewq rozgrywał wojnę tak, jak się gra w „Królobójstwo”.

Pierwsza pożyteczna rzecz, jakiej uczy się dowódca to to, że armie nie zachowują się jak pionki na planszy. Nie postępują według ścisłych zasad i nie mają określonych „ruchów”. Zdarza się często, że silna armia nie spełnia oczekiwań. Równie często „słaba” figura może wygrać całą grę, jeśli zostanie mądrze użyta.

Niestety, żaden z tych oficerów nie był obecny na naradach.

W momencie, kiedy było za późno, żeby udzielić Lyntor-Sewqowi rad, obaj Gaunt i Golke, ten drugi z własnego wyboru, byli już w ogniu walki.

Van Voytz był obecny na naradach, przynajmniej na większości z nich. Jego wysiłki w doradzaniu zostały kompletnie przesłonięte przez determinację nowego głównodowodzącego. Kiedy po kilku miesiącach Van Voytz wycofał się w końcu z Głównej Aexc, ocenił czas tam spędzony jako najbardziej frustrujący i pełen bezsilności w całej jego karierze.

Większość sztabowców ze Sztabu Generalnego wierzyła, że akurat ta noc została wybrana do przeprowadzenia ofensywy z powodu korzystnej okazji dostarczonej przez kontrnatarcie w 57. Zgrało się to korzystnie z frontalnym natarciem w Gibsgatte. Była to tylko częściowo prawda.

Choć Gaunt nigdy się tego nie dowiedział, ofensywa została uruchomiona z powodu Redjacą Ankre. Kiedy odkrył, z zapisków w dzienniku, że Pierwszy rusza z misją infiltracyjną tej nocy, przekonał Martane do wydania rozkazu. Ankre był dumnym człowiekiem. Ta duma będzie go w końcu kosztować życie, wiele lat później. Nie potrafił znieść myśli, że Pierwszy mógłby dokonać wyłomu. Wykorzystał całą swoją niechęć do wzmocnienia swoich umiejętności przekonywania. Jeśli zwiadowcy z Pierwszego mogą przełamać linię Shadik, to równie dobrze potrafią to zrobić siły lądowe Przymierza. Ankre obawiał się, że pozaświatowcy z Gwardii zdołają dokonać czegoś, czego Przymierze nie potrafiło. Nie mógł znieść takiej myśli.

Uosabiał spowodowane emocjami niepowodzenia wyższego dowództwa Przymierza. Niepowodzenia, które przedłużyły tę wojnę o całe dekady. Jak to bywa z wysiłkami na taką skalę, jego niepowodzenia również nie zostały zauważone.

Prawie trzy tysiące żołnierzy Przymierza stało się ofiarami frontalnego natarcia tej nocy. Żadne liczby ofiar sił Shadik, nie zostały ustalone nawet w przybliżeniu. Na jednym odcinku stu siedemdziesięciu ośmiu żołnierzy z piechoty z Genswick, w tym porucznik Fevrierson, utknęło w linii zasieków i zostało zmasakrowanych przez karabiny maszynowe. W innej sekcji, nie dłuższej niż pięćdziesiąt metrów, trzystu piechurów Fichua zginęło w szarży. Okop wypełnił się ciałami do poziomu gruntu aż obrońcy Shadik musieli się wycofać do zapasowych linii. Moździerze zabiły sześćdziesięciu ludzi z Piątego Meuport, którzy podeszli do parapetów i zostali oświetleni przez flary wystrzelone przez zagubiony w sąsiedztwie oddział z Brunsgatte. Pozostali przy życiu żołnierze z Piątego Meuport zdobyli później okop, utrzymali go przez godzinę, stracili i znów odbili przed świtem. Ta akcja przeszła do historii.

Na północnym skraju natarcia, oddział kawalerii *struhidów* pod ogniem działek automatycznych zdobył pozycję przeciwnika i natarł na główny okop rezerwowy. Kontratak wroga przy użyciu ładunków gazowych i grantów odłamkowych przerwał natarcie i rozpoczął jatkę. Huzarzy, padali w drgawkach i z krzykiem w mglistych ciemnościach, odczuwając przez myślowe łącza śmiertelne spazmy ranionych wierzchowców. Żołnierze Przymierza nacierający w tym kierunku, zaczęli dobijać *struhidy*, a po jakimś czasie, ze łzami w oczach, skracali również męki huzarów.

Nie byli w stanie znieść tych krzyków.

Wywerny z Kottstadt, pod dowództwem majora Benedica, przeprowadziły natarcie i utrzymały kilometrowy odcinek okopu bojowego, a następnie zaszarżowały wzdłuż linii komunikacyjnej, żeby zdobyć stanowiska artylerii. Na południe od nich, brygada

dragonów z Mittel Aexe, Siódma Ghrennes, zrobiła podobnie. Starła się uszkodzić działa i zniszczyć amunicję do nich. Dziewięćdziesięciu trzech ludzi spłonęło, kiedy skład amunicji został entuzjastycznie potraktowany miotaczem płomieni, wrywając w ziemi krater o średnicy dwustu metrów. Reszta, razem ze sporą liczbą Wywernów, zginęła w chmurach toksycznych gazów uwolnionych ze zbiorników uszkodzonych w wybuchu.

Przez cały czas, z oddali, super działa Shadik kontynuowały ostrzał. Ich potężne pociski przerwały kopuły tarcz nad Linia Peinforq i unicestwiły skład amunicji, bunkier dowódczy, dziewiętnaście stanowisk artyleryjskich - w tym pięć ciężkich haubic - szpital połowy i okop rezerwy pełen młodych poborowych z Fichua, którzy myśleli, że na jedną noc udało im się wymigać od wojny.

Niektóre z potężnych pocisków trafiły nawet samo Peinforq.

Zniszczony został ratusz, podobnie jak rzeźnia, kaplica pogrzebowa i ulica kwater pełna Krassianów.

Pomimo ogromnych strat, ofensywa Przymierza nie straciła na impecie ani tej nocy, ani następnego dnia. Lyntor-Sewq, zdeterminowany, by przeć do zwycięstwa, które jawiło mu się tuż za rogiem, posyłał naprzód coraz to kolejne oddziały aż czwartego dnia ofensywa się załamała. Wtedy uznał swoją porażkę.

Dla Gaunta była to jednak wciąż niewiadoma przyszłość.

Do północy pierwszej nocy ofensywy byli na kilometr w głąb linii Shadik, idąc wzdłuż okopu zaopatrzeniowego. Za ich plecami rozpętało się piekło, rozświetlające nocne niebo i wypełniające dolinę dymami wybuchów.

Oni jednak szli naprzód, w ciszy, nieustępliwie, w głąb umocnień nieprzyjaciela. Trupie światło zapaliło się nad nimi, białe i blade. Kolejne flary. Ryk bitwy był odległy i stłumiony. Właśnie zarżnęli dwunastu żołnierzy Shadik w piątej już potyczce tej nocy.

Pierwszy nie poniósł jeszcze ofiar, ale Gaunt zastanawiał się, jak długo jeszcze będą mogli sobie radzić samymi nożami.

Dźwięk super dział był ogłuszający, mimo, że byli wciąż o kilka kilometrów od nich. Grunt wibrował, nie od wybuchów, ale od wystrzałów.

- Co najmniej sześć dział - powiedział Mkoll do Gaunta. - Liczyłem błyski i rytm.

- Siedem - stwierdził Bonin. - Zdecydowanie siedem.

- Jeśli Bonin twierdzi, że siedem, to siedem - zgodził się Mkoll. - Ma ucho do tych rzeczy.

- Jak daleko? - spytał Gaunt.

- No cóż, nie musimy ich szukać - odparł Mkoll wskazując przegrzane rozświetlone wystrzałów rozświetlające północno wschodnie niebo.

- Tak - powiedział Gaunt - ale nie czuć skali. Jak daleko?

- Dwa, może trzy kilometry.

Gaunt westchnął i rozejrzał się dookoła. System okopów zaopatrzeniowych, w którym się znajdowali był ciemny i spokojny.

Wszystko, co się dało, zostało pchnięte na front.

Co jakiś czas pojawiały się oddziały Shadik i były uciszane nożami Duchów.

Gaunt wiedział jednak, że mieli szczęście. Wystarczyło tylko, żeby wpadli na

nadchodzącą z przeciwka brygadę. Wtedy zaczęłyby się strzelanina. Doszłoby do wymiany ognia i liczby zaczęłyby mieć znaczenie.

Gdyby tylko mieli przyzwoity zamiar na działa. Coś konkretnego, z czym mogliby wrócić. Powiedział wszystkim, że namierzenie dział było minimalnym celem misji. Dwa albo trzy kilometry na północny-wschód nie było specjalnie precyzyjnym zamiarem.

Za kolejnym zakrętem okopu, znaleźli się w głębokim korytarzu amunicyjnym z liniami torów. Był dwa razy szerszy niż okopy piechoty i prowadził w prostej linii na północny-wschód.

Linia zaopatrzenia super dział. Wystarczająco szeroka, żeby przejechał nią pociąg z amunicją. Zbliżali się.

- Rozproszyc się i za mną - rozkazał Gaunt i skierował w szeroki korytarz.

Huknął wystrzał, drugi. Szeregowy Sekko zachwiał się i padł.

Gaunt spojrzął do tyłu i zobaczył wyłaniających się z mroku żołnierzy Shadik, z bronią w rękach. Duchy odpowiedziały ogniem, zagrały karabiny laserowe. Lubba wystrzelił z miotacza płomieni w szeroką przestrzeń korytarza.

Zaczęło się. Zostali namierzeni.

PIERWSZA POTYCZKA

„*To będzie dla Szansy.*”

Hlaine Larkin

- Co to oznacza? - spytał Feygor ze złością.

- Kłopoty - odparł Caffran.

- Jakiego typu kłopoty? - warknął Feygor.

- Nie wiem! Ustaliłem z Venem takie hasło, zanim wyruszył.

Na wypadek kłopotów taki był sygnał: „zapłata”. Nie wiem nawet, czy to on nadał czy Jajjo.

- Coś jeszcze? Było coś więcej? - pytał Feygor. Rerval podniósł wzrok znad komunikatora, którym się zajmował.

- Nic. Nie ma zasięgu. Gdyby mój główny odbiornik działał...

- Niech Feth weźmie twój główny odbiornik - odparł Feygor.

Usiadł przy kuchennym stole i nerwowo zabębnił palcami po blacie. - Co to znaczy kłopoty?

Spytał, patrząc na Caffrana.

- Ven nie ustalił szczegółów. To może oznaczać, że wpadli na patrol nieprzyjaciela... może bandytów... może Jajjo upadł i złamał nogę... albo może cała grupa armijna idzie w naszym kierunku.

- Następnym razem, jak ustalacie słowa kodowe, upewnij się, do Fetha, że wiesz, co oznaczają!

Caffran spojrział Feygorowi prosto w oczy.

- Ja przynajmniej ustaliłem z nim coś, zanim wyruszył. Ty po prostu pozwoliłeś mu odejść.

- Zamknij się, do cholery - ryknął Feygor. Rozejrzał się dookoła po pozostałych.

Wszyscy obserwowali. - Pakować się. Spadamy stąd.

- Co takiego? - zawołał Caffran.

- Słyszałeś! Nie mamy pojęcia, co tu nadchodzi. Jest nas tu tylko ośmioro. Co dobrego przyjdzie z tego, że utrzymamy to miejsce?

Brostin i Cuu ruszyli w stronę drzwi.

- Ja nigdzie nie idę - stwierdził Caffran. Zatrzymali się w miejscu.

- Dałem ci fethowy rozkaz - powiedział Feygor, wstając powoli.

- I możesz go sobie wsadzić. Mkvenner poprosił mnie, żebym zabezpieczył dworek do jego powrotu. I to właśnie robię. Fortyfikuję. Zbudowaliśmy umocnienia od tyłu.

- My, czyli kto? - spytał Gutes.

- Ja, Muril, Rerval i Larkin. Możecie się odłączyć, jeśli chcecie. Ja nie zamierzam zawieść Vena i Jajja. Jeśli wysłali sygnał to dobrze wiedzieli co robią. A biorąc pod uwagę zasięg komunikatorów, nie mogą być dalej niż kilka kilometrów.

Więc... idźcie jeśli chcecie.

- Dałem ci rozkaz - powtórzył Feygor złowrogo.

- Jakiegokolwiek wyobrażenie, że jesteś dowódcą rozwiało się, kiedy zdecydowałeś zrobić sobie tu wakacje. Sam raczej nie wykonywałeś rozkazów, odkąd tu

przyszliśmy, więc się teraz nie wymądrzaj. My zostajemy, przynajmniej do powrotu Vena lub momentu, kiedy znów się odezwie.

Spojrzenie Feygora przebiegło po twarzach zebranych.

- Wszyscy uważacie tak samo?

- Tak - odparł Rerval.

- Ja zostaję - powiedziała Muril.

Larkin tylko skinął głową.

-Ja też zostaję - dodał nagle Gutes. Patrzył na starszą panią skuloną w kącie. - Nie sądzę, żeby ona gdzieś szła, skoro jest tu już tak długo. Nie zostawię jej wilkom.

- A niech to Feth! - rzucił Feygor. Spojrzał na Brostina i Cuu.

- Ja jestem z tobą, Murt, pewne pewniutkie – powiedział Cuu. - Powiedz tylko słowo. Broslin wzruszył ramionami. Miał niepewną minę.

Feygor podrapał się po karku. Pomysł odwrotu najwyraźniej do niego przemawiał, ale rozważał konsekwencje. Jeśli kłopoty były Tak blisko, mieli lepsze szansę na przeżycie tutaj, całą grupą niż samotnie, uciekając przez las.

- Dobra - powiedział - dobra, zostajemy. Na razie. Przygotować się do starcia.

Caffran, rozstawił wszystkich na pozycjach.

Duchy zaczęły się przygotowywać, Brostin i Cuu wypadli z kuchni biegnąc po ekwipunek. Feygor odwrócił się w stronę szeregowca Przymierza, znalezionego przez Caffrana.

- Z tobą oczywiście jeszcze nawet nie zaczęliśmy - powiedział.

- Zaczynaj gadać.

Zaniedbany młody żołnierz nie chciał mu spojrzeć w oczy.

Feygor uderzył go i posłał na podłogę. Miał go właśnie znów uderzyć, kiedy Caffran złapał go za ramię.

-To dezterter. To chyba oczywiste, nie? Uciekł do lasu i potem tutaj się ukrywał, prawdopodobnie dlatego, że to daleko od ludzi, a starsza pani go żywiła.

- Dlaczego?

- Gothlera, Feygor - odezwała się Muril - nie możesz być aż tak tępy. Musi myśleć, że to jej syn, który wrócił do domu po tylu latach.

- Zgadza ci się to? - spytał Feygor młodego człowieka, który podnosił się z podłogi.

- Nie róbcie jej krzywdy. Proszę - wyszeptał.

- I nie bij go więcej na jej oczach - poradził Caffran. - Jeśli naprawdę myśli, że to jej syn, to możesz nagle poczuć nóż do chleba w plecach.

- Jak się nazywasz? - spytała Muril.

- Starszy szeregowy Rufo Peterik. Szesnasta z Brunsgatte.

- Jak dawno temu... uciekłeś? - spytał Caffran delikatnie.

- Pół roku - odparł Peterik

- Byłeś tu cały czas?

- Przez parę miesięcy żyłem na dziko, potem tutaj.

- Czy to ty popsuleś mój nadajnik? - spytał Rerval z drugiego końca kuchni. Było to bezpośrednie, ale uzasadnione pytanie. Coś takiego mógł zrobić zdesperowany dezterter.

- Nie, sir - odparł Peterik od razu. - Nie zrobiłem tego.

- Nie mamy czasu na zabawy - powiedział Feygor. - Zamknijcie go gdzieś albo przy

wiązcie do krzesła. Albo zróbcie coś z nim.

Nie było sensu oponować. Nikt z nich nie potrafił przewidzieć, co chłopak może zrobić, chociaż Caffran miał przeczucie, że nie muszą się o niego martwić.

Przywiązał go jednak do krzesła.

- Piet, Larks... zróbcie obchód terenu - powiedział Feygor.

Uspokoił się już. Podjąwszy decyzję o zostaniu na miejscu, chciał teraz odbudować swoją pozycję dowódcy.

Obaj Larkin i Gutes spojrzeli najpierw na Caffrana i wyszli dopiero, kiedy skinął głową.

Na zewnątrz mgła zgęstniała, rozmywając światło wschodzącego słońca. Nic było wiatru, ale w powietrzu czuło się deszcz. Burza jeszcze się nie przewaliła do końca. Larkin i Gutes szli przez tylny trawnik, wzdłuż linii muru, buty i spodnie zamokły im od rosy na trawie. Było okropnie cicho, okropnie spokojnie. Z lasu dochodziły urywane śpiewy ptaków. Doszli do zawalonej i zarośniętej szopy na skraju posiadłości i przykucnęli, obserwując drzewa. Unosząca się miękko mgła tworzyła kształty, na widok których napinali mięśnie, ale była to tylko mgła.

- To ty wzięłeś obwód, prawda? - odezwał się w końcu Gutes.

- Co? - Larkin miał wrażenie, jakby czaszka pękała mu na pół po ciosie Cuu i czuł nadchodzącą jedną ze swoich migren.

- Obwód z radia Rervala. Ty go wzięłeś, prawda? Widziałem jak kombinujesz ze sprzętem. Jesteś jedyną osobą, oprócz Rervala, która ma takie umiejętności.

- Piet, biorąc pod uwagę, jak głupiego na ogół udajesz, jesteś całkiem sprytny.

Gutes wykrzywił się w uśmiechu. Raz jeszcze przyjrzał się linii drzew.

- Dlaczego to zrobiłeś, Larks? - spytał po chwili.

- Bo... - zawahał się Larkin. - Chciałem, żebyśmy przez jakiś czas byli zostawieni w spokoju.

- Ach - powiedział Gutes. Po chwili dodał. - Myślę, że może potrzebujemy jednak znowu radia. Myślę, że może już dostatecznie długo byliśmy zostawieni w spokoju.

- No - zgodził się Larkin.

- Oddasz obwód?

- No.

- Nic nie powiem, Larks.

- Dzięki, Piet.

Minęła godzina, długa i pełna napięcia. Zaczęło padać, najpierw lekko, a potem coraz mocniej. Mimo deszczu mgła nie chciała ustąpić. Zachmurzyło się i wczesny poranek wyglądał jak mokry zmrok.

W komunikatorze panowała cisza. Caffran zaczął się zastanawiać, czy mu się nie wydawało.

Wszyscy w pełnym wyposażeniu, członkowie oddziału zajęli stanowiska na tyle dworku. Caffran ustawił się w szklarni, najbardziej na zachód wysuniętym budynku gospodarczym, z dobrym polem rażenia na tylnym trawniku i przyzwoitym widokiem na ogród za spiżarnią. Razem z Rervalem umocnili szklarnię skrzynkami, napełnionymi ziemią workami i starą metalową ramą od łóżka, znaną w śmietniku. Ostrożnie wytlukli resztki szyb.

Na wschód od niego, Cuu kucał na końcu długiej barykady, zbudowanej przez Larkina i Muril ze sztachet płotu i arkuszy blachy falistej. Musieli rozebrać kilka przybudówek, żeby zdobyć potrzebny materiał.

Rerval zajął dalszą pozycję za tą samą barykadą, skulił się w kącie, gdzie dochodziła do starej komórki na węgiel.

Brostin siedział na krześle w pół otwartych drzwiach kuchennych, z miotaczem płomieni na kolanach i zbiornikami za plecami. Sprawdził baterie dwóch pistoletów laserowych, swojego i Feygora, które nosił w charakterze broni palnej.

Feygor, z karabinem w rękach był parę metrów dalej, przy głównym oknie kuchennym. Gruba ściana oddzielała go od Gutesa, który zajmował pozycję w jadalni, przy tylnym oknie z widokiem na komórkę z węglem i żywopłot. Larkin miał posterunek ponad nimi wszystkimi, na piętrze, w oknie sypialni.

Muril, która upierała się, że jest pośród nich najbliższej bycia zwiadowcą, ustawiła się na końcu tylnego trawnika wśród rozwalonych szop przy murze. Klęczała, zupełnie nieruchomo, obserwując drzewa.

Około dwudziestu minut wcześniej, kiedy robili ostatni obchód przed zajęciem stanowisk, Rerval znalazł na stole w kuchni brakujący obwód. Zakładając, że to Feygor albo jeden z jego kolegów zostawił go tam na widoku, Rerval nic nie powiedział. Byli teraz wszyscy w jednakowo trudnym położeniu i podgrzewanie atmosfery nie miało sensu.

Zainstalował obwód do radia i po konsultacji z Feygozem wysłał sygnał do Ins Arbor. Pozycja, sytuacja i perspektywa kontaktu z wrogiem.

Jak na ironię, nie otrzymali odpowiedzi, nie licząc zduszonych szumów. Rerval nie potrafił powiedzieć, czy były to zakłócenia atmosferyczne, czy jakiś błąd przy naprawie nadajnika.

Nie było czasu na rozebranie go i złożenie na nowo.

Modlił się tylko, żeby dowództwo kompanii odebrało sygnał. Modlił się, żeby nadeszła pomoc. W najgorszym razie miał nadzieję, że zdołał ich ostrzec.

W wilgotnej, zapleśniałej sypialni, Larkin usadowił się na śmierdzącym materacu, który sobie podciągnął do okna, i oparł snajperkę o obłazącą z farby framugę. Pokręcił głową, żeby rozluźnić kark, starał się zignorować ból promieniujący do mózgu z nasady czaszki i spojrzął przez lunetę.

Spuchnięta twarz zaboląła go, kiedy przycisnął ją do okularu. Pęknięte żebro zakłuło i musiał zmienić pozycję. Miał dobry widok na cały trawnik. Przesunął lunetę w obie strony, odczytując odległość do różnych celów: szop na końcu, zegara słonecznego na środku trawnika, komórki na węgiel, szklarni Caffrana.

Niedaleko pod sobą, zobaczył Cuu kucającego za barykadą, odwróconego plecami. Larkin skierował karabin w dół i wycelował w Cuu. Nie więcej niż piętnaście metrów. Czysto. Łatwy strzał. Palce Larkina zadrżały na spuście.

Jeszcze nie. Ale może już niedługo. Jeśli będzie strzelanina, jeśli dojdzie do walki, to załatwi Cuu i do diabła z konsekwencjami.

Załatwiłby go na jego własny sposób: w czasie walki, kiedy nikt się nie zorientuje. Co takiego ten gnojek powiedział?

- Wojna to straszna zadyma, Tahitancyku. Zamieszanie i takie tam gówno. W środku

walki, gównem lata na wszystkie strony. Kto niby zauważy jak odbiorę moją zapłatę?
Będziesz tylko kolejnym ciałem na liście.

Dobra rada Lijah. Dobra rada.

Woda deszczowa kapiała z dachu i z cichym plaśnięciem padała na policzek Muril.

Wytarła ją i zdała sobie sprawę, że to nie kapnięcie wywoływało ten dźwięk.

Stuknięcia dochodziły z komunikatora.

- Kto tam? - powiedziała do mikrofonu.

Cisza.

Czekała. Coś się ruszało pomiędzy drzewami, ale mógł to być tylko ptak.

Miała właśnie zapytać, czy to któryś z Duchów w dworku nadał sygnał, kiedy od linii drzew oderwała się samotna postać, biegnąc prosto w jej kierunku, przeskakując przez zwalone gałęzie, przedzierając się przez niskie zarośla. Poderwała karabin, miała czysty strzał.

Zamarła.

Biegnącym był Jajjo. Brudny, pokryty błotem, w podartym mundurze, Jajjo biegł prawie na oślep w jej kierunku.

- Jajjo! - zawołała. Zatrzymał się w miejscu i rozejrzał dookoła.

- Za mur, człowieku, za mur! Dawaj tutaj!

Rzucił się znowu do biegu, przeskoczył niski kamienny mur i Podczołgał na kolanach i łokciach do jej szopy.

- M- Muril?

- Gothlera! Co z tobą? Co się stało?

-P... patrol n... nieprzyjaciela-jąkał się Jajjo, tak wyczerpany i ciężko dyszący, że prawie nie mógł mówić.

- Mam Jajja - Muril nadała do dworku. - Czekaście. Podciągnęła Jajjo pod ścianę szopy. Był w kiepskim stanie, blady i odwodniony.

- Raportuj! - syknęła.

- G... gdzie jest Ven? - spytał.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, nie widziałam go.

- Powinien już tu być! Był przede mną!

- Spokojnie! Powoli! Powiedz mi, kogo spotkaliście. Coście tam znaleźli?

- Gównem, Muril - powiedział i podciągnął się do okna. Wyrzwał na zewnątrz.

- Dwudziestu, może trzydziestu. Są tuż za mną. Nic dostaliście mojego meldunku?

- Tylko sygnał „Zapłata”.

- Gothlera, wiedziałem, że łączność jest słaba, ale...

Zamilkł i schylił się gwałtownie.

- Już tu są! - syknął.

Nie miała zamiaru kulić się ze strachu tak jak on. Podniosła się i wyrzwała przez okno.

Postaci, trzy, może cztery, nadchodziły przez mgłę pomiędzy drzewami. Dużo postaci w mundurach bojowych. Z karabinami laserowymi.

Od razu rozpoznała krwawoczerwone mundury i wykrzywione żelazne maski.

To nie Shadik. W żadnym razie.

Krwawy Pakt.

Tak jakby zwęszyli jej nagły strach, trzech żołnierzy piechoty Chaosu uniosło karabiny i otworzyło ogień w kierunku budynków gospodarczych. Pociski laserowe tłukły dachówki, rozwalaly stare cegły i kamienie. Dołączyło się wsparcie ogniowe - trzy albo cztery kolejne karabiny laserowe i coś, co zabrzmiało jak działko automatyczne.

Muril krzyknęła i zakryła głowę Jajjo własnymi rękami kiedy pocisk laserowy przebił framugę okna i rozwalił krawędź dachu.

- Kontakt! - krzyknęła do komunikatora. - Mamy kontakt!

- Złoty tronie! - powiedział Feygor wyglądając przez okno.

- To strzały z karabinów laserowych. Ośmiu, może dziewięciu strzelców.

Brostin poderwał się na nogi. Spojrzał w przelocie na Peterika, który zasłaniał starszą panią w kącie spiżarni.

- Shadik nie mają broni laserowej - powiedział, wyraźnie zagubiony. - Murt? Skąd oni mogą mieć broń laserową?

- Nie wiem! - warknął Feygor. - Muril! Muril! Raport!

Komunikator zatrzeszczał. - Krwawy Pakt! Powtarzam, to Krwawy Pakt!

- A niech to Święty Feth! - stwierdził Feygor.

Caffran również usłyszał wiadomość i poczuł chłodny dreszcz. Spotkali się już z Krwawym Paktem na Phantine. Pakt był oddaną elitarną jednostką arcywroga. Nie byli to kultuści ani rebelianci. Byli wyszkoloną i zdyscyplinowaną piechotą, z mocną motywacją, wysokimi umiejętnościami i dobrym wyposażeniem.

Jeśli byli tutaj, walcząc po stronie Republiki... no cóż, oznaczało to, że czterdzieści lat starej wojny zmieniło się właśnie tak radykalnie jak po przybyciu Gwardii wspierającej Przymierze. Przestało to być tylko kwestią globalną. Teraz była to już w pełnym zakresie część Krucjaty.

Ze swojego stanowiska, wszystko, co widział, to tyły budynków gospodarczych, spadające pod zmasowanym ogniem dachówki i wylatujące w powietrze odpryski kamiennej ściany. Tęsknił za celem.

- Czekać! Czekać, aż się zaangażują! - wołał Feygor przez komunikator. Do diabła z tym! Jeśli nikt nie podejmie walki, to już po Muril i Jajjo. Feygor najwyraźniej nie chciał ujawniać faktu, że tu są. Tak długo jak nie musiał. Z obleganego budynku gospodarczego doleciał nieco inny odgłos. Jęklive trzaśnięcie, wyższy dźwięk pierwszego z imperialnych karabinów, zaraz za nim następny. Muril i Jajjo odpowiadali ogniem.

Caffranowi to wystarczyło.

- Larkin! - nadał. - Masz cel?

- Tak, Caff. Co najmniej dwa.

- Ja też mam jednego - zaraportował Gutes.

- Sądzę, że czas brać się do roboty - stwierdził Caffran.

- Nie strzelać! - warknął Feygor przez komunikator. - Oni jeszcze nie wiedzą, że tu jesteśmy! Nie strzelać!

- Feth - rzucił Larkin i oddał pierwszy strzał.

Wysokoenergetyczny pocisk laserowy ze snajperki przeleciał nad ogrodem i głowa

jednego z żołnierzy Krwawego Paktu eksplodowała w fontannie krwi, tkanek i metalu. Ciało żołnierza upadło w zarośla. Pozostali rzucili się w poszukiwaniu osłony. Strzelając z jadalni, Gutes trafił jednego w biodro i szyję.

- Na świętego Fetha! - ryczał Feygor. - Nie dałem rozkazu do strzelania! Kto strzela? Kto, do Fetha, strzela?

- Ja - odparł Larkin i strzelił ponownie.

Cel uchwycony. Siedemdziesiąt trzy metry. Kolejny strzał w głowę. Żołnierz Krwawego Paktu wyleciał w powietrze, wymachując nogami.

Myszę, że już się zaczęło - powiedział Rerval i zaczął słać laserowe pociski ponad trawnikiem.

- Pewne pewniutkie - zgodził się Cuu, otwierając ogień.

- Święty Feth! Czy nikt już nie słucha rozkazów? - krzyczał rozwścieczony Feygor do komunikatora.

W okolicach zabudowań gospodarczych Muril i Jajjo strzelali w najlepsze i cieszyli się, kiedy dzięki strzałom z dworku padł pierwszy wróg, a po chwili dwóch kolejnych. Muril z podziwem rozpoznała skuteczność laserowej snajperki.

Odnalazła kolejnego przeciwnika pomiędzy drzewami i potraktowała ten teren ogniem automatycznym, wyrzucając w powietrze chmurę porwanych liści i gałązek. Jajjo strzelał pojedynczym ogniem. Jego karabin podążał za żołnierzem Paktu biegnącym ku zamglonym cieniom drzew. Jajjo nacisnął spust. Błyszczący pocisk trafił biegnącą postać w kręgosłup i obalił ją na ziemię.

Działko automatyczne kontynuowało ostrzał szop, w których kryli się Muril i Jajjo. Po kilku kolejnych wściekłych seriach, boczna ściana rozpadła się na stertę kamieni i dwójka Duchów musiała wyczołgać się spod zawalonego dachu i szybko przesunąć się wzdłuż ogrodowego muru.

- Czy ktoś by mógł namierzyć to fethowe działko? - warknęła Muril.

- Nic z tego, nie widzę go - nadał Caffran, a zaraz po nim to samo powiedział Gutes.

- Larks? Widzisz? - nadała Muril.

- Za głęboko w lesie - odparł Larkin. - Nie widzę nawet ognia z lufy.

- Niech to gothlera! - rzuciła Muril. Razem z Jajjo byli przyszpileni za wąskim kamiennym murem, a ogień działka niszczył go w szybkim tempie. Potrzebowali chwili przerwy, wystarczająco dużo czasu, by przebiec po trawniku do głównego budynku. Nie zapowiadało się na to, że będą go mieli.

- Kryjcie się i czekajcie na mój sygnał - nadał Larkin przez komunikator. - Jeszcze chwilę...

Nie widział obsługi działka, nawet z wysokości swojego stanowiska i nie widział ognia z lufy. Obserwował jednak zakrzywioną linię pocisków smugowych wylatujących pomiędzy drzew. Pociski dużego kalibru kruszyły ogrodowy mur i zamieniały rośliny w gęstą parę wodną. Jeszcze parę sekund i przebiją się przez mur, za którym kryli się Muril i Jajjo.

Larkin podążył lunetą za linią pocisków smugowych, aż zniknęła u niewidocznego źródła. Dołożył poprawkę i strzelił między drzewa.

Ogień działka ustał gwałtownie.

- Biegnij, Muril! Biegnij! - zawołał przeładowując i strzelił po raz drugi dokładnie w

to samo miejsce co za pierwszym razem.

Muril i Jajjo biegli w stronę barykady. Ścigało ich kilka pojedynczych strzałów z karabinów laserowych, zostawiając dziury w trawniku.

Działko zaczęło znów strzelać, ale wyraźnie brakowało mu teraz pewności siebie, jakby ktoś inny je teraz obsługiwał. Pociski wbijały się w ogrodowy mur, a niektóre przelatywały nad nim, trafiając w tylną ścianę dworku. Zabrzęczało rozbite okno.

Muril i Jajjo dobiegli do barykady i rzucili się za nią.

Działko kontynuowało ostrzał.

- Pierwsza rzecz, jakiej należy się nauczyć - mówił Larkin do siebie - to przenieść się, jeśli ktoś wie, gdzie jesteś.

Strzelił znów, celując dokładnie w to samo miejsce, co poprzednie dwa razy. Po raz drugi w ciągu trzydziestu sekund, działko gwałtownie zamarło.

- Niezłe strzały, Larks - nadał Gutes.

Teraz Caffran czuł się odkryty. Po tym jak Muril i Jajjo cofnęli się do barykady, to on był na najbardziej wysuniętej pozycji obrony.

Obserwował skraj ogrodu, mur i zarośla biegnące aż do linii drzew. Nie musiał długo czekać. Co najmniej dwa tuziny żołnierzy Krwawego Paktu wyszły spośród drzew i rzuciły się do muru, ostrzeliwując dworek. Wszystkie Duchy, nawet Larkin, musiały paść na podłogę, żeby uniknąć wściekłego ostrzału.

Atakujący wykorzystywali teraz osłonę muru i szop opuszczonych przez Muril i Jajjo. Caffran jako pierwszy odpowiedział ogniem. Strzelał wzdłuż tylnej ściany muru, trafił co najmniej jednego przeciwnika i zmusił do uników kolejnych kilku. Ta przerwa dała szansę Larkinowi i Cuu. Cuu zasypał ogniem szopy, a Larkin strzelił swoim pociskiem wysokoenergetycznym, trafiając żołnierza Krwawego Paktu w pierś.

Na wschód od nich, z okna jadalni, dołączył się Gutes, strzelając w charakterystyczny dla siebie sposób: wolno, metodycznie, w urywanym rytmie. Dwóch żołnierzy Paktu chciało podejść z flanki, biegnąc wzdłuż żywopłotów. Gutes dostał obydwo. A zaraz potem trzeciego, którego nie zdołał od razu zabić. Następnie czwartego, próbującego odciągnąć rannego za mur. Po namyśle, Gutes poprawił jeszcze rannego.

Główna koncentracja ognia trafiającego dworek i barykadę dochodziła z centralnej pozycji za tylnym murem. Cuu i Rerval odpowiadali, wspomagani przez Jajja i Muril, którzy dołączyli teraz do nich za barykadą. Feygor dołożył się z okna kuchni, a Brostin wypadł nagle z kuchennych drzwi i pobiegł przez ogród w stronę Caffrana, zostawiwszy w dworku miotacz płomieni. Wielki zbir wcisnął się koło Caffrana i zaczął strzelać z pistoletów, po jednym w każdej wielkiej dłoni.

- Co ja bym teraz dał za wyrzutnię rakiet - zaburczał.

- Dobrze cię rozumiem! - zgodził się Caffran.

Z lewej strony nadleciał strzał. Krwawy Pakt zachodził ich od zachodu. Brostin uniósł się na nogi, wyśliznął ze szklarni Caffrana, skręcił za nią i podbiegł do niskiego murku, gdzie znalazł się naprzeciwko trzech żołnierzy Paktu biegnących w ich kierunku. Pistolety laserowe zagrały na zmianę. Zabił dwóch i postrzelił trzeciego.

Przy barykadzie, Cuu przełączył swój karabin laserowy z ognia ciągłego na

pojedynczy. Czekał na żołnierzy Paktu, aż któryś wystawi głowę ponad murem. Za każdym razem strzelał im w twarz. Trzech pod rząd. Czterech. Piąty dostał jednym z pocisków Larkina zanim Cuu zdążył strzelić.

Korzystając z osłony kuchennych drzwi, Feygor wyskoczył na trawnik i rzucił się biegiem w stronę barykady, ścigany przez nawałnicę strzałów, eksplodujących w ceglach, rynnach, dachówkach.

Przyskoczył do Muril.

- Idź do Larkina! - powiedział. - Wiem, że nie masz już snajperki, ale tam się bardziej przydasz.

Skinęła głową i pobiegła w stronę kuchennych drzwi.

Feygor wstał i zaczął strzelać. Spojrzał na Jajjo.

- Gdzie jest Ven?

Jajjo pokręcił głową.

Obok Jajja Rerval strzelił i zaliczył trafienie. Wyraźnie widział, jak żołnierz Paktu upadł. Odwrócił się, żeby uśmiechnąć się tryumfalnie do Feygora i wtedy pocisk laserowy trafił go w bok głowy.

Jajjo zanurkował żeby mu pomóc, ale Rerval wstawał sam, bez pomocy.

- Nic mi nie jest - powiedział, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

Od kącika ust aż do końca szczęki miał przecięty policzek i krew zalewała mu szyję. Rerval strzelił jeszcze raz, po czym uniósł dłoń i poczuł Jak bardzo ma rozdartą twarz.

- Feth! - wybełkotał i upadł.

Jajjo odciągnął go do kuchni. Ilość krwi lecącej z rozwalonej twarzy Rerval'a była oszalamiająca.

- Pomóżcie! - krzyknął Jajjo do starszej pani i młodego chłopaka kulących się w kącie. Nie miał pojęcia, kim byli.

Pocisk laserowy przeleciał przez kuchenne okno, obsypując kafelki podłogi kawałkami szkła. Kilka kolejnych strzałów wyrwało fragmenty kuchennych drzwi.

Jajjo starał się przytrzymać twarz Rerval'a tak, żeby się nie rozchodziła.

Starsza pani przebiegła przez kuchnię, z pochyloną głową i przejęła rannego.

Przytrzymała ranę i zaczęła obwiązywać swoją chustką.

- Odwiąż mnie! Odwiąż mnie, na miłość boską! Mogę pomóc!

- krzyczał chłopak. Jajjo zauważył, że był przywiązany do krzesła.

Jajjo wstał, podszedł do niego i przeciął więzy nożem.

- Nie wiem dlaczego byłeś przywiązany - powiedział - ale nic, do gothelry nie kombinuj.

Młody człowiek - Jajjo dopiero teraz zauważył jak bardzo był brudny i zarośnięty rzucił się do apteczki polowej, którą Gutes zostawił na ławie. Chwycił ją i podbiegł do starszej pani tulącej Rerval'a. Rozlewała się pod nią zdumiewająco duża plama krwi.

- Wiesz co robić? - spytał Jajjo.

- Byłem sanitariuszem. Wiem, jak udzielić pierwszej pomocy - odparł chłopak.

- Nie pozwól mu się wykrwawić - rzucił Jajjo i pobiegł z powrotem walczyć.

Gwałtowny, zmasowany ostrzał laserowy rozświetlił trawnik i otoczenie. Caffranowi

zdawało się, że zaliczył kolejne trafienie, ale ciężko było mieć pewność. Na przeciwko siebie miał przynajmniej dwunastu przeciwników. Muril dotarła na piętro i starała się znaleźć okno z najlepszym widokiem. Słyszała w pobliżu jęśliwe dźwięki wysokoenergetycznych strzałów Larkina. Larkin przeładował po raz kolejny i wycelował. Od momentu rozpoczęcia potyczki trzy razy zmieniał już pokoje, żeby jego strzały nie pochodziły za każdym razem z tego samego miejsca. Był teraz w sypialni na końcu domu. Uklęknął i spojrzał przez lunetę. Stalowy hełm nad groteskową żelazną maską. Bang!

Żołnierz Krwawego Paktu upadł. Larkin przeładował.

Szukał celów. Tył głowy bolał go wyjątkowo mocno i czuł smak krwi. Co jakiś czas miał krótkie zaćmienia wzroku. Nawałnica nieprzyjacielskiego ognia była bardzo mocna. Sam środek walki, wszystko się wali i jeszcze to...

Larkin pogłaskał swoją snajperkę i skierował ją nieco w dół.

Lijah Cuu był poniżej, w ogrodzie, strzelał w stronę muru.

Celownik lunety obramował głowę Cuu.

Larkin zatrzymał się. Odetchnął ostrożnie. Głowa naprawdę go teraz bolała, czuł to okropne pulsowanie migreny, które prześladowało go przez całe życie.

Zamrugał, gdy kropla potu spadała mu do oka. Mógł to teraz fethowo zrobić.

Cuu, na celowniku. Lijah Cuu. Jego wróg. Ucieleśnienie jego strachu. Człowiek, który zabił Szansę Bragga.

Jeden strzał.

Pop.

Łatwe.

Palec Larkina zacisnął się na spuście.

Cel namierzony. Cuu. Dziewięć przecinek siedem metra.

Larkin jęknął głośno, rozpaczliwie. Chciał to zrobić, ale nie potrafił. Był snajperem, strzelcem wyborowym, zabójcą. Ale nie mordercą. Nie potrafił strzelić jednemu ze swoich prosto w plecy, nawet jeśli był to fethowy Lijah Cuu.

Bardzo chciał. Powinien. To był jedyny sposób. Po to z nimi poszedł.

Ale...

Cuu zrobiłby to bez wahania, pomyślał Larkin. Ta jedna myśl przekonała go, żeby zdjąć palec ze spustu.

- Larks! Co ty do gothlery robisz?

Larkin spojrzał sponad dokładnie wycelowanej snajperki. Muril stała za nim, przerażona.

- Nie rób tego - powiedziała. - Proszę. Wiem, że chcesz. Wiem, że on na to zasługuje. Ale nie rób tego...

- Sehra - powiedział cicho. - I tak bym nie potrafił.

- To dobrze - odparła. - Naprawdę, Larks. Nie niżaj się do takiego zwierzęcego poziomu.

- Och, Feth - westchnął Larkin. W głowie mu się kręciło. Wzrok mu wysiadał, widział rozbłyśki i kolorowe plamy. Miała rację. Był tak fethowo zadowolony, że nie zbrukał swojej duszy tak, jak to zrobił Cuu. Było coś takiego jak honor. Było coś takiego jak moralność. Można było spać w nocy bez budzenia się z krzykiem. Bragg by zrozumiał. Gdziekolwiek by był, Bragg by zrozumiał.

Larkin odwrócił się i spojrzał ostatni raz przez lunetę. Cuu patrzył mu prosto w oczy. Lijah Cuu zobaczył wycelowaną snajperkę. I uśmiechał się.

Brostin i Caffran w końcu wyparli ostatniego z żołnierzy Paktu z lewej flanki. Feygor i Gutes walili w mur i Feygor trafił kolejnego.

Krwawy Pakt umilkł.

Duchy czekały. Żadnego kontaktu. Żadnego dźwięku.

Deszcz przybrał na sile i wypłukał ślady krwi Rervalą z trawnika.

- Spokój - powiedział w końcu Feygor.

- Wróć - powiedział Caffran.

- Połóż się - poradziła Muril.

- Tak mnie boli głowa.

- Cuu nieźle cię wałnął tą patelnią, Larks. Martwiłam się o ciebie.

Larkin położył się na brudnym materacu w sypialni.

- To nie to. Mam bóle głowy. Naprawdę mocne. Zawsze je miałem.

- Nieważne - stwierdziła Muril. - Myślę, że to rana głowy.

Cuu naprawdę zrobił ci krzywdę. Nie chcę cię martwić Halaine, ale musisz to komuś pokazać. Gothlerna szkoda, że nie ma z nami Curth albo Dordena.

Larkin zdążył już stracić przytomność. Wodnista krew zbierała się w kałuży za jego głową.

- Gothlera - rzuciła Muril. - Naprawdę potrzebujesz pilnie lekarza...

Zamarła. Pod sobą słyszała Feygora i pozostałych jak naprawiają umocnienia i ładują broń przed drugą falą. Usłyszała dźwięk z przodu domu. Wzięła karabin i wyszła na korytarz. Kolejny cichutki dźwięk, jakiś ruch na ganku.

Zeszła powoli po schodach, z uniesionym karabinem. Na dole schodów odwróciła się i znalazła na wprost Cuu. Mrugnął do niej.

- Ostrożnie, dziewczyno.

- Co ty tu robisz?

- Usłyszałem coś z przodu domu - odparł.

- Sprawdź - rzuciła i ustawiła się tak, żeby mieć go na linii strzału.

- Skąd ta wrogość? - spytał.

- Już ty dobrze wiesz, sukinsynu. Sprawdź to.

Cuu podszedł do frontowych drzwi, Muril obserwowała uważnie każdy jego ruch.

Wyciągnął nóż. Otworzył gwałtownie drzwi.

Ostrze wyleciało mu z dłoni, kiedy wysoka postać złapała go w duszący chwyt.

- Zdajecie sobie sprawę, jak łatwo was podejść? - spytał Mkvenner.

POTWORY

„ W dłuższej perspektywie człowiek obdarzony rozumem jest groźniejszy niż człowiek obdarzony mięśniami. ”

Mistrz Wojny Slaydo Traktat o Istocie Wojny

Dyszac ogniem, jak giganty z dawnych mitów, potwory leżały przed nimi. Kiedy potwory ryczały, ziemia się trzęsła a powietrze przelatywało, gorące i gryzące, w falach zwiększonego ciśnienia. Rozbłyśki światła były bolesne dla oczu, jak okielznane gwiazdy, włączane na przemian pośród nocy. Od dźwięków dzwoniły zęby i drżały kości.

Walka w korytarzu amunicyjnym zabrała siedem minut, zanim zakończyła się zwycięstwem Duchów. W potyczce z nieco liczebniejszym batalionem Shadik grupa infiltracyjna Gaunta straciła pięciu ludzi - czterech Duchów i jednego z oddziału *Bande Sezari* Golkego. Jednakże ich lepsza broń oraz, w opinii Gaunta, zdecydowanie lepsze wyszkolenie, oznaczały, że zginęło prawie trzydziestu żołnierzy Shadik. Reszta rzuciła się do ucieczki.

Bez wątpienia dowódcy Shadik wiedzieli, że mają intruzów na swoim terenie. Pomimo, że korytarz amunicyjny zapraszał ich w kierunku stanowisk dział, Gaunt i Mkoll poprowadzili oddział na wschód, na błotniste pustkowia.

Teren był pozbawiony światła, poprzecinany dawnymi liniami zasieków i wypalonymi wrakami. Chwasty i kolczaste zarośla rosły w kępach, rozchodząc się naokoło rozbitego betonu dawnych bunkrów amunicyjnych i pomiędzy osiami zardzewiałych czołgów. Było to stare pole bitwy, liczące sobie wiele lat, po którym wojna przetoczyła się i porzuciła zdewastowane. Teraz został tylko martwy krajobraz na tyłach linii Republiki.

Duchy szły w ciszy przez ciemny teren, kierując się na północ, na tytaniczne odgłosy dział. Trzymali się w zasięgu wzroku od korytarza amunicyjnego, leżącego teraz po ich lewej stronie, posuwali się równolegle do niego.

Szukają ich. Gaunt był tego pewien. Nawet w obliczu wielkiej ofensywy, zużywającej siły Shadik, wrogiego dowódca nie pozwoliłby sobie na niesprawdzenie podejrzanej aktywności.

Trzy razy Duchy kryły się, ostrzeżone przez zwiadowców o patrolach w korytarzu. Gaunt nie potrzebował kolejnej potyczki na tym etapie. Lepiej ukryć się, przeczekać i ruszyć znowu, kiedy niebezpieczeństwo mijało.

Nocne niebo miało kolor bursztynu, zabarwione wielkimi kołami dymu ulatującymi z dział. Od czasu do czasu pokazywał się księżyc, pomarańczowe półkole, wyłaniające się pomiędzy słupami dymów.

Po prawie trzech godzinach od momentu wyjścia z tunelu, dotarli do grani, z której widać było działa. Potwory.

Bezpośrednie ich obserwowanie sprawiało fizyczny ból.

Przez ostatnie czterdzieści minut Imperialni przedzierali się przez pustkowia mając przed sobą wszechmocne rozbłyśki za ciemnym horyzontem. Prawie zdołali się zaaklimatyzować do huków i drżenia ziemi.

Jednak patrzenie na działa okazało się niemożliwe. Błyski wypalały wzrok, zostawiając powidoki pod zamkniętymi powiekami. Fale uderzeniowe nadlatywały jak ciosy. Huki wystrzałów zdawały się rozsadzać bębny w uszach. Beltayn zameldował, że impuls magnetyczny odciął wszelką komunikację radiową. Leżąc na boku, na ziemi tuż przy szczycie grani, z żołnierzami rozproszonymi naokoło, Gaunt rozważał następny ruch. Czuł narastającą frustrację. Dotarli tak blisko, wbrew wszelkim, oprócz jego własnych, oczekiwaniom, i nie byli teraz w stanie pokonać ostatniego odcinka.

Czuł się tak jak w jednym z mitów czytanych w *Scholam Progenium*. Potwory tak upiorne, że sam ich oddech albo wzrok potrafił oślepić i zamienić człowieka w kamień.

Poprawił płytkę danych i wziął namiar na kierunek. Przynajmniej coś osiągnął. Znali teraz dokładne położenie super dział. Bez żadnych innych dostępnych opcji najważniejsze było teraz dostarczenie tych danych do Sztabu Generalnego.

A to oznaczało fizyczne dostarczenie, radio nie działało.

Gaunt odwrócił się do Mkolla i sierżantów, żeby, używając języka migowego kompanii ochotników z Verghast, przekazać im swoje polecenie odwrotu. W połowie przekazu stało się coś niesamowitego, mrożącego krew w żyłach. Zapadły ciemność i cisza.

Nie była to prawdziwa cisza. Słysząc było odległe zamieszanie pełnej furii ofensywy, z powodu dalekiej strzelaniny ciemność też nie była zupełna.

Jednak działa przestały strzelać.

Gaunt Podczołgał się z powrotem na szczyt grani. To, co przedtem ledwie zobaczył, leżało teraz przed nim w pełnej krasie. Potworne działa, zamontowane na wielkich platformach kolejowych, z lufami wielkości fabrycznych kominów wzniesionymi ku niebu. Było ich siedem, tak jak twierdził Brostin. Dym kładł się naokoło nich niczym gęsta mgła, rozmazując kształty i rozpraszając białe światło chemicznych latarni rozwieszonych dookoła. Gaunt dostrzegł postacie, obsługę dział przytłoczoną ich wielkością.

Elektryczne podnośniki i wózki amunicyjne, do tej pory zajęte dostarczaniem pocisków do automatycznych mechanizmów ładujących, uprzętały teraz niewykorzystane pociski i ładunki prochowe ze stanowisk artyleryjskich. Niektóre z załadowanych wagonów podczepiono do brudnej lokomotywy manewrowej, która pociągnęła je w głąb korytarza amunicyjnego.

- Jak pan myśli, dlaczego przestali? - wyszeptał Golke.

- Strzelali przez całą noc - odparł Gaunt. - Podejrzewam, że następuje taki moment gdy lufy robią się zbyt gorące i trzeba im pozwolić ostygnąć. Na Imperatora! Teraz, kiedy już je znaleźliśmy, co mamy zrobić?

Golke wzruszył ramionami. Nawet uspięne, potężne działa i ich platformy z nitowanej stali wyglądały na niezniszczalne.

Olej i skondensowana para kapały z wielkich wsporników, zbierały się na napiętych kablach i mechanizmach. Sam pocisk był wyższy od człowieka.

Duchy udowodniły Golkemu w pełni swoją odwagę, wytrwałość i umiejętności, ale co oni mogli ze swoimi karabinami laserowymi czy nawet ładunkami wybuchowymi przeciwko takim potworom?

- Nie sądzę, żebyśmy mieli duże szanse na ich uszkodzenie - powiedział Mkoll do Gaunta, jakby czytając myśli Golkego.

- Dałbym radę fethowo załatwić na amen zwykłe działo albo haubicę, ale z tymi nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć. Nie mówiąc o tym, że jest ich siedem.

- A co z amunicją? - zasugerował Domor.

Gaunt myślał już o tym. Żaden z nich nie był ekspertem od materiałów wybuchowych. Najbliższy był Domor ze swoją znajomością min przeciwpiechotnych. Mimo, że generalnie chodziło o wielką eksplozję, to nie miał ochoty grzebać przy pociskach i ładunkach prochowych.

Nie wiedzieli nawet jakich mieszanek materiałów wybuchowych Shadik używali. Być może potrafiliby spowodować duży wybuch, ale taki który spopieliłby ich, a działa pozostawił nietknięte. Poza tym Shadik właśnie wywozili gdzieś całą niewykorzystaną amunicję. Wiedzieli, jakie jest ryzyko.

- Myślę, że musimy się pogodzić z sytuacją – powiedział Gaunt. - Dostarczenie tych koordynatów do Sztabu Generalnego będzie wyczynem samym w sobie i musimy się tym zadowolić.

- Jeśli nie możemy załatwić samych dział - odezwał się nagle Dorden - to może zrobimy tak, żeby nie mogli z nich korzystać.

- Jak, doktorze?

- Ich mobilność. Są za duże, żebyśmy mogli im coś zrobić, więc wykorzystajmy ich wielkość przeciwko nim. Chcielibyście ruszyć gdzieś jedno z nich nie mając torów? Gaunt zaśmiał się pod nosem. Oczywiście, eleganckie, proste. Republika skonstruowała system torów kolejowych biegnących wzdłuż linii frontu, połączone ze szlakami serwisowymi i korytarzami amunicyjnymi, tak żeby działa można było przenosić z jednego miejsca na drugie. W miejscach takich jak to, na które patrzyli, podwójna linia torów rozgałęziała się na wzmocnione bocznice, na których działa stały obok siebie. Ale to główna linia podwójnych torów była ich jedyną możliwością ruchu.

- Co mamy w temacie ładunków? - Gaunt spytał Mkolla.

- Wystarczy, żeby wysadzić główną linię po obu stronach na sporym odcinku.

- Naprawią ją - stwierdził Golke.

- Oczywiście, ale ile im to zajmie czasu, sir? - spytał Gaunt.

- Dzień? Dwa? Poza tym dostarczenie namiarów na to miejsce nie miałoby sensu, jeśli w momencie nalotu albo natarcia pancernego działa byłyby już w innym miejscu. Realistycznie patrząc nie wydaje mi się, żebyśmy mieli jakiś wybór. Musimy wysadzić tory. Jeśli zniszczymy również korytarz amunicyjny, nie będą w stanie strzelać z dział ani ich przesunąć aż do momentu dokonania napraw. Golke skinął głową.

- Jak to zrobimy? - spytał tylko.

Podzielili się na cztery grupy, mniej więcej według plutonów.

Oddział Mkolla miał ruszyć pierwszy, okrążyć stanowiska artyleryjskie i założyć ładunki na północ od dział. Gaunt dał im dziesięć minut. Oddział Domora poszedł na wschód, żeby zająć się korytarzem amunicyjnym. Grupa Arcudy cofnęła się na zachód, na prawo od grani, żeby założyć ładunki na południowym odcinku. Gaunt

został z plutonami Criid i Raglona na grani, w gotowości do zapewnienia wsparcia ogniowego, jeśli zajdzie potrzeba.

W idealnym scenariuszu wybuchy powinny nastąpić prawie jednocześnie.

Koordinacja była jednak utrudniona z braku radia. Gaunt rozkazał zsynchronizowanie zegarków.

Termin został ustalony na 04: 00. Do tej pory ładunki powinny być założone. O 04: 00 każdy z dowódców oddziałów miał wystrzelić czerwoną racę sygnalizując gotowość, a wtedy Gaunt wystrzeliłby białą dając sygnał do detonacji. Jeśli do tego czasu nie byłoby któregoś z czerwonych sygnałów, Gaunt miał odczekać dwie minuty. Wtedy, tak czy inaczej, nastąpi białą sygnał i rozpocznie się odwrót. Punkt zborny został wyznaczony.

- Pamiętajcie - powiedział im Gaunt. - Jeśli dojdzie do wyboru między dotrzymaniem terminu i wysadzeniem torów, wysadzajcie tory. Zawsze będziemy mogli improwizować, jeśli będzie trzeba. Imperator was chroni, więc służcie mu dobrze.

Do czwartej brakowało dwóch minut. Od strony frontu wciąż dobiegały odgłosy bitwy. Oddział na grani czekał nerwowo.

Teraz, kiedy zostało ich tak niewielu, czuli się odsłonięci i samotni.

Beltayn załadował biały pocisk do pistoletu sygnalizacyjnego i podał go Gauntowi.

- Odbezpieczony, sir - powiedział.

- Kłopoty - syknęła ponaglająco Criid. Gaunt spojrział w kierunku, który wskazywała.

Na zachód od nich, oddział żołnierzy Shadik wysypywał się z okopu na stanowiska artyleryjskie.

Gaunt naliczył przynajmniej sześćdziesięciu.

W długich płaszczach i z hełmami na głowach, z opuszczoną bronią w gotowości, przeszukiwali teren pomiędzy platformami dział i podnośnikami.

Szukają nas, pomyślał Gaunt. Szukają dywersantów.

- Szykować broń - zawołał. - Czekać na mój sygnał.

Niektórzy z żołnierzy Shadik mieli latarki. Dwóch prowadziło psy.

Gaunt wcisnął pistolet sygnałowy do kieszeni i wyjął bolter.

Pełen magazynek. Wyciągnął miecz energetyczny i położył na ziemi obok siebie.

Duchy w plutonach Criid i Raglona wkładały do karabinów nowe magazynki i mocowały na lufach bagnety, uprzednio wbijając ostrza w ziemię, żeby nie błyszczały.

Golke i żołnierze *Bande Sezari* przygotowali swoją konwencjonalną broń.

Jeszcze minuta.

Bądźcie wszyscy na czas, myślał Gaunt. Bądźcie na czas.

Nagle zadźwięczały gwizdki na alarm. Oddział przeciwnika rzucił się gwałtownie do biegu, całą gromadą na wschód. Gaunt zobaczył ogień z luf i usłyszał wystrzały.

Kierowali się w stronę korytarza amunicyjnego. Oddział Domora został zauważony.

- Na nich! - krzyknął Gaunt. - Pierwszy i Jedyński!

Oddział wsparcia oderwał się od grani i runął w dół zbocza, strzelając ze wszystkiego, co miał. Oddział Shadik zawahał się pod nagłym ostrzałem z lewej strony. Duchy wpadły na nich.

Gaunt był w samym środku. Jego bolter wył, pociski rozrywały żołnierzy

przeciwnika na kawałki. Wspaniały miecz energetyczny *Heironymo Sondara*, podarowany mu przez mieszkańców kopca Vervun, migotał błękitnymi wyładowaniami.

Zaraz za nim Beltayn strzelał w biegu z biodra, ładując pociski laserowe w szarą masę wroga.

Za Beltaynem Criid kierowała swoimi Duchami, ustawiając ich w szyk, nawet w trakcie tej nagłej szarży. Tona była dobrym wyborem, pomyślał Gaunt.

Sekundę później miał przed sobą żołnierza Shadik, robiącego zamach wyszczerbionym bagnetem. Gaunt odbił mieczem, odcinając mu przy tym połowę karabinu i rękę. Pocisk z boltera załatwił kolejnego za jego plecami.

Miotacz płomieni Lubby ryknął i rozświetlił noc. Gaunt zobaczył dwóch żołnierzy Shadik rzucających się na bok, obaj byli pochłonięci przez ogień od stóp do głów. Hwlan, Vulli i Kolea biegli ramię w ramię. Kolea wyglądał jakby zapomniał, jak działa karabin laserowy. Ciął przeciwnika bagnetem, ścinał ich jak zboże, walił jak górnik na przodku. Było to rozmazane, niewyraźne, starcie w kontakcie bezpośrednim.

Golke strzelał z rewolweru aż do opróżnienia magazynka, po czym złapał karabin maszynowy Shadik, upuszczony na kamienie torowiska. Jeden z *Bande Sezari* za jego plecami zachwiał się trafiony pociskiem. Golke odwrócił się i wypalił z broni automatycznej, zwalając trzech przeciwników z nóg.

- Nadchodzi ich więcej! - krzyknął Raglon ponad hałasem walki. Gaunt zobaczył kolejny oddział Shadik wybiegający ze wschodniego wylotu okopu.

Huknęły granaty i błysnęło światło wybuchów. Oddział Domora został odepchnięty pierwszymi strzałami. Żołnierze poukrywali się za zaparkowanymi ciężarówkami amunicyjnymi, jakieś dwieście metrów w głębi korytarza.

-Sir! - krzyknął Beltayn. Gaunt spojrzał w górę i zobaczył, jak dwie czerwone flary opadają w dół. W zamieszaniu o mało co nie przegapił sygnałów od Mkolla i Arcudy. Dwie z trzech. Też nieźle. Musi wystarczyć.

- Odrywamy się i wycofujemy! - krzyknął i wystrzelił białą racę.

Gdy tylko rozbłysło nad nimi białe światło sygnalizacyjne, na północy nastąpił gorący żółty wybuch, a w kilka sekund później następny, na zachodzie.

Oddział osłaniający, strzelając za siebie w biegu, wspinał się na zbocze, żeby zniknąć z powrotem w ciemnościach.

Zostawili za sobą torowisko usiane martwymi żołnierzami Shadik.

Gaunt sprawdził kierunek na fluorescencyjnej tarczy kompasu. Byli w punkcie zbornym.

- Sprawdź stan osobowy! - rozkazał Beltaynowi.

W oddali za nimi, żółte światło rozbłyskiwało w ciemnościach.

Główna linia kolejowa została przerwana na północ i południe od stanowiska dział.

Upłynęły dwie minuty i oddział Arcudy wyłonił się z mroku.

Chwilę później, dysząc z wyczerpania, pluton Domora.

- Przepraszam, sir - dyszał Domor. - Już prawie byliśmy gotowi, kiedy na nas wpadli. Starłem się wrócić i dokończyć robotę, ale kryli ogniem cały teren.

- Nie przejmuj się, Domor. Świetnie sobie poradziłeś. Uszkodziliśmy główną linię tranzytową, to najważniejsze. Te działa nigdzie się nie ruszą.

- Ale wciąż będą w stanie strzelać, mając otwarty korytarz z zaopatrzeniem. - Domor wyglądał na przygnębionego niepowodzeniem.

Gaunt złapał go za ramiona.

- Dobrze się sprawiłeś, Shoggy. Naprawdę. Dałeś z siebie wszystko i tego właśnie od ciebie wymagam. Czekamy teraz, aż banda Mkolla do nas dołączy i wtedy zacznie się niezła zabawa, jak będziemy wracać. W porządku?

Domor skinął głową.

Pojawił się Beltayn.

- Zostawiliśmy paru zabitych, sir, ale wszyscy zostali dokładnie policzeni. Z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem?

- Hrabiego Golke, sir.

Żołnierze Shadik kręcili się wokół stanowisk artyleryjskich i wzdłuż linii kolejowej, sprawdzając w świetle latarek zniszczenia.

Dwa wielkie kratery szpeciły tory, po jednym z obu stron stanowiska dział. Kolejni żołnierze, w ciężkich ciemnych płaszczach i zbrojach powlekli się wzdłuż korytarza, zbierając ciała poległych. Jeden z nich wezwał oficera, kiedy znalazł częściowo przygotowane ładunki pomiędzy podkładami.

Hrabia Golke krył się za wózkiem wagonu amunicyjnego, niecałe dwadzieścia metrów od najbliższego wrogiem żołnierza.

Obserwował, jak gromadzą się wkoło, przecinają druty łączące ładunki i wyciągają je pomiędzy torów. Oficer dał znak ręką i wyrzucił z siebie rozkaz, który posłał dziesięcioosobowy oddział żołnierzy w kierunku wagonów.

Żołnierze zbliżali się z wycelowaną bronią, światła latarni odbijały się od ich hełmów i bagnetów.

Golke kulejąc przeszedł za tył wagonu. W rzeczywistości były to trzy wagony połączone w jeden, wypełnione ładunkami prochowymi, które czekały na następną lokomotywę manewrową, żeby je zabrała do opancerzonego magazynu.

Hrabia wspinał się na środkowy wagon. Ciężko mu szło z jego biodrem. Krzywił się i jęczał cicho. Przez ranę w piersi było mu jeszcze trudniej.

Wdrapał się na górę i usiadł pomiędzy pojemnikami.

Uśmiechnął się. Wrócił do Kotła, stawiał czoła swoim demonom i przeszedł przez to.

Teraz jeszcze osiągnie swoje zwycięstwo. Należało mu się.

To, czego nie udało mu się osiągnąć jako dowódcy, zrobi jako żołnierz.

Żołnierze wroga byli już naokoło wagonu. Słyszał ich głosy.

Jeden zawołał. Znalazł ślad krwi Golkego.

Hrabia usłyszał kolejne głosy i buty na metalowych stopniach wagonu.

Głosy Shadik. Głosy wroga.

Golke żałował że cała ta wojna nie była taka prosta.

Odkaslnął i krew pociekła mu z ust, po brodzie. Shadik coś zawołał, usłyszał jego kaszel. Golke usłyszał odgłos repetowania zamku w karabinie.

Podniósł ładunek wybuchowy. Udało mu się wyciągnąć tylko jeden z wiązeki

przygotowanej na torach przez oddział Domora. Nie było czasu na więcej. Nic był pewien jak to działało, ale na końcu znalazł kawałek papieru, który wyglądał jak taśma zapalnika.

Poczuł kroki w wagonie. Żołnierz Shaidk pojawił się po prawej stronie i zobaczywszy Golkego podniósł krzyk.

Żołnierz uniósł karabin.

- Za Imperatora! - krzyknął Golke i pociągnął taśmę detonatora.

Ładunek odpalił. Pojemniki naokoło zostały rozerwane. Ładunki prochowe zajęły się ogniem. Eksplozja rozświetliła na chwilę całą dolinę. Sto metrów korytarza i okolicznego terenu zniknęło w gejzerach płomieni.

ZAPŁATA

„Nienawidzę ostatecznych rozgrywek.

Nigdy nie ma się szansy na trening przed nimi. ”

Piet Gutes

Niebo było pełne gwiazd. Różowych i nieco podłużnych. Na horyzoncie tańczyły i rozbłyskały bukiety białych sztucznych ogni, jak na paradzie z okazji zwycięstwa. W powietrzu pulsował dziwny szumiący dźwięk, jakby ludzkie jęki, pojawiające się i odpływające z powrotem. Ciemny kształt nagle przesłonił gwiazdy. Wielki cień, który wypełnił niebo.

- Obudź się - powiedział głos.

Posłuchał. Dziwne niebo z tymi okropnymi gwiazdami, odpłynęło gdzieś. Poczul zapach zimnego powietrza i usłyszał w pobliżu szum deszczu.

- Larks - powiedział Bragg - czas się obudzić.

- Szansa?

Szansa Bragg uśmiechnął się szeroko.

- Czas się obudzić - powtórzył.

Larkin zamrugał i podniósł się gwałtownie. Od tego ruchu zakręciło mu się w głowie i poczuł, jak robi mu się niedobrze. Czuł się, jakby ktoś uporczywie walił go zaostrozonym końcem dziewięć siedemdziesiątki w tylną część mózgu. Na krawędziach pola widzenia tańczyły dziwne światła i sztuczne ognie.

Znajdował się na brudnym materacu, w wilgotnej sypialni dworku. Na zewnątrz walił deszcz, biły błyskawice. Było późne popołudnie.

Bragga już nie było.

- Do zobaczenia - powiedział Larkin.

Nie licząc burzy, po tym, jak odparli natarcie, zrobiło się spokojnie. Naprawili umocnienia i na sugestię Mkvennera dodali kilka nowych.

Zwiadowca wyjaśnił im, jak razem z Jajjem wpadli poprzedniej nocy na oddział Krwawego Paktu. Mkvenner był pewien, że sporej wielkości patrol był awangardą większej ofensywy. Shadik dostali wsparcie elitarnych jednostek arcywroga i pierwszą akcją tych oddziałów było przygotowanie inwazji przez lasy Montorq. Jak na ironię, pomyślał Caffran, tak Chaos jak i Imperium poradziły dokładnie to samo obu wojującym stronom Głównej Aexe.

Stan Rerval był stabilny dzięki pierwszej pomocy udzielonej przez dezertera, chociaż był osłabiony wpływem krwi. Położyli go w pokoju dziennym, żeby był bezpieczny i Caffran poprosił Peterika, żeby się nim zajął. Nikt nie miał pretensji, że Peterik nie jest już związany. Starsza pani usiadła z nimi i rozpalila ogień na kominku.

Ponieważ Rerval był wyłączony z akcji, Mkvenner nadał przez radio dokładniejszą wersję pierwotnego raportu. Odpowiedzi znów nie było. Nadal nie wiedzieli, czy ktokolwiek usłyszał ich ostrzeżenia.

- Nic tu już po nas - ogłosił Feygor. - Znaczy, ponieważ Ven i Jajjo już wrócili, wiemy jaka jest sytuacja. Możemy się zwijać. Wynosimy się.

- I jak daleko zajdziesz? - spytał Mkvenner. - Ze starszą panią i rannym, który nie może chodzić?

Feygor wzruszył ramionami.

- No to możemy ich tu fethowo zostawić! Wiem, trudna decyzja. Też mi się nie podoba. Ale czy nie mamy obowiązku dostarczyć ostrzeżenia? Znaczący, radio prawdopodobnie nie działa. Zaniechalibyśmy obowiązki, gdybyśmy nie podnieśli tyłków i nie spróbowali dotrzeć do dowództwa kompanii.

Mkvenner zmarszczył się. Nie miał ochoty dzielić się swoimi przemyśleniami na temat Murtana Feygora i zaniechania obowiązków.

- Ma rację - powiedział zamiast tego, zaskakując wszystkich, w tym Feygora.

- Przynajmniej do pewnego stopnia. Musimy założyć, że radio nie działa. Musimy dostarczyć raport do Ins Arbor, żeby się z tego wszystkiego nie zrobiła fethowa rozróża pierwszej klasy. Ale nawet bez starszej pani i bez Rervalę, nawet idąc tak szybko, jak byśmy dali radę, nie sądzę, żebyśmy przed nimi uciekli. Są szybcy, są dobrzy i depczą nam po piętach.

- No więc? - spytał Cuu.

No więc, bronimy tego miejsca. Tak długo jak się da. Dajemy Krwawemu Paktowi zajęcie tutaj.

- Po co?

- Po to, że dzięki temu damy komuś czas, aby dostarczył wiadomość. Ktoś szybki może mieć szansę, jeśli ich tutaj przetrzymamy.

Caffran, Muril i Jajjo wyglądali poważnie. Feygor kręcił głową. Gutes usiadł i wyduł wargi. Brostin wymamrotał jakieś przekleństwo.

Cuu zadał oczywiste pytanie.

- Kto pójdzie?

- Kto jest szybki? - odparł pytaniem Mkvenner.

- Ty - rzucił Feygor.

- Ja zostaję - powiedział Mkvenner. To on zaproponował ten plan. Nie zostawi ich samych.

- W takim razie Muril albo Jajjo - powiedział Feygor. - Może Cuu. Jest całkiem szybki.

- Kto podejmie decyzję? - spytał Caffran.

- Ja - powiedział Mkvenner i nikt się nie sprzeciwił. - Jajjo. Ty pójdiesz. Weź tylko niezbędne rzeczy, żebyś nie był obciążony. Nie zatrzymuj się pod żadnym pozorem. Młody Verghastanin skinął głową. Przełknął ślinę. Odpowiedzialność przerażała go. Podobnie jak zaufanie Mkvennera. Najgorsza była świadomość, że ich zostawia. Umrą, żeby dać mu czas.

- No dalej - powiedział Mkvenner. - Zbieraj się. Nie ma czasu.

Wszyscy po kolei pożegnali się z Jajjem. Caffran i Gutes pomogli mu uszczuplić ekwipunek i życzyli powodzenia.

Feygor próbował coś powiedzieć, ale w końcu skinął tylko głową, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. Brostin walnął go w ramię i powiedział, żeby fethowo nie zawałił sprawy. Muril napełniła mu dwie manierki wodą.

- Powodzenia - powiedziała.

- Wolałbym, żeby ciebie wybrał - powiedział jej Jajjo.

- Ja też - uśmiechnęła się - ale z innego powodu niż sądzisz.

- Dasz radę, Jajjo - powiedział Cuu, puszczając oko do zwiadowcy-stażysty. - Pewne pewniutkie, że dasz radę.

Jajjo wyszedł frontowymi drzwiami, w deszcz i zapadający mrok.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na Mkvennera. - Sir, ja...

- Idź - powiedział Mkvenner.

I Jajjo poszedł.

Mkvenner zamknął frontowe drzwi i zasunął zasuwy. Feygor rozstawiał pozostałych członków oddziału na stanowiskach strzelniczych. Wysłał Muril na górę, żeby sprawdziła, w jakim stanie był Larkin i żeby zajęła pozycję snajpera.

- Weź snajperkę Larkina, jeśli on nie jest w stanie strzelać - poinstruował.

W korytarzu minęła Mkvennera wracającego od drzwi frontowych.

- Sir - odezwała się.

- Tak ?

- Wiem, że sprawy nie mają się... najlepiej - zaczęła. - Ale chciałam powiedzieć... o ile to coś warte... że wolałabym, żeby potraktował mnie pan poważniej na tym patrolu.

- Nie sądzisz, że traktuję cię poważnie?

- Chcę być zwiadowcą, sir. Przez cały czas dawał pan szansę Jajjo, brał go ze sobą. Nawet teraz, nawet to. To jemu się ufa, że będzie w stanie się przedrzeć.

- Wiesz dlaczego wybrałem jego, a nie ciebie?

- Nie, sir.

Bo jesteś lepszym strzelcem, Muril. Potrzebujemy cię tutaj. Kiedy... jeśli wrócimy, będę wnioskował do Mkolla o awans na zwiadowcę.

- Dla Jajja?

- Dla was obu. Zrobiłaś na mnie świetne wrażenie od momentu, kiedy zgłosiłaś się na szkolenie. Jajjo potrzebował trochę więcej pomocy, żeby zdobyć awans.

Otworzyła usta i zamknęła spowrotem. Nie wiedziała, co właściwie powiedzieć.

Okazja i tak przepadła. Oboje zaczęli mówić, kiedy usłyszeli głośne eksplozje z tyłu domu.

Dziewiętnasty pluton założył połowę swoich ładunków wybuchowych w zaroślach i budynkach gospodarczych wzdłuż krańca terenów dworku. Brostin znalazł w piwnicy zwoje drutu i zrobił z niego potykacze.

Pierwsi napastnicy, idąc nieuważnie w mocnym deszczu potknęli się na drutach. Cała wiązka ładunków wybuchła pod wyszczerbionym murem i zniszczyła go do końca.

Dwa kolejne wybuchły w rowie na wschodnim końcu ogrodu.

Żołnierze Krwawego Paktu, do tej pory niewidoczni w ulewie, zaczęli strzelać w kierunku domu. Obrońcy w dworku odpowiedzieli kilkoma salwami. Po jakiejś minucie po lewej stronie posiadłości nastąpił kolejny błysk i huk, kiedy ktoś wpadł na następny ładunek.

Strzelanina ustała. Krwawy Pakt wycofał się znowu.

Muril poszła po snajperkę Larkina, ale znalazła ją w jego rękach. Kulił się przy jednym z okien sypialni i obserwował deszcz na zewnątrz.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- No - odparł. Wcale na to nie wyglądał. Wyglądał okropnie.

Jego wąska twarz była prawie zupełnie biała, nie licząc siniaków w żywych kolorach, oczy miał ciemne i zapadnięte.

- Lepiej się czuję - powiedział. - Czuję się lepiej, że nie... strzeliłem wtedy.

- Dobrze - powiedziała. - Dostaniemy jeszcze Cuu, Larks. Wyjdziemy z tego i dostaniemy go. Widziałam, jak chciał cię zabić, pamiętasz? Porozmawiamy z Corbekiem. Wszystko mu powiemy.

- Dobra - odparł Larkin.

- To znaczy... Cuu, Feygor, Brostin... Gutes chyba też. Wszyscy będą mieli sprawę za to, co tu narobili. Feygor właściwie zdezerterował na parę dni. Nie uwierzę, że Ven nie złoży pełnego raportu. A my złożymy pełny raport na temat Cuu.

- Dobrze - powiedział.

- To jak... czujesz się na siłach, żeby znów zapolować?

- Jasne - skinął głową, poprawiając snajperkę.

- Będę w ostatniej sypialni.

- Dobra.

Zniknęła. Spojrzał znów przez lunetę. Przez chwilę w ogóle nie widział ogrodu ani skraju lasu. Jedyne podłużne różowe gwiazdy i sztuczne ognie.

Zamrugał, zamrugał znowu, aż odzyskał wzrok.

Pół godziny później Krwawy Pakt powrócił. W tymczasowych umocnieniach w szklarni, Caffranowi zdawało się, że widzi ruch w deszczu i wyciągnął głowę ponad skraj starej ramy od łóżka i kilku worków. Usłyszał dźwięk. Pusty huk i jęk. Potem kolejny. I jeszcze jeden. Znał ten dźwięk.

- Nadchodzi! - krzyknął.

Pierwszy pocisk z moździerza wyrwał dziurę w trawniku i wyrzucił w powietrze grudy ziemi. Kolejny wybuchł w kuli ognia w połowie wschodniego muru posiadłości i kamienne odpryski spadały razem z deszczem. Trzeci trafił w pozbawioną dachu komórkę na węgiel.

Pociski wciąż nadlatywały gwałtowną nawałnicą i wybuchały na trawniku. Po chwili odezwało się z linii drzew działko automatyczne i zaczęło znaczyć tylną ścianę domu.

Mkvenner był przy barykadzie razem z Cuu. W każdej chwili pocisk z moździerza mógł zmieść szklarnię i razem z nią Caffrana.

- Do tyłu! Caff, do tyłu! - wołał. Mocna konstrukcja domu zapewniała przynajmniej trochę osłony.

Caffran skulił się w pozycji ochronnej, starając się wyrzeć na zewnątrz. Pocisk wybuchł w pobliżu, wstrząsając całą szklarnią i obsypując go ziemią.

- Caffran!

- Czeka! - odkrzyknął.

Pod osłoną zacieklego ostrzału moździerzy i działka, żołnierze zaczęli natarcie.

Caffran zauważył ubrane na czerwono postacie wlewające się przez gruzowisko na tyłach ogrodu, a niektóre czołgające się wzdłuż rowów albo resztek tylnego muru.

Zaczęli teraz być ostrzeliwani również z broni ręcznej. Odczekał tak długo, aż sylwetki nieprzyjaciela dotarły prawie do zegara słonecznego w połowie trawnika.

Szarpnął linkę. Była przywiązana do taśmy zapalnika ich pozostałych ładunków,

zakopanych w trawniku. Wybuchły szybką serią, wyrzucając dwa czy trzy ciała w powietrze. Usatysfakcjonowany, Caffran wyskoczył i rzucił się biegiem przez tylne wyjście ze szklarni na podwórze. Pociski laserowe latały wokół niego. Ładunek z moździerza wybuchł po lewej stronie, w ogrodzie kuchennym, a zaraz potem kolejny trafił prosto w szklarnię. Wybuch przewrócił go na twarz. Mkvenger podbiegł i pociągnął go w stronę drzwi kuchennych, skąd Brostin osłaniał ich ogniem. Cuu zdażył już wbiec do środka.

Mkvenger wciągnął Caffrana do kuchni w momencie, kiedy dwa kolejne pociski z moździerza trafiły barykadę i resztki komórki na węgiel. Kamienne odłamki zagrały na tylnej ścianie dworku. Wszyscy, którzy strzelali z okien, schylili się nisko. Kolejny pocisk trafił w zachodni koniec ściany i z potwornym hukiem zawalił dach w spizami.

- W porządku? - Mkvenger rzucił się do Caffrana. Caffran był zamoczony. Ramiona i tył nóg miał pokryte śladami szrapneli.

- W porządku! - odetchnął i wstał, żeby dołączyć do Brostina przy drzwiach.

- Przygotować miotacz! - powiedział Mkvenger. - Zaraz będą w zasięgu!

Dom zatrzęsł się, trafiony kolejnym pociskiem. Połamane dachówki spadły lawiną na podwórko. Żołnierze Krwawego Paktu byli już na trawniku, nadchodzili schyleni zza dalszego końca barykady i zza rozwalonej szklarni. Gęsty dym i rozbłyśki wybuchów utrudniały widoczność. Duchy strzelały do każdego celu, jaki udało im się wypatrzyć. Z góry Muril i Larkin mieli najlepsze pole ostrzału.

- Niech ktoś jeszcze idzie na górę! - ryknął Feygor, strzelając z głównego okna kuchni. Cuu podskoczył i wybiegł.

- Z prawej! Zachodzą z fethowej prawej! - Gutes krzyczał przez komunikator z jadalni. Mkvenger podszedł do drzwi i wyrzwał na wschód. Ponad płonącymi resztkami komórki na węgiel widział jak karabin laserowy Gutesa pokrywał ogniem zasłonięty żywopłotem rów z boku dworku.

- Tak trzymaj, Gutes! - warknął. - Przygniataj ich. Zайдę od przodu, weźmiemy ich w krzyżowy ogień.

- Zrozumiałem! - nadał Gutes.

Mkvenger wybiegł z kuchni i korytarzem dotarł do drzwi. Odsunął zasuwę. Budynek wibrował pod nawałą ostrzału i bombardowania moździerzy. Garnki na schodach chwiałały się i wylewały zawartość. Poczul szczególnie głośny huk, który zabrzmiał, jakby moździerz trafił w dach. Zdał sobie sprawę, że to tylko grzmot.

Otworzył drzwi i ostrożnie wyszedł w deszcz, z uniesioną bronią przesuwając się wzdłuż zachodniej ściany budynku. Ryk bitwy dolatywał z tyłu.

Krwawy Pakt przedzierał się już przez żywopłot, na frontowy trawnik. Jeden z nich zauważył Mkvengera, ale zwiadowca zastrzelił go, zanim zdażył unieść karabin albo nawet krzyknąć. Strzelił jeszcze raz. Dwóch kolejnych padło do tyłu, z szeroko rozłożonymi ramionami. Następnych trzech zaczęło strzelać i Mkvenger zmuszony był wycofać się pod osłonę werandy. Pociski laserowe zaszumiały na kamiennych kolumnach. Zza osłony udało mu się trafić dwóch napastników i następnie rzucił się w stronę żywopłotu, mając nadzieję, że będzie mógł ostrzelać rów.

Z deszczu nadleciał granat. Mkvenger skoczył w bok, ale wybuch i tak go uniósł i rzucił w długą, moką trawę.

Ocknął się chwilę później i zobaczył nad sobą stalową maskę i ostrze zbliżające się do szyi. Mkvenner przekręcił się i kopnął szeroko nogami, przewracając żołnierza Paktu na ziemię. Kolejny rzucił się na Tanithiańczyka z bagnetem, ale Mkvenner złapał za lufę, wyrwał mu broń z ręki i zabił go potężnym ciosem kolby. Usłyszał trzask laserowego pocisku wystrzelonego z bliskiej odległości, schylił się nisko i zaraz podniósł, wbijając bagnet zdobyczej broni w brzuch trzeciego napastnika. Bez patrzenia kopnął do tyłu, łamiąc kark pierwszemu, który właśnie próbował się podnieść z trawy. Było ich jednak dużo więcej, prawie tuzin. Biegli w jego kierunku, niektórzy strzelali. Uniknął kolejnego bagnetu i pocisk laserowy trafił go w prawe udo. Napędzony bólem wbił ostrze zdobytego karabinu w kark najbliższego przeciwnika.

Pełna seria z karabinu laserowego przecięła trawnik, zostawiając za sobą w ulewie szlak pary wodnej. Trzech żołnierzy Paktu padło od razu, chwilę później czwarty. Mkvenner zaczął strzelać ze swojego karabinu i trafił kolejnych dwóch zanim odwrócił się i rzucił biegiem w stronę werandy.

W drzwiach wejściowych stał Peterik i z zaciętością walił z karabinu Rervala. Całą serią. Pozostali żołnierze Krwawego Paktu znajdujący się na odkrytym trawniku albo zginęli, albo uciekli. Mkvenner padł koło niego.

- Dziękuję - powiedział.

- Musisz opatrzyć tę ranę na nodze - odparł Peterik.

- Zrobię to później, jeśli będzie jakieś później – powiedział Mkvenner. - Na razie musimy utrzymać front domu. Dasz radę?

Peterik skinął głową.

- Tak, sir, dam radę.

Na tyłach domu seria pocisków moździerzowych trafiła w podwórze. Od siły eksplozji płyty chodnikowe wleciały przez ścianę kuchni. Kolejne dwa pociski uderzyły w zrujnowaną już spiżarnię. Caffran i Feygor kryli się za żeliwną kuchenką, strzelali przez poszarpaną dziurę, będącą kiedyś głównym oknem. Kuchenne drzwi zostały wyrwane z zawiasów, ale Brostin stał przy framudze, podkręcając miotacz płomieni.

Trójka żołnierzy Krwawego Paktu przeskoczyła przez barykadę i atakowała kuchnię. Brostin przywitał ich ogniem, spalili się po drodze a granaty, które mieli przy sobie wybuchły, zasypując zrujnowane podwórze odłamkami metalu, fragmentami ciała i płonącymi kawałkami materiału. Brostin pogładził miotacz i posłał kolejny strumień ognia ponad barykadą, poprzez syczący deszcz. Usłyszeli wrzaski. Żołnierz przeciwnika biegł z płonącymi nogami w stronę szklarni i padł trafiony przez Feygora.

Brostin był słynny ze swojego uwielbienia dla ognia. Teraz, kiedy wróg był w zasięgu, zaczął go razić strumieniami płomieni ponad barykadą i murem kuchennego ogrodu, sięgając miejsc niedostępnych dla karabinów laserowych. Zalał zwałoną drewnianą konstrukcję szklarni ciepłym, pomarańczowym ogniem, a następnie zapalił przygotowaną podpałkę wąskim strumieniem niebieskiego, super gorącego ognia. Głos kolejnego wroga uniósł się w przeraźliwym krzyku. Kanonada podpalonych granatów spotęgowała szalejący pożar.

Pociski z moździerza wciąż waliły. Caffran skrzywił się, słysząc, jak jeden z nich

wpadł przez dach. Ogień z działka przedziurawił tylną ścianę, rozszepiając odsłonięte cegły i kamień. Wapno pokrywające ściany dworku już dawno zostało z nich zerwane.

Feygor spojrzął na Caffrana, kiedy schylili się przed kolejną salwą.

- To dlatego chciałeś tu zostać? - spytał sarkastycznie. Feygor zawsze brzmiał sarkastycznie, ale tym razem to było zamierzone.

- Nie - odparł Caffran. Wskazał na znaczek regimentu z Tanith na mundurze.

- Chciałem zostać dla tego.

Miotacz płomieni Brostina zaszumiał znowu. Zapach płonącego paliwa wypełnił kuchnię.

- Idą na nas! - krzyknął Brostin. - Idą na nas.

Larkin wiedział, że to już koniec. Dworek rozpadał się pod ostrzałem pocisków z moździerza, tył domu był atakowany przez oddział wroga w sile batalionu. Słyszał żołnierzy Krwawego Paktu również w rowie po boku i od frontu.

Strzelał na ile się dało, powalając szkarłatne sylwetki na trawniku i za barykadą.

Jednak jedna rzecz była pewna. Na zewnątrz było więcej żołnierzy niż zostało mu pocisków.

Zastanawiał się czy przetrzymali wroga wystarczająco długo. I gdzie był Jajjo.

Zastanawiał się, czy ktoś się kiedyś dowie co tutaj działo. Taka garstka przeciwko całej armii. Tracił znów wzrok. Pojawiły się tańczące światła. Zamrugał kilka razy i pokręcił głową, próbując odzyskać widoczność. Poczł jakby mózg pływał mu swobodnie pod kręcącą się czaszką.

Pomyślał, czy ból zdąży go pokonać, zanim dopadnie go Krwawy Pakt. Co będzie pierwsze? Co będzie mniej bolało?

Strzelił kolejny raz, ale spudłował. Strzelił znowu i spudłował po raz drugi. Przed oczami miał taką straszną mgłę, a ból był tak wszechmocny. Różowe, podłużne gwiazdy. Sztuczne ognie. Sztuczne ognie...

Jakaś dłoń złapała go za kark i wbiła mu twarz w ramę okna. Larkin jęknął z bólu i na chwilę stracił przytomność.

Lijah Cuu trzymał go za tył głowy, palcami jak żelaznymi szczypcami wbijał się w zranione rejony czaszki. Larkin wił się, łzy bólu pociekły po pobladłych policzkach.

- Co...? Co...? - wymamrotał.

- Już nie żyjemy, Tanithiańczyku, pewne pewniutkie. Są już w oknach i drzwiach.

Koniec z nami. Tyle, że ja jeszcze nie skończyłem. Nigdzie się nie wybieram, nawet do piekła, bez uregulowania moich porachunków.

- Feth! - krzyknął Larkin, próbując się wyswobodzić. Ręka Cuu przekreśliła się na złamaniu z tyłu czaszki Larkina, który zawył z bólu. Krew pociekła mu z nosa. - Ty sukinsynu - wycharczał.

- To nie jest...

- Co? Co ty gothlorny Tanithiańczyku? Właściwy czas? Śmieszne, pewne pewniutkie. Musisz zapłacić i jeśli to nie jest właściwy czas, to innego już nie będzie.

Cuu ścisnął znów głowę Larkina i snajper zwymiotował.

Cuu odrzucił go na materac.

Larkin próbował się ruszyć, ale podłużne, różowe gwiazdy wypełniły mu pole widzenia, połączyły się w jeden wielki sztuczny ogień, który wybuchł mu w mózgu.

Dostał spazmów. Wygiął plecy, oczy mu się wywinęły aż zalśniły podbiegłe krwią białe gałki. Trysnęła krew z ugryzionego języka. Napad szarpał napięte jak struna ciało, z gardła wyszedł nieziemski charkot.

Cuu odsunął się do tyłu na sekundę z obrzydzeniem. Wyciągnął nóż. Tanithiańskie czyste srebro, całe trzydzieści centymetrów.

- Zwierzę - warknął, starając się unikać młócących kończyn Larkina. - Wygląda na to, że zrobię ci przysługę, pokrako.

Uniósł nóż.

- Zostaw go, łajdaku! - wycedziła Muril. Stała w drzwiach sypialni z karabinem wycelowanym w poznaczoną bliznami twarz Cuu.

Ruszyła w jego kierunku. - Takie gównu, jesteś tylko gównem.

Cuu wstał i wyszczerzył się w grymasie uśmiechu.

- Chciałem mu tylko pomóc, dziewczyno. Spójrz na niego. Ma atak. Pomóżmy mu, zanim zupełnie przegryzie sobie gothlerny język.

- Zostaw go! Widziałam cię, Cuu. Widziałam, co robiłeś.

- Nic nie robiłem.

- Chciałeś go zabić. Tak jak zabiłeś Bragga. I Imperator wie, kogo jeszcze.

- No i co teraz zrobisz, co? No, dziewczyno? Strzelisz do mnie?

- Być może.

- I tak już po nas. Posłuchaj, co się dzieje na zewnątrz. Są już pewnie w kuchni. No dalej, strzelaj. To już nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma znaczenie, Cuu. Umrę szczęśliwa.

Błysnęło potężnie i huknęło jakby grzmot, nie był to jednak grzmot. Ściana sypialni eksplodowała, zasypując pokój cegłami i tynkiem. Kolejny pocisk z moździerza wpadł przez strych i rozwalił korytarz za ich plecami.

Muril próbowała się podnieść w duszącym pyłe i dymie.

W rumowisku nie było śladu po jej broni, więc wyciągnęła nóż. Pokryty kawałami tynku i zwojami tapety, Larkin wciąż żył, zwijał się i jęczał na materacu pod oknem.

Muril ruszyła do niego, szukając pośród gruzu ciała Cuu.

Był za nią, z nożem w ręku.

Odwróciła się z krzykiem, z taką szybkością, z jaką żaden tanithiański zwiadowca nigdy wcześniej i nigdy później się nie ruszał. Czyste srebro przebiło ciało i kość, i nie zatrzymało się dopóki nie sięgnęło bijącego serca.

Część dachu zapadła się. Piet Gutes uchylił się przed belkami przebijającymi sufit jadalni i rozwalającymi długi, polerowany stół. Wazony i cenna porcelana spadały z półek i rozbijały się na podłodze. Olejny obraz stanął w ogniu.

Gutes podniósł się, wypluwając pył. W suficie ziała dziura, z nieba leciał deszcz.

Wyjrzał przez rozbite okno, którego bronił. Pomalowany na czerwono lekki czołg wytoczył się spomiędzy drzew na trawnik, otaczała go piechota. Przeorał przerośniętą trawę i przewrócił zegar słoneczny. Kiedy wystrzelił Gutes poczuł jak dworek się zatrząsł. Jeden z obrazów spadł na ziemię.

Po raz pierwszy zastanowił się, kim byli. Te twarze z uroczystymi minami, pociemniałe od upływu czasu, wyglądające z ram. Patrzące na niego z tak daleka. Obrazy płonęły mimo deszczu.

Gutes zauważył ruch w oknie i strzelił. Żelazna maska padła do tyłu. Nadleciały strzały, przeorały podłogę. Gutes cofnął się na tył jadalni, omijając rozbite meble i strzelając przez dziurę w ścianie. Odpowiedziały mu strzały.

Pojedyńcze krzesło przetrwało zawalenie sufitu. Gutes usiadł na nim i strzelał dalej przez okno aż wyczerpał magazynek.

Sześciu żołnierzy Krwawego Paktu wdrapało się przez okno, mierząc w samotną postać siedzącą na krześle w końcu pomieszczenia.

Zaczęli strzelać.

Gutes zastanawiał się, czy starsza pani przeżyje. Miał nadzieję, choć wątpił w to.

Nie miało to już jednak znaczenia.

Nic nie ma znaczenia, jeśli jest się odpowiednio daleko. Piet Gutes zawsze to sobie powtarzał.

I teraz, w końcu, był tak daleko, jak tylko było to możliwe.

PIERWSZY I OSTATNI

„Jest honor w życiu, honor w odwadze oraz honor w działaniu, ale najpewniejszy, ku ludzkiemu żalowi, jest honor w śmierci. ”

Iaco Bousar Fep Golke, *Dzienniki*

Dym wypływał z lasu jak krew z rany. Burza ustała, w końcu odeszła na drugą stronę szczytów masywu, jednak powietrze wciąż było wilgotne, a niebo nadal czarne.

Odgłosy wojny dolatywały spomiędzy pni sosen lasów Montorq. Broń ręczna, działka na pojazdach, granaty.

Colm Corbec zeskoczył z ośmiokołowego transportera, którym się poruszał i zawołał do oddziałów zgromadzonych z przodu.

- Czysto?

- Czysto! - odkrzyknął Varl.

- Przygotuj mi raport! - wrzasnął Corbec.

- Sir - odezwał się Jajjo wstając ze swojego siedzenia w transporterze. - Chciałbym...

- Wiem, że byś chciał synu - powiedział Corbec. - Myślę jednak, że może powinieneś tu na razie zostać.

- Ja...

- To rozkaz, chłopcze.

Corbec poszedł pomiędzy drzewami w stronę dymiących ruin starego, samotnego domu. - Dworek - nazywał go Jajjo.

Po lewej stronie lekkie czołgi i klekoczące *sentinele* krassiańskich pancerniaków przedzierały się przez dolinę, zapewniając osłonę oddziałom Pierwszego wysłanych przodem przez Corbeca. W lasach za domem odbywała się całkiem poważna potyczka.

Komisarz Hark wyszedł mu na spotkanie. W ręku trzymał hełm.

- Szeregowy Jajjo miał rację - powiedział Hark, pokazując Corbecowi żelazną maskę hełmu. - Krwawy Pakt.

- Ani przez chwilę nie wątpiłem w słowa Jajjo – odparł Corbec spokojnie.

- Wiadomość radiowa była wystarczająco jasna.

Hark skinął głową.

- Oczywiście, Corbec. Cieszę się, że zebraliśmy się i dotarliśmy tu na czas.

- Zdążyliśmy, czyżby? - spytał Corbec z powątpiewaniem.

- Odparliśmy siły Krwawego Paktu z powrotem w las. Major Vikkers, dowódca krassiańskich pancerniaków twierdzi, że wróg jest w odwrocie, ucieka doliną w stronę przełęczy. Wygląda na to, że krassiańskie czołgi zaliczyły parę trafień przeciwko pojazdom wroga i...

- Wygraliśmy, dzisiaj. Wiem o tym, Hark. Mam na myśli, czy zdążyliśmy na czas do naszych? - Corbec umilkł, patrząc na dymiące zgliszcza dworku.

- Dziewiąty pluton właśnie to sprawdza. My...

- Niech pan zbierze tylną straż i wyśle ich do przodu – Corbec przerwał mu gwałtownie. - Sam pójde zobaczyć.

Varl czekał na niego przed rozwaloną werandą dworku.

Zwłoki żołnierzy przeciwnika zaścielały trawnik. Starsza pani

- Corbec nie miał pojęcia kim, do Fetha, była - klęczała na żwirowej ścieżce i płakała nad ciałem młodego szeregowca Przymierza. Na schodach werandy, krassiański sanitariusz opatrywał rozliczne rany żołnierza Pierwszego. Pracując wzywał krzykiem medyka. Tanithiańczyk był tak bardzo pokryty krwią, że w pierwszej chwili nie mógł go rozpoznać.

Ciężka rana nogi, trafienie w brzuch, rana głowy, coś z lewym ramieniem.

Corbec zignorował Varla i przyklęknął przy żołnierzu. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że był to Mkvenner.

- Feth, Ven! To miał być tylko patrol.

- Nic więcej nie było - odparł Mkvenner słabym głosem, z trudem mrugając zakrwawionymi oczami.

- Nic ci nie będzie - powiedział Corbec. - Doprowadź go do porządku, niech to Feth!

- rzucił patrząc na dwojącego się sanitariusza.

- Znaczący, że dostaliście naszą wiadomość? - wyszeptał Mkvenner.

- Jeśli masz zamiar marnować siły, to nie musisz stwierdzać oczywistości.

Dostaliśmy, Ven, i zjawiliśmy się. Skopaliśmy im tyłki i wyrzuciliśmy ich do lasu.

Dobrze się tu sprawiliście, ty i cała reszta.

- Pochwały - westchnął Mkvenner.

- Zamknij się już - powiedział Corbec.

Mkvenner pokręcił głową.

- Mogę nie mieć drugiej szansy żeby to powiedzieć, Colm. Udzielam im wszystkim pochwały. Wszystkim. Do samego końca nie zawiedli. Pierwszy i Ostatni. Jeśli Jajjo dotarł do was, to zasługuje na rangę zwiadowcy. Muril również, bez dwóch zdań.

Dopilnuj, żeby się dowiedziała, że ją pochwalilem. I chciałbym przekazać specjalne wyróżnienie do Sztabu Generalnego Przymierza. Zrobi pan to dla mnie, sir?

- Oczywiście, że zrobię.

- Starszy szeregowy Rufo Peterik, szesnasta z Brunsgatten. Za odwagę. Zapamiętasz nazwisko, Colm?

- Zapamiętam, ale wcale nie muszę, Ven. Nie umrzesz mi tu, do Fetha.

Krassiański medyk podbiegł przez trawnik żeby pomóc sanitariuszowi.

Corbec podniósł się i zwrócił do Varla.

- Mów. Na ile źle?

- Piet Gutes nie żyje. Tutaj, w tym pokoju. Wygląda na to, że nieźle dal się im we znaki. Rerval żyje. Dostał w twarz w początkowej fazie akcji. Jest pod opieką lekarzy.

- To już coś - westchnął Corbec. Brakowało mu jego radiowca przez te ostatnie dni.

- Brostin, Feygor i Caffran też przeżyli, chociaż Brostin i Caffran ciężko oberwali.

Feygorowi jakoś się udało wyjść z tego bez jednego zadrapania.

- Diabelskie szczęście - stwierdził Corbec. - A co z resztą?

- Larkin w bardzo ciężkim stanie. Jest z nim doktor Mtane. Rana głowy. Doktor nie wie, czy Larkin przeżyje. Mówi, że musimy go przewieźć do Ins Arbor na operację.

- Feth - powiedział tylko Corbec.

- Ja... - zaczął Varl.

- Co?

- Ja znalazłem Muril na piętrze, z Larkinem. Załatwili ją bagnetem. Corbec przytknął oczy. Poczłł ból gorszy niż jakakolwiek rana.
 - Muszę ją zobaczyć - powiedział.
 - Szeffie - próbował go powstrzymać Varl. - Lepiej żebyś tego nie widział.
 - Muszę, Varl. Muszę. - Corbec odsunął sierżanta na bok i ruszył po schodach do domu.
- W drzwiach zatrzymał się i odwrócił do Varla.
- A co z Cuu?
 - Och, przeżył - odparł Varl.

Wokół domu było duzo zamieszania. Nie takiego samego rodzaju jak to, które prawie go rozwalilo, ale nadal zamieszanie. Transportery przejeżdżały w pobliżu. Czołgi Krassianów z hukiem przecinały trawniki i znikaly w lesie. Pomiędzy drzewami toczyła się jeszcze gothlerna potyczka. Ale to już nie jego problem. Lijah Cuu siedział na starej ławce na krańcu frontowego trawnika i wszystko to obserwował. Oblizal krew z czystego srebra swojego bojowego noża i schował go do pochwy.

ZAKOŃCZENIE W ŚRODKU

Kiedy mówię w ten sposób o ciele, mam na myśli ciało jako formę sil zbrojnych. Dla dowódcy te siły stają się jego ciałem. Musi o nie dbać, karmić je, zatroszczyć się o jego dobrą formę i zadbać w chorobie. Zostaje ono więc jego członkami, organami, zmysłami, wojującym ciałem. Następnie powiększa się skala. Wszyscy dowódcy ze swoimi ludźmi są ciałami wojny, walczącymi i ginącymi w taki sam sposób jak pojedynczy człowiek walczy, opatruje swoje rany i ginie.

DeMarchese, *O Wykorzystaniu Armii*

Tydzień później, deszcz znów padał na ponure ulice Gibsgatte. Komisarz-pułkownik Ibram Gaunt, wciąż lekko utykający od pocisku karabinowego, który drasnął go podczas szesnastogodzinnego powrotu z Linii Shadik, wszedł po schodach Sezarii, budynku przykrytego złotą kopułą i dominującego widnokrąg tego brudnego północnego miasta.

Strażnicy *Bande Sezari* sprawdzili przy drzwiach jego dokumenty, po czym skłonili się przepuszczając go, aż pióropusze z piór *struhidów* na ich czapkach zamiotły podłogę.

Gaunt skinął im z nieudawanym respektem. Wiedział teraz, kim byli *Bande Sezari*. Widział, jak kilku z nich walczyło do końca.

Adiutant Przymierza poprowadził go po schodach i wzdłuż wspaniałego korytarza z obrazami w błyszczących ramach.

Adiutant zapukał w malowane drzwi i zaanonsował go.

- Komisarz-pułkownik Ibram Gaunt, sir.

Gaunt wszedł i zasalutował.

Naczelny dowódca Lyntor-Sewq wstał i wyszedł zza biurka, żeby przywitać Gaunta.

- Dobrze pana widzieć, Gaunt.

- Sir.

Lyntor-Sewq był chudym, łysym mężczyzną z krótkim wąsem i opadającymi powiekami.

- Jak się pan ma, sir? - spytał.

- Zupełnie dobrze.

- Noga dokucza?

- Nie za bardzo, dziękuję za pamięć.

- Musiało być ciężko, wrócić z linii wroga tamtej nocy.

- Rzeczywiście, sir. Zajęło nam to w sumie półtora dnia.

- Ta wasza sztuka podchodzenia i zwiadu. Mówi się o tym w Sztapie Generalnym! Mieliście jednak kłopoty?

- Tak, sir. Dwukrotnie. Ostatni raz, kiedy byliśmy już prawie w domu. Straciłem tam paru dobrych żołnierzy.

- Straszna szkoda, Gaunt. Napije się pan?

- Mały amasek, sir.

Lyntor-Sewq nalał do dwóch kryształowych kieliszków. Jeden wręczył Gauntowi.

- Za pańskie wysiłki, sir - powiedział dowódca naczelny.

- I za moich poległych.

- Oczywiście.

Wypili po łyku.

Lyntor-Sewq podprowadził go do stołu z mapami, na którym pokazany był cały teatr wojny na Głównej Aexe.

- Wielu w pana wąpiło, Gaunt. Pana i Imperialnych. Oczywiście, jesteśmy wdzięczni za interwencję. Ale jednak nie wspomnę nawet pana nazwiska w obecności Redjacqa Ankre.

- Nie będę rozpaczał, jeśli nigdy go już nie zobaczę, sir.

Lyntor-Sewq zaśmiał się pod nosem.

- Dostaliśmy działa. Super działa. Na pewno panu powiedziano. Były dokładnie tam, gdzie je pan unieruchomił. Klucz *marauderów* zniszczył je następnej nocy. Świetna rzecz te *maraudery*. Bardzo bym chciał, żeby kilka z nich wzmocniło siły powietrzne Przymierza.

- Jestem pewny, że generał Van Voytz zechce pomóc. Właściwie to spodziewałem się go dziś tutaj zobaczyć.

Lyntor-Sewq uśmiechnął się.

- Wybrał się na południe. Do Frergarten. Wie pan, nacieramy teraz przez Montorq. I za to też muszę panu podziękować. Pana oddziały zwiadowcze powstrzymały wroga i przesłały ostrzeżenie. Poinformowały nas o obecności elitarnych oddziałów arcywroga na naszej ziemi. Moje plany się oczywiście zmieniły. Radykalnie. Koncentruję się na nowej inicjatywie i myślę, że możemy przechylić szalę zwycięstwa na naszą stronę. Wojna będzie skończona do *Candlemas*.

Gaunt dokończył swój amasek.

- Mam nadzieję, sir - powiedział. - Jeśli nie, to ta wojna nigdy się nie skończy.

Lyntor-Sewq popatrzył ponuro na swój kieliszek.

- Potrwa tyle ile będzie trzeba - powiedział.

Gaunt skinął głową. Przeglądał raporty z minionego tygodnia. Zniszczyli super działa i rozpoczęli natarcie przez Montorq, ale i tak obie te akcje wyglądały na malutkie części całości.

Sarvo zostało stracone. Linia Meiseq przerwana. Dolna część doliny Naeme zajęta przez wroga. Linia Ostlund przerwana w dwóch miejscach. Za każde zwycięstwo, strata. Wojna nadal się toczyła.

- Rozumiem, że przeniesie pan moje jednostki w nowe miejsca?

- Akurat nie. - Naczelny dowódca wręczył Gauntowi płytkę danych. - Nowe rozkazy. Od Mistrza Wojny, przekazane przez *Astrophatów*. Pański regiment otrzymuje nowe zadania. Transportery floty przybywają, żeby was zabrać.

Gaunt spojrział na płytkę danych.

Poczuł się dziwnie zaskoczony. Nigdy nie był jeszcze wycofywany ze strefy wojny przed zakończeniem walk. W jego opinii zanosilo się jeszcze na co najmniej rok rozlewu krwi na Głównej Aexe, zanim Imperium będzie mogło ogłosić zwycięstwo. Macaroth wycofywał Pierwszy z Tanith. To było jak zakończenie w środku rozgrywki. Według informacji z płytki oddziały Drugiej Krucjaty mają ich zastąpić i dokończyć zadanie.

Serce zabiło mu mocniej, kiedy zobaczył dokąd zostają wysłane Duchy.

- Niech was Imperator chroni, tam gdzie zmierzacie - powiedział Lyntor-Sewq.

- Dziękuję, sir.

- Zaprosiłem pana dzisiaj po to, żeby panu coś wręczyć.

Sięgnął do biurka i wydobył wąski, podłużny futerał pokryty usianą złotymi płatkami niebieską satyną. Lyntor-Sewq otworzył futerał. We wnętrzu leżała *Złota Aquila*, przypięta do białej wstążki.

- W uznaniu pańskiego zaangażowania na rzecz Głównej Axe. Order Orła.

Najwyższy odznaczenie, jakie może przyznać Sezer.

Gaunt widział już jeden taki, dumnie przypięty do munduru Iaco Fep Golkego. Miał straszną ochotę wziąć order i wcisnąć Lyntor-Sewqowi do gardła aż się udusi. Albo przynajmniej odmówić przyjęcia. Wiedział jednak, jakie miałyby kłopoty, gdyby zrobił którąś z tych rzeczy.

Pozwolił naczelnemu dowódcy przypiąć sobie order i zsalutował. Będzie go nosił tylko teraz i nigdy więcej.

Kiedy Gaunt kroczył przez korytarz Sezarii, dogonił go oficer *Bande Sezari* z paczką owiniętą w brązowy papier.

- Sir - powiedział. - Oficer taktyczny Biota polecił pana oczekiwać i wręczyć to panu od niego.

Gaunt wziął paczkę z lekkim skinieniem głowy.

Beltayn czekał na zewnątrz, siedząc za kierownicą wielkiego, czarnego samochodu sztabowego. Kciuk mu się już zagoił.

Mógł zmieniać biegi.

Gaunt wszedł do środka.

- Sir?

-Zabierz nas z powrotem do Rhonforq, Beltayn - powiedział Gaunt.

Samochód ruszył z rykiem silnika i skręcił w ulicę Gibsgatte, kierując się na południe. W tyle samochodu, Gaunt zerwał brązowy papier z paczki. W środku była stara książka. Spojrzał na grzbiet. *O Wykorzystaniu Armii*. Gaunt uśmiechnął się mimo niewesołych myśli. W książce była odręcznie napisana notka od Bioty.

„Komisarzu-pułkowniku - informowała - mam nadzieję, że znajdzie pan ją pouczającą. Uratowałem ją z biblioteki lorda - generała i jestem przekonany, że nie będzie za nią tęsknił.

Jeśli chodzi o pytanie, które mi pan zadał... ”

W odpowiedzi na nalegania Guanta, w drodze powrotnej do Rhonforq jechali przez lasy wokół Shonsmarl. Słońce przeświecało pomiędzy drzewami, jasnymi cętkami znacząc samochód przemyskający wąskimi, krętymi drogami.

Beltayn zatrzymał samochód.

- Zgubiliśmy się, prawda? - spytał Gaunt.

- Nie, sir - odparł Beltayn. - Jestem Tanithiańczykiem. Ja się nie gubię.

- Zgubiłeś się poprzednim razem, kiedy tu byliśmy.

Beltayn wzruszył ramionami.

- Wiem tyle, sir, że to jest to miejsce. Niech mnie pan nie pyta dlaczego, nic tu już nie

ma.

Gaunt wysiadł z samochodu. Las wyglądał znajomo, bardzo znajomo. Był pewien, że Beltayn miał rację.

Tyle, że nie było tu już kaplicy. Nie było ani śladu po Kaplicy Obfitości Świętej Światłości w Veniq. Nic oprócz słabego zapachu szczególnego kwiatu.

Beltayn wysiadł i dołączył do niego.

- Gdzie to się podziało, sir? - spytał.

Gaunt wręczył Beltaynowi notkę Bioty, żeby sam mógł przeczytać.

Jeśli chodzi o pytanie, które mi pan zadał, przeszukałem imperialne zapisy i znalazłem wzmiankę o wojowniczej Adepta Sororitas o imieniu Elinor Zaker. Była ważnym członkiem świty Świętej Sabbath w czasie Pierwszej Krucjaty i zmarła na Herodorze sześć tysięcy lat temu.

Beltayn wzdrygnął się,

- Coś tu nie jest w porządku, sir - stwierdził.

- Też tak myśle - powiedział Ibram Gaunt.

Wiadomości rozchodziły się wzdłuż całego 58. sektora Linii Peinforq. Duchy były wycofywane. Osłabiony Daur przekazywał plutonom szczegółowe rozkazy. Mieli się wycofać następnej nocy do katedralnego miasta Ghrennes i tam oczekiwać na transportery floty. Rozkazy nie mówiły, kiedy i dokąd zmierzają, ale żołnierze i tak byli podekscytowani. Wyglądało to na poważną sprawę. A większość tylko marzyła o tym, żeby wydostać się z piekła okopów Aexe.

Daur był rozdarty. Chciał, żeby Pierwszy opuścił morderczą linię frontu, ale będzie mu brakowało stanowiska zastępcy dowódcy. Ana Curth powiedziała mu, że Rawne prawie już doszedł do siebie. Za dzień lub dwa major wróci do służby.

Daur przekazywał rozkazy, przygotowując regiment do transportu na statek.

Poderwał pluton Hallera, następnie Obela. Później wszedł za zakręt, na stanowisko dowódcze Sorica. Zajrzał przez zasłonę przeciwgazową.

- Szefie? Niech pan szykuje swoich ludzi - powiedział. - Odlatujemy jutro w nocy.

Soric siedział przy stole w ciemnej ziemiance. Między palcami trzymał kawałek niebieskiego papieru.

- Tak jest, kapitanie - powiedział. - Wiem.

Daur wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Soric spojrział na papier w dłoni: „Duchy odlatują. Jutro w nocy”, było na nim napisane. Soric zmiął papier i odrzucił w kąt.

Przez zasłonę nagle zajrzał Vivvo.

- Podobno odjeżdżamy, szefie. Wiadomo dokąd?

- Nie - warknął Soric.

- Dobra - powiedział Vivvo przeprasającym tonem i wycofał się, zostawiając go samego.

Soric oparł się na krzesło. Błyszczący mosiężny pojemnik stał przed nim na połowym stole. Czekał, mając nadzieję. Sięgnął i podniósł pojemnik.

Agun Soric odkręcił pokrywkę i wytrząsał kawałek niebieskiego papieru. Rozłożył go i przeczytał, co było napisane jego charakterem pisma. Jedno słowo - *Herodo*